

DANIEL
SILVA



Tajny
śluga

DANIEL
SILVA

Tajny

sługa

The Secret Servant

przełożyła Magdalena Jędrzejewska

Dedykuję tę powieść Stacy i Henry'emu Winklerom

*w podziękę za przyjaźń, wsparcie i nieustraszoną pracę na rzecz dzieci, a także mojej żonie, Jamie,
i dzieciom, Lily i Nicholasowi.*

Przy obecnych tendencjach demograficznych
najpóźniej do końca dwudziestego pierwszego
wieku ludność europejską zdominują muzułmanie.

Bernard Lewis

To poważne zagrożenie wzrasta i - jak sądzę - będzie
nam towarzyszyło jeszcze przez całe pokolenie.

To nie szereg pojedynczych incydentów,
ale nieustanna kampania, która dąży do
osłabienia naszej woli stawiania oporu.

Dame Eliza Manningham-Buller,

dyrektor generalna MI 5

Wysłany do Jordanii więzień przejdzie przez bardziej
szczegółowe przesłuchanie, natomiast po więźniu
wysłanym na przykład do Egiptu prawdopodobnie
na zawsze zaginie śluch.

Słowa Roberta Baera przytoczone przez

Stephena Greya w książce *Samolot widmo*

Część pierwsza

Śmierć proroka

Amsterdam

To profesor Solomon Rosner pierwszy uderzył na alarm, pomimo że nikt nigdy, oprócz kilku osób z tajnych pomieszczeń ponurego biurowca w centrum Tel Awiwu, nie będzie łączył jego nazwiska z tą sprawą. Gabriel Allon, legendarny, ale i krnąbrny syn izraelskiego wywiadu, stwierdził później, że Rosner był pierwszym człowiekiem w historii ministerstwa, który okazał się przydatniejszy po śmierci niż za życia. Ci, którym przypadkiem przyszło usłyszeć tę uwagę, uznali, że jest ona nad wyraz okrutna, lecz jednocześnie odzwierciedla przygnębiający nastrój, który w pewnej chwili dopadł ich wszystkich.

Tłem dla zgonu Rosnera nie był Izrael, gdzie brutalna i gwałtowna śmierć zdarza się zdecydowanie zbyt często, lecz zwykła spokojna część Amsterdamu znana jako Stara Dzielnica. Był pierwszy piątek grudnia, ale pogoda bardziej przypominała wczesną wiosnę niż ostatnie dni jesieni. To był idealny dzień na zajęcie się tym, co Holendrzy z taką czułością nazywają *gezelligheid*, czyli pogonią za drobnymi przyjemnościami, takimi jak przechadzka bez celu pomiędzy straganami z kwiatami na Bloemenmarkt, piwo, może dwa, w dobrym barze na Rembrandtplein, a dla osób bardziej rozochoconych odrobiną niezłej marihuany w kawiarniach przy Haarlemmerstraat. Zostaw zmartwienia i walkę zniechęconym Amerykanom - pomrukiwał to w złote późnojesienne popołudnie dostojny wiekowy Amsterdam. - Dzisiaj składamy podziękowania za to, że mogliśmy się urodzić jako niewinni niczemu Holendrzy.

Solomon Rosner w zasadzie nie podzielał poglądu swych rodaków, jednak czasem mu się to zdarzało. Na życie zarabiał jako profesor socjologii na Uniwersytecie Amsterdamskim, ale to w Ośrodku Badań nad Bezpieczeństwem Europy spędzał znaczną część swojego czasu.

Rzesza jego krytyków dostrzegła w tej nazwie pewne oszustwo, ponieważ był on nie tylko jego szefem, ale także jedynym zatrudnionym w nim badaczem. Pomimo tych oczywistych wad ośrodek nieprzerwanym strumieniem publikował autorytatywne raporty i artykuły, szczegółowo opisujące zagrożenie, jakie stanowi wzrost liczby ekstremistów muzułmańskich na terenie Holandii. Ostatnia jego książka pod tytułem *Islamski podbój Zachodu* dowiodła, że Holandia znajduje się teraz pod nieustannym i systematycznym atakiem islamskiego dżihadu.

Utrzymywał, że jego celem jest skolonizowanie i przekształcenie tego kraju w większościowe państwo muzułmańskie, w którym w niezbyt odległej przyszłości niepodzielnie zapanuje prawo islamskie, szariat. Ostrzegał, że terroryści i kolonizatorzy stanowią dwie strony tego samego medalu i dopóki rząd nie podejmie natychmiastowych i drastycznych działań, wszystko, co cenią sobie wolnomyślni Holendrzy, zostanie im wkrótce odebrane.

Jak można się było spodziewać, prasa była przerażona. Histeria - napisał pewien recenzent. - Rasistowska mowa-trawa - stwierdził inny. Kilku zadało sobie nawet trud, by zauważyć, że poglądy wyrażone w książce są co najmniej ohydne, biorąc pod uwagę fakt, że na dziadków Rosnera i sto tysięcy innych Żydów holenderskich zrobiono obławę i posłano ich do komór gazowych w

Auschwitz. Wszyscy zgodzili się co do tego, że sytuacja wymaga raczej tolerancji i dialogu, a nie pełnej nienawiści retoryki w stylu Rosnera. W obliczu tej miażdżącej krytyki był nieugięty, przyjmując, jak to pewien komentator napisał, pozę człowieka, który ma wszystko w dupie. Tolerancja i dialog jak najbardziej, zareagował

Rosner, ale nie kapitulacja. My, Holendrzy, musimy odłożyć heinekeny i fajki do haszu i wreszcie się obudzić - stracił nad sobą panowanie podczas wywiadu dla pewnej telewizji. - W

przeciwnym wypadku stracimy nasz kraj. Książka i otaczająca ją aura kontrowersji zrobiły z niego najbardziej szkalowanego, a w niektórych kręgach najsławniejszego człowieka w państwie. Sprawilo to również, że stał się głównym celem ataku rodzimych ekstremistów islamskich. Stworzone przez bojowników dżihadu strony internetowe, które kontrolował

nawet wnikliwiej niż policja, kipiały wywołanym książką świętym oburzeniem, a na kilku zapowiedziano nawet rychłą egzekucję autora. Imam okolicy znanej jako Oud West zlecił

swojej świcie, by „porządnie rozprawiła się z Żydem Rosnerem” i poprosił o zgłoszenie się ochotnika, który jako męczennik wykona tę robotę. Reakcją niezaradnego ministra spraw wewnętrznych było zaproponowanie Rosnerowi, by się ukrył, na co ów kategorycznie się nie zgodził. Następnie zaopatrzył ministra w listę dziesięciu radykałów, których uznawał za potencjalnych zamachowców, a ten o nic nie pytając, przyjął ją, ponieważ wiedział, że większość źródeł Rosnera z ekstremistycznych ugrupowań jest wiarygodniejsza od źródeł

holenderskich służb bezpieczeństwa.

W południe tego grudniowego piątku Rosner siedział zgarbiony przy komputerze w biurze na pierwszym piętrze swojego położonego nad kanałem domu przy ulicy Groenburgwal 2A. Dom, podobnie jak jego lokator, był przysadzisty, szeroki i pochylony pod zbyt dużym kątem, co według niektórych sąsiadów nawet pasowało, biorąc pod uwagę polityczne opinie na temat jego mieszkańca. Gdyby trzeba było wskazać jego poważną wadę, byłaby nią lokalizacja, ponieważ znajdował się niecałe pięćdziesiąt metrów od dzwonnicy kościoła Zuiderkirk. Dzwony codziennie były bezlitośnie - przez czterdzieści pięć minut w południe. Przeczulony na punkcie niepożądanego, przeszkadzającego mu w pracy hałasu, Rosner od lat prowadził przeciwko nim własny dżihad. Muzyka klasyczna, generator białego szumu, dźwiękoszczelne słuchawki - wszystko to okazywało się bezużyteczne w czasie ataku dzwonek. Czasami zastanawiał się, dlaczego one w ogóle biją. Ten stary kościół

przekształcono dawno temu w państwowy urząd kwaterunkowy, co dla Rosnera, człowieka z godną szacunku wiarą, stało się wymownym symbolem holenderskiego bagna. Stanąwszy wobec żarliwie religijnego wroga, świecki Holender przekształcił kościoły w urzędy państwa opiekuńczego. Kościół bez wiernych - pomyślał Rosner - w mieście bez Boga...

Dziesięć po dwunastej usłyszał ciche pukanie - Sophie Vanderhaus opierała się o futrynę z plikiem trzymany przy piersi akt. Kiedyś była jego studentką, a teraz, obroniwszy pracę na temat wpływu Holocaustu na powojenne społeczeństwo holenderskie, postanowiła się u niego zatrudnić. Częściowo była sekretarką i asystentką biorącą udział w badaniach, a częściowo nianią i zastępczą córką. Utrzymywała w jego biurze porządek i przepisywała ostateczne wersje wszystkich raportów i

artykułów. Była opiekunką jego niewykonalnego harmonogramu, która zajmowała się również przerażającymi prywatnymi finansami.

Pilnowała nawet jego prania i przypominała o posiłkach. Rano tego samego dnia poinformowała go, że zamierza spędzić Nowy Rok na tygodniowym urlopie na wyspie Saint Maarten. Kiedy o tym usłyszał, popadł w głęboką depresję.

- Za godzinę ma pan wywiad dla „De Telegraaf” - powiedziała. - Może powinien pan coś zjeść i się wyciszyć?

- Sophie, sugerujesz, że nie jestem wyciszony?

- Niczego takiego nie sugeruję, po prostu pracuje pan nad tym artykułem od piątej trzydzieści rano. Potrzebuje pan czegoś więcej niż tylko kawy.

- Czy to nie ta okropna reporterka, która rok temu nazwała mnie faszystą?

- Czy naprawdę pan sądzi, że pozwoliłabym jej ponownie zbliżyć się do pana? -

Weszła do biura i zaczęła porządkować biurko. - Po wywiadzie dla „De Telegraaf”, idzie pan do studia NOS na audycję w Jedyńce. To program z telefonicznym udziałem słuchaczy, więc na pewno idzie na żywo. Profesorze Rosner, proszę się postarać nie narobić sobie więcej wrogów, ponieważ coraz trudniej jest ich wszystkich na bieżąco kontrolować.

- Postaram się zachowywać jak należy, ale obawiam się, że moja wyrozumiałość ulotniła się raz na zawsze.

Zajrzała do jego filiżanki i zrobiła niezadowoloną minę.

- Dlaczego tak uparcie gasi pan w kawie papierosy?

- Bo popielniczka była już pełna.

- Może spróbuje pan ją od czasu do czasu opróżnić? - Wsypała zawartość popielniczki do kosza na śmieci i wyjęła z niego worek.

- I proszę nie zapomnieć, że dziś wieczorem odbywa się na uniwersytecie forum.

Zmarszczył czoło. Nie cieszył się na tę myśl. Jeden z uczestników dyskusji panelowej to szef Stowarzyszenia Muzułmanów Europejskich, związku, który prowadził otwartą kampanię na rzecz wprowadzenia w Europie szariatu i zniszczenia państwa Izrael. Tak więc zapowiadał się wyjątkowo przykry wieczór...

- Obawiam się, że dopadnie mnie nagły przypadek trądu - powiedział.

- I tak będą nalegać, by się pan zjawił. Będzie pan gwiazdą tego show.

Wstał i rozprostował plecy.

- Chyba się przejdę do Café de Doelen, wypiję kawę i zjem coś. Może umówisz mnie tam z reporterką „De Telegraaf”?

- Profesorze, naprawdę uważa pan, że to rozsądny pomysł?

W Amsterdamie było powszechnie wiadomo, że znana restauracja przy Staalstraat to jego ulubione miejsce spotkań. A Rosner prawie wcale nie rzucał się w oczy. Ależ skądże znowu! Z tą swoją gęstą czupryną siwych włosów i w pomiętych tweedowych ubraniach był

jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci w Holandii. Geniusze z policji zasugerowali kiedyś, by przebierał się w jakiś niewyszukany kostium, kiedy zamierza się publicznie pokazać, co Rosner przyrównał do zakładania hipopotamowi kapelusza, przyklejania mu sztucznych wąsów i nazywania go Holendrem.

- Od miesiący nie byłem w Doelen.

- Co nie oznacza, że jest tam teraz bezpieczniej.

- Sophie, nie mogę do końca życia zachowywać się jak więzień.

- Skinął w kierunku okna. - Zwłaszcza w taki dzień jak dziś. Poczekaj do ostatniej minuty, zanim powiesz tej reporterce, gdzie jestem. To mi pozwoli przechytryć bojowników dżihadu.

- Profesorze, to nie jest śmieszne. - Zrozumiała, że nie ma szans mu tego wyperswadować, i podała mu telefon komórkowy. - Proszę go przynajmniej wziąć, by w razie potrzeby mógł pan do mnie zadzwonić.

Wsunął telefon do kieszeni i zszedł na dół. W przedsionku włożył płaszcz oraz markowy jedwabny szal i wyszedł. Po lewej stronie wznosiła się iglica wieży kościoła Zuiderkirk, po prawej zaś, w odległości pięćdziesięciu metrów, zawieszony był drewniany podwójny most zwodzony ponad usianym motorówkami wąskim kanałem. Ulica Groenburgwal była spokojna jak na Starą Dzielnicę - nie było tu żadnych barów i restauracji, oprócz jednego małego hoteliku, w którym chyba nigdy nie przebywało więcej niż kilku zaledwie gości. Dokładnie naprzeciw jego domu znajdowało się jedyne brzydactwo tej ulicy -

nowoczesna kamienica czynszowa pomalowana w pastelowe lawendowo-limonkowe wzory.

Na zewnątrz budynku na oświetlonym przez promienie słoneczne skrawku kuchało trzech malarzy pokojowych w poplamionych białych kombinezonach.

Zanim poszedł w kierunku mostu, zerknął na ich twarze, dobrze je sobie zapamiętując.

Kiedy nagły podmuch wiatru poruszył nagimi konarami rosnących wzdłuż nabrzeża drzew, zatrzymał się na chwilę, by mocniej zawiązać wokół szyi szal i popatrzeć, jak ponad jego głową dryfuje powoli kłębiasta vermeerowska chmura. To właśnie wtedy zauważył, że po drugiej stronie kanału jeden z

malarzy dotrzymuje mu kroku. Krótkie ciemne włosy, wysokie płaskie czoło, krzaczaste brwi nad małymi oczami - Rosner, znawca imigrantów, ocenił, że to Marokańczyk z gór Rif. Dotarli do mostu w tym samym czasie. Rosner znowu się zatrzymał, by tym razem zapalić papierosa, na którego zresztą nie miał ochoty, i z ulgą zobaczył, jak mężczyzna skręca w lewo. Kiedy zniknął za najbliższym rogiem, Rosner poszedł w przeciwnym kierunku do Café de Doelen.

Szedł Staalstraat, w ogóle się nie spiesząc. Guzdrał się przy wystawie ulubionej cukierni, by popatrzeć na ofertę dnia, czmychnął z drogi, by uniknąć zderzenia z piękną rowerzystką, zatrzymał się, by przyjąć od wielbiciela o rumianej twarzy kilka słów poparcia.

Właśnie miał przekroczyć próg restauracji, kiedy poczuł szarpnięcie za rękaw. Wyszedł

odetchnąć pełnią życia, a w zamian przez kilka ostatnich pozostałych mu sekund zadreńczy go absurdalna myśl, że mógł zapobiec własnemu morderstwu, gdyby oparł się nagłej chęci zareagowania. Ale odwrócił się, ponieważ w Amsterdamie, w takie cudowne grudniowe popołudnie każdy by się tak zachował, gdyby zaczepił go na ulicy nieznajomy.

Zobaczył broń, ale oczywiście tylko w swojej wyobraźni. Na wąskiej ulicy rozległ się huk niczym z armaty. Upadł na bruk i bezradnie patrzył, jak morderca wyciąga z kombinezonu długi nóż. Jak nakazał imam, rzeź to cały rytuał. Nikt nie interweniował, co według Rosnera było mało zaskakujące, ponieważ interwencja byłaby przejawem nietolerancji. Nikt też nie pomyślał, by go pocieszyć, kiedy tak leżał i umierał. Jedynie dzwony do niego przemawiały. - Kościół bez wiernych - mówiły bodaj - w mieście bez Boga...

Port lotniczy im. Ben Guriona, Tel Awiw, Izrael

- Uzi, co ty tu robisz? - zapytał Gabriel. - Teraz jesteś szefem, a szefowie nie biegają po lotniskach o północy, tylko zlecają tego typu robotę fagasom z Transportu.

- Nie mam lepszego zajęcia.

- Pałetasz się po lotnisku i czekasz, aż wsiądę z przylatującego z Rzymu samolotu?

Co jest grane? Chyba nie sądziłeś, że tym razem naprawdę wrócę?

Uzi Nawot nie zareagował. Stał w poczekalni dla VIP-ów i przez okno będące lustrem weneckim patrzył na halę przylotów, obserwując jak inni pasażerowie tego lotu ustawiają się w kolejce do kontroli paszportowej. Gabriel rozejrzał się - te same sfatygowane skórzane kanapy i ściany ze sztucznego kamienia, ten sam zapach męskiego napięcia i palonej kawy.

Bywał w tym pomieszczeniu oraz w jego zagranicznych odpowiednikach przez ponad trzydzieści lat. Wchodził tu triumfalnie i wtaczał się po porażkach, fetował i pocieszał go sam premier, a raz nawet wwieźli go z raną postrzałową w klatce piersiowej, ale ta poczekalnia była zawsze taka sama...

- Bella potrzebowała wolnego wieczoru - powiedział Nawot, wciąż stojąc przed lustrem, po czym spojrzał na Gabriela. - W zeszłym tygodniu wyznała, że woli, kiedy jestem w terenie. Jeśli się akurat złożyło, spotykaliśmy się raz w miesiącu. Teraz... - Zmarszczył

czoło. - Sądzę, że zaczyna czuć wyrzuty sumienia. Poza tym tęsknię za pałętaniem się po lotniskach. Z moich obliczeń wynika, że dwie trzecie swojej pracy spędziłem na czekaniu w terminalach lotniczych i na dworcach kolejowych, w restauracjach i pokojach hotelowych.

Obiecują ci prestiż i ciekawe doświadczenia, ale to przeważnie otępiająca nuda, z krótkimi okresami śmiertelnego przerażenia.

- Osobiście wolę nudniejsze okresy. Czy życie w nudnym kraju nie byłoby przyjemne?

- Ale wtedy to nie byłby Izrael.

Nawot wziął od Gabriela skórzany pokrowiec na garnitur i poprowadził go do długiego, jasno oświetlonego korytarza. Byli mniej więcej tego samego wzrostu i obaj chodzili pewnym krokiem, ale na tym kończyło się podobieństwo między nimi. Gabriel był

kościsty i chudy, Nawot przysadzisty i potężnie zbudowany. Miał okrągłą twarz, spiczasty niczym wieżyczka czubek głowy, barki jak u zapaśnika i duży brzuch, który świadczył o jego zamiłowaniu do ciężkostrawnych potraw. Od lat włóczył się po Europie Zachodniej jako *katsa*, czyli tajny agent, ale teraz był szefem Operacji Specjalnych. Jak to powiedział słynny as izraelskiego wywiadu, Ari Szamron, „specoperacje to ciemna strona ciemnych służb”.

Pracowali tu ludzie, którzy robili to, czego nikt inny nie chciał bądź też nie miał odwagi się podjąć. Mieli intelekt, pomysłowość i większe skłonności przestępcze niż sami złoczyńcy.

Byli katami i porywaczami, draniami i szantażystami, poliglotami i kameleonami, wysmienicie czującymi się w najbardziej ekskluzywnych europejskich hotelach i salonach oraz w najciemniejszych zaułkach Bejrutu i Bagdadu. Nawot nie był obeznany z pracą, a awans dostał tylko dlatego, że Gabriel nie był tym zainteresowany. Ale nie było między nimi animozji, a Nawot jako pierwszy przyznał, że jest zaledwie robotnikiem rolnym, zaś Gabriel Allon to legenda...

Korytarz prowadził do solidnych drzwi, a te z kolei do obszaru ograniczonego wstępu, z którego wychodziło się na główne rondo na zewnątrz terminalu. Renault sedan z wgniecioną karoserią stał na zarezerwowanym miejscu parkingowym. Nawot otworzył

bagażnik i wrzucił do środka pokrowiec Gabriela.

- Dałem kierowcy wolne - powiedział. - Chciałem zamienić z tobą słowo na osobności. Wiesz, jacy oni potrafią być. Siedzą w parku samochodowym przez cały dzień, nie mają nic innego do roboty, więc rozsiewają plotki. Są gorsi od dziergających na drutach bab.

Gabriel usiadł na miejscu pasażera i zamknął drzwi. Spojrzał na tylne siedzenie zavalone książkami i aktami Belli. Była nauczycielką akademicką, która specjalizowała się w zagadnieniach związanych z Syrią, i przez krótki czas pracowała w służbach rządowych. Była niezaprzeczalnie znacznie inteligentniejsza od Nawota, który w ich długim i burzliwym związku powodował spore napięcia. Uruchomił jej samochód, gwałtownie przekręcając kluczyk, po czym, w nazbyt sportowym stylu, poprowadził go w stronę wyjazdu z lotniska.

- No i jak obraz? - zapytał.

- W porządku, Uzi.

- Botticelli, tak?

- Bellini - sprostował Gabriel. - I jego *Oplakiwanie martwego Chrystusa*. - Mógł

dodać, że ten wysublimowany panel był kiedyś elementem niezwyklej nastawy Belliniego w kościele Świętego Franciszka w Pesaro, ale nie zrobił tego. Gabriel był jednym z najwybitniejszych konserwatorów dzieł sztuki na świecie, co w życiu zawodowym zawsze wzbudzało zazdrość jego współpracowników. Z rzadka dyskutował z nimi na temat swojej pracy, nawet z Nawotem, który był przecież jego bliskim przyjacielem.

- Botticelli, Bellini, co za różnica? - Nawot potrząsnął głową.

- Tylko sobie wyobraź, taki miły żydowski chłopiec jak ty odnawia dla papieża arcydzieło Belliniego... Mam nadzieję, że chociaż dobrze ci zapłacił.

- Normalnie, ale potem trochę dorzucił.

- I słusznie - powiedział Nawot. - W końcu naprawdę ocaliłeś mu życie.

- Uzi, ty też masz w tym swój udział.

- Ale to nie ja dostrzegłem w gazecie jego zdjęcie...

Dojechali do wyjazdu, nad którym widniał niebiesko-biały znak drogowy. Na lewo był Tel Awiw, na prawo Jerozolima. Nawot skręcił w prawo i skierował się ku Wzgórzom Judejskim.

- Jak nastroje na Bulwarze Króla Saula? - zapytał Gabriel.

Przy bulwarze Króla Saula mieściła się od dawien dawna siedziba służb wywiadu zagranicznego Izraela. Służby miały długą nazwę, która niewiele miała wspólnego z prawdziwą naturą ich działań. Ludzie tacy jak Gabriel i Uzi Nawot lakonicznie nazywali je

„Agencją”.

- Ciesz się, że cię tu nie było.

- Jest aż tak źle?

- To noc długich noży. Nasza przygoda w Libanie okazała się kompletną katastrofą.

Żadna nasza instytucja, łącznie z Agencją, nie ocaliła swojej reputacji. Wiesz, na czym to wszystko polega. Kiedy popełnia się błędy tego kalibru, muszą polecieć głowy, a im więcej ich poleci, tym lepiej. Nikt nie może czuć się pewnie, zwłaszcza Amos. Komisja Śledcza chce wiedzieć, dlaczego Agencja nie zdawała sobie sprawy z tego, że Hezbollah jest tak dobrze uzbrojony, i dlaczego rozległa siatka naszych dobrze opłacanych współpracowników nie potrafiła odnaleźć jego przywódców, gdy tylko zaczęły się walki.

- Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje teraz Agencja, to kolejna batalia o sukcesję i władzę

- nie z Hezbollahem, który szykuje się do następnej wojny, nie z Iranem będącym o krok od skonstruowania broni nuklearnej, ani też z terytoriami, które lada chwila pójdą z dymem.

- Szamron wraz z resztą mądrych ludzi podjął już decyzję, że Amos musi umrzeć.

Pytanie tylko, czy będzie to egzekucja, czy może po dłuższej chwili pozwolą mu samemu dokonać tego bohaterskiego czynu?

- A skąd wiesz, czego chce Szamron?

Swym pełnym napięcia milczeniem Nawot jasno dał do zrozumienia, że jego źródłem jest sam Szamron. Minęło już wiele lat, odkąd Szamron przestał być szefem, jednakże w dużej mierze zachował wpływy w Agencji. Pracowali tu agenci tacy jak Gabriel i Nawot, ludzie zwerbowani i przygotowani przez Szamrona, i ci, którzy kierowali się jego wytycznymi, a nawet posługiwali stworzonym przez niego językiem. W Izraelu znany był

jako *Memuneh*, czyli dowódca, i pozostanie nim do dnia, kiedy w końcu stwierdzi, że państwo jest już dość bezpieczne, by mógł umrzeć.

- Uzi, prowadzisz niebezpieczną grę. Szamron się starzeje, a zamach bombowy na konwój jego samochodów wykończył go. To już nie jest ten sam człowiek co kiedyś. Nie ma pewności, że zwycięży w ostatecznej rozgrywce z Amosem, i chyba nie muszę ci przypominać, że dla ludzi takich jak ty do Bulwaru Króla Saula prowadzi jednokierunkowa droga. Jeśli przegracie z Szamronem, to ty skończysz na ulicy, sprzedając swoje usługi temu, kto zaoferuje najwyższą cenę, jak zresztą wszyscy skończeni ludzie z Agencji.

Nawot kiwnął głową na znak zgody.

- A ja nie pozwolę sobie, by papież zlecał mi na boku jakąś robótkę.

Jechali pod górę ku Bab al-Wad wąwozem przypominającym klatkę schodową, który prowadzi z Nadbrzeżnej Równiny do Jerozolimy. Gabriel czuł, jak od zmiany wysokości zatykają mu się uszy.

- Czy Szamron wyznaczył już swojego następcę?

- Nie chce, by Agencją zarządzał bojownik.

To była jedna z tych osobliwości Agencji, które dla osób z zewnątrz miały niewielki sens. Izraelczycy, tak jak Amerykanie, prawie zawsze wybierali na głównych szpiegów ludzi z zerowym doświadczeniem w wywiadzie. Amerykanie woleli polityków i partyjnych aparaczyków, w Izraelu natomiast robotę tego typu powierzano najchętniej wojskowemu, generałowi jak Amos. Szamron był ostatnim człowiekiem, który wstąpił na tron z szeregów Specoperacji, po czym natychmiast zaczął każdym manipulować.

- A więc to dlatego spiskujesz z Szamronem? Próbujesz wysiudzić Amosa ze stanowiska? Wykorzystujecie niepowodzenie w Libanie jako grunt pod zamach stanu. Ty zajmiesz pałac, a Szamron pociągnie za sznurki ze swojej willi w Tyberiadzie.

- Schlebiasz mi, jeśli sądzisz, że to mnie powierzyłby klucze do swojej ukochanej Agencji. Ale to nie o mnie tu chodzi, *Memuneh* myśli o kimś innym.

- Że niby o mnie?! - Gabriel powoli potrząsnął głową. - Uzi, ja jestem zamachowcem, a zamachowcy nie stają się szefami.

- Jesteś kimś więcej.

Gabriel patrzył w milczeniu przez okno na stojące w równych odstępach żółte latarnie żydowskich osiedli, które rozciągały się w dół zbocza aż po równinę na Zachodnim Brzegu Jordanu. Na Ramallah z oddali spoglądał księżyc w kształcie rogalika...

- Na jakiej podstawie Szamron sądzi, że chciałbym zostać szefem? - zapytał. -

Przecież wywinąłem mu się, kiedy chciał mnie zrobić szefem Specoperacji...

- Usiłujesz niezbyt subtelnie przypomnieć, że dostałem tę pracę tylko dlatego, że ty ją odrzuciłeś?

- Uzi, usiłuję powiedzieć, że nie nadaję się do kwatery głównej i z pewnością nie chcę spędzić życia na odbywających się w biurze premiera niezliczonych spotkaniach Rady Ministrów poświęconych bezpieczeństwu. Nie lubię pracy w grupie i nie będę brał udziału w twoim małym spisku przeciwko Amosowi.

- A co zamierzasz robić? Siedzieć beczynnie i czekać, aż papież zaproponuje ci kolejne zlecenie?

- Zaczynasz mówić jak Szamron.

Nawot zignorował tę uwagę.

- Siedzieć beczynnie i patrzeć na Hajfę pod gradem pocisków? Podczas gdy w Teheranie pracują nad bombą jądrową? To jest twój plan? Zostawić walkę innym? - Nawot długo patrzył w lusterko wsteczne. - A dlaczego miałyby cię to nie dotyczyć? W tej chwili nasz kraj bardzo cierpi. Pod naciskiem tej niekończącej się wojny pękają mury izraelskiej twierdzy. Ojcowie wymierają, a ludzie nie są pewni, czy mogą powierzyć swoją przyszłość nowemu pokoleniu przywódców. Ci, którzy tylko mają taką możliwość, budują sobie kryjówki. To wrodzona zdolność Żydów, nieprawdaż? To jest zapisane w naszym DNA od czasów Holocaustu. Słyszysz się teraz rzeczy, których nie słyszało się nawet dziesięć lat temu.

Ludzie otwarcie się zastanawiają, czy to całe przedsięwzięcie nie było błędem. Łudzą się, że ich prawdziwy żydowski dom jest nie w Palestynie, ale w Ameryce.

- W Ameryce?

Nawot znów patrzył na drogę.

- Moja siostra mieszka w Bethesda, w stanie Maryland. To bardzo ładne miejsce.

Możesz zjeść lunch w ogródku restauracji bez obawy, że kręcąca się przy twoim stoliku osoba to *shaheed*, który zamierza rozerwać cię na kawałki. - Spojrzał na Gabriela.

- Może dlatego właśnie tak bardzo lubisz Włochy. Chcesz rozpocząć nowe życie z dala od Izraela. Chcesz zostawić krew i łyzy zwykłym śmiertelnikom.

Swym gniewnym spojrzeniem Gabriel dał do zrozumienia, że za swój kraj przelał

więcej krwi i wylał więcej łez niż większość jego rodaków.

- Jestem konserwatorem dzieł sztuki, specjalizującym się w dziełach dawnych mistrzów włoskich. Uzi, obrazy znajdują się we Włoszech, nie tu...

- Gabrieliu, praca w charakterze konserwowania dzieł sztuki była jedynie przykrywką.

Nie jesteś konserwatorem, tylko tajnym sługą Państwa Izrael i nie masz prawa innym zostawiać

walki. A jeśli myślisz, że uda ci się wieść w Europie spokojne życie, lepiej o tym zapomnij. Europejczycy potępili nas za Liban, ale jeszcze nie zdążyli zrozumieć, że to zaledwie zapowiedź nadciągających atrakcji. Niebawem kina w całej Europie będą wyświetlały ten film. To będzie kolejne pole bitwy.

K o l e j n e pole bitwy? Nie, pomyślał Gabriel, przez ponad trzydzieści lat to było jego pole bitwy. Spojrzał na wylaniający się cień Góry Herzla, na której w szpitalu psychiatrycznym przebywała jego była żona, zamknięta w więzieniu pamięci i w wyniszczonym przez wrogów Gabriela ciele. Jego syn spoczywał po drugiej stronie Jerozolimy w grobie bohaterów na Górze Oliwnej. Pomiędzy nimi rozciągała się Dolina Hinnoma, starożytny gorejący teren, który zarówno żydzi, jak i muzułmanie uznawali za trawione płomieniami miejsce, gdzie po śmierci karze się nikczemników. Na przemierzaniu owej doliny Gabriel spędził większość swojego życia. To było oczywiste - Uzi Nawot chciał, by znów wrócił.

- Uzi, o co ci chodzi? Na pewno nie przejechałeś tej długiej drogi na lotnisko tylko po to, by poprosić mnie o dołączenie do twojego spisku przeciwko Amosowi.

- Mamy do załatwienia pewną sprawę, ale chcielibyśmy, byś zrobił to za nas -
powiedział Nawot.

- Nie jestem chłopcem na posyłki.

- Gabrielu, wiesz, że nie chciałem cię urazić.

- W porządku. Gdzie jest ta sprawa?

- W Amsterdamie.

- Dlaczego w Amsterdamie?

- Ponieważ do tamtejszej rodziny zapukała śmierć.

- A konkretnie?

- Do Solomona Rosnera.

- Rosnera? Nie wiedziałem, że Rosner kiedykolwiek był nasz.

- Bo nie był nasz - rzekł Nawot - tylko Szamrona.

Jerozolima

Dojechali do ulicy Narkissa, spokojnej, pełnej zieleni wąskiej drogi w sercu Jerozolimy, i zaparkowali przy białej kamienicy pod numerem 16. Miała wysokość dwóch pięter, ale w znacznym stopniu osłaniał ją rosnący w ogródku strzelisty eukaliptus. Gabriel poprowadził Nawota przez niewielki hol, weszli po schodach. Pomimo długiej nieobecności nie zadał sobie trudu, by sprawdzić skrzynkę na listy. Nigdy nie dostawał poczty, a nazwisko na skrzynce i tak było nieprawdziwe. Jeśli chodzi o urzędy Państwa Izrael, Gabriel Allon nie istniał. Mieszkał tylko w Agencji, ale nawet tam nie był częstym gościem.

Jego apartament znajdował się na drugim piętrze. Zanim otworzył drzwi, jak zwykle się zawahał. Pomieszczenie, które go przywitało, nie było tym samym, z którego wyszedł

sześć miesięcy wcześniej. Stało się teraz małym, ale w pełni wyposażonym atelier pieczołowicie odnowionym w subtelnych beżach i stonowanych bielach, które Chiara Zoili, jego wenecka narzeczona, tak uwielbiała. Była zajęta, kiedy go nie było, a podczas jej ostatniego pobytu we Włoszech jakoś zapomniała wspomnieć o remoncie...

- Gdzie są moje rzeczy?

- Na przechowaniu w administracji, dopóki nie uda ci się znaleźć odpowiedniejszego miejsca na pracownię. - Nawot uśmiechnął się, widząc zakłopotanie Gabriela. - Chyba nie oczekiwałeś, że twoja żona będzie mieszkać w nieumeblowanym domu?

- Nie jest moją żoną. - Położył pokrowiec na nowej kanapie, która wyglądała na bardzo drogą. - Gdzie ona jest?

- Nie powiedziała ci, dokąd ją wysyłamy?

- Z powagą przestrzega reguł podziału i milczenia.

- Tak jak ja.

- Uzi, gdzie ona jest?

Nawot właśnie otworzył usta, kiedy z kuchni odezwał się jakiś głos. Gabriel dobrze go znał, znał również starszego mężczyznę, który chwilę później wszedł do pokoju; był w spodniach khaki i w skórzanej krótkiej kurtce z dziurą na wysokości lewej piersi. Miał mniśią krótko ostrzyżoną siwą grzywkę, a jego głowa w kształcie naboju była prawie łysa. Twarz miał wymizerowaną bardziej niż to sobie zapamiętał Gabriel, a jasnoniebieskie niezbyt przejrzyste oczy wydawały się większe z powodu brzydkich okularów w drucianych oprawkach. Ciężko wspierał się na pięknej lasce z drewna oliwnego, a dłoń, w której laska tkwiła, wydawała się jakby pożyczona od kogoś o dwukrotnie większych gabarytach.

- W Argentynie - powiedział Ari Szamron, po czym powtórzył - twoja przyszła żona jest w Argentynie.

- Jaki to rodzaj zadania?

- Inwigilacja znanego tajnego agenta terrorysty.

Gabriel nie musiał pytać o jego powiązania, ponieważ odpowiedź zawierała się w lokalizacji operacji. Argentyna, jak cała reszta Ameryki Południowej, była gniazdem działalności Hezbollahu.

- Uważamy, że to jedynie kwestia czasu, kiedy Hezbollah spróbuje się zemścić za szkody, jakie wyrządziliśmy im w Libanie. Najbardziej prawdopodobny scenariusz to atak terrorystyczny, niepozostawiający żadnych śladów. Jest tylko jedno pytanie: co będzie celem: my czy nasi zwolennicy w Ameryce?

- Kiedy zakończy to zadanie?

Szamron wymijająco wzruszył ramionami.

- Gabrielu, ta wojna nigdy się nie skończy. I nie zmienisz tego. Ale jeszcze się o tym przekonasz, lepiej niż ktokolwiek z nas, prawda? - Pogłodził go po policzku. - Wyszperasz dla nas trochę kawy? Musimy pogadać.

*

Gabriel znalazł w spiżarni puszkę z kawą. Opakowanie było naruszone i wystarczyło powąchać jego zawartość, by stwierdzić, że nie była już pierwszej świeżości. Wsypał

odrobinę do zaparzaczk i postawił na ogniu czajnik pełen wody, po czym wrócił do salonu.

Nawot myślał o ceramicznym naczyniu stojącym na niskim przysuniętym stoliczku, a Szamron usadowił się w fotelu i palił obrzydliwie śmierdzącego tureckiego papierosa.

Gabriela nie było sześć miesięcy, ale wydawało się, że podczas jego nieobecności nie zmieniło się nic oprócz przyszłości.

- Nie masz kawy? - zapytał Szamron.

- Ari, zaparzenie kawy trwa trochę dłużej niż minutę.

Szamron spojrzał karcącym wzrokiem na duży zegarek ze stali nierdzewnej. Czas zawsze był jego wrogiem, ale teraz stał się większym niż kiedykolwiek. To jak zamach bombowy, pomyślał Gabriel. W końcu zmusił Szamrona do pogodzenia się z własną śmiertelnością.

- Solomon Rosner był cenny dla Agencji? - zapytał Gabriel.

- Prawdę mówiąc, był skarbem.

- Długo?

Zanim odpowiedział, Szamron odchylił głowę do tyłu i dmuchnął w sufit strużkę dymu.

- Cofnijmy się do połowy lat dziewięćdziesiątych; kiedy po raz drugi byłem szefem, zaczęliśmy sobie uświadamiać, że za parę lat Holandia stanie się dla nas problemem. Jej demograficzne dane statystyczne zmieniały się błyskawicznie, a Amsterdam był na najlepszej drodze do przeistoczenia się w muzułmańskie miasto. Nasi przyjaciele z Arabii Saudyjskiej ściągnęli tam i finansowali imamów, którzy bezustannie karmili nienawiścią bezrobotnych, gniewnych młodzieńców. Zdarzyło się wiele napaści na miejscową społeczność, głównie drobne sprawy, takie jak wybite okno, krwawiący nos czy przypadkowy koktajl Mołotowa.

Chcieliśmy się upewnić, że te drobne incydenty nie przemienią się w coś poważniejszego, oraz dowiedzieć się, czy jakkolwiek nasz bardziej zdeterminowany wróg korzysta z Amsterdamu jako z bazy operacyjnej do ważniejszych ataków na izraelskie cele w Europie.

Potrzebowaliśmy w terenie oczu i uszu, ale nie mieliśmy możliwości samodzielnego przeprowadzenia jakiegokolwiek operacji.

Gabriel otworzył drzwi niewielkiego balkonu i zapach rosnącego w ogródku eukaliptusa rozniósł się po mieszkaniu.

- Więc zwróciłeś się do Rosnera?

- Nie tak od razu. Najpierw próbowaliśmy załatwić to tradycyjną drogą, czyli przy współpracy z holenderskimi służbami bezpieczeństwa, AIVD. Umizgiwaliśmy się do nich od miesiący, ale w tamtym czasie Holendrzy nie mieli ochoty z nami zatańczyć. Po ostatniej odmowie zezwoliłem na tajną próbę przedostania się do ich siedziby. Nasz miejscowy szef bazy raczej niezdarnie przystawiał się do zastępczyni z AIVD odpowiedzialnej za kontrolowanie muzułmańskiej społeczności, co okazało się totalnym niewypałem. Gabrielu, pamiętasz ten skandal, prawda?

Pamiętał. Ta afera znalazła się na pierwszych stronach holenderskich i izraelskich gazet. Pomiedzy ministerstwami spraw zagranicznych obu państw doszło do burzliwej wymian zdań, padły nawet gniewne groźby.

- Kiedy burza się uspokoiła, postanowiłem znowu spróbować, ale tym razem wybrałem inny cel.

- Rosnera - wtrącił Gabriel, a Szamron kiwnął potakująco głową.

- Kontrolował w Amsterdamie, co mówiono w meczetach, kiedy nikt nie słuchał, i czytał plugastwo płynące kanałami ściekowymi internetu, kiedy każdy odwracał spojrzenie.

Często dostarczał policji informacji, które pomagały zapobiec przemocy. Okazało się, że również był Żydem. Jeśli chodzi o Agencję, Rosner był odpowiedzią na nasze modlitwy.

- Kto go zwerbował?

- Ja - rzekł Szamron. - Po skandalu z AIVD nie miałem ochoty nikomu powierzać roboty.

- Poza tym - powiedział Gabriel - porządny werbunek to jest to, co kochasz najbardziej.

Szamron posłał mu uwodzicielski uśmiech, dokładnie taki sam, jaki pojawił na jego twarzy pewnego upalnego wrześniowego popołudnia w 1972 roku, kiedy to spotkał się z Gabrielem w Akademii Sztuki imienia Bezalela w Jerozolimie. Gabriel był młodym, obiecującym malarzem, zaś Szamron aroganckim człowiekiem służb operacyjnych, któremu premier Golda Meir nakazała wytropić i zabić członków Czarnego Września, sprawców masakry w Monachium. Operacja pod kryptonimem Gniew Boży była w rzeczywistości Gniewem Gabriela, który przy użyciu pistoletu Beretta kaliber 9 mm zlikwidował z bliskiej odległości sześciu z dwunastu zabitych przez Agencję członków Czarnego Września.

- Poleciałem do Amsterdamu i zabrałem Rosnera na obiad do spokojnej restauracji tuż nad rzeką Amstelą. Opowiadałem historie o dawnych czasach, o wojnie o niepodległość i pojmaniu Eichmanna. Gabrielu, znasz wszystkie te opowieści, słyszeliście je z Uzi po tysiąc razy. Pod koniec wieczoru położyłem na stole umowę, którą Rosner podpisał bez żadnych pytań.

Nagle Szamronowi przerwał gwizd czajnika. Gabriel poszedł do kuchni i zrobił kawę.

Kiedy wrócił, postawił na ławie zaparzaczkę, trzy kubki i cukierniczkę. Nawot posłał mu pełne dezaprobaty spojrzenie.

- Lepiej coś pod nią podłóż - rzekł. - Chiara cię zabije, jeśli zrobisz ślad.

- A skorzystam z okazji, Uzi - Gabriel spojrzał na Szamrona.

- Kto go nadzorował? Jak sądzę, ty.

- Rosner to moje dzieło - powiedział Szamron niejako na swoją obronę. - Naturalnie, nie bardzo chciałem, by ktoś inny przejął pałeczkę. Dałem mu trochę pieniędzy, by zatrudnił

asystentkę, ale to ja jechałem spotkać się z nim, kiedy miał coś do zrelacjonowania.

- Do Amsterdamu?

- Nie, nigdy - rzekł Szamron. - Zazwyczaj na drugą stronę granicy, do Antwerpii.

- A jak po raz drugi wykluczono cię z Agencji?

- Kurczowo trzymałem się różnych drobiazgów, by zająć się czymś w swym miłosnym zaślepieniu. Rosner był jednym z nich. Ty oczywiście byłeś kolejnym. Nie powierzyłem cię komuś innemu. - Nasypał do kawy cukru i zamieszał ją ze smutkiem. -

Kiedy zacząłem pracować dla premiera jako starszy doradca do spraw bezpieczeństwa, musiałem zrezygnować z nadzoru Rosnera. - Spojrzał na Nawota. - Powierzyłem go Uziemu, który w końcu był naszym zachodnioeuropejskim *katsa*.

- I twoim protegowanym - dodał Gabriel.

- Nie można powiedzieć, że się jakoś wielce narobiłem - przyznał Nawot. - Ari zdążył

wszystko załatwić, a ja musiałem się tylko zajmować raportami Rosnera. Osiemnaście miesięcy temu dał mi bryłkę czystego złota. Według jednego z jego źródeł w muzułmańskiej społeczności, pewna grupa, działająca w zachodniej części Amsterdamu i należąca do Al-Kaidy, weszła w posiadanie rakiety, którą planowała zestrzelić pasażerski samolot odrzutowy linii El Al podczas podchodzenia do lądowania na Schiphol. Tego wieczoru przekierowaliśmy lot do Brukseli i daliśmy Holendrom cynk. Aresztowali czterech mężczyzn siedzących w samochodzie zaparkowanym na końcu pasa startowego. W bagażniku znajdowała się przemycona z Iraku przenośna wyrzutnia z rakieta przeciwlotniczą.

- Skąd Rosner wiedział o spisku?

- Miał swoich informatorów - powiedział Szamron. - Bardzo dobrych informatorów. Wielokrotnie próbowałem go przekonać, by ich nam przekazał, ale zawsze odmawiał. Mówił, że rozmawiali z nim, ponieważ nie był profesjonalistą. No cóż, nie całkiem tak było, ale w Holandii nikt o tym nie wiedział.

- Jesteś tego pewien? - zapytał Gabriel. - Skąd przekonanie, że Rosner nie zginął z powodu powiązań z nami?

- Niestety, w Amsterdamie nie brakowało ludzi, którym zależało na śmierci Rosnera.

Najważniejsi popierający dżihad miejscowi imami otwarcie prosili o zgłoszenie się ochotnika.

W końcu okazał się nim Muhammad Hamza. To malarz pokojowy z północnej części miasta, który zupełnie przypadkiem pracował na budowie akurat naprzeciw domu Rosnera. Po aresztowaniu Hamzy policja znalazła w jego mieszkaniu taśmę wideo, nagrany nad ranem w dniu morderstwa Rosnera, na której Hamza spokojnie mówi, że oto nadszedł dzień, w którym zabije swojego Żyda.

- Więc jaką sprawę mam załatwić w Amsterdamie?

Obaj na siebie spojrzeli, jak gdyby usiłowali ustalić zadanie. Szamron pozwolił

Nawotowi odpowiedzieć na to pytanie, w końcu to on był szefem Operacji Specjalnych.

- Chcielibyśmy, byś tam pojechał i wyczyścił jego akta. Oczywiście chcemy poznać nazwiska tych wszystkich genialnych źródeł, jak również upewnić się, że nie ma tam nic, co mogłoby go z nami powiązać.

- Byłoby to niezwykle żenujące, gdyby nasze powiązania z Rosnerem kiedykolwiek zostały ujawnione - dodał Szamron. - Utrudniłoby to nam również werbowanie *sayanim* z żydowskich społeczności na całym świecie. To niewielkie służby i nie możemy bez nich działać.

Sayanim to ogólnoswiatowa siatka żydowskich pomocników ochotników. Należeli do niej bankierzy,

którzy w nagłych przypadkach dostarczali ludziom Agencji pieniędzy; lekarze, którzy ich w tajemnicy leczyli z ran; hotelarze, którzy dawali im pokoje na fałszywe nazwiska, i ludzie, którzy wynajmowali dla nich samochody na fałszywe nazwiska. Ogromną większość *sayanim* werbował i doglądał sam Szamron, który z oddaniem nazywał ich tajnym owocem diaspory żydowskiej.

- Istnieje również szansa, że ta nieprzewidywalna sytuacja się pogorszy - rzekł

Gabriel. - Solomon Rosner był jednym z najbardziej znanych krytyków, którzy wypowiadali się na temat mieszkających w Europie ekstremistów muzułmańskich. Gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że był z nami powiązany, żydowska społeczność w Holandii mogłaby się znaleźć w niebezpieczeństwie.

- Nie zgadzam się z twoją teorią - powiedział Szamron - ale dobrze zapamiętam sobie tę uwagę.

- Jak mam się dostać do biura Rosnera?

Nawot odrzekł:

- Jakiś rok temu, kiedy Rosner zaczął regularnie dostawać pogróżki, wiedzieliśmy, że musimy się przygotować na taką ewentualność. Rosner powiedział swojej młodej asystentce, Sophie Vanderhaus, że w razie jego śmierci skontaktuje się z nią pan Rudolf Heller i przekaże jej spis poleceń, które będzie musiała dokładnie wykonać.

Herr Rudolf Heller, zuryjski inwestor dostarczający kapitału wysokiego ryzyka, był

jedną z wielu fałszywych tożsamości Szamrona.

- Wczoraj w nocy skontaktowałem się z Sophie - rzekł Szamron. - Powiedziałem jej, że jutro po południu przybywa do Amsterdamu mój znajomy, któremu ma zapewnić całkowity dostęp do akt profesora Rosnera.

- Jutro po południu?

- Samolot linii El Al startuje z lotniska Ben Guriona o szóstej czterdzieści pięć i o czternastej ląduje w Amsterdamie. Sophie spotka się z tobą o szesnastej przed Café de Doelen.

- Przebrnięcie przez wszystkie akta Rosnera może zająć mi wiele dni.

- Wiem - rzekł Szamron, jakby zadowolony, że pozbył się tego zadania. - Właśnie dlatego postanowiliśmy ci przysłać jakąś pomoc. Jest teraz w Europie w sprawach osobistych i będzie tam, kiedy wylądujesz.

Gabriel podniósł do ust filiżankę kawy, zza której przyjrzał się Szamronowi.

- A co z obietnicami, które złożyliśmy europejskim służbom bezpieczeństwa? Co z umową, którą podpisaliśmy własną krwią w zamian za przekonanie ich, by wycofali wszystkie zarzuty i przerwali wytoczone przeciwko mnie procesy sądowe?

- Masz na myśli umowę, która zakazuje ci przeprowadzania operacji w Europie bez zezwolenia tajnych służb danego kraju?

- No właśnie.

Cała trójka siedziała w konspiracyjnym milczeniu. Składanie obietnic, których nie zamierzali dotrzymywać, wychodziło im najlepiej. Nadużywali paszportów innych państw, rekrutowali agentów sprzymierzonych służb bezpieczeństwa i służb wywiadowczych, a także stale przeprowadzali operacje w innych krajach, co było zakazane licznymi porozumieniami.

Tłumaczyli sobie, że robią to, ponieważ nie mają wyboru; ponieważ otaczają ich wrogowie, którzy przed niczym się nie cofną, by ich zniszczyć; i w końcu dlatego, że świat zaślepiony nienawiścią do syjonizmu i Żydów, nie pozwoli im się bronić z całą mocą ich militarnej potęgi. Okłamywali każdego oprócz siebie, a naprawdę swobodnie czuli się tylko w swoim towarzystwie.

- Nie jedziesz za żelazną kurtynę - powiedział Szamron. - Z odpowiednią przykrywką i przy odrobinie pracy nad twoją znaną facjatą bez problemu przedostaniesz się do Holandii.

Nowe zasady bezpieczeństwa przy przekraczaniu europejskich granic znacznie ułatwiły życie ludziom Agencji, ale niestety terrorystom również. Osama bin Laden mógłby wieść spokojne życie w wiosce nad Morzem Północnym, a Holendrzy mogliby się o tym nigdy nie dowiedzieć.

Nawot wyjął z aktówki staromodną teczkę, która zamiast aluminiowego zatrasku miała sznurek. Agencja była jedną z najnowocześniejszych technologicznie służb na świecie, ale wciąż używała teczek z czasów, kiedy w Izraelu nie było jeszcze telewizji.

- Praca taka, że wchodzisz i wychodzisz - rzekł Szamron. - Do weekendu zdążysz wrócić do domu. Kto wie? Może twoja żona również wróci...

- Nie jest jeszcze moją żoną.

Gabriel wziął teczkę z dłoni Nawota. - „Praca taka, że wchodzisz i wychodzisz” -

pomyślał. Ładnie brzmiało, ale jakoś nigdy się na tym nie kończyło.

Amsterdam

- Pana godność? - zapytała recepcjonistka w hotelu Europa.

- Kiever - odpowiedział Gabriel po angielsku, ale z niemieckim akcentem. - Heinrich Kiever.

- Ach tak, tutaj. Pana pokój jest gotowy. Ale, Herr Kiever, oto wiadomość dla pana -

w jej głosie słyhać było szczere zaskoczenie.

Gabriel wcielił się w rolę zmęczonego podróżą biznesmena, zmarszczył czoło na widok małego świstka papieru. Zawierał informację, że jego zuryski znajomy z Heller Enterprises zameldował się właśnie w hotelu i czeka na jego telefon. Zgniół kartkę i włożył

ją do kieszeni płaszcza z kaszmiru. Dziewczyny z Działu Tożsamości z pewnością nie szczędziły wydatków na jego garderobę.

- Pana pokój znajduje się na szóstym piętrze. To jeden z naszych najlepszych apartamentów. - Wręczyła mu klucz w postaci elektronicznej karty i wyrecytowała długą listę luksusowych hotelowych udogodnień, z których Gabriel nie miał zamiaru korzystać. - Czy życzy pan sobie, by wnieść bagaż?

Gabriel spojrział na boya hotelowego, wychudzonego młodzieńca, który wyglądał, jak gdyby spędził przerwę na lunch w cieszącej się złą sławą restauracji.

- Dziękuję, chyba dam sobie radę.

Wszedł do zatrzymanej dla niego windy i wjechał na szóste piętro. Drzwi do apartamentu numer 612 znajdowały się w niewielkiej cichej wnęce na końcu korytarza.

Gabriel sprawdził framugę drzwi w poszukiwaniu śladu jakiegoś obcego urządzenia, na przykład części słabo umocowanego podsłuchu, wstrzymał oddech, kiedy wsunął do elektronicznego zamka klucz w postaci karty. Słowo „najlepszy” niewiele miało wspólnego z rzeczywistym wyglądem apartamentu, pomimo że widok na domy położone nad Amstelą był

jednym z najpiękniejszych w mieście. Na ławie w wiaderku z lodem pociła się butelka marnego szampana, leżał też odręcznie napisany liścik: „Herr Kiever, witamy ponownie w Hotelu Europa”. Dziwne, bo z tego, co pamiętał, Herr Kiever nigdy wcześniej tu nie nocował.

Z kieszeni płaszcza wyjął nokię, która oprócz tego, że naprawdę była telefonem, posiadała również kilka elementów wyposażenia niedostępnych w zwykłych modelach, takich jak urządzenie wykrywające sygnały i impulsy elektryczne ukrytych przekaźników. Przez kolejne pięć minut chodził cicho po pokojach apartamentu z telefonem przy uchu, którego wykrywacz pól elektrycznych

reagował na najsubtelniejsze wahania. Zadowolony, że w pokoju nie założono podsłuchu, znów przeszukał pomieszczenie, tym razem po to, by znaleźć ślad bomby czy innego śmiertelniegroźnego urządzenia. Dopiero potem podniósł słuchawkę leżącego na nocnym stoliku telefonu i wybrał numer do pokoju 611.

- Jestem - powiedział po niemiecku i natychmiast się rozłączył.

Chwilę później rozległo się ciche pukanie do drzwi. Był to mężczyzna starszy od Gabriela o kilka lat, niski, gburowaty, z rzadkimi rozczochranymi siwymi włosami i spostrzegawczymi piwnymi oczami. Jak zwykle można było odnieść wrażenie, że miał na sobie wszystkie swoje ubrania: koszulę z przypinanymi na dwa guziki wyłogami kołnierzyka, męską apaszkę, kardigan i pomiętą tweedową marynarkę.

- Uroczy apartament - rzekł Eli Lawon. - Lepszy od tego rzymskiego *pensione*, w którym nocowaliśmy przed sprzątnięciem Zwaitera w siedemdziesiątym drugim. Gabrielu, pamiętasz? Mój Boże, co za nora.

- Udawaliśmy studentów uniwersytetu - przypomniał Gabriel.

- Ale już nie będziemy mogli tego robić. Jak sądzę, to jedna z niewielu marginalnych korzyści starzenia się.

Lawon posłał Gabrielowi przelotny uśmiech i znużony usiadł w fotelu. Nawet Gabriel, który znał Lawona ponad trzydzieści lat, czasem z trudem sobie wyobrażał, że ten mały, wybredny hipochondryk to bez wątpienia najlepszy uliczny artysta od inwigilacji, jakiego kiedykolwiek stworzyła Agencja. Po raz pierwszy pracowali ze sobą podczas operacji Gniew Boży. Lawon, z wykształcenia archeolog, był *ayin*, czyli tropicielem. Kiedy rozwiązano jednostkę, osiadł w Wiedniu i otworzył niewielkie biuro śledcze pod nazwą Odszkodowania i Dochodzenia Wojenne. Małym nakładem środków udało mu się wytropić miliony dolarów ze splądrowanych żydowskich majątków [zagarniętych podczas wojny przez Niemców - przyp.

wyd. pol.] i odegrać znaczącą rolę przy odzyskaniu od szwajcarskich banków wielu miliardów dolarów [zdeponowanych na kontach przez Żydów, przed II wojną światową -

przyp. wyd. pol.]. Ostatnio wrócił do Izraela i uczy na Uniwersytecie Hebrajskim biblijnej archeologii, a w wolnym czasie prowadził na Akademii wykłady na temat perfekcyjnego obserwowania natury. Nigdy nie wyszkolono dobrze żadnego rekruta Agencji, który uprzednio nie spędziłby kilku dni z wielkim Elim Lawonem.

- Masz całkiem skuteczne przebranie - powiedział Lawon z zawodowym zachwytem. -

Przez chwilę nawet cię nie poznałem.

Gabriel spojrzał na swoje odbicie w powieszonym nad toaletką lustrze. Miał na nosie okulary w ciemnych oprawkach, szkła kontaktowe, które zmieniły zieleń jego oczu w brąz, i sztuczną kozią bródkę, podkreślającą jego szczupłą sylwetkę.

- Dodałbym włosom nieco więcej siwizny - rzekł Lawon.

- Wystarczy im - powiedział Gabriel. - Jak namówili cię do tej sprawy?

- Jak sądzę, argumentem było to, że znajdowałem się blisko. W Pradze odbywała się konferencja, na której prowadziłem wykład o wykopaliskach na wzgórzu Megiddo. Kiedy zszedłem z podium, zadzwonił telefon. Nie zgadniesz, kto to był.

- Eli, wiem, uwierz mi.

- No i słyszę ten głos, głos Boga z zabójczym polskim akcentem, który nakazuje mi natychmiast udać się do Amsterdamu. - Lawon powoli potrząsnął głową. - Czy Szamron naprawdę nie ma w tym wieku nic lepszego do roboty niż niepokoić się o martwego *sayana*?

Powinien być szczęśliwy, że sam jeszcze żyje, i cieszyć się kilkoma ostatnimi latami na tym świecie, ale zamiast tego kurczowo trzyma się Agencji jak tonący koła ratunkowego.

- Rosner był jego *sayan* - rzekł Gabriel. - I jestem pewien, że czuje się częściowo odpowiedzialny za jego śmierć.

- Gabrielu, mógł to zlecić Uziem, ale nie ufa mu w stu procentach, no nie? Starszy pan chciał, żebyś to ty był szefem Operacji Specjalnych, nie Uzi, i nie spocznie, dopóki nie zajmiesz jego miejsca. - Lawon podciągnął rękaw tweedowej marynarki i spojrział na zegarek.

- Sophie Vanderhaus już na nas czeka. Dobrze się zastanowiłeś, jak zamierzasz to z nią rozegrać?

- Jest inteligentną kobietą. Podejrzewam, że już ma właściwe wyobrażenie na temat prawdziwych powiązań Herr Hellera i tego, dlaczego Rosner zawsze spotykał się z nim poza granicami kraju.

Lawon zmarszczył czoło.

- Muszę przyznać, że właściwie nie bardzo się z tego cieszę. Jak sądzę, jest jakiś rytuał związany z tymi sprawami. Kiedy umierają agenci, ich tajemnice muszą pójść do grobu wraz z nimi. To jak *tahara*, czyli oczyszczenie zmarłego. Następnym razem to może być któryś z nas.

- Eli, obiecaj mi coś.

- Co tylko zechcesz.

- Obiecaj, że jeśli cokolwiek mi się stanie, to ty zakopiesz wszystkie moje tajemnice.

- To byłby dla mnie zaszczyt. - Lawon poklepał się po kieszeni marynarki. - Och, byłbym zapomniał. *Bodel* dał mi to na lotnisku, kiedy dziś rano przyleciałem.

Bodelim to posłańcy Agencji. Lawon dostał pistolet beretta kaliber 9 mm, który Gabriel wyjął mu z dłoni i wsunął z tyłu spodni za pasek.

- Chyba nie masz zamiaru go zabrać?

- Eli, mam wrogów, wielu wrogów.

- Oczywiście, tak jak Solomon Rosner.

- A jeden z nich wciąż może się kręcić po jego domu.

- Gabrielu, ale dopóki będziemy w Amsterdamie, postaraj się nikogo nie zabić.

Zazwyczaj martwe ciała psują spokojne podróże powrotne.

*

Kiedy Gabriel wyszedł z hotelu, zaczynało się ściemniać. Skierował się na prawo i szedł chwilę wąską ulicą, aż dotarł do żelaznego mostu. Lawon włókł się kilka kroków za nim. Po drugiej stronie znajdowała się Café de Doelen. Znow ją otwarto dla klientów, a miejsce, gdzie w momencie morderstwa stał Solomon Rosner, zasypano stertą tulipanów. Nie było tu żadnych żałobników ani protestujących, którzy potępialiby rytualne morderstwo swojego rodaka. Na fasadzie restauracji zawieszono tylko jeden transparent, na którym widniał napis: JEDEN AMSTERDAM, JEDEN NARÓD.

- Już od dwóch dni się w niego wpatruję i wciąż nie do końca rozumiem, co to znaczy.

Gabriel odwrócił się. Słowa te wypowiedziała kobieta przed trzydziestką z włosami w kolorze piaskowca, błyszczącymi jasnoniebieskimi oczami i spokojnym inteligentnym spojrzeniem.

- Nazywam się Sophie Vanderhaus. - Wyciągnęła rękę i cicho dodała: - Byłam asystentką profesora Rosnera. - Puściła jego dłoń i spojrzała na prowizoryczny pomnik. -

Całkiem wzruszający gest, nie sądzi pan? Nawet holenderska prasa traktuje teraz profesora jak bohatera. Wielka szkoda, że nie była tak entuzjastyczna w swoich pochwałach, kiedy żył.

Tyle lat go atakowano, ponieważ miał odwagę mówić o sprawach, które sami dziennikarze postanowili przemilczeć. W moim mniemaniu prasa jest współwinna jego morderstwa w równym stopniu co ekstremistyczni imami, którzy przepełnili serce Muhammada Hamzy nienawiścią. - Odwróciła się i spojrzała na Gabriela. - Chodźmy - powiedziała. - Tam jest dom.

Poszli Staalstraat. Gabriel spojrzał przez ramię i zobaczył, jak Lawon ruszył za nimi, a Sophie Vanderhaus wpatrywała się w bruk, jak gdyby porządkowała swoje myśli.

- Mija już piąty dzień od morderstwa - rzekła - a ani jeden muzułmański przywódca dotąd zbrodni nie potępił. W istocie rzeczy, kiedy holenderskie media dały imamom szansę, postanowili zrzucić winę na Muhammada. Gdzie są ci tak zwani umiarkowani muzułmanie, o których aż huczy w prasie? Czy istnieją, czy są tylko wytworem naszej wyobraźni? Jeśli ktoś obraża Mahometa, nasi muzułmańscy rodacy wylęgają na ulice w świętym oburzeniu i grożą nam ścięciem głów. Ale kiedy jeden z nich dokona mordu w imię Proroka...

Jej głos zamarł, więc Gabriel dokończył za nią myśl:

- Zapada kompletna cisza.

- Trafnie ujęte - rzekła. - Ale nie przybył pan tu, by słuchać moich wywodów. Ma pan do wykonania pracę. - Przez chwilę uważnie mu się przypatrywała, kiedy szli obok siebie wąską ulicą. - Herr Kiever, a wie pan, że dokładnie rok temu profesor Rosner po raz pierwszy powiedział mi o swojej znajomości z niejakim Rudolfem Hellerem i o tym, co mam robić, jeśli coś mu się kiedykolwiek stanie? Rzecz jasna, miałam nadzieję, że ten dzień nigdy nie nadejdzie.

- Rozumiem, że miała pani bardzo bliskie stosunki z profesorem Rosnerem...

- Był dla mnie jak ojciec. Kiedy obroniłam dyplom, miałam tuzin ofert pracy, znacznie lepiej płatnych niż w Ośrodku Badań nad Bezpieczeństwem Europy, ale postanowiłam pracować dla profesora Rosnera za nędzne grosze.

- Jest pani historykiem?

Przytaknęła skinieniem głowy.

- Kiedy zbierałam materiały do pracy magisterskiej, dowiedziałam się, że my, Holendrzy, mamy nawyk zawierania kompromisów z zabójczymi ideologiami, takimi jak narodowy socjalizm czy fundamentalizm islamski. Chciałam pomóc w przerwaniu tej tendencji, a tę szansę dała mi praca dla profesora Rosnera. - Odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów i spojrzała na Gabriela.

- Herr Kiever, spędziłam u jego boku pięć lat i również musiałam znosić szyderstwa i pogrozki, dlatego wierzę, że to upoważnia mnie do zadania kilku pytań, zanim zaczniemy.

- Obawiam się, że zadanie zbyt wielu pytań o to, kim jestem i dlaczego tu przybyłem, jeszcze bardziej skomplikuje i narazi na niebezpieczeństwo pani życie.

- Czy pozwoli mi pan przyjąć pewną hipotezę?

- Jeśli pani nalega.

- Nie wierzę, że Herr Rudolf Heller jest Szwajcarem. I z pewnością nie wierzę, że jest inwestorem dostarczającym kapitału wysokiego ryzyka, który miał interes we wspieraniu pracy amsterdamskiego analityka terroryzmu.

- Naprawdę?

- Profesor Rosner niewiele mówił o swoich uczuciach do Izraela, ponieważ wiedział, że to uczyni go w Amsterdamie jeszcze bardziej, że tak się wyrażę - promieniotwórczym. Ale był syjonistą, wierzył w Izrael i w prawo narodu żydowskiego do ojczyzny. I podejrzewam, że gdyby się zjawił jakiś bystry agent izraelskiego wywiadu i złożył mu słuszną ofertę, byłby skłonny zrobić prawie wszystko, by pomóc.

Zatrzymała się i na chwilę spojrzała na Gabriela z uniesioną brwią, jak gdyby dawała mu szansę zareagować.

- Nazywam się Heinrich Kiever - powiedział. - Jestem znajomym Herr Rudolfa Hellera z Zurychu i przybyłem tu po to, by przejrzeć prywatne dokumenty profesora Solomona Rosnera.

Poddała się, chociaż sądząc po wyrazie jej twarzy, nadal była bardzo sceptycznie nastawiona do tego, co powiedział, choć ta przykrywka prawie nie miała słabych punktów.

Gabriel nie mógł mieć o to pretensji.

- Mam nadzieję, że nie planuje pan zbyt szybko stąd wyjechać - rzekła. - Lekko licząc, nasze archiwa zawierają ponad sto tysięcy stron dokumentów.

- Mam kogoś do pomocy.

- Gdzie?

Ruchem głowy wskazał na Lawona, który dwadzieścia jardów za nimi wpatrywał się w wystawę.

- Od kiedy to zuryscy inwestorzy dostarczający kapitału wysokiego ryzyka zatrudniają zawodowców od inwigilacji? - Ruszyła ulicą Groenburgwal. - Herr K i e v e r, chodźmy.

Ma pan przed sobą długą noc.

*

Jej ocena wielkości archiwów Rosnera okazała się szalenie optymistyczna. Po odbyciu krótkiej wycieczki po położonym nad kanałem domu Gabriel oszacował, że realna ilość stron zwiększyła się do ćwierci miliona. Akta znajdowały się w dwóch biurach: Rosnera i Sophie; były również w przedpokoju oraz zawilgoconej piwnicy. Oczywiście całą dokumentację zawierał twardy dysk jego komputera. Tego wszystkiego było zdecydowanie za dużo, by według przewidywań Szamrona udało im się wrócić do Jerozolimy przed weekendem.

Uzgodnili, że będą pracować we troje i zaczną od biura Rosnera. Gabriel i Lawon, konserwator i archeolog, siedzieli razem przy jego biurku, podczas gdy Sophie układała przed nimi akta, jedno po drugim, a jeśli było to konieczne, udzielała wyjaśnień i tłumaczyła osobliwe fragmenty. Akta godne zainteresowania lub dotyczące spraw delikatnej natury segregowali i pakowali w tekturowe pudła naszykowane do wysłania na Bulwar Króla Saula.

Do dwudziestej pierwszej wypełnili cztery, a nie natknęli się na ani jedną wzmiankę o Arim Szamronie, Herr Rudolffie Hellerze czy Agencji. Rosner, jak się wydawało, był

ostrożnym, skrupulatnym badaczem i zbieraczem informacji dla wywiadu. Pokoje położonego nad kanałem starego domu przy ulicy Groenburgwal skrywały niezwykle szczegółowy i przerażający portret radykalnych islamskich siatek, które działały w Amsterdamie i poza nim.

Do dwudziestej drugiej wszyscy zdążyli porządnie zgłodnieć, ale nie chcieli przerywać pracy, więc zdecydowali się na jedzenie z restauracji. Gabriel głosował za kebabem, Sophie za kuchnią indonezyjską, a Lawon za tajską. Po dziesięciu minutach ożywionej dyskusji postanowili przeprowadzić losowanie, wspomagając się starym filcowym kapeluszem Rosnera, przy czym to Sophie czyniła honory domu.

- Tajskie - powiedziała, uśmiechając się do Lawona. - To co? Losujemy raz jeszcze, by wybrać, kto po nie pójdzie?

- Ja pójdę - rzekł Gabriel. - Muszę zamienić z kimś słowo.

*

Kiedy pięć minut później Gabriel wyszedł, prószył delikatny śnieg. Stał chwilę na żelaznych schodach domu Rosnera i zapinał płaszcz z powodu chłodu, lustrując jednocześnie ulicę w poszukiwaniu śladów inwigilacji. Nie było nikogo oprócz jednej opatulonej duszy, która siedziała na ławce na przeciwległym brzegu kanału. Mężczyzna ubrany był w wytarty wełniany płaszcz i czarno-białą kraciastą kefiję zamiast szala, miał siwą rozczochraną brodę, a na głowie białą *kufi* - myckę pobożnego muzułmanina. Gabriel zszedł po schodach i skierował się ku znajdującemu się na końcu ulicy zwodzonemu mostkowi. Kiedy skręcił w Staalstraat, usłyszał tuż za sobą kroki po bruku. Celowo odwrócił głowę, długo i wysoce nieprofesjonalnie patrząc przez ramię. Muzułmanin, który siedział na ławce, był teraz trzydzieści metrów za nim i szedł w tę samą stronę. Dwie minuty później, kiedy Gabriel minął

Café de Doelen, spojrzał przez ramię po raz drugi i zobaczył, że mężczyzna w *kufi* i kefiji był

już dwukrotnie bliżej niego. Pomyślał o słowach, które tego popołudnia w hotelu Europa wypowiedział do niego Lawon: „Tylko dopóki będziemy w Amsterdamie, postaraj się nikogo nie zabić”. Gabriel nie miał zamiaru go zabijać, chciał jedynie odpowiedzi na dwa proste pytania. Dlaczego ten pobożny muzułmanin spędził większą część wieczoru, siedząc pod domem Solomona Rosnera? I po co szedł teraz za Gabrielem ciemnymi uliczkami?

*

Restauracja, w której Sophie Vanderhaus złożyła zamówienie, znajdowała się przy Leidsestraat niedaleko Koningsplein. Po przejściu na drugą stronę rzeki Amsteli Gabriel powinien był pójść w prawo, ale skierował się w lewo ku wąskiej uliczce dla pieszych, pełnej sex shopów, amerykańskich fast foodów i maleńkich bliskowschodnich restauracyjek.

Pomimo późnej pory było tłoczno, a jednak bez problemu obserwował swego prześladowcę w jaskrawym świetle neonów.

Ulica dochodziła do ruchliwego Rembrandtplein, ale dwadzieścia metrów wcześniej Gabriel skręcił w szeroką na rozpiętość ramion, ciemną alejkę, która na powrót prowadziła do rzeki. Mężczyzna w kefiji i *kufi* zatrzymał się na początku, jak gdyby nie chciał tam wejść, ale w końcu postanowił jednak za nim podążyć.

Gabriel wyjął beretkę z za paska i odbezpieczył ją. Kiedy to zrobił, niemal usłyszał głos Szamrona, który rozlegał się echem w jego głowie: „W miejscu publicznym nie wymachujemy bronią jak gangsterzy i nie rzucamy czczych grózb. Jeśli wyjmujemy broń, to z jednego tylko powodu. Zaczynamy strzelać. I strzelamy, dopóki cel nie będzie martwy”.

Wsunął broń do kieszeni płaszcza i poszedł dalej.

W połowie alejki panował nieprzenikniony mrok. Gabriel skręcił w rozwidlające się przejście i zaczął tam z ręką na kolbie beretty. Kiedy brodaty mężczyzna nadszedł, wyskoczył z alejki i niby nożem dźgnął go w plecy. Pod mężczyzną natychmiast ugięły się nogi, ale zanim padł na ziemię, Gabriel chwycił go za kefiję i cisnął mocno o pokryty graffiti mur z cegły. W spojrzeniu brodacza malowało się prawdziwe przerażenie. Ponownie go uderzył, tym razem w splot słoneczny. Kiedy mężczyzna się zwinął, Gabriel szybko sprawdził, czy nie ma broni, ale znalazł jedynie portfel i niewielki egzemplarz Koranu.

- Czego ode mnie chcesz? - po arabsku szybko zapytał Gabriel.

Ale ten wydobył z siebie tylko jedno mokre kasznięcie.

- Odpowiadaj - powiedział Gabriel - albo będę cię bił do skutku.

Mężczyzna podniósł rękę i zaczął błagać, by przestał. Gabriel puścił go i cofnął się o krok, wtedy tamten oparł się o mur, usiłując złapać oddech.

- Kim jesteś? - zapytał Gabriel. - Dlaczego mnie śledzisz?

- To mnie szukasz w aktach Solomona Rosnera - rzekł. - Przyszedłem ci pomóc.

Amsterdam

- Mam na imię Ibrahim.

- Nazwisko?

- Fawaz.

- Ibrahimie Fawaz, śledząc mnie, okazałeś się głupcem.

- Wiem.

Szli wzdłuż ciemnego nabrzeża Amsteli. Ibrahim jedną ręką osłaniał obolały żołądek, a drugą wspierał się na ramieniu Gabriela. Zaczął sypać śnieg, a coraz zimniejsze powietrze nagle stało się ostre. Gabriel wskazał otwartą restaurację i zaproponował, by w niej porozmawiali.

- Tacy jak ja nie pijają kawy w tego typu miejscach, zwłaszcza w towarzystwie takich ludzi jak ty. To nie Ameryka. To Amsterdam. - Odwrócił głowę o kilka stopni i łypnął na Gabriela. - Mówisz po arabsku jak Palestyńczyk. Jak sądzę, pogłoski o profesorze Rosnerze były prawdziwe.

- Jakie pogłoski?

- Że był pionkiem w rękach syjonistów i ich żydowskich zwolenników w Ameryce. Że był izraelskim szpiegiem.

- Kto wygadywał takie rzeczy?

- Żli chłopcy - rzekł Ibrahim. - I imami. Są gorsi od młodych narwańców. Pochodzą z Bliskiego Wschodu. Z Arabii Saudyjskiej. Propagują wahabizm. W naszym meczecie imam powiedział, że profesor Rosner zasłużył na śmierć za to, co napisał o muzułmanach i Mahomecie. Ostrzegałem profesora, by się ukrył, ale odmówił. Był bardzo uparty.

Ibrahim zatrzymał się i oparł o balustradę, która wznosiła się nad wolno płynącą brudną rzeką. Gabriel spojrział na prawą rękę Araba i zobaczył, że nie miał dwóch ostatnich palców.

- Chce ci się wymiotować?

- Raczej nie.

- Ibrahimie, możesz iść? Lepiej będzie, jeśli pójdziemy.

Przytaknął skinieniem głowy i powoli ruszyli wzdłuż brzegu rzeki.

- Jak sądzę, byłeś przełożonym Rosnera? To dlatego razem z przyjacielem gorączkowo kopiecie w jego papierach?

- To, co robię w jego domu, to nie twój interes.

- Wyświadczyć mi przysługę - powiedział Arab. - Jeżeli natkniecie się na moje nazwisko, proszę, rzuć ów ślad do najbliższej niszcarki dokumentów. Bardzo szanowałem profesora Rosnera, ale nie chcę skończyć tak jak on. W Amsterdamie są ludzie, którzy poderzną mi gardło, jeśli się dowiedzą, że mu pomagałem.

- Jak długo dla niego pracowałeś?

- Długo - rzekł Ibrahim. - Ale to nie była p r a c a. Byliśmy partnerami, ja i profesor Rosner. Mieliśmy te same poglądy. Obaj wierzyliśmy, że bojownicy dżihadu niszczą moją religię. Obaj wiedzieliśmy, że jeżeli nie przestaną, zniszczą również Holandię.

- Dlaczego dla niego pracowałeś? Dlaczego nie skontaktowałeś się z policją?

- Być może wnioskujeś z mojego akcentu, że z pochodzenia jestem Egipcjaninem.

Jeśli ktoś pochodzi z Egiptu, odczuwa naturalny lęk przed policją, tajemnicą i tego typu sprawami. Mieszkam w Holandii od dwudziestu pięciu lat. Jestem obywatelem tego kraju, tak jak moja żona i syn. Ale dla holenderskiej policji i reszty moich rodaków zawsze będę *allochtoon*. Imigrantem.

- Ale musiałeś się domyślać, że Rosner przekazywał policji i służbom specjalnym niektóre twoje informacje.

- A także izraelskim służbom specjalnym, na to przynajmniej wygląda. - Spojrzał na Gabriela i zdobył się na mądry uśmiech.

- Muszę przyznać, że w moim domu Izraelczycy nie cieszą się wielką popularnością.

Moja żona to Palestynka. Uciekła z rodziną do Egiptu w 1948 roku po *Jawm al-Nakba* i osiadła w Kairze. Od trzydziestu pięciu lat co wieczór przy obiedzie słyszę o cierpieniach palestyńskiego narodu. Mój syn wyszał to z mlekiem matki. Jest Egipcjaninem i Palestyńczykiem, a to wybuchowa mieszanka.

- Ibrahimie, czy powodem, dla którego śledziłeś mnie dzisiejszego wieczoru, jest dyskusja o diasporze palestyńskiej i zbrodniach założycieli Izraela?

- Może podejmiemy ją innym razem - powiedział Egipcjanin. - Mój przyjacielu, wybaczyć mi. Teraz, kiedy przestałeś mnie już bić, próbowałem tylko poprowadzić uprzejmą rozmowę. Zanim wyemigrowałem do Holandii, byłem w Egipcie profesorem. Żona i syn zarzucają mi, że wciąż nim jestem. Poświęcili życie na słuchanie moich kazań i obawiam się, że już mają mnie dość. Mimo to, jeśli będę mógł nauczać, skorzystam z tej szansy.

- Byłeś nauczycielem również w Holandii?

- W Holandii? - Potrząsnął głową. - Nie, tutaj byłem tylko narzędziem.

Postanowiliśmy opuścić Egipt w 1982 roku, ponieważ myśleliśmy, że Zachód da synowi więcej możliwości. Byłem wykształcony w Egipcie, ale to nie miało tutaj żadnej wartości.

Budowałem drogi, dopóki nie zrujnowałem sobie kręgosłupa, po czym zacząłem zamiatać ulice Rotterdamu. A kiedy nie mogłem już dźwignąć nawet miotły, poszedłem do pracy w fabryce mebli w zachodniej części Amsterdamu. Kierownik zakładu zmusił nas do pracy czternaście godzin na dobę. Pewnej późnej nocy, kiedy zasypiałem na stojąco, popełniłem przy pile tarczowej błąd. - Podniósł okaleczoną rękę, by Gabriel mógł ją zobaczyć. - Wracając do zdrowia, postanowiłem dobrze spożytkować swój czas na naukę niderlandzkiego. Kiedy dowiedział się o tym dyrektor fabryki, zakazał mi tracić czas, ponieważ niebawem i tak wszyscy *allochtoonen* wrócą do domu. Oczywiście się mylił.

Podmuch wiatru cisnął im w twarz grudki śniegu. Gabriel postawił kołnierz płaszcza, a Ibrahim z powrotem wsunął rękę do kieszeni.

- Nasze dzieci słyszały już wszystkie obelgi, którymi obrzucają nas holenderscy gospodarze. Mówią po niderlandzku lepiej niż my. Bardziej się dopasowały do subtelności holenderskiej kultury. Widzą, w jaki sposób traktują nas Holendrzy, więc czują upokorzenie i złość. Żywią urazę nie tylko do nich, ale też do nas, do swoich rodziców. Nasze dzieci uwięzły między dwoma światami, tym nie w pełni arabskim i tym nie całkiem holenderskim.

Zamieszkują *ghurba*, czyli ziemię obcych, i dlatego szukają schronienia w bezpiecznym miejscu.

- W islamie - powiedział Gabriel.

Ibrahim przytaknął skinieniem głowy i powtórzył:

- W islamie.

- Ibrahimie, nadal pracujesz w fabryce mebli?

Potrząsnął głową.

- Od kilku lat jestem na emeryturze. Państwo holenderskie sownie mi płaci, a do tego dostaję jeszcze niewielką rentę z uwagi na brak dwóch palców. Udaje mi się na boku dorabiać. Ma to zbawienny wpływ na szacunek dla samego siebie. Dzięki temu wolniej się starzeję.

- Gdzie teraz pracujesz?

- Trzy lata temu otrzymaliśmy od państwa środki finansowe na budowę centrum islamskiej społeczności w dzielnicy Oud West. Podjąłem tam pracę jako doradca w niepełnym wymiarze godzin. Pomagam nowo przybyłym znaleźć jakąś ostoję. Pomagam naszym ludziom uczyć się niderlandzkiego. I mam oko na gniewnych młodzieńców. To właśnie tu po raz pierwszy usłyszałem pogłoskę o spisku, mającym na celu zestrzelenie żydowskiego samolotu. - Spojrzał na Gabriela, by zobaczyć jego reakcję. - Kiedy dogłębniej zbadałem sprawę, dowiedziałem się, że to coś więcej niż

tylko pogłoska, więc powiedziałem o tym profesorowi Rosnerowi. Należą mi się podziękowania za to, że nad Schipholem nie rozerwało na strzępy dwustu pięćdziesięciu Żydów.

W ich stronę wzdłuż nabrzeża szła para homoseksualistów w średnim wieku. Ibrahim zwolnił kroku i odruchowo spuścił wzrok ku płytom chodnikowym.

- Mam jeszcze jedną pracę - rzekł, kiedy mężczyźni się oddalili.

- Pracuję dla przyjaciela na rynku Ten Kate, sprzedaję dzbanki i rondle. Płaci mi od sprzedaży i pozwala opuścić stragan na czas modlitwy. Tuż za rogiem, przy Jan Hazenstraat, jest niewielki meczet. Nazywa się Al-Hidżra. Nie bez powodu słynie z ekstremizmu swego imama. Meczet ten zrzesza wielu młodych ludzi, którym głowy wypełnia się obrazami dżihadu i terroru, to oni zwracają się ku Osامية bin Ladenowi jako ku prawdziwemu muzułmaninowi. Ci młodzieńcy wierzą w *takfir*. Znasz ten termin?

Gabriel przytaknął skinieniem głowy. *Takfir* to pojęcie używane przez egipskich islamistów od lat siedemdziesiątych; teologiczna sztuczka obmyślona po to, by dać terrorystom święte przyzwolenie na zabicie każdego, o ile tylko pozwoli to osiągnąć im swój cel, czyli wprowadzić szariat i przywrócić kalifat. Jego głównymi ofiarami byli inni muzułmanie. Według *takfir* można było zabić świeckiego przywódcę muzułmańskiego, który nie rządził zgodnie z szariatem, ponieważ odwrócił się od islamu, tak jak świecki obywatel islamskiego kraju lub muzułmanin mieszkający w zachodnim państwie demokratycznym.

Według *takfir* demokracja to herezja, ponieważ zastąpiła prawa Boga prawami człowieka; to dlatego muzułmańscy obywatele państwa demokratycznego stali się apostatami, przez co mogli zginąć od miecza. To *takfir* dał Osامية bin Ladenowi prawo do rozbijania samolotów, do wysadzania w powietrze ambasad w Afryce, nawet jeśli wśród ofiar było wielu muzułmanów. To *takfir* dał prawo sunnickim terrorystom z Iraku do zabijania każdego zwolennika demokracji i muzułmańskim chłopcom urodzonym w Wielkiej Brytanii do wysadzania się w londyńskim metrze i autobusach, nawet jeśli część ludzi, których zabrali ze sobą do raju, również okazała się muzułmanami, chcącymi pożyć na ziemi trochę dłużej.

- Ci młodzi ludzie mają przywódcę - mówił dalej Ibrahim. - Mieszka w Amsterdamie od niedawna, od jakichś osiemnastu miesięcy, może trochę dłużej. Jest Egipcjaninem. Pracuje w sklepie internetowym i informacji telefonicznej w dzielnicy Oud West, ale lubi myśleć o sobie jako o islamskim teoretyku i dziennikarzu. Twierdzi, że pisze dla islamskich czasopism i witryn internetowych.

- Jak się nazywa?

- Samir al-Masri, przynajmniej tak się przedstawia. Utrzymuje, że ma powiązania z irackimi mudżahedinami. Mówi naszym chłopcom, że to ich święty obowiązek udać się tam i zabić niewiernych, którzy splugawili muzułmańskie ziemie. Prowadzi dla nich wykłady na temat *takfir* i dżihadu. Wieczorem gromadzą się w jego mieszkaniu i czytają Saijida Qutba i Ibn Tajmiję. Ściągają z Internetu nagrania i oglądają, jak ścina się głowy niewiernym. Razem podróżowali. Kilku z nich udało się z nim do Egiptu. W meczecie Al-Hidżra mówi się o Samirze. W meczecie zazwyczaj się

rozmawia, ale teraz jest inaczej. Samir al-Masri to niebezpieczny człowiek. Jeśli nie należy do Al-Kaidy, to jest jej bliskim krewnym.

- Gdzie mieszka?

- Przy Hudsonstraat. Pod numerem trzydziestym siódmym. Mieszkanie D.

- Sam?

Ibrahim pogładził się w zamyśleniu po brodzie i przytaknął skinieniem głowy.

- Powiedziałaś Solomonowi o Samirze?

- Tak, już wiele miesięcy temu.

- Więc dlaczego mnie dzisiaj śledziłaś?

- Ponieważ dwa dni temu Samir zniknął z czterema młodzieńcami z meczetu Al-Hidżra.

Gabriel zatrzymał się i spojrzał na Egipcjanina.

- Gdzie teraz są?

- Pytałem, ale zdaje się, że nikt nie wie.

- Znasz nazwiska tych czterech?

Egipcjanin wręczył Gabrielowi świstek papieru.

- Znajdź ich - rzekł. - Obawiam się, że jeśli ci się to nie uda, zginą niewinni ludzie.

Oud West, Amsterdam

- Naprawdę nie mogłem się doczekać tego tajskiego jedzenia - powiedział Eli Lawon.

- Zorganizuję je, ale najpierw włamiemy się do mieszkania Samira.

- Powiedz, proszę, skąd weźmiesz o trzeciej w nocy tajskie jedzenie?

- Jestem bardzo zaradny.

Gabriel przetarł kawałek zaparowanej przedniej szyby i przyjrzał się badawczo wjazdowi na Hudsonstraat. Lawon patrzył w dół i bawił się guzikami płaszcza.

- Nie powinniśmy korzystać z wynajętych samochodów podczas operacji, chyba że pochodzą z pewnych źródeł.

- Eli, wiem.

- Nie powinniśmy również przeprowadzać włamań i awaryjnych przeszukiwań bez odpowiedniego wsparcia lub zezwolenia z Bulwaru Króla Saula.

- Tak, o tym też słyszałem.

- Łamiesz za dużo przepisów, a stąd biorą się pomyłki. Wyobraź sobie, że nie mogę się doczekać nocy w hotelu Europa, a nie w holenderskiej celi.

- Powiedz, skąd mam wziąć w Amsterdamie pewny samochód i odpowiednie wsparcie o trzeciej w nocy?

- Oto cała twoja zaradność. - Lawon posępnie gapił się przez okno. - Gabrielu, rozejrzyj się. Czy widziałeś kiedykolwiek tyle anten satelitarnych? - Powoli potrząsnął głową.

- To pomniki europejskiej naiwności. Europejczycy myśleli, że mogą przyjąć pod swój dach miliony imigrantów z najuboższych regionów muzułmańskiego świata i na przestrzeni jednego pokolenia przeistoczyć ich w małych dobrych socjaldemokratów. I spójrz na rezultaty. Europejskich muzułmanów w przeważającej części zamknięto w gettach, więc kipią teraz gniewem.

Uwięzieni między dwoma światami - pomyślał Gabriel. - Tym nie w pełni arabskim.

Tym nie całkiem holenderskim. Zagubieni na ziemi obcych.

- To miejsce zawsze było inkubatorem dla okrutnych ideologii - powiedział Gabriel. -

Ekstremizm islamski to po prostu najnowszy wirus, który rozwija się w sprzyjającym środowisku

europejskim.

Lawon w zamyśleniu przytaknął ruchem głowy i chuchnął w rękę.

- Wiesz, kiedy wróciłem do Izraela, długo tęskniłem za Wiedniem. Tęskniłem za kawiarniami. Tęskniłem za spacerowaniem ulubionymi ulicami. Ale w końcu zdałem sobie sprawę z tego, że ten kontynent umiera powolną śmiercią. Europa przechodzi po cichu do historii. Jest stara i zmęczona, a jej dzieci są tak pesymistycznie nastawione do perspektyw na przyszłość, że nie chcą mieć wielu potomków, dzięki którym coś po sobie pozostawią. Nie wierzą w nic oprócz trzydziestopięciodzinnego tygodnia pracy i sierpniowego urlopu.

- I antysemityzmu - rzekł Gabriel.

- To jedyna rzecz związana z Wiedniem, za którą nigdy nie tęsknię - powiedział

Lawon. - To w Europie wylął się wirus współczesnego antysemityzmu, ale po wojnie rozprzestrzenił się również na świat arabski, gdzie zmutował i stał się jeszcze silniejszy.

Europa i radykalni muzułmanie roznoszą go teraz tam i z powrotem, zarażając siebie nawzajem. - Spojrzał na Gabriela. - I tak oto znów tu jesteśmy, dwóch miłych żydowskich chłopców, siedzących o trzeciej w nocy na rogu europejskiej ulicy. Mój Boże, kiedy to się skończy?

- Eli, to się nigdy nie skończy. I nie zmienisz tego.

Lawon w milczeniu zastanawiał się chwilę nad tym poglądem.

- Czy pomyślałeś chociaż o tym, jak zamierzasz się dostać do tego mieszkania? -

zapytał.

Gabriel sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął niewielki metalowy przedmiot.

- Nigdy nie potrafiłem się posługiwać tego typu narzędziami - powiedział Lawon.

- Jestem od ciebie zręczniejszy.

- Najzręczniejszy w branży, tak zawsze mówił Szamron. Ale wciąż nie wiem, co masz nadzieję znaleźć w środku. Jeśli Samir i jego komórka naprawdę przeprowadzają jakieś operacje, mieszkanie będzie czyściusieńkie.

- Eli, jeszcze się zdziwisz. Mają wybitne mózgi, ale nie wszyscy ich żołnierze są neurochirurgami. Są niechlujni. Robią dokoła bałagan. Popołniają małe błędy.

- Tak jak agenci wywiadu - rzekł Lawon. - Czy przynajmniej wzięłeś pod uwagę to, że możemy wpaść w pułapkę?

- Po to mamy beretty.

Gabriel otworzył drzwi i wysiadł z samochodu, zanim Lawon miał szansę się znowu sprzeciwić. Przechodząc bulwar na skos, zatrzymali się na chwilę, kiedy z turkotem przejeżdżał pusty tramwaj, po czym skręcili za rogiem w Hudsonstraat. Była to wąska boczna uliczka zabudowana małymi kamieniczkami, które charakteryzowały się różnymi wysokościami oraz orwellowską monotonią i szpetotą. Przed każdym budynkiem znajdowała się niewielka półkolista wnęka z czworgiem oddzielnych drzwi, z których dwoje prowadziło do mieszkań na parterze, a kolejnych dwoje do mieszkań na piętrze.

Lawon podążał tuż za Gabrielem, który natychmiast wszedł do wnęki numeru 37 i przy drzwiach do mieszkania D zajął się standardowym zamkiem zabezpieczanym pięcioma kodami PIN. Dziesięć sekund później było po wszystkim. Gabriel wsunął do kieszeni wytrych i wyjął berettę, po czym przekręcił mechanizm w zamku i wszedł do środka. Na chwilę stanął

nieruchomo w ciemności z wycelowaną bronią w wyciągniętych rękach i nasłuchiwał

najcichszego bodaj dźwięku czy najmniejszego ruchu. Nie usłyszał nic, więc skinął na Lawona, by wszedł do środka.

Lawon zapalił małą latarkę Maglite i skierował się do salonu. Wyposażenie wnętrza sprawiało wrażenie kupionego na pchlim targu; podłoga wyłożona była popękanym linoleum, a nagie ściany zdobił plakat rodem z biura podróży, przedstawiający Kopułę na Skale w Jerozolimie. Gabriel podszedł do długiego stołu na kozłach, pełniącego funkcję biurka Samira, na którym nie było nic z wyjątkiem żółtego notesu formatu 20 na 35 cm i taniej lampki.

Zapalił lampkę i przejrzał notes. Brakowało dwóch trzecich kartek, a pierwsza strona była pusta. Przejechał po niej palcami i wyczuł wgniecenia. Błąd amatora. Wręczył

Lawonowi notes, po czym chwycił latarkę i pod kątem oświetlił nią powierzchnię stołu.

Pokrywała ją cienka warstwa kurzu oprócz wyraźnego kwadratu na środku - to miejsce, pomyślał Gabriel, gdzie stał komputer Samira.

- Sprawdź poduszki - powiedział. - A ja rozejrzę się po mieszkaniu.

Poszedł do kuchni. Po ostatnim spotkaniu Samira z akolitami meczetu Al-Hidzra pozostały tylko smętne resztki porozrzucane po pokrytych linoleum blatach: puste pojemniki po jedzeniu na wynos, zatłuszczone papierowe talerze, brudne plastikowe sztućce, wyciśnięte torebki herbaty... Otworzył lodówkę, ulubiony schowek terrorystów na materiały wybuchowe, ale była pusta, jak zresztą wszystkie szafki. Zajrzał pod zlewozmywak, jednak nie znalazł nic z wyjątkiem zamkniętej butelki ze środkiem czyszczącym. Samir, islamski teoretyk i rzecznik sprawy dżihadu, był typowym kawalerem flejtuchem. Gabriel wrócił na chwilę do salonu, by zobaczyć, jak radzi sobie Lawon, po czym skierował się krótkim korytarzem ku tylnej części mieszkania. Łazienka była tak samo okropna jak kuchnia. Szybko ją przeszukał i wszedł do sypialni. Pasiasty materac nieco krzywo leżał na metalowym szkielecie łóżka, a wszystkie trzy szuflady komody były częściowo otwarte. Samir, jak się wydawało, pakował się w pośpiechu.

Gabriel wyjął pierwszą szufladę i wywalił jej zawartość na łóżko. Wytarta bielizna, skarpetki nie do pary, pudełko zapalek z dyskoteki na londyńskim Leicester Square, koperta z zakładu fotograficznego znajdującego się tuż za rogiem... Wsunął do kieszeni zapalniczkę, po czym otworzył kopertę i przejrzał odbitki. Samir na Trafalgar Square i z członkiem warty królowej angielskiej pod Pałacem Buckingham, Samir na kole Millennium Wheel i pod budynkiem brytyjskiego Parlamentu. Ostatnie zdjęcie, na którym Samir pozuje z czterema przyjaciółmi przed ambasadą amerykańską na Grosvenor Square, przyprawiło Gabriela o szybsze bicie serca.

Pięć minut później szedł spokojnie pustym chodnikiem Hudsonstraat z fotografiami w kieszeni i Lawonem u boku.

- Jeśli daty na zdjęciach są prawdziwe, oznacza to, że Samir i jego przyjaciele byli w Londynie cztery miesiące temu - powiedział. - Ktoś mógłby się tam udać, by zamienić słowo z naszymi przyjaciółmi z MI5.

- Dobrze wiem, dokąd zmierzasz - rzekł Lawon. - Masz okazję przejechać się do Londynu niczym rycerz na białym rumaku, a ja mam okazję oślepnąć podczas czytania reszty akt Solomona Rosnera...

- Przynajmniej będziesz miał okazję zjeść tajskie jedzenie.

- Dlaczego musiałeś o tym wspomnieć?

Port lotniczy Heathrow, Londyn

Gabriel poświęcił dużą część życia na umykanie europejskiej policji i służbom bezpieczeństwa, tak więc bardzo niechętnie się zgodził, by następnego popołudnia odebrali go z Heathrow agenci brytyjskiego kontrwywiadu MI5.

Kiedy wszedł do hali przylotów, zauważył oczekującą go trzyosobową ekipę. To nie było trudne: ubrani byli w podobne płaszcze przeciwdeszczowe, a jedna osoba trzymała jego zdjęcie. Poinstruowano go, by pozwolił zbliżyć się do siebie ludziom z MI5, zatem podszedł

do punktu informacji i przez kilka minut udawał, że studiuje listę hoteli. Zależało mu na odbyciu narady p r z e d atakiem terrorystycznym, dlatego w końcu do nich podszedł i przedstawił się. Agent ze zdjęciem wziął go pod ramię i poprowadził na zewnątrz do czekającego na niego jaguara. Gabriel uśmiechnął się. Zawsze skrycie zazdrościł

samochodów brytyjskim szpiegom.

Tylna szyba uchyliła się na szerokość kilkunastu centymetrów i skinieniem kościstej dłoni przywołał go sam Graham Seymour, niezwykle ceniony wieloletni wicedyrektor naczelny MI5. Był teraz przed sześćdziesiątką, ale starzał się jak dobre wino. Nosił zwykle prążkowany garnitur rodem z ulicy Savile Row, słynącej z ekskluzywnych zakładów krawieckich, który zawsze leżał na nim idealnie, a jego gęste blond włosy o srebrzystym odcieniu nadawały mu wygląd modela z kosztownych reklam. Kiedy Gabriel wszedł do samochodu, Seymour zlustrował go przez chwilę w milczeniu granitowym spojrzeniem. Nie wyglądał na zadowolonego, ale któż na jego miejscu wyglądałby lepiej? Holandia, Francja, Niemcy i Hiszpania bardzo się przyczyniły do wzrostu liczby muzułmańskich radykałów, ale wśród zawodowców z wywiadu toczył się spór o to, które państwo jest epicentrum europejskiego ekstremizmu islamskiego. A był nim kraj, który Graham Seymour przysięgał

chronić: Zjednoczone Królestwo.

Gabriel wiedział, że kryzys, w obliczu którego stała teraz Wielka Brytania, trwał wiele lat i w dużym stopniu był wynikiem jej własnych poczynań. Przez dwie dekady, począwszy od lat osiemdziesiątych poprzez okres po atakach 11 września, brytyjskie rządy, zarówno Partia Pracy, jak i torysi, szeroko otwierały drzwi najbardziej zagorzałym bogobożnym wojownikom świata. Ścigani w takich państwach, jak Egipt, Arabia Saudyjska, Jordania i Syria, przybyli do Londynu, gdzie mogli publikować, głosić kazania, gromadzić się, spiskować i zbierać pieniądze. W rezultacie Wielka Brytania, ziemia Johna Locke'a, Williama Shakespeare'a i Winstona Churchilla, mimowolnie stała się głównym inkubatorem dla okrutnej ideologii, która próbowała zniszczyć wszystko, w co kiedyś wierzyli jej obywatele.

W obliczu nadciągającej burzy brytyjskie służby bezpieczeństwa i służby wywiadowcze wołały ugodę niż sprzeciw. Tolerowano ekstremizm pod warunkiem, że kierowany był n a z e w n ą t r z, ku świeckim reżimom arabskim, Ameryce i oczywiście Izraelowi. Porażka polityki ustępstw stała się

dla wszystkich jasna 7 lipca 2005 roku, kiedy to w londyńskim metrze wybuchły trzy bomby, a czwarta rozerwała na strzępy autobus miejski na Russell Square. Zginęło pięćdziesięcioro dwoje ludzi, a siedemset osób zostało rannych. Sprawcami tej rzezi nie byli zagraniczni muzułmanie żyjący w skrajnej nędzy, ale brytyjscy chłopcy z klasy średniej, którzy tutaj się urodzili. Wszystkie dowody wskazywały na to, że był to ich pierwszy atak. Służby bezpieczeństwa Jej Królewskiej Mości oszacowały liczbę terrorystów mieszkających w Wielkiej Brytanii na szesnaście tysięcy - z których trzy tysiące szkolono w obozach Al-Kaidy - a według ostatniego wywiadu Zjednoczone Królestwo zepchnęło na drugi plan główne cele Al-Kaidy, Amerykę i Izrael.

- Zabawne - powiedział Seymour - ale kiedy sprawdzaliśmy listę pasażerów lotu z Amsterdamu, nie zauważyliśmy żadnego Gabriela Allona.

- Najwidoczniej musieliście szukać niezbyt uważnie.

Mężczyzna z MI5 wyciągnął rękę.

- Grahamie, daj spokój. Czy nie mamy pilniejszych spraw niż sprawdzanie nazwiska w moim paszporcie?

- Dawaj.

Gabriel podał paszport i gapił się przez okno na pojazdy pędzące autostradą A4. Było wpół do czwartej po południu, a już zdążyło się ściemnić. Nic dziwnego, że Arabowie stali się radykałami, kiedy się tutaj sprowadzili, pomyślał. Może powód był błahy, może do dżihadu i terroru skłoniło ich ubóstwo...?

Graham Seymour otworzył paszport i wyrecytował dane osobowe.

- Heinrich Kiever. Miejsce urodzenia: Berlin. - Spojrzał na Gabriela. - Wschodni czy Zachodni?

- Herr Kiever to zdecydowanie człowiek Zachodu.

- Allon, umówiliśmy się.

- Tak, wiem.

- A umowa dotyczyła tego, że udzielamy ci rozgrzeszenia z masy grzechów w zamian za jedno zobowiązanie, że poinformujesz nas o zamiarze zawitania na naszych jasnym brzegach i że nie będziesz na tej ziemi przeprowadzał operacji bez naszego pozwolenia i wsparcia.

- Siedzę na tylnym siedzeniu limuzyny MI5. Przepraszam, ale jakiej jeszcze wymagasz współpracy i zawiadomienia?

- A co z paszportem?

- Ładny, nie?

- Czy Niemcy wiedzą, że nadużywacie ich dokumentów?

- Grahamie, waszych również nadużywamy. Tak właśnie robimy.

- Ale my tak nie robimy. SIS podróżuje tylko z paszportami Wielkiej Brytanii lub państw z Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

SIS to brytyjski wywiad.

- Szlachetnie z ich strony - powiedział Gabriel. - Ale znacznie łatwiej podróżuje się po świecie z paszportem brytyjskim niż izraelskim. I bezpieczniej. Wybierz się pewnego razu na wycieczkę do Syrii czy Libanu z izraelskim paszportem. Będzie to doświadczenie, którego nigdy nie zapomnisz.

- Przemądrzały duppek. - Seymour wręczył mu paszport. - Co robiłeś w Amsterdamie?

- Osobiste interesy.

- Rozwiń, proszę.

- Obawiam się, że nie mogę.

- Czy Holendrzy wiedzieli, że tam byłeś?

- Nie do końca.

- Potraktuję to jako odpowiedź przeczącą.

- Grahamie, zawsze się mówiło, że masz dobry charakter.

Seymour skrzywił się i znużony zmarszczył czoło, co oznaczało, że zmęczyła go już potyczka słowna. Pomimo że pełnił funkcję gospodarza, jego brak gościnności nie był dla Gabriela wielkim zaskoczeniem, ponieważ brytyjskie służby zwykle niezbyt dobrze traktowały Agencję. Kształcili się na arabistów, wychowali na antysemitów, ale wciąż mieli Żydom za złe, że wypędzili z Palestyny Imperium.

- Co dla mnie masz?

- Sądzę, że w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin amsterdamska komórka Al-Kaidy mogła przekroczyć granicę Wielkiej Brytanii z zamiarem przeprowadzenia groźnego ataku.

- Tylko jedna grupa? - zażartował Seymour. - Jestem pewien, że poczują się tutaj jak u siebie w domu.

- Grahamie, jest aż tak źle?

Kiwnął siwą głową.

- Przynajmniej licz się z tym, że obserwujemy ponad dwieście siatek i odrębnych grup znanych terrorystów. Połowa muzułmańskich młodzieńców czci Osamę bin Ladena.

Szacujemy, że ponad sto tysięcy ludzi wspierało ataki na londyńską komunikację miejską, a to znaczy, że mają olbrzymie zasoby potencjalnych rekrutów, z których mogą czerpać w przyszłości. Wybacz więc, jeśli nie uderzę na alarm tylko dlatego, że kolejna komórka muzułmańskich fanatyków postanowiła zejść na nasz ląd.

- Grahamie, może to nie jest t y l k o kolejna komórka. Może właśnie o nich tu chodzi.

- O nich wszystkich tu chodzi - rzekł Seymour. - Powiedziałeś w y d a j e m i s i ę, że tu są. Czyli nie jesteś tego pewien?

- Obawiam się, że mam rację.

- Więc pozwól, że się upewnię, iż dobrze zrozumiałem. W moim kraju mieszka szesnaście tysięcy z n a n y c h islamskich terrorystów, ale mam przekierować siły i środki finansowe, by odnaleźć grupę, która, jak s ą d z i s z, może się znajdować w Wielkiej Brytanii? - Zapadło milczenie, więc Graham Seymour sam odpowiedział na to pytanie. -

Gdyby mówił to ktokolwiek inny, zatrzymałbym się na poboczu i go wysadził. Ale mam wzgląd na ciebie i twoje osiągnięcia zawodowe. Zatem dlaczego sądzisz, że mogą tu być?

Gabriel wręczył mu kopertę ze zdjęciami.

- To wszystko, co masz? Jakież fotki z wakacji Ahmeda w Londynie? Żadnych biletów na metro ani pokwitowań z agencji wynajmu samochodów? Żadnych przechwyconych e-maili i wdrożonej czy dźwiękowej inwigilacji?

- Byli tu na misji inwigilacyjnej cztery miesiące temu. I na imię ma Samir, a nie Ahmed.

- A nazwisko?

- Samir al-Masri, Hudsonstraat trzydzieści siedem, Oud West, Amsterdam.

Seymour spojrział na zdjęcie Samira, na którym stoi przed Parlamentem Brytyjskim.

- To Holender?

- Egipcjanin, o ile nam wiadomo.

- O ile wam wiadomo? A co z innymi członkami tej tajemniczej grupy? Masz jakieś nazwiska?

Gabriel wręczył mu świstek papieru z pozostałymi nazwiskami, który dał mu w Amsterdamie Ibrahim Fawaz.

- O ile wiemy, komórka działała poza meczetem Al-Hidżra przy Jan Hazenstraat w zachodniej części

Amsterdamu.

- I jesteś pewien, że to Egipcjanin?

- Tą flagą wymachiwał w Amsterdamie. A co?

- Bo ostatnio słyszymy jakieś głosy niektórych naszych bardziej radykalnych egipskich rodaków.

- Jakie głosy?

- Na temat wysadzania budynków w powietrze, bombardowania mostów, zestrzeliwania samolotów i zabicia w metrze kilku tysięcy ludzi... Wiesz, takie tam zwykłe rzeczy, o których rozmawia się przy herbatce i ciasteczkach.

- Skąd pochodzą te głosy?

Seymour zawahał się, po czym powiedział:

- Z Finsbury Park.

- No tak.

Prawdopodobnie nie było trafniejszego symbolu bieżących problemów Wielkiej Brytanii niż Meczeta Główny w północnej części Londynu, znany powszechnie jako Meczeta Finsbury Park. Zbudowany został w 1990 roku za pieniądze króla Arabii Saudyjskiej.

Działający w nim imamowie byli jednymi z najbardziej radykalnych w Europie. Jego próg przekroczył Richard Reid, osławiony zamachowiec z bombą w bucie, Zacarias Moussaoui, zwany dwudziestym porywaczem, i Ahmed Ressay, algierski terrorysta aresztowany na krótko przed milenium za knucie planu wysadzenia w powietrze lotniska w Los Angeles. W

styczniu 2003 roku brytyjska policja przeprowadziła nalot na meczet - znalazła w środku takie święte przedmioty, jak sfalszowane paszporty, kombinezony ochronne i paralizator - po czym i tak przekazano go nowym przywódcom. Później ujawniono, że jeden z członków nowego zarządu to były mózg Hamasu z Zachodniego Brzegu Jordanu, jednak kiedy ten był terrorysta zapewnił brytyjski rząd o swoim pokojowym nastawieniu, pozwolono mu pozostać na stanowisku.

- Więc sądzisz, że to przywódca grupy?

- Tak twierdzi moje źródło.

- Czy twój informator miał kiedykolwiek rację?

- Pamiętasz ten spisek, mający na celu zestrzelenie pasażerskiego samolotu odrzutowego linii El Al nad Schipholem w zeszłym roku?

- Ten, któremu zapobiegli Holendrzy?

- Grahamie, to nie H o l e n d r z y mu zapobiegli, tylko m y, dzięki temu samemu źródłu.

Seymour spojrział na zdjęcia.

- Sprawdzić nie zaszkodzi - powiedział - ale obawiam się, że nie pasuje to do zarysu opracowanego przez nas scenariusza poważnego ataku.

- Jakiego scenariusza?

- Pewna zagraniczna komórka operacyjna współpracuje ze wspierającymi się wzajemnie komórkami inwigilacyjnymi ukrytymi wewnątrz naszych miejscowych społeczności. Jej członków szkoli się i przygotowuje tam, gdzie nie mamy możliwości ich obserwować, po czym schodzą na nasz ląd w ostatniej chwili, więc nie mamy czasu ich odnaleźć i nie mamy szans pokrzyżować im planów. Oczywiście potrzebny byłby do tego wykwalifikowany mózg i zdolność przeprowadzania skomplikowanych zadań. - Podniósł

fotki.

- Mogę je zatrzymać?

- Są twoje.

- Zlecę Imigracji sprawdzenie tych nazwisk, niech zobaczą, czy twoi chłopcy naprawdę przekroczyli granicę. Dam odbitki zdjęć znajomym z Wydziału Antyterrorystycznego Scotland Yardu. Jeśli policja uzna zagrożenie za realne, może wyśle kilku dodatkowych ludzi w niektóre miejsca, które odwiedził Al-Masri.

- A co z wyższym poziomem ogólnego zagrożenia? - zapytał Gabriel. - Co ze zwiększeniem inwigilacji miejscowych radykałów egipskich w Finsbury Park?

- Nie jesteśmy tacy jak nasza amerykańska brać. Nie lubimy ruszać wskazówki w mierniku zagrożenia za każdym razem, kiedy zaczynamy się denerwować. Uważamy, że to prowadzi tylko do tego, że brytyjskie społeczeństwo staje się coraz bardziej sceptyczne. A jeżeli chodzi o naszych miejscowych Egipcjan, to obserwujemy ich dość uważnie.

- Mam taką nadzieję.

- Jak długo zamierzasz zostać w Londynie?

- Tylko dzisiejszą noc.

Seymour wręczył mu wizytówkę, na której nie było nic oprócz numeru telefonu.

- To moja komórka. Dzwoń, jeśli usłyszysz w Amsterdamie coś jeszcze. Podrzucić cię do hotelu?

- Nie, dzięki, Grahamie.

- A może do twojego bezpiecznego mieszkania?

- Wolałbym do naszej ambasady. Zamierzam dyskretnie zamienić słowo z jej dyrektorem ochrony i miejscowym szefem naszej placówki, by mieć pewność, że chociaż m y podejmiemy odpowiednie kroki.

- Pozdrów szefa placówki. I powiedz mu, by się dobrze sprawował.

- Czy zamierzasz mnie śledzić, kiedy z niej wyjdę?

- Nie mam wolnych pracowników i raczej mieć nie będę.

Oczywiście kłamał. Dla szpiega ponad wszystko liczył się honor.

*

Spotkania w ambasadzie trwały dłużej, niż to sobie zaplanował Gabriel. Dyrektor ochrony zamienił to, co miało być pięciominutową naradą, w godzinną wymianę pytań i odpowiedzi, natomiast szef placówki Agencji wykorzystał rutynową grzecznościową wizytę jako szansę na zrobienie wrażenia na kimś, kto, jak najwyraźniej założył, pewnego dnia stanie się jego szefem. Klęska ta zakończyła się o osiemnastej, kiedy to bez uprzedzenia zjawił się ambasador i zaczął nalegać, by Gabriel towarzyszył mu w obiedzie w dzielnicy Knightsbridge. Nie miał w pogotowiu żadnej wymówki, więc musiał jakoś przetrwać boleśnie nudny wieczór, dyskutując na temat zawitych powiązań Izraela ze Zjednoczonym Królestwem. Podczas posiłku często myślał o Elim Lawonie, który czytał po cichu akta w zaśniewanym Amsterdamie, i żałował, że wciąż jeszcze przy nim nie był.

Po dwudziestej drugiej wszedł wreszcie do usytuowanego tuż przy Hyde Parku bezpiecznego mieszkania Agencji na ulicy Bayswater. Zostawił w przedpokoju torbę i szybko przyjrzał się wnętrzu. Było umeblowane z prostotą, jak większość bezpiecznych mieszkań, raczej duże jak na londyńskie standardy. Gospodyni zostawiła w lodówce jedzenie, a w spiżarni berettę kaliber 9 mm wraz z dodatkowym magazynkiem i dwoma pudełkami amunicji.

Gabriel załadował broń i poszedł z nią do sypialni. Ostatnio wyspał się porządnie jakieś trzy dni temu, a mimo to udało mu się nie zasnąć nad *coq au vin* podczas obiadu z ambasadorem, tylko dzięki doświadczeniu i rewelacyjnej zdolności koncentracji. Szybko się rozebrał i położył do łóżka, po czym włączył telewizor, by w razie nocnego ataku obudziły go wiadomości. Zastanawiał się, czy londyńska policja zaczęła już działać na podstawie informacji, które zdobył w Amsterdamie. „Dwieście aktywnych siatek terrorystycznych, szesnaście tysięcy znanych terrorystów, trzy tysiące ludzi, których przeszkolono w obozach Al-Kaidy...”. MI5 i policja mieli większe powody do zmartwień niż przyjazd pięciu chłopców z Amsterdamu. Tego popołudnia wyczuł w zachowaniu Grahama Seymoura jakąś rezygnację, jakby to była tylko kwestia czasu, kiedy znów uderzą w Londynie. Gabriel sięgał właśnie po papierosa, gdy zauważył żółty notes Samira wetknięty w boczną kieszeń podręcznej torby. -

Pewnie nic ciekawego - pomyślał, ale doskonale znał samego siebie i wiedział, że nie zaśnie, dopóki się nie upewni. W górnej szufladce nocnego stoliczka znalazł ołówek, którym przez następne dziesięć

minut delikatnie pocierał po powierzchni notesu. Tajemnice Samira powoli wyłaniały się przed jego oczami. Sosny na szczycie, wydmy na pustyni, pajęczyna rozwidlających się linii... Samir Al-Masri, bojownik dżihadu i kawaler flejtuch, po prostu bezmyślnie bazgrolił.

Bayswater Road, Londyn, godzina 7:02, piątek

Obudził go telefon, który tak jak wszystkie telefony w bezpiecznych mieszkaniach Agencji również miał migającą lampkę, wskazującą rozmowy przychodzące. Ta była jaskrawoniebieska i odnosiło się wrażenie, jakby do jego sypialni po cichu wjechał radiowóz.

- Śpisz? - zapytał Ari Szamron.

- Już nie.

- Zaspałeś?

Gabriel spojrział na zegarek spod przymrużonych powiek.

- Jest siódma rano.

- U mnie jest dziewiąta.

Kaprysy międzynarodowych stref czasu zawsze niewiele znaczyły dla Szamrona.

Zakładał, że każdy pracownik Agencji, niezależnie od miejsca swojego pobytu na tej planecie, wstawał i kładł się spać tak jak on. Zjawisko to było znane w Agencji jako

„uniwersalny czas Szamrona”.

- Jak ci poszło spotkanie z Grahamem Seymourem?

- Przypominaj mi czasem, bym nigdy więcej nie korzystał z paszportu Heinricha Kievera przy przekraczaniu granicy Wielkiej Brytanii.

- Czy działa już na podstawie informacji, których mu udzieliłeś? - Zdaje się, że ma większe kłopoty niż kilku chłopców z zachodniej części Amsterdamu.

- Z pewnością.

- Zamierzamy w pewnym momencie wprowadzić w to Holendrów.

- Jak tylko Eli skończy oczyszczać archiwa Rosnera, wezwiemy do Tel Awiwu holenderskiego koordynatora i dyskretnie zamienimy z nim słowo.

- Tylko upewnij się, że nasze źródło ma ochronę. To ktoś, kogo potrzebujemy mieć na czarną godzinę.

- Nie martw się, zrobimy to b a r d z o dyskretnie.

- Mój samolot przylatuje do Amsterdamu wczesnym popołudniem. Jeśli popracujemy z Elim przez

całą noc, powinniśmy skończyć do rana.

- Obawiam się, że Eli będzie musiał skończyć tę robotę bez ciebie. Nie wracasz tam.

- A dokąd?

- Do domu - odrzekł Szamron. - Za godzinę odbierze cię *bodel* i pojedziecie na Heathrow. I po lądowaniu postaraj się nie wyglądać jak siedem nieszczęść, jak to masz w zwyczaju. Dziś wieczorem jemy obiad na ulicy Kaplan.

Ulica Kaplan to siedziba premiera.

- Dlaczego idziemy tam na obiad?

- Jeżeli nie musisz natychmiast znać odpowiedzi, wolałbym teraz, kiedy agenci z MI5

i GCHQ próbują nas podsłuchiwać, nie omawiać spraw państwowych najwyższej wagi i spraw wywiadu.

- To bezpieczny telefon.

- Takie rzeczy nie istnieją - rzekł Szamron. - Tylko nie spóźnij się na ten samolot. Jeśli utkniesz w korku, zadzwoń do mnie. Załatwię z liniami El Al opóźnienie odlotu.

- Nie zrobiłbyś tego.

Gabriel usłyszał sygnał, po czym odłożył słuchawkę na widełki. „Dziś wieczorem jemy obiad na ulicy Kaplan...”. Domyślał się, jaki będzie temat rozmowy. Jak widać, Amos długo nie pożyje. Spojrzał na telewizor - trzech telegenicznych młodzieńców pochłoniętych było bardzo poważną rozmową o seksualnych wygłupach najsłynniejszego piłkarza w Wielkiej Brytanii. Poszukał po omacku pilota, ale znowu natknął się na notes Samira i przypomniał sobie, jak łąził w środku nocy i wpatrywał się w symbol - nie sosny, nie wydmy na pustyni, ale we wzór przecinających się linii.

Znowu na niego spojrzał. Gabriel obdarzony był niemal perfekcyjną pamięcią wzrokową, zdolnością, którą dodatkowo wyćwiczył podczas studiów z zakresu historii sztuki i konserwacji zabytków. W archiwach swojej pamięci przechowywał setki tysięcy obrazów i przypatrując się zaledwie kilku pociągnięciom pędzla, potrafił ustalić autorstwo dzieła. Był

przekonany, że układ tych linii nie był przypadkowy, że stanowił część jakiegoś wzoru - i miał pewność, że gdzieś już go widział.

Poszedł do kuchni zaparzyć kawę i postawił filiżankę na parapecie. Świtało, zaczęła się poranna krzątanina. Kobieta, która aż za bardzo przypominała jego byłą żonę, stała na rogu i czekała na zielone światło. Kiedy się zapaliło, przeszła na drugą stronę ulicy Bayswater i znikła w Hyde Parku.

Hyde Park...

Spojrzał na notes i znów wyjrzał przez okno.

Czy to możliwe?

Gabriel podszedł do biurka i otworzył górną szufladę, w której leżał plan miasta *Londyn od A do Z*. Wyjął go i otworzył na mapce numer 82, przedstawiającej północno-wschodni zakątek Hyde Parku i okoliczne ulice: Mayfair, Marylebone, Bayswater i St. John's Wood. Ścieżki w parku zaznaczono przerywaną linią, ten wzór porównał do śladów w notesie Samira.

Były identyczne.

Hyde Park...

Ale dlaczego terrorysta miałby zaatakować w Hyde Parku?

Pomyślał o zdjęciach, które znalazł w mieszkaniu Samira: Samir na Trafalgar Square i z członkiem warty królowej angielskiej pod Pałacem Buckingham. Samir na Millenium Wheel i pod Parlamentem Brytyjskim. Samir pozujący z czterema przyjaciółmi przed ambasadą amerykańską na Grosvenor Square...

Znów spojrzał na mapkę w *Londynie od A do Z*.

Grosvenor Square znajdował się dwie przecznice dalej na wschód od parku przy ulicy Mayfair.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

*

- Graham Seymour.

- Chcę, byś ostrzegł Amerykanów przed amsterdamską komórką.

- Jaką amsterdamską komórką?

- Grahamie, daj spokój, nie mamy czasu.

- Chłopcy z Imigracji poświęcali całą noc na poszukiwania. Jak na razie nie znaleźli żadnego dowodu, wskazującego na to, że w kraju przebywa którykolwiek z mężczyzn, których nazwiska mi podałeś.

- To nie oznacza, że ich tu nie ma.

- Dlaczego sądzisz, że celują w Amerykanów?

Gabriel powiedział mu o swoich przemyśleniach.

- Chcesz, bym uruchomił alarm na Grosvenor Square z powodu jakichś linii w notesie?

- Tak.

- Nie zrobię tego. Dzwonisz do mnie, ale nie masz wystarczającego dowodu na poparcie swojej tezy. A tak poza tym, byłeś tam ostatnio? To teraz amerykańska twierdza, więc terroryści nie zbliżają się już do tego budynku.

- Grahamie, zadzwoń do nich, w przeciwnym wypadku ja to zrobię.

- Allon, posłuchaj mnie, ale słuchaj bardzo uważnie. Jak Boga kocham, jeśli narobisz w moim mieście bałaganu, to...

Gabriel przerwał połączenie i wybrał inny numer.

Grosvenor Square, Londyn, godzina 7:13, piątek

Ulice przy północnym krańcu ekskluzywnej Mayfair mają wyraźnie amerykański klimat.

Pomiędzy budynkami w stylu georgiańskim można znaleźć upchnięte siedziby główne Amerykańskiej Izby Handlowej, Klubu Amerykańskiego, Kościoła Amerykańskiego, Stowarzyszenia Amerykańskiego i Amerykańskiego Stowarzyszenia Kobiet. W północnej części Grosvenor Square stoi budynek Marynarki Wojennej USA, a w zachodniej mieści się ambasada amerykańska. Wysoka na osiem pięter i ozdobiona gigantycznym pozłacanym orłem, jest jedną z największych amerykańskich misji dyplomatycznych na świecie i jedyną znajdującą się na terenie, który nie należy do rządu federalnego. Księżę Westminsteru, właściciel znacznego fragmentu ulicy Mayfair, wydzierżawił tę nieruchomość amerykańskiemu rządowi za bardzo rozsądne pieniądze. Ryzyko, że Amerykanie zostaną niebawem wyeksmitowani z tego skrawka jest niewielkie, ponieważ umowa dzierżawy wygasa w drugim dniu świąt Bożego Narodzenia w 2953 roku.

Pięćdziesięciu ośmiu mężczyzn i tylko jedna kobieta - tylu było ambasadorów amerykańskich w Wielkiej Brytanii, w tym pięciu, którzy zostali potem prezydentami - ale tylko jeden z nich pochodził z szeregów służb dyplomatycznych. Pozostali to zaangażowani politycznie nominaci i debiutanci w dyplomacji, znani raczej z uwagi na swoje finanse i powiązania niż wiedzę na temat polityki zagranicznej. Należeli oni do rodzin tworzących elitę amerykańskiego społeczeństwa: Mellon, Kennedy, Harriman, Aldrich, Bruce, Whitney i Annenberg.

Obecny ambasador amerykański w Wielkiej Brytanii, Robert Carlyle Halton, nie przyszedł na świat w dobrobycie i niewielu Amerykanów znało jego nazwisko, mimo że jak dotąd był najbogatszym człowiekiem, który kiedykolwiek zajmował to stanowisko, a jego polityczne powiązania nie miały sobie równych. Był prezesem i przewodniczącym zarządu korporacji Red Mountain Energy z siedzibą w Denver, a jego osobisty majątek oszacowano ostatnio na ponad pięć miliardów dolarów. Okazało się również, że był długoletnim przyjacielem prezydenta Stanów Zjednoczonych i jego największym zaangażowanym politycznie fundatorem. Tuż po jego nominacji „Washington Post” opublikował raczej niepochlebłą notkę biograficzną Haltona, według której „dokonał niezwykle politycznego wyczynu, umieszczając swojego najlepszego przyjaciela w Białym Domu”. Zapytany na konferencji prasowej o trafność tego doniesienia, Halton powiedział, że żałuje tylko, że nie jest w stanie dać więcej pieniędzy prezydentowi. Prezydenta uwaga ta kosztowała utratę kilku głosów demokratów.

Pomimo że Robert Halton nie odpowiadał już za światowe imperium energetyczne, nadal był rannym ptaszkiem i codziennie trzymał się rygorystycznego harmonogramu, znacznie bardziej wyczerpującego od harmonogramu każdego z jego poprzedników. Tego ranka wyszedł z Winfield House, swojej oficjalnej rezydencji w Regent's Park, jak zwykle o zupełnie niedyplomatycznej godzinie 6:45 i do siódmej przeglądał gazety przy biurku z widokiem na Grosvenor Square. Strony zapisane były tragicznymi wiadomościami z Iraku.

Był przekonany, że Brytyjczycy, którzy drastycznie zmniejszyli liczbę swoich wojsk w Iraku, wkrótce

będą próbowali całkowicie się wycofać. Tę opinię wyraził w obecności prezydenta podczas ich ostatniego spotkania w olbrzymiej posiadłości Haltona Owi Creek w Aspen. Nie liczył się ze słowami, zresztą i tak rzadko to robił.

O godzinie 7:10 w drzwiach jego gabinetu stanęła wysoka młoda kobieta w grubym ciepłym dresie i w opasce z polaru na głowie. Miała długie ciemne włosy, jasnozielone oczy, ładną twarz i szczupłą wysportowaną sylwetkę. Nie czekając na zaproszenie, weszła do pokoju i usiadła na bocznym oparciu fotela. Był to gest oczywistej zażyłości, który mógłby wywołać konsternację wśród personelu ambasady, gdyby nie to, że ta atrakcyjna kobieta nazywała się Elizabeth Halton. Pocałowała ambasadora w policzek i pogładziła go po gęstych siwych włosach.

- Dzień dobry, tato - powiedziała. - Coś ciekawego w gazetach?

Podniósł „Timesa”.

- Burmistrz Londynu znów jest na mnie zły.

- A co tym razem gryzie Czerwonego Kena?

Kontakty Roberta Haltona z haniebnie lewicowym burmistrzem były, delikatnie mówiąc, lodowate, co nie było żadnym zaskoczeniem, jeśli się wzięło pod uwagę fakt, że burmistrz wyraził współczucie dla zamachowców samobójców z Hamasu, a raz nawet publicznie objął przywódcę Braci Muzułmańskich, który domagał się wymordowania Żydów i innych niewiernych.

- Mówi, że przez nasze służby bezpieczeństwa został poważnie zakłócony ruch na Mayfair - rzekł Robert Halton. - Chce, byśmy zapłacili podatek od korków ulicznych.

Sugeruje, abym zapłacił za to z osobistych funduszy. Jest pewien, że nawet nie zauważę braku tych pieniędzy.

- Bo taka jest prawda.

- Ale nie w tym rzecz.

- Czy mam zamienić z nim słowo?

- Czegoś takiego nie zaproponowałbym nawet najgorszemu wrogowi.

- Potrafię każdego oczarować.

- Kochanie, on na ciebie nie zasługuje.

Robert Halton uśmiechnął się i pogłaskał córkę po policzku. Byli praktycznie nierozłączni od śmierci jego żony, która pięć lat wcześniej zginęła w katastrofie prywatnego samolotu na północy Alaski - w istocie rzeczy byli tak nierozłączni, że nie zaakceptował

propozycji prezydenta zostania jego londyńskim wysłannikiem, dopóki się najpierw nie upewnił, że

będzie mu towarzyszyła Elizabeth. Podczas gdy większość młodych kobiet skwapliwie skorzystałaby z szansy zamieszkania w Londynie w roli córki ambasadora amerykańskiego, Elizabeth nie chciała wyjechać z Kolorado. Była jednym z najbardziej cenionych chirurgów na oddziale pomocy w nagłych wypadkach w szpitalu w Denver i planowała ślub z odnoszącym sukcesy właścicielem firmy developerskiej. Wahala się kilka tygodni, aż pewnego wieczoru na dyżurze w szpitalu Rose Medical Centre odebrała telefon z Białego Domu. - Twój ojciec jest mi potrzebny w Londynie - powiedział prezydent. - Co mam dla ciebie zrobić, by się zgodził?

Niewiele osób kiedykolwiek było w takiej sytuacji jak Elizabeth Halton i mogłoby odrzucić prośbę prezydenta. Ona знаła prezydenta od zawsze - w Aspen jeździła z nim na nartach, a w Montanie polowali razem na jelenie; wznosił za nią toast w dniu, w którym ukończyła akademię medyczną, i pocieszał na pogrzebie jej matki. Oczywiście nie odmówiła mu i gdy tylko przybyła do Londynu, rzuciła się w wir owej misji z tym samym zdecydowaniem i wprawą, z jakimi podchodziła w życiu do każdego wyzwania. Rządziła w Winfield House żelazną ręką i prawie zawsze trwała u ojcowskiego boku podczas oficjalnych spotkań i ważnych imprez towarzyskich. Pracowała społecznie w szpitalach - zwłaszcza tych, które przyjmowały ubogich imigrantów, była także społecznie gorącą orędowniczką amerykańskiej polityki w Iraku i zaostření wojny z terroryzmem. Wśród londyńskich dziennikarzy cieszyła się taką samą popularnością jak jej ojciec nienawiścią, pomimo że

„Guardian” opublikował informację, którą z przyczyn bezpieczeństwa Elizabeth usiłowała utrzymać w tajemnicy: prezydent Stanów Zjednoczonych był jej ojcem chrzestnym.

- Odłóż na bok gazety i chodź z nami pobiegać - pogłaskała go po brzuchu. - Znów zaczynasz przybierać na wadze.

- O dziewiątej idę na kawę z ministrem spraw zagranicznych. I nie zapomnij, że dziś wieczorem idziemy na drinka na Downing Street.

- Nie zapomnę.

Robert Halton złożył gazetę i z powagą spojrzał na córkę.

- Chcę, byście tam na siebie uważali. Wczoraj NCTC podniósł w Europie poziom zagrożenia.

NCTC to Narodowe Centrum Zwalczenia Terroryzmu.

- Jakież konkrety?

- Niezbyt to wszystko jasne. Chodzi o wzmożoną aktywność znanych komórek Al-Kaidy. Bzdury, jak zwykle. Ale to nie oznacza, że powinniśmy je ignorować. Zabierz dziś ze sobą jakichś marines.

- Żołnierze powinni ochraniać tylko ambasadę i jeżeli zaczną opuszczać siedzibę, Scotland Yard dostanie szału. Dobra, idę. Potem pobiegam też trochę w siłowni.

- Nie ma przepisu, który zabraniałby amerykańskim żołnierzom biegać w Hyde Parku, przynajmniej na razie. Jeśli Czerwony Ken tam jedzie, niebawem będzie już na miejscu. -

Rzucił na biurko gazety. - Jakie masz na dzisiaj plany?

- Idę na konferencję na temat opieki medycznej w Afryce, a po niej na popołudniową herbatkę do Parlamentu.

- Nadal się cieszysz, że przeprowadziliśmy się do Londynu?

- Na nic bym tego nie zamieniła. - Wstała i skierowała się ku drzwiom. - Pozdrów ministra spraw zagranicznych.

- Nie zapomnij o drinku na Downing Street.

- Nie zapomnę.

Elizabeth wyszła z biura ojca i zjechała na dół windą wprost na dziedziniec wewnętrzny. Czekali tam na nią czterej mężczyźni również w grubych, ciepłych dresach: Jack Hammond, rzecznik prasowy ambasady, Alex Baker, agent specjalny FBI, który służył jako kontakt w sprawach prawnych, Paul Foreman z Wydziału Konsularnego i Chris Petty z Biura Bezpieczeństwa Dyplomatycznego Departamentu Stanu, który był Regionalnym Pracownikiem Ochrony Londynu, co oznaczało, że odpowiadał za bezpieczeństwo ambasady i jej personelu. Chwilę później przybyli dwaj zastępcy RPO, których podobne niebieskie dresy niezbyt dokładnie skrywały masywną budowę i porządne uzbrojenie.

- Gdzie Kevin? - zapytała Elizabeth.

Kevin Barnett, zastępca szefa placówki CIA, rzadko opuszczał poranną rundkę biegania, kiedy był w mieście.

- Ugrzązł w biurze - powiedział Chris Petty.

- Ma to coś wspólnego z alarmem NCTC?

Chris się uśmiechnął.

- Skąd o tym wiesz?

- Chris, jestem córką ambasadora.

Alex Baker spojrział na zegarek.

- Bierzmy się do roboty. O dziewiątej mam być w Nowym Scotland Yardzie.

Wyszli na zewnątrz i wymknęli się przez bramę w północnej części ogrodzenia dostępną tylko dla personelu ambasady. Chwilę później biegli na zachód ulicą Upper Brook, kierując się ku Hyde Parkowi.

*

Na boku furgonetki ford transit w kolorze leśnej zieleni napisane było: ADDISON & HODGE LTD. DBAMY O KRÓLEWSKIE PARKI. Nie należała ona do firmy Addison & Hodge, ale była pieczołowicie wykonaną fałszywką, dokładnie taką samą jak drugi zaparkowany już w Hyde Parku pojazd. Kiedy grupka Amerykanów biegła truchtem ulicą Upper Brook, spokojnie obserwował ich zza kierownicy mężczyzna, który nacisnął klawisz telefonu komórkowego i przyłożył go do ucha. Przeprowadził krótką zaszyfrowaną rozmowę, a kiedy ją zakończył, wsunął telefon do kieszeni płaszcza - również podróbki - i uruchomił

silnik. Wjechał do parku przez wjazd służbowy i skierował się ku kępie drzew na północ od jeziora Serpentine.

Na znaku drogowym widniał napis: WSTĘP TYLKO

UPOWAŻNIONYM POJAZDOM, a za naruszenie przepisu groziła wysoka grzywna.

Mężczyzna wysiadł z furgonetki i zaczął zbierać śmieci, modląc się po cichu. „W imię Allaha, wielkodusznego, miłosiernego... pana sądu ostatecznego... wskaż nam prostą drogę...”.

Kwatera główna CIA, godzina 2:32, piątek

Później, podczas nieuchronnego śledztwa Kongresu, położy się duży nacisk na dokładne określenie, jak i kiedy służby wywiadowcze Stanów Zjednoczonych po raz pierwszy zdały sobie sprawę z klęski, która miała dotknąć Londyn. Odpowiedź padła o 2:32 czasu miejscowego, kiedy to na szóstym piętrze siedziby głównej CIA w Langley, w stanie Wirginia, na linię specjalną zadzwoniła osoba określona jako ZIW, czyli „Zagraniczny Informator Wywiadu”. Był nim Gabriel, który nigdy nie został zidentyfikowany, a linia, na którą zadzwonił, należała do samego Adriana Cartera, wicedyrektora operacji. W normalnych czasach rozmowę przełączono by automatycznie do jego domu w McLean. Ale to właściwie nie były już normalne czasy i pomimo późnej godziny nocnej, Carter stał w oknie swojego biura i niecierpliwie czekał na informacje związane z przeprowadzaną w górach Pakistanu tajną operacją.

Oprócz wspaniałego widoku na rzekę Potomak, w kryjówce Adriana Cartera nie było nic, co wskazywałoby na to, że należała ona do jednego z najpotężniejszych członków niezwykle rozległych waszyngtońskich służb wywiadowczych. Jego świętoszkowaty wygląd również tego nie zdradzał. W Waszyngtonie jedynie garstka ludzi wiedziała, że posługiwał się płynnie siedmioma językami i rozumiał co najmniej siedem kolejnych. Tylko oni wiedzieli, że był jednym z najwierniejszych tajnych wojowników w kraju, zanim wstąpił w rozrzedzoną atmosferę szóstego piętra w Langley. Maczał palce w każdej ważnej amerykańskiej operacji tajnej ostatnich dziesięcioleci. Czasem majstrował przy wyborach, czasem obalił jakiś rząd, i przymknął oczy na tyle egzekucji i morderstw, że nie dałby rady ich wszystkich zliczyć. Tu nie było miejsca na moralność. To on tworzył Operacje. Nie podejmował decyzji politycznych - po prostu wprowadzał je w życie. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że w ciągu jednego roku wykonał w Polsce robotę Stwórcy i poparł w Salwadorze reżim szatana? Lub to, że zasypał dolarami i rakietami Stinger świętych wojowników muzułmańskich w Afganistanie, mimo że miał świadomość, że pewnego dnia odpowiedzą mu gradem ognia i śmiercią?

Długowieczność była jego najwybitniejszym osiągnięciem. Mędrzy z Langley lubili żartować, że wojna z terroryzmem zabiła więcej ludzi z Kierownictwa Operacji niż najwyższych rangą członków Al-Kaidy. Ale Cartera to nie dotyczyło. Przetrwiał krwawe czystki, noce długich noży, a nawet okropieństwa reorganizacji. Tajemnica jego wytrzymałości tkwiła w tym, że znacznie częściej miał rację niż się mylił. Latem 2001 roku ostrzegł, że Al-Kaida planuje groźny atak na amerykańską ziemię, natomiast zimą 2003 roku miał podejrzenia co do niektórych źródeł powiązanych z obronnym programem Iraku, co i tak zostało zlekceważone przez jego szefa. A kiedy w powietrzu wisiała kolejna wojna nad Zatoką Perską, napisał tajną notatkę służbową, w której przewidział, że Irak stanie się kolejnym Afganistanem, terenem doświadczalnym dla następnego pokolenia bojowników dżihadu, które w dodatku będzie bardziej agresywne i nieprzewidywalne niż poprzednie. Nie domagał się żadnych specjalnych praw, żądał tylko jasności myślenia w kwestii zamiarów wroga. Piętnaście lat wcześniej w lepiance pod Peszawarem brodaty mężczyzna w turbanie na głowie powiedział mu, że pewnego dnia siły zbrojne islamu spalą Amerykę na popiół. I Carter mu uwierzył.

Oto on - Carter tajny wojownik, ocalały Carter, Carter pesymista - który przed świtem tego feralnego

grudniowego piątku ze znużeniem przyłożył do ucha telefon, oczekując wiadomości z odległych ziem. Jednak w słuchawce usłyszał głos Gabriela, który ostrzegł, że lada chwila nastąpi w Londynie atak. Jemu również uwierzył.

*

Carter zanotował numer Gabriela, po czym przerwał połączenie i natychmiast zadzwonił do wydziału operacyjnego Narodowego Centrum Zwalczenia Terroryzmu.

- Na ile ta informacja jest wiarygodna? - zapytał oficer dyżurny.

- Na tyle, że dzwonię do ciebie o drugiej trzydzieści cztery w nocy. - Usiłował

pohamować swój wybuchowy charakter. - Natychmiast zadzwoń do RPO w ambasadzie i powiedz im, by zamknęto cały teren i zapewniono bezpieczeństwo personelowi, dopóki się lepiej nie zorientujemy w sytuacji.

Carter odłożył słuchawkę, zanim oficer dyżurny mógł postawić kolejne niedorzeczne pytanie, i usiadł na moment zupełnie bezradny. - Do diabła z NCTC - pomyślał. - Wezmę sprawy w swoje ręce. - Wybrał numer do placówki CIA w londyńskiej ambasadzie i chwilę później osobiście rozmawiał z Kevinem Barnettem, zastępcą szefa placówki. Kiedy tylko zaczęli rozmawiać, w głosie Barnetta usłyszał przerażenie.

- Codziennie rano biega w Hyde Parku kilku pracowników ambasady.

- Jesteś pewien?

- Zazwyczaj biegam z nimi.

- Kto jeszcze?

- Główny rzecznik prasowy, kontakt FBI, Regionalny Pracownik Ochrony...

- Jezu Chryste - Carter stracił panowanie nad sobą.

- Jest gorzej.

- Kto jeszcze z nimi jest?

- Elizabeth Halton.

- Córka ambasadora?

- Niestety, tak.

- O której wychodzą?

- Dokładnie o siódmej piętnaście.

Carter spojrzął na zegarek. W Londynie była 7:36.

- Kevin, sprowadź ich z powrotem do ambasady. A jeśli to konieczne, pojedź do Hyde Parku i zrób to osobiście.

Usłyszał, jak londyński zastępca szefa placówki rzucił słuchawką, po czym zaczął dziesięć sekund i oddzwonił do Gabriela.

- Chyba w tej chwili biega w Hyde Parku kilku dyplomatów - powiedział. - Kiedy mógłbyś tam pojechać?

Usłyszał kolejny odgłos gwałtownie odkładanej słuchawki.

*

Wbiegli do parku przez Brook Gate. Skierowali się na południe Broad Walk w stronę Hyde Park Corner, a następnie na zachód Rotten Row przy ogrodzie różanym i Dell. Dotarli do Albert Memorial. Elizabeth Halton wysunęła się naprzód i z agentem BD u boku powoli zwiększyła tempo. Skierowali się na północ Lancaster Walk w stronę ulicy Bayswater. Jack Hammond, rzecznik prasowy ambasady, przemknął obok Elizabeth i przyspieszył. Biegli do Victoria Gate, a następnie West Carrige Drive do brzegu Serpentine. Kiedy zbliżali się do hangarów na łodzie, zadzwonił telefon komórkowy, który należał do Chrisa Petty'ego, RPO.

*

Wyglądały jak zwykłe sterane walizki na kółkach, ale nimi nie były. Na składanych uchwytych miały podłączone do detonatorów przyciski oraz wzmocnione boki i kółka, by mogły udźwignąć ciężar materiału wybuchowego. Każdy z czterech mężczyzn, którzy w tej chwili zbliżali się do czterech stacji metra przy Piccadilly Circus, Leicester Square, Charing Cross i Marble Arch, miał właśnie taką walizkę. Nic o sobie nie wiedzieli, ale wiele ich łączyło. Wszyscy to Egipcjanie, muzułmanie *takfiri*, dla których śmierć była tym samym, czym dla niewiernych ukochane życie. I wszyscy mieli zegarki cyfrowe marki Seiko, które uruchomią alarm punktualnie o 7:40.

*

Ubranie się i przygotowanie beretty zajęło Gabrielowi dwie minuty, a w następnej biegł po już schodach wprost na ulicę. Na Bayswater paliło się akurat czerwone światło, ale zignorował je i sprintem pobiegł do parku, przeciskając się między nadjeżdżającymi z naprzeciwka pojazdami. Nagle usłyszał dudnienie, jakby wybuch głęboko pod ziemią, która -

jak poczuł - zadrżała pod jego stopami. Zatrzymał się na chwilę niepewny tego, co właśnie przeżył, a następnie odwrócił się i popędził do parku.

*

Chris Petty zwolnił i wyjął telefon z futerału przyczepionego do spodni od dresu.

- Nie zatrzymujcie się - krzyknął. - Biegnijcie tą trasą, co zawsze. Dogonię was, jeśli tylko dam radę.

Reszta grupy dobiegła do brzegu Serpentine i skierowała ku kępie drzew na północ.

Spojrzał na wyświetlacz, by zobaczyć, kto dzwoni. To jego biuro w ambasadzie. Otworzył kłapkę telefonu i szybko przyłożył go do ucha.

- Petty.

Z a k ł ó c e n i a...

- Tu Chris Petty. Słyszysz mnie?

C i s z a...

- Cholera.

Przerwał połączenie i ruszył za grupą. Dwadzieścia sekund później telefon znów zadzwonił. Tym razem połączenie było doskonałe.

*

Mężczyzna w kombinezonie firmy Addison & Hodge, który zbierał przy drodze śmieci, zobaczył, jak grupa biegaczy skręciła w ścieżkę prowadzącą ze Starej Komendy Policji do Reformers' Tree. Druga fałszywa furgonetka tej samej firmy stała zaparkowana po drugiej stronie ścieżki, a inny identycznie ubrany mężczyzna grabił ziemię. Przygotowywali się do tej chwili przez ponad rok. *Trzydzieści sekund* - powiedział dowódca. - *Jeśli potrwa to dłużej, nigdy nie wyjdziecie z tego parku żywi.* Mężczyzna sięgnął do trzymanego w ręce foliowego worka na śmieci i poczuł coś metalowego i zimnego: pistolet maszynowy MP7, załadowany czterdziestoma nabojami. Po omacku przesunął kciukiem bezpiecznik na właściwe miejsce i powoli policzył do dziesięciu.

*

Czy był to przypadek, czy też nie, Chrisowi Petty'emu nie udało się zakończyć rozmowy z ambasadą przed dołączeniem do swoich kolegów. Zobaczył ich, jak tylko skręcił

przy Starej Komendzie Policji. Byli mniej więcej w połowie drogi do Reformers' Tree i zbliżali się do dwóch furgonetek ford transit w kolorze leśnej zieleni, zaparkowanych przy krawężniku. Widok pracowników w parku o tak wczesnej porze nie był czymś nadzwyczajnym. Hyde Park miał ponad 140 hektarów powierzchni i wymagał bezustannej pielęgnacji i konserwacji. Jednak kilka sekund później okazało się, co jest ich prawdziwym celem. Otworzyły się służące do załadunku tylne drzwi i z furgonetek wysiadło ośmiu dobrze uzbrojonych mężczyzn w kominiarkach i czarnych jednoczęściowych kombinezonach.

Daremne ostrzegawcze krzyki Petty'ego usłyszano i nagrano w ośrodku Operacji Specjalnych RPO, nagrano również strzelaninę i wrzask, który po niej nastąpił. Trafili go dziesięć sekund po pierwszej serii, a jego agonię zarejestrowało cyfrowe urządzenie. Zmarł wskutek odniesionych ran, ale wcześniej udało mu się wypowiedzieć tylko jedno słowo, i minie co najmniej kilka minut, zanim zatrwożeni koledzy z ambasady zrozumieją jego znaczenie.

„Ogrodnicy...”.

*

Gabriel usłyszał pierwsze strzały, kiedy był jeszcze na otwartym terenie północnego krańca parku. Wyciągnął berettę i sprintem podbiegł do drzew, po czym zatrzymał się na ścieżce i spojrzał w stronę Reformers' Tree. Pięćdziesiąt metrów dalej miała miejsce scena z jego koszmarów: ciała na ziemi, mężczyźni w czarnych kombinezonach, ciągnący szamoczącą się kobietę na tył zaparkowanej furgonetki... Podniósł broń, ale powstrzymał się.

Czy to naprawdę był atak, czy może natknął się na próbny alarm policyjny albo plan filmu akcji? Czy mężczyźni w czerni naprawdę byli terrorystami, czy może policjantami lub aktorami? Najbliższe ciało znajdowało się w odległości trzydziestu metrów. Na ziemi obok niego zauważył telefon komórkowy i pistolet SIG-Sauer P226 kaliber 9 mm. Gabriel zakradł

się szybko do leżącego mężczyzny i ukląkł u jego boku. Krew i rany postrzałowe były prawdziwe, jak również cień śmierci w jego lodowatych oczach. Wiedział już, że nie był to próbny alarm policyjny ani plan filmowy. To był atak, którego tak się obawiał, a który rozgrywał się teraz na jego oczach.

Terroryci nie zauważyli Gabriela. Wciąż klęcząc, podniósł obiema rękami berettę i wycelował w jednego z mężczyzn, którzy ciągnęli w kierunku furgonetki kobietę. Odległość trzydziści metrów, strzał, jakich oddał w życiu niezliczoną ilość razy. Dwukrotnie nacisnął

spust, raz za razem, pach-pach, dokładnie tak, jak go nauczono. Chwilę później zobaczył

różowy błysk i mężczyzna upadł na ziemię w półobrocie niczym zabawka wypuszczona z dziecięcej ręki. Gabriel wycelował o stopień w prawo i ponownie strzelił. Kolejny błysk, krew i mózg. Załatwiony.

Tym razem odpowiedzieli mu ogniem. Gabriel uciekł ze ścieżki i ukrył się za pnem drzewa, a seria strzałów rozdarła korę na strzępy. Kiedy strzelanina ustała, wychylił się i zobaczył, że terrorystom udało się wsadzić kobietę do furgonetki. Jeden zamykał tylne drzwi, pozostali gnali w stronę drugiego pojazdu. Wycelował w zamykającego drzwi mężczyznę i strzelił. Pierwsza kula trafiła go w lewą łopatkę, aż nim zachwiało, druga uderzyła w środek klatki piersiowej.

Furgonetki ruszyły z piskiem opon i przejechały przez szeroki zieleniec w stronę Marble Arch i ruchliwego skrzyżowania w północno-wschodnim zakątku parku. Gabriel wstał

i pobiegł za nimi sprintem, po czym zatrzymał się i strzelił kilka razy w tył pojazdu, gdzie -

jak wiedział - siedzieli tylko terroryci. Jechali w kierunku obrzeży parku. Gonił ich przez kilka

sekund, ale po chwili uznał to za bezcelowe, więc odwrócił się i z powrotem pobiegł na miejsce ataku.

Na przesiąkniętej krwią ścieżce leżało dziewięć porzucanych ciał. Nie żyło sześciu Amerykanów oraz dwóch zastrzelonych przez Gabriela terrorystów. Ten, który przed momentem wpychał kobietę na tył furgonetki, leżał teraz i z trudem łapał oddech, a z jego ust ciekła krew. Gabriel kopnął tkwiący w jego ręce pistolet automatyczny i zdarł mu z głowy kominiarkę. Zobaczył twarz, która wydała mu się jakby znajoma, i po chwili zdał sobie sprawę z tego, że to Samir al-Masri, Egipcjanin z zachodniej części Amsterdamu.

Jego oczy zaczynały zachodzić mgłą. Gabriel chciał się od niego czegoś dowiedzieć, zanim umrze, więc podniósł go za kombinezon i uderzył mocno w twarz.

- Samir, gdzie oni ją zabierają? Mów, co się stanie z dziewczyną!

Z jego oczu na chwilę znikła mgła.

- Skąd wiesz, jak mam na imię?

- Wiem wszystko. Dokąd ją zabierają?

Zdobył się na szyderczy uśmiech.

- Jeśli wiesz wszystko, to dlaczego mnie pytasz?

Gabriel znów go uderzył, tym razem mocniej, i tak wściekle nim potrząsnął, aż się przestraszył, że złamał mu kark. Ale to nie miało znaczenia, ponieważ Samir i tak już umierał.

Gabriel wycelował broń w jego twarz i krzyknął:

- Ty skurwielu, gdzie oni ją zabierają? Mów, zanim odstrzelę ci łeb!

Ale ten tylko znów się uśmiechnął - już nie szyderczo, ale wzniośle, jak ktoś, kto zrealizował swoje pragnienie, by umrzeć. Gabriel zaprowadził go do bram śmierci i był

bardzo szczęśliwy, że mógł zobaczyć, jak przez nie przechodzi. Przyłożył lufę beretty do twarzy terrorysty i właśnie miał nacisnąć spust, kiedy usłyszał krzyk:

- Rzuć broń! Ręce do góry!

Gabriel puścił Egipcjanina, po czym położył berettę na ziemi i powoli podniósł ręce.

To, co się potem wydarzyło, będzie pamiętał jak przez mgłę. Wpatrujące się w niego martwe oczy Samira. Ktoś powalił go na ziemię, a następnie uderzył w tył głowy. To był mocny cios, który niemal rozłupał mu czaszkę na dwie części. Poczul przyływ nieznośnego bólu i zobaczył błysk jaskrawego światła. Ujrzał również kobietę w ciemnoniebieskim dresie, prowadzoną przez morderców w kominiarkach do doliny zgliszcz.

*

O godzinie 3:14 w nocy w prywatnych apartamentach na pierwszym piętrze Białego Domu zadzwonił telefon. Prezydent podniósł z widełek słuchawkę już po pierwszym sygnale i szybko przyłożył ją do ucha. Natychmiast rozpoznał głos po drugiej stronie linii: to Cyrus Mansfield, jego doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Panie prezydencie, obawiam się, że w Londynie miał miejsce kolejny atak.

- Czy to coś poważnego?

Mansfield odpowiedział na pytanie najlepiej, jak tylko potrafił. Prezydent zamknął

oczy i wyszeptał:

- Mój Boże.

- Brytyjczycy robią wszystko, co w ich mocy, by uniemożliwić im ucieczkę z Londynu - rzekł Mansfield. - Ale jak się pan zapewne domyśla, sytuacja jest niezmiernie chaotyczna.

- Proszę przygotować Situation Room. Będę na dole za pięć minut.

- Oczywiście, panie prezydencie.

Prezydent odłożył słuchawkę i usiadł na łóżku. Kiedy włączył nocną lampkę, żona obudziła się i spojrzała na niego. Widziała już kiedyś ten wyraz jego twarzy.

- Czy to coś poważnego?

- Znow uderzyli w Londynie. - Zawahał się. - Jako zakładniczkę wzięli Elizabeth Halton.

Część druga

Obca ziemia

Nowy Scotland Yard, godzina 00:26, sobota

Nie uskarżałbym się nawet z powodu bardzo dużego guza. Limuzyna Grahama Seymoura odjechała z piskiem opon z podjazdu Nowego Scotland Yardu, głównej siedziby londyńskiej policji, i skręciła w ulicę Broadway. Mężczyzna z MI5 wyglądał na przemęczonego, ale miał

do tego pełne prawo. Na stacjach metra przy Marble Arch, Piccadilly Circus, Leicester Square i Charing Cross wybuchły bomby, w Hyde Parku zamordowano sześciu amerykańskich dyplomatów i ludzi ze służby bezpieczeństwa, a córkę ambasadora amerykańskiego, Elizabeth Halton, uznano za zaginioną i najprawdopodobniej porwaną. Ale jedyną jak na razie aresztowaną osobą był Gabriel Allon.

- Kazali mi podnieść ręce do góry i rzucić broń - powiedział - co oczywiście zrobiłem.

- Ale postaraj się na to spojrzeć z ich punktu widzenia. Właśnie miałeś strzelić komuś w głowę, a wokół ciebie leżało osiem ciał. Masz cholerne szczęście, że chociaż dali ci szansę się poddać, bo równie dobrze mogli użyć broni. Takich reakcji uczy się ich na wypadek, gdyby znaleźli się w sytuacji, kiedy staną twarzą w twarz z kimś, kto według nich może okazać się zamachowcem samobójcą.

- Czyż to nie byłaby ironia losu? Jedyna osoba, która próbowała zapobiec atakom, zastrzelona przez londyńską policję. - Graham Seymour gniewnie milczał, więc Gabriel przedstawił własne racje. - Grahamie, powinieneś być mnie posłuchać. Powinieneś podnieść poziom zagrożenia i pogonić kilku twoich znanych terrorystów. Może Elizabeth Halton i pozostali Amerykanie zostaliby w ambasadzie zamiast biegać rano w Hyde Parku.

- A ja ci mówiłem, żebyś się do tego nie mieszał.

- To dlatego kazałeś mi siedzieć w tej celi szesnaście godzin? To z tego powodu zleciłeś złożenie przeciwko mnie oskarżeń, pobranie moich odcisków palców i zrobienie mi zdjęcia?

- Wybacz Gabrielu, że nie pospieszyłem ci z pomocą wcześniej, ale byłem trochę zajęty.

Gabriel spojrział na mokre ulice Westminsteru, na których nie było nikogo oprócz umundurowanych policjantów, pełniących wartę na co drugim rogu, ale Graham Seymour miał w tym swój cel. Londyn doświadczył właśnie najkrwawszego dnia od drugiej wojny światowej i Gabriel właściwie nie mógł narzekać na to, że spędził większość tego czasu w Nowym Scotland Yardzie.

- Grahamie, ilu ludzi zginęło?

- Liczba ofiar jest znacznie większa niż po atakach w lipcu 2005 roku - powiedział

Seymour. - Według ostatnich szacunków zginęło trzysta osób, a ponad dwa tysiące jest rannych. Oczywiście drugim celem tych zamachów było doprowadzenie do chaosu w Londynie, a to

pozwoiliło porywaczom niepostrzezenie zniknac. Niestety, wszystko poszlo zgodnie z planem, a ten, kto przygotowal ten atak, byl calkowicie pozbawiony skrupulow i wyjatkowo skuteczny.

- Czego sie dowiedziales na temat tozsamosci i powiazan zamachowcow?

- Wszyscy to dzieci imigrantow egipskiego pochodzenia, brytyjscy chlopcy z Finsbury Park i Walthamstow, czyli ze wschodniej czesci Londynu. Cala czworka to czlonkowie niewielkiego meczetu zwanego Meczetem al-Salaam, ktory znajduje sie na parterze kamienicy w Walthamstow.

- Meczet Pokoju - powiedzial Gabriel. - Coz za adekwatna nazwa.

- Zniknal imam i kilku czlonkow grupy. Z tego, co juz wiemy, operacje terrorystyczna przeprowadzili miejscowi chlopcy, podczas gdy twój Samir ze swoimi wspolpracownikami dopilnowali porwania.

- Udaloo ci sie odnalezc furgonetki?

- Wszystkie nalezaly do firm, ktorymi zaradza niejaki Faruk al-Szahaki, ale nie wiadomo, czy to on byl ich wlascicielem. To urodzony w Londynie przedsiebiorca egipskiego pochodzenia, prowadzacy dzialalnosc handlowa w calej Wielkiej Brytanii i na Bliskim Wschodzie.

- Gdzie teraz jest?

- Zeszlej nocy polecial do Pakistanu. Poprosilismy ISI, by go odnalazly.

ISI to pakistanskie sluzby wywiadowcze.

- Zycze powodzenia - powiedzial Gabriel. - Udaloo ci sie ich wysledzic poza Hyde Parkiem za pomocą kamer przemyslowych?

- Przez jakis czas mieliśmy ich na oku - rzekl Seymour. - Ale potem skrecili w aleje, ktorej kamery nie obejmowaly juz swoim zasięgiem, i znikneli z pola widzenia. Znalezlismy furgonetki w dzielnicy Maida Vale, w garażu wynajmowanym przez jednego z zamachowcow samobojcow.

- Kto za tym stoi?

- W tej chwili sytuacja jest zbyt skomplikowana, by sie w tym wszystkim polapac.

Wszystkie cechy ataku bez watpienia wskazuja na Al-Kaide, ale jak sadze, dowiemy sie wiecej, kiedy porywacze wystapia z zadaniami.

- Byloby lepiej dla wszystkich, gdybys odnalazl Elizabeth Halton, z a n i m porywacze to zrobia.

- Zakladamy, ze ona nadal jest gdzieś na wyspie i wedlug tego zalozenia dzialamy.

Mamy ludzi na kazdym lotnisku, dworcu kolejowym i terminalu promowym w kraju. Straz Przybrzezna usiluje uszczelnic linie brzegowa, co jest niełatwym zadaniem, poniewaz ma ona prawie trzynascie tysiecy kilometrow dlugosci. SOB przesluchuje informatorow, ludzi podejrzanyc

wspieranie terrorystów i znanych nam współpracowników zamachowców samobójców. Trwają również poszukiwania, chodzimy od domu do domu, głównie w muzułmańskich dzielnicach miasta, a nasi muzułmańscy rodacy zaczynają się już denerwować. Jeśli nie będziemy ostrożni, sprawy mogą błyskawicznie wymknąć się spod kontroli. - Seymour spojrzał na Gabriela. - Duża szkoda, że nie udało ci się zranić, zamiast zabić, chociaż jednego z terrorystów w Hyde Parku. Naprawdę potrzebujemy informacji.

SO 13 to Wydział Antyterrorystyczny londyńskiej policji.

- Może mi się udało - powiedział Gabriel.

- O czym ty mówisz?

- Strzeliłem kilka razy w tył jednej furgonetki, tak że miej oko na Arabów zgłaszających się do szpitali z podejrzanymi ranami postrzałowymi.

Limuzyna skręciła w ulicę Millbank i pojechała wzdłuż Tamizy w kierunku Lambeth Bridge. Zaświergotał telefon komórkowy Seymoura; przyłożył go więc do ucha, wymamrotał

kilka słów, po czym się rozłączył.

- Amerykanie - wyjaśnił. - Jak się zapewne domyślasz, są teraz na wojennej ścieżce.

Zamknęli cały teren ambasady, by zapewnić bezpieczeństwo personelowi i urzędnikom.

Podnieśli również poziom zagrożenia terrorystycznego, odradzając swoim rodakom podróże do Zjednoczonego Królestwa, co nie bardzo podoba się na Downing Street i w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ponieważ to stawia nas na równi z Pakistanem, Afganistanem i Libanem. Dwustu śledczych z CIA, FBI, Departamentu Sprawiedliwości i kilku instytucji wyładowało dziś wieczorem na Heathrow i rozłożyło się ze swoim majdanem na Grosvenor Square. Bezustannie zajęte są linie do waszyngtońskiej Grupy Specjalnej Departamentu Stanu i komisji specjalnej COBRA, której przewodniczy sekretarz spraw wewnętrznych, nadzorujący reakcje brytyjskiego rządu na takie wyjątkowe sytuacje w kraju jak ta.

- I dobrze się sprawują?

Seymour ciężko westchnął.

- Na tyle dobrze, na ile można się tego spodziewać, biorąc pod uwagę okoliczności.

Teraz jest to przede wszystkim sprawa brytyjskiej policji, co oznacza, że niewiele mają do roboty oprócz usunięcia się w cień i zmuszenia nas do dokładniejszych i szybszych poszukiwań. Dali nam jasno do zrozumienia, że pomimo tak dużej liczby zabitych kwestią bezwzględnie najważniejszą jest odnalezienie Elizabeth Halton, dali nam r ó w n i e ż do zrozumienia, że nie mają zamiaru negocjować w jej sprawie z porywaczami.

- Bo jeśli będą negocjować, amerykańscy dyplomaci na całym świecie już nigdy nie będą mogli się

czuć bezpiecznie - powiedział Gabriel. - To trudna lekcja, której nauczyliśmy się dawno temu.

- My wolimy ostrożniejszą interpretację tej zasady: jeśli dzięki uczciwym negocjacjom będzie można odzyskać tę kobietę żywą, to nie widzę w tym nic złego.

- Sądzę, że to zależy wyłącznie od tego, co trzeba poświęcić, by ją odbić.

Gabriel spojrział przez okno na Tamizę. Trzydzieści tysięcy kilometrów linii brzegowej, niezliczona liczba przystani i prywatnych lotnisk... Z własnego doświadczenia wiedział, że umiarkowanie inteligentny i majątny terrorysta może wywieźć zakładnika, dokąd chce. Rok wcześniej porwano jego żonę z ekskluzywnego brytyjskiego szpitala psychiatrycznego i zanim ktokolwiek się zorientował, że zniknęła, była już na promie płynącym do Francji.

- Zdaje się, że macie z Amerykanami wszystko pod kontrolą - powiedział. - A to oznacza, że nie pozostało mi nic innego, jak opuścić Londyn i udawać, że nigdy mnie tu nie było.

- Gabrielu, obawiam się, że to nie będzie możliwe.

- Co?

- Jedno i drugie.

Seymour wyjął z teczki porannego „Timesa” i wręczył go Gabrielowi. W wielkim nagłówku napisano: LONDYN: TERRORYZM I PORWANIE, ale to napis u dołu strony zwrócił jego uwagę: HYDE PARK: AGENT IZRAELSKIEGO WYWIADU WPADŁ W

ZASADZKĘ. Pod spodem widniało kiepskiej jakości zdjęcie Gabriela celującego z beretty w twarz Samira al-Masriego, a w środku zamieszczono drugą fotografię: jego zdjęcie policyjne z Nowego Scotland Yardu zrobione kilka godzin po ataku.

- Fotografię w parku zrobił telefonem komórkowym jakiś przechodzień. Wprawdzie jest słabej jakości, ale za to scena jest dość dramatyczna. Gratuluję, Gabrielu. Jak sądzę, są już kolejni terroryści, którzy chcą twojej głowy.

Gabriel włączył lampkę do czytania i przejrzał artykuł, który ujawniał jego prawdziwe imię i nazwisko oraz dość dokładny opis jego zawodowych poczynań.

- To twoje służby za tym stoją?

- Gabrielu, uwierz mi, w tej chwili mam naprawdę dużo kłopotów i nie potrzebuję kolejnego. To nieokreślone źródło, ale oczywiście wyciek musiał mieć miejsce w londyńskiej policji. Gdybym miał zgadywać, wskazałbym wyższego rangą oficera próbującego przypochlebić się ważnej gazecie. Ale niezależnie od tego, jak to się stało, nie będziesz mógł

opuścić kraju, dopóki wszystkie kwestie związane z twoim udziałem w tej sprawie nie zostaną wyjaśnione, uporządkowane i ogłoszone na odpowiednim forum.

- Grahamie, szczegóły mojego udziału w tej sprawie są całkiem jasne. Przybyłem do Londynu, by cię ostrzec, że w Anglii prawdopodobnie znajduje się amsterdamska komórka terrorystyczna, która przygotowuje się do groźnego ataku. Ty postanowiłeś zignorować to ostrzeżenie. Może chciałbyś, bym ogłosił to na odpowiednim forum?

Zanim Seymour zareagował, zdawało się, że głęboko zastanawia nad tym pytaniem.

- Jesteś oskarżony o kilka poważnych przestępstw: przekroczenie brytyjskiej granicy z fałszywym paszportem, nielegalne posiadanie broni palnej i jej bezprawne użycie w miejscu publicznym.

- Użyłem tej nielegalnej broni przeciwko trzem terrorystom mordercom.

- To nie ma znaczenia. Musisz zostać w Wielkiej Brytanii, dopóki nie uporządkujemy spraw. Gdybym cię teraz zwolnił, zewsząd dochodziłyby głosy potępienia i zgrzytanie zębami. - Seymour nieznacznie się uśmiechnął. - Gabrielu, nie martw się, przygotowaliśmy ci komfortową kwaterę. Jesteś szczęściarzem, bo w końcu kiedyś wydostaniesz się z Londynu, a my będziemy musieli tu pozostać i żyć, uwzględniając następstwa tego ataku.

- Moje służby wiedzą, że jestem w areszcie?

- Niebawem się dowiedzą. Właśnie powiadomiliśmy koordynatora spraw prawnych w twojej ambasadzie i szefa placówki Agencji.

Samochód skręcił na podjazd Thames House, imponującej nadbrzeżnej kwatery głównej MI5. Po drugiej stronie rzeki, na nabrzeżu Alberta, wznosiła się Vauxhall Cross, kwatera główna MI6, służb wywiadu zagranicznego Wielkiej Brytanii.

- Mój kierowca podrzuci cię do jednego z naszych bezpiecznych domów - powiedział

Seymour. - Ale nawet nie myśl o ucieczce. To doskonały i dobrze uzbrojony strzelec.

- Grahamie, a dokąd mogę uciec? Przecież nie mam paszportu.

- Jestem pewien, że jakiś by się znalazł.

Otwierając drzwi, Seymour rzekł:

- Gabrielu, czy jest coś, o czym chciałbyś nam jeszcze powiedzieć? Cokolwiek. Coś, co pomogłoby nam zlokalizować Elizabeth Halton?

- Powiedziałem już wszystko, co wiem.

- Wszystko oprócz nazwiska twojego amsterdamskiego źródła.

- Grahamie, obiecałem, że będę go chronił. Pamiętasz, co to znaczy chronić źródło?

- Czasami źródła się nie chroni, tylko wykorzystuje je i sprawia, że jest spalone.

- Wolałbym, żeby go to nie spotkało. Przychodząc do nas, ryzykował życie.

- A wzięłeś pod uwagę, że może być jakoś zamieszany w tę sprawę?

- Nie jest.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedział Seymour. - Z doświadczenia wiem, że źródła rzadko mówią całą prawdę. W istocie rzeczy najczęściej kłamią, tak, tak, to właśnie robią.

*

Tymczasowe schronienie Gabriela okazało się uroczym domem z wapienia otoczonym kilkudziesięcioma hektarami prywatnego terenu na falistych wzgórzach Cotswolds. Drugiego dnia rano przy relaksującym posiłku w zalanym światłem pokoju śniadaniowym Spencer, bezpośredni rudowłosy zarządca obiektu i weteran MI5, zapoznał Gabriela z zasadami jego pobytu. Będzie miał dostęp do telewizji, radia i gazet, ale oczywiście nie do telefonu. Prawie wszystkie pokoje w domu oddane były do jego użytku, ale miał ograniczyć rozmowy z personelem do absolutnego minimum. Mógł sam spacerować po terenie, ale gdyby chciał się udać do wioski, trzeba byłoby zorganizować eskortę. Wszystkie jego ruchy będą obserwowane i nagrywane, a jakakolwiek próba ucieczki zakończy się niepowodzeniem i doprowadzi do cofnięcia wszystkich przywilejów.

Gabriel spędzał czas na uważnej obserwacji postępów brytyjskiego śledztwa.

Codziennie wstawał wcześnie rano i czytał stertę gazet, które razem z herbatą i tostami czekały na niego w pokoju śniadaniowym. Następnie zamykał się w bibliotece i oglądał w telewizji brytyjskie i amerykańskie serwisy w poszukiwaniu wiarygodnych informacji na temat tożsamości sprawców i losu Elizabeth Halton. Minęły siedemdziesiąt dwie godziny od jej uprowadzenia, a do ataku nadal nie przyznała się i nie wystąpiła z żądaniami żadna organizacja. Ambasador Halton zaapelował ze stoickim spokojem, by uwolniono jego córkę, to samo uczynili amerykański prezydent i brytyjski premier. Po kilku dniach eksperci w telewizji zaczęli spekulować, że porywacze zabili już córkę ambasadora albo że zginęła w początkowej fazie ataku. Gabriel uznał te spekulacje za przedwczesne i najprawdopodobniej nieprawdziwe. Widział tę skomplikowaną akcję na własne oczy i wiedział, że porywacze w końcu się ujawnią i wystąpią z żądaniami.

Czwartego dnia niewoli załatwił sobie popołudniową przejażdżkę do wioski, gdzie przez godzinę włóczył się po sklepach przy głównej ulicy. Kupił dla Chiary wełniany sweter, a dla Szamrona piękną dębową laskę. Kiedy wrócił do domu, na zwirowym podjeździe czekał

na niego Spencer, wymachujący kartką papieru; wyglądało to tak, jakby zawierała informacje wielkiej wagi nadesłane z odległego zakątka królestwa. I tak też było. Brytyjczycy zgodzili się cofnąć wszystkie zarzuty przeciwko Gabrielowi w zamian za jego zeznania w oficjalnym śledztwie w sprawie ataków. Zarezerwowano mu miejsce na najbliższy wieczorny lot do Tel Awiwu i poczyniono przygotowania, by wszedł na pokład oddzielnym wejściem. Za godzinę miał przyjechać po niego samochód, okazało się jednak, że przyjechał cały konwój. Pojazdy były amerykańskie, Amerykaninem był także odziany w dyplomatyczne szarości, wytwornie wyglądający mężczyzna, który siedział na tylnym siedzeniu limuzyny.

- Dzień dobry, panie Allon - powiedział ambasador Robert Halton. - Czy mogę podwieźć pana na lotnisko? Chciałbym zamienić z panem słowo.

*

- Może mi pan podziękować za uwolnienie - rzekł ambasador. - Kiedy dowiedziałem się, że nadal przebywa pan w areszcie, zatelefonowałem do premiera i powiedziałem mu, by natychmiast pana wypuścić.

- Wiedziałem, że Amerykanie mają duże wpływy na Downing Street, ale nie wiedziałem, że ma pan aż taką władzę, która umożliwia uwalnianie więźniów.

- Premier absolutnie by sobie nie życzył, bym wystąpił publicznie z żądaniami.

Według najświeższych sondaży to ja cieszę się teraz w Wielkiej Brytanii największą popularnością. Proszę mi powiedzieć, dlaczego prasa przeprowadza takie sondaże?

- Już nawet nie próbuję tego zrozumieć, panie ambasadorze.

- Zgodnie z tym samym sondażem, większość Brytyjczyków twierdzi, że sprowadziłem na siebie to nieszczęście przez przyjaźń z prezydentem i jawne poparcie wojny w Iraku. Nasi wrogowie używają teraz wojny i naszego poparcia dla Izraela do uzasadnienia wszelkiego rodzaju grzechów.

- Obawiam się, że jeszcze długo to potrwa.

Ambasador zdjął okulary i pomasował grzbiet nosa. Wyglądał, jakby nie spał od wielu dni.

- Chciałbym uwolnić swoją córkę jedną rozmową telefoniczną. Niełatwo jest być wpływowym człowiekiem, który nagle stał się bezsilny. Miałem w życiu wszystko, co chciałem, ale odebrali mi jedyną osobę, na której stratę nie mogę sobie pozwolić.

- Żałuję, że nie przybyłem kilka sekund wcześniej - powiedział Gabriel. - Gdyby mi się to udało, być może powstrzymałbym porywaczy pańskiej córki.

- Proszę się nie obwiniać za to, co się stało. Jeśli ktoś jest winny, to tylko ja. To ja przyjąłem tę pracę i poprosiłem Elizabeth, by wszystko rzuciła i przyjechała tu ze mną. To ja pozwoliłem jej biegać rano w Hyde Parku trzy razy w tygodniu pomimo obawy, że coś takiego może się zdarzyć.

Ambasador założył okulary i przez chwilę patrzył na Gabriela w zamyśleniu.

- Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy usłyszałem, że tajemniczym mężczyzną, który zabił w Hyde Parku trzech terrorystów, jest właśnie pan. Panie Allon, prezydent to mój najbliższy przyjaciel i gdyby nie pan, być może zostałby zabity w tym roku w Watykanie.

Właściwie to osobisty sekretarz papieża, monsinior Luigi Donati, uratował życie prezydentowi. Gabriel tylko zabił nawróconego na radykalny islam zamachowca, któremu udało się przeniknąć do szeregów Gwardii Szwajcarskiej.

- Co powiedzieli Brytyjczycy na temat szans na odnalezienie pana córki? - zapytał.
 - Niewiele. Przeprowadzili dziś naloty na trzy miejsca, gdzie jak sądzili, może być przetrzymywana. Informacje okazały się jednak nieprawdziwe. Nie rozumiem tylko, dlaczego terroryści nie wystąpili jeszcze z żadnymi żądaniem.
 - Ponieważ wiedzą, że niepewność sprawia panu wielki ból. Chcą, aby był pan wdzięczny, kiedy w końcu je ogłoszą.
 - Jest pan pewien, że chcą czegoś w zamian?
 - Tak, panie ambasadorze. Ale musi się pan przygotować na to, że jest to najprawdopodobniej coś, czego nie może im pan dać.
 - Raz po raz przypominam sobie, że są ważniejsze zasady i kwestie polityczne niż los mojej córki - powiedział ambasador. - Przygotowuję się na to, że być może moja córka będzie musiała umrzeć, by zapewnić bezpieczeństwo dyplomatom na całym świecie. Ale, panie Allon, to nie jest zbyt uczciwy kompromis i wcale nie jestem pewien, czy jestem gotów zapłacić taką cenę. W istocie rzeczy jestem całkiem pewny, że dałbym wszystko, czego zechcą, by odzyskać moją córkę żywą.
 - Panie ambasadorze, właśnie o to im chodzi. To dlatego zwlekają z żądaniem.
 - Pana rząd ma doświadczenie w tego typu sprawach. Jak pan uważa, czego mogą chcieć?
 - Uwolnienia więźniów - powiedział Gabriel. - Prawie zawsze tego chcą. Może kilku, a może tylko jednego, ale za to ważnego.
 - Na przykład tego, który był mózgiem ataków z 11 września?
 - To zależy, kto ją porwał.
 - Rozważam zaoferowanie dużej nagrody za dostarczenie informacji.
 - Jak dużej?
 - Pięćdziesiąt milionów dolarów.
 - Taka nagroda ściągnie najprawdopodobniej szarlatanów i oszustów, a Brytyjczycy utoną w morzu fałszywych wskazówek i tropów, co raczej zaszkodzi śledztwu, a nie pomoże.
- Panie ambasadorze, zaleciłbym na razie zamknąć portfel.
- To zapewne rozsądna rada. - Przez chwilę patrzył na Gabriela w milczeniu. -
- Przypuszczam, że nie ma żadnego sposobu na przekonanie pana, by został w Londynie kilka dni i pomógł odnaleźć moją córkę?

- Obawiam się, że muszę wrócić do siebie i ponieść konsekwencje zamieszczenia mojego zdjęcia w gazecie. Poza tym to jest sprawa pana i Brytyjczyków. Oczywiście, jeśli nam uda się zdobyć jakieś informacje, natychmiast damy panu znać.

Zadzwonił telefon. Ambasador podniósł z konsoli słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

Przez chwilę słuchał z malującym się na twarzy napięciem, po czym wymamrotał:

- Dziękuję, premierze. - Rozłączył się i spojrzał na Gabriela.

- Policja właśnie przeprowadziła nalot na dom w Walthamstow, we wschodniej części Londynu. I nic. - Zamilkł refleksyjnie. - Właśnie przyszło mi do głowy, że to p a n był

ostatnim człowiekiem, który widział moją córkę, a raczej ostatnim p r z y z w o i t y m człowiekiem.

- Chyba tak, panie ambasadorze.

- Widział pan jej twarz?

Przytaknął skinieniem głowy.

- Tak.

- Skrzywdzili ją?

- Nie wyglądała na ranną.

- Bała się?

Gabriel odpowiedział zgodnie z prawdą:

- Proszę pana, jestem pewien, że bardzo się bała, ale nie poddała się. Walczyła z nimi.

Nagle oczy ambasadora zaślniły od łez.

- Bardzo się cieszę - rzekł Robert Halton. - I mam nadzieję, że teraz również to robi.

W rzeczy samej walczyła z nimi. Walczyła z większą wściekłością i znacznie dłużej niż się tego spodziewali. Walczyła, kiedy pędzili z Hyde Parku ulicą Edgware i alejką, przy której stał garaż w dzielnicy Maida Vale, gdzie wsadzili ją do drugiej furgonetki. Drapała i kopała.

Pluła w ich twarze i wyzywała od krwiożerczych tchórzy. W końcu zmuszeni byli użyć igły.

Nie lubiła igieł. Więcej już z nimi nie walczyła...

Jej pokój był niewielki i kwadratowy, z cementową podłogą i ścianami z pustaków w kolorze trupiej bieli. Nie było w nim nic oprócz składanego wojskowego łóżka polowego z twardą jak cegła poduszką i szorstkim wełnianym kocem, który śmierdzał kulkami naftalinowymi i środkiem dezynfekującym. Miała skute kajdankami ręce i nogi. Światło zawsze było zapalone, by nie wiedziała, czy jest dzień, czy noc. W metalowych drzwiach był

wizjer, przez który bezustannie obserwowało ją złowrogie piwne oko. Marzyła o wbiciu w nie skalpela. Kiedy spała, co zdarzało się rzadko, jej sny wypełniała przemoc.

Jej relacje z porywaczami były ściśle uregulowane i ograniczone do absolutnego minimum. Ogólne zasady zostały ustalone już pierwszego dnia, kiedy doszła do siebie po narkotykach. Cała komunikacja sprowadzała się do wsuwanych pod drzwi celi karteczek, po otrzymaniu których miała cicho odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Ostrzegli, że jakiegokolwiek naruszenie ustalonych zasad doprowadzi do tego, że przestanie dostawać wodę i jedzenie. Jak dotąd zadali jej tylko dwa pytania: „Czy chcesz jeść?” i „Czy chcesz skorzystać z toalety?”.

Za każdym razem, kiedy pod drzwiami pojawiała się wiadomość, odpowiadała „tak”

niezależnie od tego, czy była głodna i czy musiała się załatwić. Powiedzenie „tak” oznaczało przerwanie monotonnego wpatrywania się w białe nijakie ściany i chwilowe zetknięcie się z porywaczami, co o dziwo poprawiało jej nastrój, mimo że tak bardzo ich nienawidziła.

Jej posiłki zawsze były jednakowe: kromka chleba z plasterkiem sera, butelka wody i kilka kostek czekolady, jeśli się dobrze sprawowała. Cała jej toaleta to zaledwie żółte plastikowe wiadro. Do jej celi zawsze wchodziło tylko dwóch porywaczy, którzy nie chcieli pokazywać twarzy i nosili w jej obecności kominiarki, ale i tak nauczyła się odróżniać ich po oczach. Jeden miał piwne, a drugi zielone, które perwersyjnie uważała za piękne -

„piwnookiego” przezywała Kainem, a „zielonookiego” Ablem. Kain zawsze przynosił

jedzenie, ale to biedny Abel musiał opróżniać wiadro i był na tyle miły, że odwracał przy tym zielone oczy.

By wypełnić długie puste godziny, grała w gry logiczne. Sunęła nieskończenie długimi trasami narciarskimi w krystalicznie czystym powietrzu. Przeprowadzała trudne operacje i od nowa czytała wszystkie nudne podręczniki medyczne. Często rozmawiała z matką. Ale najczęściej myślała o chwili

porwania. W jej głowie bezustannie przewijała się taśma wideo, nad którą nie miała kontroli: wyskakujący z furgonetek mężczyźni w czarnych kombinezonach, leżące w Hyde Parku ciała jej przyjaciół, próbujący ją ratować mężczyźni.

Kiedy ciągnęli ją do furgonetki, w przelocie rzuciła na niego okiem - szczupły mężczyzna z siwymi skrońmi klęczał z bronią w wyciągniętych rękach. Często się zastanawiała, kim był, i miała nadzieję, że pewnego dnia będzie mogła mu podziękować, oczywiście jeśli kiedykolwiek ją uratują.

Jeśli kiedykolwiek mnie uratują... Z jakiegoś powodu częściej myślała o swojej śmierci niż o chwili uwolnienia. Wiedziała, że najprawdopodobniej była celem intensywnych poszukiwań, ale jej nadzieja na to, że kiedykolwiek ją odnajdą, powoli gasła - dni mijały, a karteczki pojawiały się z otepiającą regularnością. „Czy chcesz jeść?” ... „Czy chcesz skorzystać z toalety?” ... Jednak piątego dnia, tego samego kiedy mężczyzna z siwymi skrońmi wsiadał na Heathrow do samolotu, otrzymała wiadomość z innym pytaniem: „Jeden z moich ludzi potrzebuje lekarza. Czy nam pomożesz?”. - „Tak” - odpowiedziała cicho, po czym do jej celi weszli Kain i Abel i delikatnie pomogli jej wstać.

*

Bez słowa poprowadzili ją do stromych wąskich schodów - powoli, by się nie potknęła o kajdanki. Na górze weszli przez skrzypiące metalowe drzwi do niewielkiego magazynu. W środku panował mrok i było pusto. W odległym rogu nad kilkoma łózkami polowymi paliła się jedna lampa. Na jednym z łóżek leżał mężczyzna, którego nieosłonięta kominiarką twarz była mokra od potu i wykrzywiona w bolesnym grymasie. Kain podniósł

koc, pokazując jego prawą nogę.

- Jezu Chryste - powiedziała łagodnie Elizabeth.

Kula przeszła pod kolanem i roztrzaskała główkę kości piszczelowej. Rana miała dwa centymetry średnicy i tkwiły w niej resztki ubrania, które miał na sobie rano w dniu ataku.

Skóra wokół niej była czerwonawobrazowa, a noga bardzo spuchnięta, czerwone smugi rozchodziły się promieniście po udzie. Cierpiał, miał poważne zakażenie miejscowe i był o krok od sepsy. Chwyciła jego nadgarstek, ale jeden z terrorystów, Kain o piwnych oczach, złapał ją za rękę.

- Muszę zmierzyć mu tętno.

Wyrwała się z jego uścisku i przyłożyła opuszki palców do wewnętrznej strony nadgarstka - miał szybki i słaby puls; następnie położyła mu rękę na czole, które było mokre od potu i rozpalone gorączką.

- Musi natychmiast pojechać do szpitala. I to dobrego.

Kain potrząsnął głową.

- W przeciwnym wypadku umrze.

Terrorysta podniósł odzianą w rękawiczkę rękę i wskazał palcem niczym załadowaną bronią na twarz Elizabeth.

- J a? Tutaj nie dam rady nic dla niego zrobić. Musi przebywać w sterylnych warunkach. Musi natychmiast pojechać do szpitala.

Terrorysta znowu potrząsnął głową.

- Uwolnicie mnie, jeśli mu pomożecie?

Tym razem nawet się nie pofatygował, by odpowiedzieć. Elizabeth spojrzała na rannego mężczyznę - miał niecałe dwadzieścia pięć lat. Bez natychmiastowej pomocy umrze w cierpieniach w ciągu najbliższych trzydziestu sześciu godzin. Wprawdzie na to zasługiwał, ale w tej chwili nie miało to dla niej znaczenia. Był bardzo cierpiącym człowiekiem, a przysięga lekarska zobowiązywała ją do niesienia mu pomocy. Spojrzała na terrorystę o piwnych oczach.

- Będę potrzebowała kilku rzeczy. N a d a l jesteście w Wielkiej Brytanii, tak?

Terrorysta zawahał się, po czym przytaknął skinieniem głowy.

- Zatem twój przyjaciel ma szczęście. Wciąż można kupić tu bez recepty bardzo silne antybiotyki. Dajcie mi kartkę i coś do pisania. Zrobię wam listę potrzebnych rzeczy; jeśli ich nie kupicie, wasz przyjaciel umrze.

Port lotniczy Ben Guriona w Tel Awiwie, godzina 22:47, czwartek Kiedy Gabriel przyleciał tego wieczoru na lotnisko Ben Guriona, w poczekalni dla VIP-ów nie było nikogo. Sam przemierzył długi biały korytarz i wyszedł na lodowate powietrze. Na rondzie stała opancerzona limuzyna Szamrona, a przez półotwarte okno ulatywał papierosowy dym. Za nią zaparkowany był drugi samochód z ludźmi z ochrony, nieprawdopodobnie młodymi - nowym uzupełnieniem świty Szamrona towarzyszącym mu od czasu zamachu na jego życie. Spędzał swoje ostatnie lata w Agencji w towarzystwie uzbrojonych dzieci i Gabriel bał się, że jego również kiedyś czeka taki los.

Wsiadł na tylne siedzenie limuzyny i zamknął drzwi. Szamron przyjrzał mu się w milczeniu, po czym podniósł pokrytą plamami wątrobowymi rękę i dał kierowcy znak, by ruszył. Chwilę później, kiedy pędzili na Wzgórza Judejskie w kierunku Jerozolimy, położył

na kolanach Gabriela stertę izraelskich gazet: „Haarec”, „Maariw”, „Jediot Ahronot” i

„Jerusalem Post”. W każdej z nich na pierwszej stronie było jego zdjęcie.

- Wysłałem cię do Amsterdamu na kilka dni, byś sobie trochę po cichu poczytał i co mi przywozisz? Wiesz co, Gabrielu? Naprawdę są prostsze sposoby, by wymigać się od obiadu u premiera.

- Ale ja nie mogłem się go doczekać.

Szamron spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Przynajmniej ton artykułów jest pozytywny. To nie są cięgi, które zazwyczaj zbieramy, kiedy demaskowani są w terenie nasi agenci. Znowu jesteś bohaterem narodowym.

„Haarec” nazwał cię „nie aż tak tajnym izraelskim superagentem”. To mi się najbardziej podoba.

- Cieszę się, że uważasz to wszystko za takie zabawne.

- Wcale nie uważam tego za zabawne - powiedział Szamron. - Zdobyliśmy się na niezwykle krok i wysłaliśmy cię do Londynu, byś się upewnił, że Brytyjczycy dostrzegają powagę naszego ostrzeżenia. Postanowili je zignorować, czego rezultatem była jatka w metrze i porwanie córki ambasadora amerykańskiego przez islamskich terrorystów.

- Nie wspominając o sześciu zabitych amerykańskich dyplomatach i ludziach z ochrony.

- Tak, każdy zdaje się o nich zapominać. - Szamron zapalił kolejnego papierosa. -

Skąd wiedziałeś, że uderzą w Hyde Parku?

- Nie w i e d z i a ł e m. To była tylko teoria, która niestety okazała się prawdziwa.

- A co cię doprowadziło do tej teorii?

Powiedział mu o notesie, który wziął z mieszkania Samira al-Masriego w Amsterdamie, i o odkrytym wzorze. Szamron uśmiechnął się. Doskonałą pamięć Gabriela uważał za jedno ze swoich najlepszych osiągnięć. Gabriel przyszedł do niego z gotowym mechanizmem, ale to Szamron mu pokazał, jak go używać.

- Więc ostrzegłeś ich nie raz, ale dwa razy - zwrócił uwagę.

- Nic dziwnego, że Brytyjczycy zachowywali się jak osły podczas negocjacji w sprawie twojego zwolnienia. Odniosłem nieodparte wrażenie, że używali twojego aresztowania i uwięzienia do wywarcia na nas presji.

- W jakim celu?

- By twoje zeznania podczas śledztwa w sprawie ataków nie ujawniły prawdziwej natury twoich dwóch rozmów z Grahamem Seymourem.

- Seymour chroni własną dupę?

- Wkroczył właśnie w ostatni etap swojej długiej, imponującej kariery. Już widzi oczyma wyobraźni wiejską rezydencję, tytuł szlachecki i ciepłą posadkę w zarządzie poważanej firmy finansowej w londyńskim City. Nie chce, by jakiś uzbrojony izraelski bandyta podstawił mu nogę przed samą metą.

- Ostatnia rzecz, jaką zamierzam zrobić, to bronić reputacji i emerytury Grahama Seymoura.

- No tak, ale też nie chcesz postawić go w trudnym położeniu. Będziemy musieli obmyślić jakąś subtelną wersję, która ochroni zarówno twoją reputację, jak i jego. - Szamron uśmiechnął się. Tworzenie subtelnych wersji wydarzeń było jedną z jego ulubionych rozrywek. - Kompromitowanie Grahama Seymoura nie ma najmniejszego sensu. W

następnym wcieleniu będziesz go potrzebował, jego przyjaciół również.

- A jakie to wcielenie?

Szamron przyjrzał się Gabrielowi przez obłok papierosowego dymu.

- Gabrielu, udawanie głupiego również nie ma najmniejszego sensu. Doskonale wiesz, co cię czeka. Przyszedł czas, byś przejął dowództwo. Klucze do sali tronowej są w zasięgu twojej ręki.

- Być może, Ari, ale jest jeden problem. Ja ich nie chcę. Istnieje wiele innych rzeczy, które chcę robić przez resztę życia.

- Obawiam się, że czas zakończyć dzieciadę.

- Masz na myśli konserwację dzieł sztuki?

- Tak.

- Nie uważałeś jej za dziecinadę, kiedy używałeś jej jako przykrywkę dla ukrycia zabójcy.

- Twoje zajęcie jako konserwatora było dla nas użyteczne przez długi czas -

powiedział Szamron - ale ten czas przeminął.

Przejechali obok spalonego transportera opancerzonego, pozostałości po zażartej bitwie (w 1948 roku - przyp. wyd. pol), jaka miała miejsce w Bab al-Wad podczas izraelskiej wojny o niepodległość.

- Bywałem w gabinecie premiera w czasach kryzysu - rzekł Gabriel. - Widziałem, jak nasi przywódcy rozrywają się na strzępy. Nie tak chcę przeżyć następne dziesięć lat. Poza tym, kiedy ci wszyscy byli generałowie na mnie spojrzą, zobaczą tylko uzbrojonego chłopca.

- Nie jesteś już chłopcem. Zbliżasz się do wieku, kiedy mężczyźni osiągają w rządzie szczyt kariery. Ty po prostu osiągniesz go trochę wcześniej niż reszta. Zawsze miałeś w sobie coś z cudownego dziecka.

Gabriel podniósł „Haareca”.

- A co z tym?

- Ze skandalami? - Szamron wzruszył ramionami. - Kariera wolna od skandali wcale nie jest prawdziwą karierą. Dzięki skandalom w większości przypadków zyskałeś cennych sojuszników w Waszyngtonie i Watykanie.

- Narobiłem sobie również wrogów.

- Byliby twoimi wrogami niezależnie od tego, czym się zajmujesz. I będą nimi jeszcze długo po tym, jak twoje ciało spocznie na Górze Oliwnej przy Dani. - Szamron zgniół

papierosa. - Gabrielu, nie martw się, to nie jest coś, co stanie się z dnia na dzień. Śmierć Amosa będzie powolna i zaledwie garstka ludzi będzie wiedziała, że jest nieuleczalnie chory.

- Kiedy?

- Za rok - powiedział Szamron. - Może za osiemnaście miesięcy. Tak że masz mnóstwo czasu na odnowienie jeszcze kilku obrazów dla swojego przyjaciela w Rzymie.

- Ari, nie ma mowy, by przez rok udało ci się dochować tajemnicy. Zawsze mówiłeś, że najgorsze miejsce do dotrzymywania tajemnic to służby wywiadowcze.

- W tej chwili wtajemniczone są w to tylko trzy osoby: ty, ja i premier.

- I Uzi.

- Musiałem mu powiedzieć - rzekł Szamron. - Służy mi w Agencji za oczy.

- Może właśnie dlatego mnie tam chcesz.

Szamron się uśmiechnął.

- Nie, Gabrielu. Chcę cię, bym mógł wreszcie z a m k n ą ć oczy.

- Ari, chyba nie myślisz o śmierci?

- Chciałbym po prostu uciąć sobie krótką drzemkę.

Gabriel odwrócił się i wyjrzał przez tylną szybę limuzyny - samochód eskorty jechał

tuż za nimi. Spojrzał na Szamrona i zapytał, czy otrzymał z Londynu jakieś informacje dotyczące Elizabeth Halton.

- Porywacze wciąż milczą - powiedział. - Milczą też Brytyjczycy, a przynajmniej na temat, którego nie chcieliby publicznie poruszać. Ale możliwe, że wejdziemy w posiadanie pewnych przydatnych informacji.

- Skąd?

- Z Egiptu - rzekł Szamron. - Wcześniej rano nasz największy skarb z BŚBN wysłał

nam sygnał, że coś dla nas ma.

BŚBN to skrót od eleganckiej nazwy egipskiej tajnej policji, czyli Zarządu Generalnego Biura Śledczego Bezpieczeństwa Narodowego.

- Kto to? - zapytał Gabriel.

- Wazir al-Zaijat, szef Wydziału Zwalczania Działalności Religijnej. Wykonuje jedną z najcięższych robót na Bliskim Wschodzie, a do jego obowiązków należy zdobywanie informacji czy rodzimi ekstremiści muzułmańscy nie planują obalenia reżimu. Egipt to duchowy bastion fundamentalizmu muzułmańskiego, a Al-Kaidę tworzą oczywiście głównie egipscy muzułmanie. Wazir wie więcej na temat toczzonego na całym świecie dżihadu niż ktokolwiek inny. Bezustannie powiadamia nas o zagrożeniach dla reżimu Mubaraka i przekazuje wszystkie informacje dotyczące tego, czy egipscy terroryści wybierają nas jako cel ataku.

- Co dla nas ma?

- Nie dowiemy się, dopóki z nim nie porozmawiamy - powiedział Szamron. -

Spotkamy się poza granicami kraju.

- Gdzie?

- Na Cyprze.

- Kto jest jego oficerem śledczym?

- Szimon Pazner.

Pazner to szef placówki w Rzymie, która służyła Agencji również jako kwatera główna operacji w rejonie Morza Śródziemnego.

- Kiedy Pazner leci na Cypr?

- Z samego rana.

- Powiedz mu, by został w mieście.

- Dlaczego?

- Ponieważ to ja polecę na Cypr spotkać się z Egipcjaninem.

Szamron przyjął deklarację Gabriela, uporczywie milcząc.

- Twój udział w tej sprawie uznajmy oficjalnie za skończony - powiedział wreszcie. -

To jest teraz problem Amerykanów i Brytyjczyków, a my mamy dość własnych zmartwień.

- Ari, byłem tam, kiedy to się stało. Chcę, byśmy zrobili wszystko, co w naszej mocy, by ją odnaleźć.

- I zrobimy. Szimon Pazner współpracuje z Wazirem już od trzech lat. Jest bardzo kompetentny, więc może polecieć na Cypr i z nim porozmawiać.

- Nie wątpię w to, ale zamierzam polecieć na Cypr za niego.

W ciemności rozblęsnęła stara zapalniczka Szamrona ze stali nierdzewnej.

- Mój synu, nie jesteś jeszcze *Memuneh*. A poza tym chyba zapomniałeś, że twoje zdjęcie jest we wszystkich gazetach...

- Ari, nie jadę za żelazną kurtynę.

Szamron ostrożnie dotknął żaru na czubku papierosa i szybko go zgasił.

- Używasz przeciwko mnie moich własnych słów - rzekł. - Proszę bardzo, Gabrielu, poleć na Cypr nawet jutro. Tylko zadbaj, żeby chłopcy od zmiany wizerunku zrobili coś z twoim wyglądem. Przez tę akcję w Hyde Parku stałeś się ich kolejnym wrogiem.

- To samo powiedział Graham Seymour.

- No cóż - rzekł refleksyjnie Szamron - przynajmniej co do tego jednego miał rację.

*

Gabriel wszedł do swojego mieszkania dwadzieścia minut później. W salonie paliło się światło, a w powietrzu unosił się delikatny zapach wanilii. Rzucił torbę na nową kanapę i wszedł do sypialni. Na skraju łóżka siedziała Chiara i z dużym zainteresowaniem przyglądała się swoim stopom. Owinięta była ręcznikiem kąpielowym i miała bardzo opaloną skórę.

Spojrzała na Gabriela z uśmiechem. Wydawało się, jakby od ich ostatniego spotkania minęło zaledwie kilka minut, a nie kilka tygodni.

- Jesteś - powiedziała, udając zaskoczenie.

- Szamron nie wspomniał, że wracam do domu dziś wieczorem?

- Może...

Gabriel podszedł do niej i zdjął ręcznik z jej włosów, które ciężkie i mokre opadły bezładnie na jej ciemne ramiona. Nachyliła się do pocałunku i rozluźniła opasający ciało ręcznik. Kiedy wciągnęła go do łóżka, Gabriel pomyślał, że może Szamron miał rację... że to Pazner powinien polecieć na Cypr, by spotkać się z Egipcjaninem...

*

Kiedy skończyli się kochać, oboje porządnie zgłodnieli. Gabriel usiadł w kuchni przy małym stoliku i oglądał wiadomości w telewizji, podczas gdy Chiara robiła *fettuccine* z grzybami. Miała na sobie tylko rozpiętą koszulę Gabriela.

- Jak się dowiedziałas, że mnie aresztowano?

- Tak jak każdy, przeczytałam o tym w gazecie. - Nalała mu lampkę czerwonego wina.

- W Buenos Aires byłeś bardzo na topie.

- Co tam robiłaś?

- Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

- Wiem, że obserwowałaś komórkę Hezbollahu. Chcę się tylko dowiedzieć, czy byłaś we właściwej ekipie inwigilacyjnej czy tylko w eskorcie?

- W ekipie - powiedziała. - Teraz już rzadko pracuję w eskorcie.

- Dlaczego was wycofali?

- Z powodu nadmiernego narażenia na atak terrorystyczny.

Nagle na ekranie telewizora pojawiła się twarz Elizabeth Halton.

- Śliczna dziewczyna - rzekła Chiara. - Dlaczego ją porwali?

- Być może dowiem się tego jutro. - Powiedział jej o wyjeździe na Cypr.

- A co z obiadem u premiera?

Gabriel odwrócił wzrok od telewizora.

- Skąd o tym wiesz?

- Szamron mi powiedział.

- Niezłe mi bezpieczeństwo operacyjne - rzekł. - A co dokładnie ci powiedział?

Wrzuciła *fettuccine* do gotującej się wody i usiadła obok niego.

- Że zgodziłeś się objąć po Amosie stanowisko dyrektora.

- Na nic takiego się nie zgodziłem.

- Szamron twierdzi co innego.

- On już od dawna słyszy to, co chce słyszeć. Co jeszcze powiedział?

- Chce, byśmy uporządkowali nasze życie osobiste tak szybko, jak to tylko możliwe.

Uważa to za niezbyt właściwe, by dyrektor żył w nieformalnym związku i to z kobietą, która przypadkiem pracuje dla Agencji. Sądzi, że powinniśmy przyspieszyć nasze plany małżeńskie. - Przyłożyła mu palec pod brodę i zwróciła ku sobie jego twarz. - Zgadzasz się z tym, prawda?

- Och tak, oczywiście - rzekł pospiesznie Gabriel. Wiedział, że nawet najmniejsze zawahanie się w tej kwestii Chiara uzna za niechęć do zalegalizowania związku. -

Powinniśmy się pobrać tak szybko, jak to tylko możliwe - dodał.

- Czyli kiedy?

- Co kiedy?

- Gabrielu, to bardzo proste pytanie. Kiedy według ciebie powinniśmy się pobrać?

- Późną wiosną - powiedział. - Zanim zrobi się za gorąco.

- W maju?

- Maj będzie idealny.

Chiara zabrała spod jego brody palec i zaczęła nerwowo skubać przy paznokciu.

- Jak mam zaplanować ślub w sześć miesięcy?

- Zatrudnij do pomocy profesjonalnego organizatora ślubów.
- Gabrielu, ślub to nie operacja. Powinna go zaplanować rodzina, a nie profesjonalista.
- A co z Dżilą Szamron? Jest dla mnie jak matka.
- Dżila ma w tej chwili dość spraw na głowie, troszcząc się o swojego męża.
- Tym bardziej trzeba poprosić ją o pomoc przy ślubie. Zaufaj mi, chętnie skorzysta z okazji.
- Właściwie nie jest to zły pomysł. Nic dziwnego, że Szamron chce cię na szefa.

Pierwsze, co musimy zrobić, to ustalić listę gości.

- To proste - powiedział Gabriel. - Zaproś każdego z Agencji, Szabaku i AMAN-u, większość Rady Ministrów i połowę Knesetu. Och, i nie zapomnij o premierze.

- Sama nie wiem, czy chcę, by na moim ślubie był premier.

- Boisz się, że przyćmi cię pucułowaty osiemdziesięciolatek?

- Tak.

- Premier ma trzy córki i nie pozwoli sobie na to, by być w centrum uwagi w twoim wielkim dniu.

- Gabrielu, w n a s z y m wielkim dniu. - Woda zaczęła się gotować, więc Chiara podeszła do kuchenki. - Jesteś pewien, że musisz jutro polecieć na Cypr?

- Chcę osobiście usłyszeć, co ma do powiedzenia ten Egipcjanin.

- Ale dopiero co wróciłeś do domu...

- To tylko jeden dzień, góra dwa... Może polecisz ze mną? Mogłabyś tam popracować nad swoją opalenizną.

- O tej porze roku na Cyprze jest zimno.

- Więc chcesz, żebym poleciał sam?

- Dobrze, polecę z tobą - powiedziała. - Nic nie powiedziałaś na temat wyremontowanego mieszkania. Podoba ci się?

- Och tak - rzekł pospiesznie. - Jest uroczo.

- Na ławie znalazłam ślad. Postawiłeś na niej coś gorącego bez podkładki?

- To Uzi - powiedział Gabriel.

Chiara odcedziła *fettuccine* i zmarszczyła czoło.

- Jest takim flejtuchem - rzekła. - Nie wiem, jak Bella może z nim wytrzymać.

Rzeczy, o które poprosiła, poukładane były na sąsiednim łóżku: spirytus, gaza, gumowe rękawiczki, pęseta, szczypce, brzytwa, kodeina i kefalina w tabletkach, sterylne gaziki wielkości cztery na cztery, taśma chirurgiczna, dwa czterdziestopięciocentymetrowe kawałki drewna, dwie rolki bandaży i dwa litry wody utlenionej. Wyciągnęła zakute w kajdanki ręce w kierunku Kaina, na co ten tylko potrząsnął głową.

- Nie dam rady zrobić tego w kajdankach.

Zawahał się, ale jednak ją rozkuł.

- Jak przypuszczam, macie jeszcze narkotyki, które podaliście mi tuż po porwaniu?

Znów się zawahał, po czym niechętnie przytaknął skinieniem głowy.

- Daj je, w przeciwnym wypadku wasz przyjaciel będzie bardzo cierpiać.

Poszedł do furgonetki i chwilę później wrócił z zapakowaną w folię strzykawką i fiolką przezroczystego płynu. Elizabeth spojrzała na etykietkę: KETAMINA. Nic dziwnego, że miała po tym narkotyku tak silne halucynacje. Anestezjolodzy prawie nigdy nie używali ketaminy bez zaaplikowania dodatkowego środka uspokajającego, na przykład valium. Ci idioci zrobili jej kilka zastrzyków, nie używając niczego, co złagodziłoby skutki uboczne.

Odmierzyła właściwą dawkę, dwieście pięćdziesiąt miligramów, i wstrzyknęła ją w ramię rannego mężczyzny. Kiedy powoli tracił przytomność, wyjęła igłę ze strzykawki i włożyła ją do reklamówki z apteki, w której Kain kupił przybory chirurgiczne. Jej nazwa i adres napisane były na torebce niebieskimi literami. Elizabeth wiedziała, że wioska, w której przebywa, leży na wybrzeżu w hrabstwie Norfolk, na północny wschód od Londynu.

Zsunęła koc i ustawiła lampę tak, by dokładnie oświetlała ranę. Nabój utkwiał w miejscu złamania. Otworzyła butelkę i wylała na ranę sporą ilość spirytusu, starła gazą ropę.

Po oczyszczeniu rany wysterylizowała brzytwę i usunęła nią rozszarpaną tkankę martwiczą wokół jej krawędzi, następnie odkaziła pęsetę i przez kolejne dwadzieścia minut ostrożnie usuwała kawałki roztrzaskanej kości i włókien tkwiących w ranie, a na koniec wysterylizowała szczypce i delikatnie wsunęła je do środka. Chwilę później wyjęła nabój, który trochę odkształcił się po uderzeniu w kość piszczelową.

Dała Kainowi nabój na pamiątkę i przygotowała się do ostatniego etapu zabiegu, czyli założenia opatrunku i szyny. Najpierw dokładnie przemyła ranę wodą utlenioną, położyła na niej sterylne opatrunki i przyłożyła dwa kawałki drewna po obu stronach nogi od kolana do kostki, mocno przywiązując szynę bandażem. Kiedy skończyła, podłożyła poduszkę pod nogę i spojrzała na Kaina.

- Gdy się obudzi, daj mu dwie tabletki kefaliny, a potem po jednej, co cztery godziny.

Dopilnuj, by noga była w górze. Jeśli to możliwe, chciałabym go doglądać co dwie godziny, a jeśli nie, daję mu co najwyżej siedemdziesiąt dwie godziny, potem musi znaleźć się w szpitalu.

Wyciągnęła ręce. Kain założył jej kajdanki i sprowadził na dół do celi. Kiedy położyła się na łóżku, była w euforii, czuła się jakby upojona alkoholem. Prymitywna operacja, dynamiczne rozkazy - na tych kilka chwil przejęła kontrolę. I udało jej się zdobyć jedną cenną informację: wciąż była w Anglii, wciąż w zasięgu brytyjskiej policji i służb wywiadowczych.

Zamknęła oczy i próbowała zasnąć, ale godzinę później aż podskoczyła, kiedy rozległo się pukanie w drzwi. - „Mamy dla ciebie prezent” - przeczytała karteczkę. - „Połóż się na łóżko”. - Wykonała rozkaz i do celi weszli Kain i Abel, którzy zakleili jej usta taśmą, a na głowę założyli worek. Walczyła z nimi, walczyła nawet wtedy, kiedy zrobili jej zastrzyk.

Cypr, godzina 10:15, piątek

Dużo można powiedzieć o wartości źródła na podstawie miejsca, w którym się z nim pracuje.

Do przesłuchań Wazira al-Zajata Agencja kupiła na południowym wybrzeżu Cypru uroczą białą wiejską rezydencję z niewielkim basenem i zacienionym tarasem wznoszącym się tuż nad Morzem Śródziemnym. Gabriel i Chiara przylecieli tam kilka godzin przed Egipcjaninem

- Gabriel liczył na relaks, ale Chiara, która po raz pierwszy od tygodni była z nim sam na sam, chciała wykorzystać okazję do przedyskutowania spraw związanych ze ślubem, dotyczących nakrycia stołów, kwiatów, listy gości i muzyki. Tak oto legendarny tajny agent izraelski spędził czas przed przybyciem egipskiego szpiega. Zastanawiał się, co też napisze o nim

„Haarec” i inne gazety, jeśli dowiedzą się prawdy.

Tuż po czternastej Gabrielowi mignął pędzący nadbrzeżną drogą Volkswagen sedan.

Minał rezydencję i zniknął za zakrętem, by już po pięciu minutach nadjechać z przeciwnego kierunku. Tym razem zwolnił i skręcił na podjazd. Gabriel spojrzał na Chiarę i powiedział:

- Lepiej będzie, jeśli zaczekasz w sypialni na górze. Z tego, co słyszałem o Wazirze, twoja obecność będzie go tylko rozpraszała.

Chiara zebrała gazety i czasopisma o tematyce ślubnej i zniknęła. Gabriel poszedł do kuchni i otworzył szafkę, w której znajdował się pulpit sterowniczy wbudowanego systemu rejestrującego. Włożył komplet czystych kaset i wcisnął przycisk NAGRYWAJ, po czym poszedł do przedpokoju i otworzył drzwi, kiedy Wazir al-Zajjat wchodził po schodach.

Egipcjanin zastygł na chwilę w bezruchu i przyjrzał się Gabrielowi podejrzliwie zza szkieł

lustrzanych okularów przeciwsłonecznych, a następnie pod gęstymi węsami pojawił się cień uśmiechu i gość wyciągnął w jego kierunku potężną dłoń.

- Panie Allon, czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Coś zatrzymało Szimona w Rzymie - powiedział Gabriel - więc poprosił mnie o zastępstwo.

Egipcjanin podsunął na czoło okulary i znów mu się przyjrzał, tym razem z nieskrywanym sceptycyzmem. Miał ciemne i niezgłębione oczy, takie, których Gabriel nigdy by nie chciał zobaczyć po drugiej stronie stołu przesłuchań.

- A może przyjechałeś tu dobrowolnie, by się ze mną spotkać - powiedział Egipcjanin.

- Dlaczego miałbym to zrobić, Wazir?

- Ponieważ masz osobisty interes w tym, jak zakończy się ta sprawa, jeśli prawdą jest to, co przeczytałem w gazetach.

- Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co pisze prasa. - A przynajmniej nie ta egipska.

Al-Zaijat wszedł za Gabrielem do rezydencji, po czym skierował się do barku, jakby to on był tu właścicielem, i otworzył butelkę szkockiej whisky.

- Napijesz się ze mną? - zapytał, wskazując butelkę.

- Prowadzę - odpowiedział.

- Co jest z wami, to znaczy z Żydami i alkoholem?

- Przez niego wyczyniamy głupstwa.

- Który agent prowadzący nie pije ze swoim informatorem? - Al-Zaijat wlał trunek do dużej szklanki, a butelkę zostawił otwartą. - Ale przecież ty nie jesteś moim agentem prowadzącym, czyż nie, Allon?

- Jednym duszkiem wypił połowę whisky. - Jak się czuje staruszek? Już na nogach?

- Szamron ma się dobrze - rzekł. - Przesyła pozdrowienia.

- Mam nadzieję, że przysłał coś więcej niż tylko pozdrowienia.

Gabriel zerknął na skórzaną teczkę, która leżała w nasłonecznionym prostokącie na kanapie. Al-Zaijat usiadł obok niej i otworzył na chwilę, po czym usatysfakcjonowany jej zawartością spojrzął na niego i powiedział:

- Wiem, kto porwał córkę ambasadora. I wiem, dlaczego. Od czego mam zacząć?

- Od początku - rzekł Gabriel. - Dzięki temu zazwyczaj można spojrzeć na sprawy z właściwym nastawieniem.

- Jesteś taki sam jak Szamron.

- Tak, słyszałem o tym.

Egipcjanin znów zaczął błędzić spojrzeniem wokół torby.

- Masz pięćdziesiąt tysięcy, tak?

- Możesz policzyć, jeśli chcesz.

- To nie będzie konieczne. Chcesz, bym podpisał potwierdzenie odbioru?

- Podpiszesz, gdy weźmiesz pieniądze - powiedział Gabriel. - A weźmiesz je wtedy, kiedy usłyszę informacje.

- Szimon zawsze płacił mi z góry.

- Nie jestem Szimonem.

Egipcjanin dopił whisky, a Gabriel ponownie napełnił jego szklanekę i poprosił, by ten zaczął mówić.

*

- Początek - rzekł Wazir al-Zaijat - miał miejsce w Egipcie we wrześniu 1970 roku, kiedy zmarł Naser i do władzy doszedł wiceprezydent Anwar Sadat. Naser uważał islamskich radykałów egipskich, zwłaszcza Braci Muzułmańskich, za poważne zagrożenie dla swojego reżimu, ale dzięki masowym aresztowaniom, egzekucjom i torturom miał ich pod kontrolą.

Sadat zdecydował się jednak na inne podejście.

Sadat nie miał takiej charyzmy jak Naser i nie był popularny. Co więcej, był

człowiekiem raczej religijnym i bardziej bał się komunistów i naserystów niż Braci, dlatego zrobił coś, co okazało się fatalnym w skutkach zwrotem w podejściu Egiptu do islamskiego ekstremizmu. Napiętnował komunistów i naserystów jako wrogów swojego reżimu i wypuścił

Braci z więzienia.

Potem pomnożył jeszcze swój błąd - wyjaśnił Wazir al-Zaijat. - Pozwolił Braciom Muzułmańskim działać jawnie i zachęcał ich do rozprzestrzenienia radykalnej odmiany islamu poza granice kraju, zwłaszcza na nowo zajętych (przez Izrael - przyp. wyd. pol.) terenach Zachodniego Brzegu Jordanu i Strefy Gazy. Ponadto prowokował tworzenie się ugrupowań nawet radykalniejszych od Braci i finansował je - jedno z nich to Al-Gama'a al-Islamija, czyli Ugrupowanie Islamskie, drugie zaś to Al-Dżihad. W październiku 1981 roku Al-Dżihad dokonał zamachu na człowieka, dzięki któremu powstał - Sadat zginął podczas przeglądu wojsk pod Kairem. Zdaniem islamistów popełnił on wiele grzechów, ale najpoważniejszym było podpisanie traktatu pokojowego z Izraelem. Jego zabójca, porucznik Khaled Islambuli, krzyknął przed otworzeniem ognia: „Zabiłem faraona i nie boję się śmierci”.

Oczywiście Gama'a i Al-Dżihad wciąż działają - powiedział Wazir al-Zaijat. - Ich celem jest obalenie reżimu Mubarak, ustanowienie republiki islamskiej i przekształcenie Egiptu w bazę operacyjną do prowadzenia na całym świecie dżihadu przeciwko Zachodowi i Izraelowi. Oba ugrupowania, oficjalnie działające pod patronatem Osamy bin Ladena, to zwolennicy wypowiedzenia wojny krzyżowcom i Żydom przez Al-Kaidę. Egipcjanie stanowią ponad połowę wyższego dowództwa Al-Kaidy i zajmują pięć stanowisk na dziewięć w rządzącej Szurze, Radzie Konsultacyjnej. A prawą ręką Osamy jest oczywiście Ajman al-Zawahiri, przywódca Al-Dżihadu.

- Więc Egipcjanie niczym nie różnią się od Saudyjczyków - powiedział Gabriel. -

Myśleliście, że możliwe jest zawarcie ugody z islamskimi terrorystami i zaproponowanie im pieniędzy, poparcia oraz skierowanie ich wściekłości na zewnątrz kraju, a oni teraz grożą, że was zniszczą.

- Mój przyjacielu, zrobiliście dokładnie to samo. Nie zapominaj, że na początku Agencja i Szabak oferowały Hamasowi pieniądze i poparcie, ponieważ myśleliście, że islamiści to dobra przeciwwaga dla świeckich lewicowców z OWP.

- Już dobrze - powiedział Gabriel. - Ale proszę, tylko mi nie mów, że mam ci zapłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów za informację, że to Al-Kaida jest odpowiedzialna za porwanie córki ambasadora amerykańskiego w Londynie. Mógłbym zaoszczędzić tę kasę i włączyć CNN, gdzie to samo mówi wielu ekspertów.

- Nie tylko Al-Kaida - rzekł Wazir al-Zaijat. - To wspólna operacja.

- Kto jest partnerem?

Egipcjanin podszedł do barku i znów nalał do szklanki trunku.

- W latach siedemdziesiątych oprócz Gama'a i Al-Dżihadu powstały również inne ugrupowania, w sumie ponad pięćdziesiąt. Niektóre to komórki, do których należeli tylko studenci uniwersytetu, niepotrafiący nawet zorganizować sieci brygad. Ale niektóre były niezłe, n a p r a w d ę niezłe. - Wypił whisky. - I do nich niestety zaliczało się ugrupowanie zwane Mieczem Allaha, które powstało na uniwersytecie w Al-Minji.

Miecz Allaha... - Gabriel oczywiście znał tę nazwę jak każdy, kto pracował na terenie zagrożonym muzułmańskim terrorem. Pod koniec lat siedemdziesiątych, po historycznej wizycie Sadata w Jerozolimie, wokół radykalnego duchownego muzułmańskiego zwanego szejkiem Tajjibem Abdul-Razzakiem zebrało się wielu studentów uniwersytetu, profesorów i urzędników służby cywilnej z miasta Al-Minja w Górnym Egipcie. Szejk opracował prosty plan przejęcia w Egipcie władzy, który polegał na szerzeniu w społeczeństwie terroru i rozlewie krwi do czasu, aż reżim upadnie pod swoim własnym ciężarem. Na początku lat dziewięćdziesiątych prawie mu się to udało, więc upojony perspektywami sukcesu postanowił

toczyć wojny na całym świecie jeszcze na długo przed tym, zanim powstała Al-Kaida. Posłał

do Europy wysłanników, by wśród coraz liczniejszych miejscowych społeczności muzułmańskich zakładali oddziały Miecza, a swojego starszego brata i zarazem najbliższego doradcę, szejka Abdullaha Abdul-Razzaka wysłał do podmiejskiej dzielnicy Waszyngtonu, by prowadził dżihad przeciwko najważniejszemu patronowi egipskiego reżimu - rządowi Stanów Zjednoczonych. W 1998 roku szejk Abdullaha skazano na dożywocie za spisek mający na celu wysadzenie w powietrze Departamentu Stanu, Kapitolu i siedziby głównej FBI. Ostatnio rozpoznano u niego raka, więc uwolnienie go zanim umrze w więzieniu stało się jednym z najważniejszych celów Miecza.

- Od dłuższego czasu Al-Kaida chciała znów uderzyć w Londynie - powiedział Wazir al-Zaijat - a szejk Tajjib chciał oczywiście wyrwać z rąk Amerykanów brata. Postanowili zatem przygotować wspólnie wielkie terrorystyczne widowisko: Al-Kaida przeprowadziła zamachy terrorystyczne, podczas gdy Miecz i jego europejska siatka zajęli się porwaniem zakładniczek.

- Jaki masz dowód na udział Miecza?

- Przez kilka sekund w Hyde Parku miałeś dowód we własnych rękach - powiedział

Egipcjanin. - Samir al-Masri, były student inżynierii na uniwersytecie w Al-Minji, jest członkiem Miecza Allaha i jednym z jego najzdolniejszych tajnych agentów terrorystów.

- Wazir, trzeba było powiedzieć Holendrom, że mieszkał sobie po cichu w zachodniej części Amsterdamu.

- Nie wiedzieliśmy, że przebywa w Holandii, choć może powinniśmy... - Egipcjanin usiadł na kanapie obok torby z pieniędzmi. - Samir wyjechał z Egiptu kilka miesięcy po tym, gdy Amerykanie wkroczyli do Iraku. Kiedy zaczęła się rebelia, połączył siły z Abu Musabem al-Zarkawim i stał się jeszcze bardziej przebiegły. Podobno wymknął się z Iraku na krótko przed śmiercią Zarkawiego i pojechał do Europy przez Damazek. Jeśli koniecznie chcesz obwinić kogoś za to, że Samir mieszkał sobie po cichu w zachodniej części Amsterdamu, wini Syryjczyków. I Holendrów, oczywiście. Chryste, przecież oni wpuszczają do swojego kraju każdego.

- Co jeszcze masz oprócz powiązań Samira?

- Meczet Al-Hidźra.

- Co z nim?

- Miejscowy imam jest absolwentem uczelni Al-Azhar w Kairze i członkiem Miecza Allaha.

- To nadal mało.

- Ta dyskusja jest jałowa - powiedział Wazir al-Zaijat. - W ciągu dwudziestu czterech godzin będziesz miał dowód na to, że stoi za tym Miecz Allaha, kiedy zaproponują wymianę Elizabeth Halton za szejka Abdullaha.

- A skąd masz taką pewność co do terminu?

- Miecz dokonał w Egipcie wielu porwań, o których rzadko kiedy dowiaduje się świat zewnętrzny. Jego operacje zawsze mają ten sam przebieg: najpierw czekają tydzień, zanim wystąpią z żądaniami. Jeśli wyznaczą nieprzekraczalny termin na zabicie dziewczyny, zrobią to, gdy tylko zegar wybijie dwunastą. I nie będzie mowy o żadnych przesunięciach tego terminu czy opóźnieniach.

- Amerykanie nigdy nie uwolnią szejka Abdullaha.

- Jeśli tego nie zrobią, Miecz Allaha i Al-Kaida przyślą do domu chrześniaczkę prezydenta amerykańskiego w worku, a raczej to, co z niej zostanie. Zabiją ją tak samo, jak ją porwali, czyli rozlewając przy tym dużo krwi.

- Powiedziałeś o tym wszystkim Amerykanom?

Al-Zaijat potrząsnął głową.

- Dlaczego?

- Rozkazy z góry - rzekł. - Nasz nieustraszony przywódca obawia się gniewu waszyngtońskich patronów, kiedy dowiedzą się, że spisek mający na celu porwanie córki ambasadora zrodził się w Egipcie. Próbuje odwlekać dzień Sądu Ostatecznego tak długo, jak to tylko możliwe, i polecił BŚBN i innym służbom bezpieczeństwa zebrać przez ten czas masę informacji.

- Kto jest mózgiem?

- Gdybym musiał zgadywać, wskazałbym dowództwo.

- Zawahiriego?

Egipcjanin przytaknął skinieniem głowy.

- Ale pomiędzy nim a tajnymi agentami musi ktoś być - powiedział Gabriel. - Na przykład taki szejk Khaled Mohammed. Ktoś, kto wszystko zsynchronizował.

- I jest. - Al-Zaijat spojrział pod światło na szklankę whisky i przez chwilę podziwiał

bez słowa jej kolor. - A gdybym już musiał określić jego tożsamość, powiedziałbym, że to najprawdopodobniej robota Sfinksa.

- A to kto?

- Nie jesteśmy pewni, kim jest, ale znamy jego rękodzieło nad wyraz dobrze. W sumie zabił w Egipcie ponad tysiąc osób: turystów, ministrów rządu, bogatych przyjaciół reżimu...

Przypuszczamy, że jest bardzo dobrze wykształcony i ma świetne powiązania. Sądzymy, że ma również wpływowych agentów i szpiegów w najwyższej klasie egipskiego społeczeństwa i rządu, łącznie z moimi służbami. Działa przez takie krwiożercze marionetki jak Samir i nigdy nie udało nam się do niego zbliżyć.

- Mógł zaplanować coś takiego z Egiptu?

- Mało prawdopodobne - powiedział Wazir al-Zaijat. - Zapewne przebywa teraz w Europie. W istocie rzeczy byłbym skłonny postawić sporą sumę pieniędzy, że tak właśnie jest. Od roku Miecz nie rzuca się w Egipcie w oczy i wiemy już teraz, dlaczego.

- Gdzie jest szejk Tajjib?

- Od piętnastu lat w tym samym miejscu: w podziemiu. Przemieszcza się między szeregiem kryjówek w Górnym Egipcie a miastami-oazami Pustyni Zachodniej. Sądzymy również, że przebywa okresowo w Libii i Sudanie.

- Znajdź go - powiedział Gabriel.

- Jeśli kiedykolwiek go odnajdziemy, to do tego czasu już dawno zdążą zabić Elizabeth Halton.

- Zaczynij obławę na tajnych agentów Miecza i sprowadź ich na dyskretne rozmowy.

Wazir, to chyba twoja specjalność, nieprawdaż? Dyskretne rozmowy z muzułmańskimi ekstremistami?

- Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem - odpowiedział Wazir al-Zaijat. - Allon, zaufaj mi, ta rozmowa to wyważanie drzwi, ale Sfinks już o tym wie. W

Egipcie nikt nie ma pojęcia, gdzie jest dziewczyna. Wątpię nawet, czy szejk Tajjib zna szczegóły operacji. Szansa na odnalezienie jej żywej zniknęła wraz ze śmiercią Samira al-Masriego. Miecz jest dobry w ukrywaniu ludzi.

- Ktoś wie - powiedział Gabriel. - Ktoś musi wiedzieć.

- Sfinks wie. Znajdź Sfinksa, a odnajdziesz dziewczynę. - Egipcjanin położył rękę na uchwycie teczki. - To co? Zarobiłem już pięćdziesiąt tysięcy?

- Chcę mieć wszystko, co masz na Miecz Allaha - powiedział Gabriel. - Teczki z aktami, listę członków, powiązane z nimi organizacje europejskie, nazwiska, adresy, numery telefonów...

- Wszystko jest w walizce w bagażniku - rzekł Egipcjanin. - Ale będzie cię to kosztowało.

Gabriel westchnął.

- Ile, Wazir?

- Kolejne pięćdziesiąt tysięcy.

- Tak się składa, że nie mam przy sobie tylu pieniędzy.

Egipcjanin się uśmiechnął.

- Wystarczy weksel - powiedział. - Wiem, że będziesz miał na to korzystny wpływ.

*

Walizka firmy Samsonite, którą Wazir al-Zaijat wyjął z bagażnika wynajętego volkswagena, zawierała obszerne informacje o jednej z najbardziej brutalnych organizacji terrorystycznych na świecie i dlatego kupienie jej za pięćdziesiąt tysięcy było prawdziwą okazją. Kiedy Egipcjanin odjechał, Gabriel otworzył książkę z danymi znanych członków Miecza i zaczął ją przeglądać. Pięć minut później natknął się na znajome nazwisko. Odszukał

kserokopię w odpowiedniej teczce i przyjrzał się zdjęciu. Było stare i słabej jakości, niemniej

jednak rozpoznał na nim mężczyznę, którego spotkał w Amsterdamie tydzień wcześniej. „To mnie szukasz w aktach Solomona Rosnera - powiedział tamtej nocy. - Przyszedłem ci pomóc”.

Paryż, godzina 3:45, piątek

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, jakby stała za nimi ostrożna i skruszona osoba. Doktor Jusuf Ramadan, profesor historii Bliskiego Wschodu na Uniwersytecie Amerykańskim w Kairze, podniósł znad dokumentów wzrok i zobaczył stojącą w progu jego biura kobietę.

Miała zasłoniętą kwefem twarz tak jak wszystkie kobiety pracujące w Instytucie Islamistyki, a mimo to kiedy przemówiła, profesor nieco odwrócił oczy.

- Profesorze, przepraszam, że przeszkadzam, ale wychodzę już, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

- Oczywiście, pani Atifo.

- Przynieść coś panu, zanim wyjdę? Może herbaty?

- Dość już wypilem. - Spojrzał na zegarek. - W istocie rzeczy ja też zaraz wychodzę.

O szesnastej trzydzieści idę na kawę ze znajomym z Sorbony.

- Proszę nie zapomnieć parasola. Cały czas pada.

- Pada już od pięciu dni.

- Witamy w Paryżu. Pokój z panem, profesorze Ramadan.

- Z panią również, pani Atifo.

Kobieta dyskretnie wyszła z biura i cicho zamknęła drzwi. Przez następne dziesięć minut Ramadan stukał w klawiaturę laptopa, po czym włożył go do teczki wraz z materiałami i wstał. Ten szczupły brodaty mężczyzna miał przerzedzone kręcone włosy, łagodne piwne oczy i wyraziste rysy często uznawane za arystokratyczne. Z urodzenia nie był jednak arystokratą i tak naprawdę człowiek, którego uważano za jednego z najbardziej wpływowych intelektualistów i pisarzy egipskich, był synem pracownika poczty z ubogiej wioski leżącej tuż przy oazie Fajum. Był błyskotliwy, charyzmatyczny i miał umiarkowane poglądy polityczne. Osiemnaście miesięcy wcześniej wziął urlop bezpłatny na uniwersytecie i zatrudnił się w instytucie jako wizytujący badacz. Rzekomy cel jego pobytu w Paryżu to ukończenie arcydzieła, kolejnej pracy krytycznej na temat krucjat, która będzie tak wybitna, że przyrównywane będą do niej wszelkie przyszłe książki z tej dziedziny. Kiedy profesor Ramadan nie pisał, często widywano go w aulach Sorbony, we francuskiej telewizji, a nawet na korytarzach instytucji rządowych. Gorąco przyjęła go inteligencja i media Paryża, gdzie dużym zainteresowaniem cieszyły się jego opinie na temat konfliktu izraelsko-palestyńskiego, amerykańskiej okupacji Iraku i oczywiście plagi muzułmańskiego terroryzmu, czyli tematu, którego był znawcą.

Podszedł do wąskiego okna i spojrzął na bulwar de la Chapelle. Ciemny i przenikliwie zimny, z

często padającą mżawką: oto Paryż zimą. Minęło wiele dni, odkąd ostatni raz wyszło słońce, a nawet wtedy wychylił się ukradkiem zza kołderki chmury zaledwie jego czubek.

Ramadan marzył o powrocie do Kairu, do huku ruchu ulicznego, zarówno cuchnących, jak i magicznych zapachów, muzyki tysiąca muezinów, nocnego pocałunku pustynnego wiatru...

Od jego ostatniej wizyty w tym mieście minęło sześć miesięcy. - Już niedługo - pomyślał. Już niedługo będzie po wszystkim i znów będzie w domu. A jeśli wszystko pójdzie według planu, kraj, do którego wróci, będzie zupełnie inny niż ten, z którego wyjechał. To dziwne, że wszystkiemu nadano bieg tutaj, w posępnym Paryżu, w jego maleńkim biurze w XVIII Dzielnicy.

Włożył płaszcz i kapelusz, chwycił teczkę i parasol, po czym wyszedł na korytarz.

Kiedy mijał bar dla personelu, zobaczył kilku kolegów zebranych przed telewizorem; oglądali konferencję prasową komendanta londyńskiej policji. Mahmud Aburisz, przysadzisty, napuszony i poważny szef instytutu, kiwnął na Ramadana, by do niego podszedł, co ten uczynił, spoglądając na ekran.

- Co mówi?

- Porywacze wciąż milczą - powiedział Aburisz. - I nadal nie ma tropu, który doprowadziłby policję do miejsca, gdzie przebywa kobieta.

- Wierzysz mu?

- Brytyjczycy są świetni, ale sądząc po minie tego mężczyzny, nie mają w rękawie żadnych asów. - Przyjrzał się Ramadanowi zza brudnych okularów. - Jusuf, jesteś miejscowym ekspertem od takich spraw. Jak sądzisz, kto porwał tę kobietę? I czego, u licha, chce?

- Dowiemy się już niebawem, jak sądzę - powiedział Ramadan.

- Jak ci idzie pisanie?

- Jakoś idzie, tylko nie tak szybko jak na to liczyłem. Właśnie za kilka minut idę z moim francuskim wydawcą na drinka, by mu powiedzieć, że nie uda mi się w terminie złożyć rękopisu. Nie będzie zadowolony, zresztą brytyjski i amerykański wydawca również.

- Czy instytut mógłby ci jakoś pomóc?

- Zrobiliście więcej niż myślisz, Mahmud.

Aburisz wpatrywał się w telewizor, kiedy Dame Eleanor McKenzie, dyrektorka generalna MI5, stanęła przed kamerami. Jusuf Ramadan, znany egipskim służbom bezpieczeństwa tylko jako Sfinks, cicho wymknął się z baru i zszedł na dół.

*

Jusuf Ramadan kłamał podczas krótkiego spotkania z Mahmudem Aburiszem, ale w jednej sprawie powiedział prawdę. Tego wieczoru faktycznie szedł ze swoim wydawcą na drinka do restauracji Fouquet na Polach Elizejskich, ale - co istotne - nie wcześniej niż o siedemnastej. Miał jeszcze spotkanie przy nabrzeżu Quai de Montebello dokładnie po drugiej stronie Sekwany, naprzeciwko katedry Notre-Dame. Czekający tam na niego wysoki i zwałisty mężczyzna ubrany był w ciemny płaszcz z kaszmiru, a na szyi miał zawieszony fantazyjnie jedwabny szal. Jego prawdziwe imię i nazwisko brzmiało Nidal Mutawalli, ale Ramadan nazywał go po prostu Abu Musą. Tak jak Ramadan, pochodził z oazy Fajum, razem dorastali i chodzili do szkoły, jednak ich drogi się rozeszły - Ramadan wybrał świat książek i pisarstwa, Abu Musa świat finansów i pieniędzy. Ponownie połączył ich dżihad i wspólna nienawiść do egipskiego reżimu i jego amerykańskich zwolenników. To dzięki niemu, przyjacielowi z dzieciństwa, Jusuf Ramadan swoją prawdziwą tożsamość mógł zachować w tajemnicy przed egipskimi służbami bezpieczeństwa. Byli dwoma najniebezpieczniejszymi ludźmi na świecie. Dosłownie...

W świetle latarni stojących wzdłuż nabrzeży Sekwany widać było drobną mżawkę, która niczym lży rosła foliowe płachty przykrywające stragany bukinistów. Ramadan podszedł do zwałonego stertą książek stołu na kozłach i przekartkował zniszczony wolumin Czechowa. Chwilę później dołączył do niego Abu Musa i wziął egzemplarz *Obcego* Camusa.

- Czytał pan? - zapytał.

- Oczywiście - powiedział Ramadan. - Jestem pewien, że się panu spodoba.

Ramadan podszedł do następnego stołu z książkami. Za moment znów dołączył do niego Abu Musa i ponownie wymienili kilka niewinnie brzmiących słów. Przez kolejne dziesięć minut sytuacja powtarzała się, kiedy przemieszczali się powoli obok straganów bukinistów: Ramadan prowadził, a za nim podążał Abu Musa.

- Zawsze lubiłem poezję Drydena... A tę sztukę widziałem ostatnio, kiedy byłem w Londynie... Nagrano film na DVD. Jest gotowy do przekazania... Zadzwonimy na twój rozkaz... Ramadan wziął książkę Hemingwaya i podniósł tak, by zobaczył ją Abu Musa.

- Zawsze była jedną z moich ulubionych - powiedział. - Pozwoli pan, że dam ją panu w prezencie.

Dał księgarzowi banknot o nominale pięciu euro, napisał na stronie tytułowej krótką dedykację i przyłożywszy do serca rękę, oficjalnie wręczył książkę Abu Musie. Rozeszli się chwilę później, kiedy Emmanuel, trzynastotonowy dzwon z wieży południowej katedry Notre-Dame, wybił siedemnastą. Abu Musa zniknął w uliczkach Dzielnicy Łacińskiej, a Jusuf Ramadan przeszedł na drugą stronę rzeki i wszedł do ogrodów Tuileries, myśląc o pytaniu, jakie tego popołudnia zadał mu Mahmud Aburisz. „Jak sądzisz, kto porwał tę kobietę? I czego u licha chce?”. Dzięki spotkaniu, które właśnie się odbyło nad brzegiem Sekwany na oczach wielu ludzi, Amerykanie niebawem dostaną odpowiedź na te pytania. A to, czy postanowią o tym poinformować resztę świata, nie było już sprawą profesora Ramadana, przynajmniej na razie...

Szedł przez ogrody Tuileries kilka minut dłużej, sprawdzając, czy nikt go nie śledzi, i myślał o zbliżającym się spotkaniu z wydawcą na Polach Elizejskich. Stwierdził, że musi mieć jakies

wytłumaczenie, że nie skończył pisać książki w ustalonym terminie. Coś wymyśli... Sfinks to wyjątkowo dobry kłamca.

Ambasada Amerykańska, Londyn, godzina 17:19, piątek

W prowizorycznym centrum operacyjnym, którego nigdy nie wykorzystywano do połączeń zewnętrznych, był tylko jeden telefon. Podłączono go do wysokiej klasy cyfrowego urządzenia rejestrującego i połączono ze śledzącą rozmowy siecią londyńskiej policji. Miał

czerwoną słuchawkę i głośność dzwonka ustawioną na najwyższy poziom. Tylko jedna osoba mogła z niego korzystać: agent specjalny John O'Donnell, szef Grupy Reagowania Kryzysowego FBI i główny negocjator do spraw zakładników.

Od zniknięcia Elizabeth Halton telefon zadzwonił czterdzieści siedem razy i jak na razie O'Donnell ani jego partnerzy z policji nie uznali żadnej rozmowy za wiarygodną. Jednak żądania niektórych dzwoniących sprawiły, że w tych ponurych dniach mieli kilka zabawnych chwil. Jeden z dzwoniących powiedział, że uwolni Elizabeth Halton za sto tysięcy funtów brytyjskich. O'Donnell się zgodził. Jeszcze tego samego wieczoru aresztowano owego mężczyznę na parkingu pubu w hrabstwie West Sussex. Drugi zażądał randki ze słynną, choć niezbyt utalentowaną aktorką. Następny rozmówca obiecał uwolnić dziewczynę w zamian za bilety na rozgrywany w najbliższy weekend mecz piłkarski Arsenal kontra Chelsea. Kolejny zadzwonił, bo był przygnębiony i musiał z kimś porozmawiać. O'Donnell pogadał z nim pięć minut, dopóki się nie upewnił, że Scotland Yard zdobył trop, i powiedział mężczyźnie „do widzenia”, kiedy do akcji wkroczyli policjanci, by go aresztować.

Połączenie, które odebrano w głównej centrali telefonicznej ambasady chwilę po osiemnastej, różniło się od poprzednich. Ten, kto dzwonił, miał elektronicznie zniekształcony męski głos.

- Mam informacje dotyczące Elizabeth Halton - powiedział spokojnie telefonistce w centrali. - Połącz mnie z właściwą osobą. Jeśli potrwa to dłużej niż pięć sekund, odłóż słuchawkę, a ona zginie. Zrozumiałaś?

Telefonistka dała jasno do zrozumienia, że wszystko pojęła, i uprzejmie poprosiła dzwoniącego, by zaczekał. Dwie sekundy później w centrum operacyjnym zadzwonił telefon O'Donnella, który zdjął z widełek czerwoną słuchawkę i szybko przyłożył ją do ucha.

- John O'Donnell, Federalne Biuro Śledcze - powiedział lakonicznie. - Czym mogę służyć?

- Plaża, cypel Beacon - rzekł elektronicznie zniekształcony głos. - Sprawdźcie spód wywróconej łodzi wiosłowej. To będzie nasz pierwszy i jedyny kontakt.

Koniec połączenia.

O'Donnell przesłuchał rozmowę na urządzeniu rejestrującym, po czym podniósł słuchawkę linii specjalnej, która automatycznie łączyła się ze Scotland Yardem.

- Według mnie to zabrzmiało bardzo poważnie - powiedział O'Donnell.

- Zgadzam się - usłyszał głos policjanta po drugiej stronie linii.
- Masz trop?
- To telefon komórkowy. Coś mi mówi, że go nie zlokalizujemy. To prawdziwy zawodowiec.
- Gdzie jest cypel Beacon?
- Na południowym wybrzeżu, około szesnastu kilometrów na wschód od Plymouth. -

Daleko stąd?

- Jakies dwieście czterdzieści kilometrów.
- Chcę być na miejscu podczas poszukiwań, cokolwiek to jest.
- Królewska Marynarka Wojenna była na tyle miła, że zostawiła w londyńskim Heliporcie śmigłowiec Sea King na wypadek takiego scenariusza.
- Gdzie to jest?
- Na południowym brzegu Tamizy między Battersea Bridge i Wandsworth Bridge.
- Powiedz, by zaczęli grzać silniki. Możesz pojechać przez centrum i mnie podwieźć?
- Za dwie minuty podjadą pod ambasadę dwa radiowozy.
- Wyślij je na ulicę Upper Brook - powiedział O'Donnell. - Tam nie ma już reporterów.
- Racja.

*

Lot na południowe wybrzeże trwał dziewięćdziesiąt minut i był dotkliwie nieprzyjemny z powodu wiejących z naprzeciwka wiatrów silnego burzowego frontu atlantyckiego. Kiedy Sea King zniżył lot, kierując się w stronę cypla Beacon, O'Donnell wyrzwał przez okno i zobaczył na niewielkiej piaszczystej plaży palące się w oddali lampy łukowe i niebieskie błyskające światła radiowozów na drogach łączących okoliczne miasteczka Kingston, Houghton i Ringmore. Lądowisko było małym położonym za plażą skrawkiem wrzosowiska. O'Donnella przywitał oficer nadzorujący, przysadzisty zastępca komisarza policji Devon i Kornwalii o trafnym nazwisku Blunt. Kiedy ludzie z FBI szli na plażę piaszczystą ścieżką, informował ich:

- Ustaliliśmy, że na plaży i okolicznym terenie nie ma bomb ani jakiegokolwiek innej broni - powiedział. - Około dwudziestu minut temu skorzystaliśmy ze zdalnie sterowanego zautomatyzowanego urządzenia, by sprawdzić spód wywróconej łodzi.
- Znaleźliście coś? - zapytał O'Donnell.

- Nie udało nam się nic zobaczyć za pomocą kamery, ale możliwe, że coś jest zakopane pod łodzią, jednak postanowiliśmy z tym poczekać do waszego przybycia.

Przedarli się przez wydmy i zatrzymali w odległości około dwudziestu metrów od łodzi. Sześciu policjantów w ubiorach ochronnych i hełmach otoczyło białą-szary dwupółmetrową łódkę, z której luszczyla się farba. Blunt poprosił, żeby się pospieszyli i już po chwili łódź leżała dnem do dołu. Do siedzenia na rufie przyklejona była płyta DVD w przezroczystym plastikowym pudełku. Blunt wydobył ją i natychmiast wręczył

O'Donnellowi, a ten zaniósł ją do helikoptera i włożył do laptopa. Kiedy wreszcie na monitorze zamigotał obraz, zaklął pod nosem i spojrzał na funkcjonariusza policji.

- Muszę pana poprosić o przysługę.

- Cokolwiek pan każe - powiedział poważnym tonem Blunt.

- Proszę powiedzieć swoim ludziom, że to tylko głupi kawał. Niech pan przeprosi ich za kłopoty i podziękuje im w imieniu narodu amerykańskiego i ambasadora Haltona za świetną robotę.

- Panie O'Donnell, obawiam się, że czegoś tu nie rozumiem.

O'Donnell popatrzył na monitor.

- Płyta DVD nie do odczytu. Teraz pan rozumie?

Blunt przytaknął. Doskonale rozumiał.

Baza Lotnictwa Wojskowego Andrews, godzina 7:12, sobota

W Bazie Lotnictwa Wojskowego Andrews pod Waszyngtonem wylądował firmowy samolot Gulfstream V i zaczął kołować do tajnego hangaru, w którym posadzka była gładka, jakby wyłożono ją polerowanym marmurem. Gabriel opuścił samolot po odchylanych schodach i z torbą Samsonite skierował się do czekającego chevroleta suburbańskiego z tablicami rejestracyjnymi z Wirginii. Wrzucił walizkę na tylne siedzenie i wsiadł do środka. Dwóch ludzi z ochrony CIA nie odezwało się ani słowem. Przywykł do takiego zachowania Amerykanów. Ludzie z kontrwywiadu wpoili im na szkoleniach, że personel Agencji traktuje każde spotkanie z personelem CIA, choćby najmniej ciekawe, jak okazję do zebrania informacji. Miał ochotę zadać niewłaściwe pytanie, może nawet dwa, tylko po to, by ten mit podtrzymać, ale zamiast tego zapytał tylko, dokąd go wiozą.

- Do kwatery głównej - powiedział mężczyzna siedzący na miejscu pasażera.
- Ale ja nie chcę tam jechać.
- Wejdiesz do budynku potajemnie i nikt się nie dowie, że tam byłeś.
- Dlaczego nie możemy się spotkać w jakimś waszym tajnym lokalu, tak jak zawsze?
- Twój kontakt nie ma dzisiaj czasu, aby wyjść z budynku. Jestem pewien, że to rozumiesz.

Gabriel właśnie miał się sprzeciwić po raz drugi, ale się powstrzymał. W ciągu ostatniego roku jego zdjęcie dwukrotnie pojawiło się w gazetach na całym świecie: podczas akcji w Watykanie oraz próby uniemożliwienia porwania Elizabeth Halton. W porównaniu z tym jego pierwsza wizyta w Langley raczej nie miała większego znaczenia, a ponadto, jeśli Szamron i premier postawią na swoim, nie będzie to wizyta ostatnia.

O tej porze w sobotę na drodze był niewielki ruch i dojazd z bazy Andrews do lasów Langley zajął im tylko trzydzieści minut. Po krótkim postoju przy ufortyfikowanej wartowni, gdzie sprawdzano tożsamość, skierowali się długą, nieskazitelnie czystą drogą dojazdową do OHB, czyli Pierwotnego Budynku Kwatery Głównej. Gabriel miał wejść do budynku

„potajemnie”, dlatego też śmignęli tylko obok głównego wejścia i skręcili na podziemny parking. Jeden z ludzi pomógł mu wyjąć torbę, a drugi poprowadził go do windy. Włożył

klucz w postaci karty, wcisnął przycisk i chwilę później błyskawicznie wjechali na szóste piętro. Drzwi windy się otworzyły, w holu czekało dwóch kolejnych ludzi z ochrony, pod marynarką każdego z nich widać było pistolet. Odprowadzili Gabriela wyłożonym wykładziną korytarzem do ukrytych drzwi, za którymi znajdowały się przestronne biura najbardziej wpływowych agentów wywiadu na świecie. Stojący w przedpokoju mężczyzna ubrany był w szare flanelowe spodnie oraz pomiętą grubą bawełnianą koszulę i wyglądał, jakby znalazł się tu przez pomyłkę.

- Jak minął lot? - zapytał Adrian Carter.

- Macie wyjątkowo komfortowy samolot.

Serdecznie uścisnął Gabrielowi dłoń i spojrzał na torbę.

- Przyleciałeś na dłużej, czy tylko na dzień, dwa?

- Na tak długo, jak będę tu mile widziany - odpowiedział Gabriel.

- Mam nadzieję, że przywiozłeś coś więcej niż czyste koszule i bieliznę.

- Przywiozłem.

Carter uśmiechnął się ze znużeniem i bez słowa poprowadził Gabriela do swojego biura.

*

Gabriel z filiżanką czarnej kawy usadowił się na kanapie. Carter wziął pilota leżącego na krawędzi uporządkowanego biurka i wycelował go w ścianę pokrytą monitorami. Na jednym z ekranów natychmiast pojawiła się Elizabeth Halton. Siedziała na podłodze w jakimś pokoju, ubrana w ten sam gruby ciepły dres, który miała na sobie w Hyde Parku tego ranka, kiedy ją porwano. Trzymała „Timesa”, którego nagłówek informował o jej uprowadzeniu. Za nią stało czterech mężczyzn w czarnych kombinezonach i kominiarkach oraz zielonych opaskach ze skrzyżowanymi mieczami i sierpem księżycy. Człowiek tuż za Elizabeth miał w jednej ręce duży nóż, a w drugiej kartkę, z której czytał oświadczenie po arabsku z akcentem wskazującym na Egipcjanina.

- Rozumiem, że nie potrzebujesz tłumacza - powiedział Carter.

Gabriel potrząsnął głową, uważnie słuchając.

- Mówi, że jest z Miecza Allaha i chcą, byście wypuścili z więzienia szejka Abdullaha Abdul-Razzaka i oddali go Egiptowi do przyszłego piątku do godziny osiemnastej czasu londyńskiego. Mówi również, że jeśli nie spełnicie ich żądań, córka ambasadora zginie. Nie będzie żadnych przesunięć terminu, żadnych negocjacji i żadnego kolejnego kontaktu. Jeżeli nastąpi jakakolwiek próba odbicia, Elizabeth Halton zostanie natychmiast zabita.

Obraz zgasł. Carter wyłączył pilotem telewizor i spojrzał na Gabriela.

- Nie wyglądasz na zaskoczonego.

- O powiązaniach Miecza Allaha dowiedziałem się wczoraj i właśnie dlatego tu jestem.

- Jak się dowiedziałeś?

- Mam swoje źródła i sposoby, Adrianie, źródła i sposoby...

- Chodź - powiedział cicho Carter. - Życie tej kobiety jest teraz w niebezpieczeństwie i nie jest to

właściwy czas na przepychanki.

- Sam fakt, że oficjalnie mamy z Egiptem dobre stosunki, nie oznacza, że ich nie szpiegujemy. Musimy wiedzieć, czy reżim utrzyma się, czy upadnie i czy przyjdzie nam stanąć naprzeciw wrogo nastawionej republiki islamskiej uzbrojonej w nowoczesną amerykańską broń, a nie zawsze udaje nam się zdobyć od naszych przyjaciół z Langley potrzebne informacje.

- Rozumiem, że macie szpiega w BŚBN?

Gabriel westchnął zrezygowany.

- Nasz szpieg działa w interesie Mubaraka i jego reżimu.

Carter potraktował to jako potwierdzenie swoich podejrzeń.

- Dlaczego tak jest, że my wydaliśmy ponad pięćdziesiąt miliardów dolarów na wsparcie tego reżimu, ale to wy pierwsi dowiedzieliście się o powiązaniach Miecza?

- Bo jesteśmy od was lepsi, Adrianie, zwłaszcza w sprawach Bliskiego Wschodu.

Zawsze byliśmy lepsi i zawsze będziemy. Wy macie niekwestionowaną potęgę militarną i silną gospodarkę, ale my odczuwamy ciągły lęk o to, że nasz naród może nie przetrwać, a lęk motywuje znacznie lepiej niż pieniądze.

Carter odłożył pilota na biurko i zamyślony usiadł w wygodnym fotelu obrotowym.

- Kiedy dostaliście nagranie? - zapytał Gabriel.

Carter odpowiedział mu na to pytanie.

- A czy do brytyjskich mediów przedostało się choćby jedno słowo?

- Jeszcze nie - rzekł Carter. - Ale nie chcielibyśmy, by to się stało, a przynajmniej nie od razu. Wolelibyśmy mieć ten luksus, żeby móc przemyśleć naszą reakcję bez mediów czyhających na każdym kroku.

- Nie liczylibym na to, że MI5 i Scotland Yard będą długo strzegli waszej tajemnicy.

Ktoś ją ujawni dokładnie tak samo, jak ujawnił mój udział i aresztowanie.

- Nie bądź dla Grahama Seymoura taki surowy - powiedział Carter. - Nie tylko my go potrzebujemy, ale ty również. My, bracia tajnego świata, w dzisiejszych czasach nie palimy się wzajemnie na stosach, tylko jednoczymy i wspólnie leczymy rany. Musimy to robić, ponieważ u naszych bram stoją barbarzyńcy.

- Adrianie, barbarzyńcy wyważyli bramy już dawno temu, a teraz żyją wśród nas i zabierają nam dzieci. - Gabriel popijał kawę. - Jakie jest stanowisko prezydenta?

- Nie takie, jak być powinno w kwestii naszego największego wroga - odpowiedział

Carter. - Jak wiesz, to głęboko wierzący człowiek, który traktuje rolę ojca chrzestnego Elizabeth niezwykle poważnie. Jednocześnie wie, że jeśli spełni żądania porywaczy, amerykańscy dyplomaci na całym świecie już nigdy nie będą mogli się czuć bezpiecznie. Wie również, że jeżeli szejek Abdullah Abdul-Razzak będzie mógł wrócić do Egiptu, rząd Mubaraka znajdzie się w dużym niebezpieczeństwie. Na domiar złego, to nadal najważniejsze państwo świata arabskiego i jeśli postawi na islam, odbije się to fatalnie na całym regionie oraz na moim, a t a k ż e twoim kraju. A to oznacza, że za tydzień Elizabeth Halton zginie, chyba że wcześniej uda nam się ją odnaleźć i uwolnić.

Carter podszedł do okna i spojrzał na rosnące wzdłuż rzeki bezlistne drzewa.

- Gabrieliu, byłeś w takiej sytuacji. Co byś zrobił, gdybyś był prezydentem?

- Kazałbym swoim największym narwanym skurczybykom zrobić wszystko, co w ich mocy, by ją odnaleźli.

- A jeśli nam się nie uda? Mamy dojść do porozumienia, by uratować nasze dziecko przed barbarzyńcami?

Gabriel pozostawił to pytanie bez odpowiedzi, a Carter przez chwilę w milczeniu wyglądał przez okno.

- Mój lekarz mówi, że stres szkodzi mojemu sercu i że powinienem więcej ćwiczyć.

Gabrieliu, chodź ze mną na spacer, to wyjdzie nam obu na dobre.

- Na zewnątrz jest prawie minus 7 stopni.

- Zimne powietrze dobrze robi - powiedział Carter. - Dodaje umysłowi jasności i przygotowuje go na trudy, które się przed nim piętrzą.

*

Wymknęli się z OHB bocznym wyjściem i poszli wybrukowaną ścieżką pomiędzy rosnącymi nad rzeką drzewami. Carter ubrał się ciepło, włożył wełnianą czapkę i zapinany na podłużne guziki gruby płaszcz, za to Gabriel miał na sobie tylko skórzaną kurtkę, którą zabrał

na Cypr poprzedniego dnia rano, więc w ciągu kilku chwil zmarzł na kość.

- No dobrze - powiedział Carter. - Teraz już nikt nie słucha. Zatem skąd wiedziałeś, że mają uderzyć w Londyn?

- Nikt nie „słucha”? - Gabriel rozejrzał się po drzewach. - To miejsce jest nafaszerowane kamerami, czujnikami ruchu i ukrytymi mikrofonami.

- To prawda - rzekł Carter. - Ale i tak odpowiedz na pytanie.

Gabriel powiedział o wskazówce, którą dał mu Ibrahim Fawaz, o zdjęciach znalezionych podczas pospiesznego przeszukania mieszkania Samira al-Masriego i liniach w notesie właściwie rozpoznanych jako zarys Hyde Parku.

- Niesamowite - rzekł Carter z autentycznym podziwem w głosie. - A co wielki Gabriel Allon robił w Amsterdamie?

- Obawiam się, że tej części opowieści nie będziesz miał okazji poznać.

Carter, wytrawny profesjonalista, kontynuował bez sprzeciwu:

- Ibrahim Fawaz to dokładnie taki typ muzułmanina, jakiego szukaliśmy, czyli człowiek, który chętnie demaskuje ekstremistów i terrorystów, żeby pozbyć się ich ze swojej społeczności i z meczetu.

- Też tak pomyślałem. Niestety jest pewien haczyk. Walizka, którą ze sobą przywiozłem, zawiera pokaźną ilość akt z BŚBN dotyczących Miecza Allaha. Zgadnij, kogo w nich odnalazłem?

- Twoje źródło należy do Miecza?

Gabriel kiwnął głową.

- Przed wyjazdem z Egiptu doktor Ibrahim Fawaz pracował na uniwersytecie w Al-Minji jako profesor ekonomii. Według akt był jednym z założycieli ugrupowania i aresztowano go po zamachu na Sadata. Akta nieco ogólnikowo traktują o przyczynach i czasie jego zatrzymania.

- To normalne - rzekł Carter. - Ale dlaczego wyjechał z Egiptu i przyjechał do Europy? I dlaczego ci powiedział, że meczet Al-Hidzra w zachodniej części Amsterdamu knuje spisek?

- Oczywiście ktoś musi mu zadać te same pytania, i to raczej prędzej niż później.

Oklamał mnie albo nie powiedział wszystkiego. Tak czy owak, zachował się jak oszust.

Adrianie, on coś ukrywa.

Dotarli do skrzyżowania dwóch ścieżek. Carter poprowadził Gabriela w lewą stronę.

Minęli kępę bezlistnych drzew, po czym wygrzebał z kieszeni płaszcz fajkę oraz woreczek z tytoniem i powoli nabił główkę.

- Już nie można palić w budynku - rzekł, zatrzymując się, by użyć eleganckiej srebrnej zapalniczki.

- Chciałbym, by u nas wprowadzono podobny przepis.

- Wyobrażasz sobie Szamrona bez tureckich papierosów? - Carter ruszył, pozostawiając za sobą, jak parowóz, smugę pachnącego klonem dymu. - Jak sądzę, mamy dwie możliwości. Pierwsza to przekazanie twoich informacji o Fawazie policji holenderskiej, która sprowadzi go na przesłuchanie przeprowadzone oczywiście w obecności FBI.

- A druga?

- Zatrzymamy go na nieoficjalną rozmowę w miejscu, gdzie nie obowiązują typowe zasady przesłuchiwania.

- Wiesz, za którym rozwiązaniem jestem...

- Cieszę się, że tak uważasz - powiedział Carter. - Sądzę, że powinieneś polecieć do Amsterdamu i osobiście nadzorować tę operację.

- Ja? - Gabriel potrząsnął głową. - Obawiam się, że mój udział w tej sprawie oficjalnie dobiegł końca. Poza tym rozumiem, że CIA ma doświadczenie w tego typu operacjach...?

- Oczywiście, że ma - rzekł Carter. - Ale niestety wiele z nich było nieudanych, i to pod moim dowództwem, aż wstyd się przyznać. Europejczycy nie będą dłużej przymykać oczu na nasze niezgodne z prawem akcje przeprowadzane na ich terytorium i teraz nasi tajni agenci tak się boją wszelkich oskarżeń, że nie podejmują żadnych delikatnych misji bez uprzedniej konsultacji u prawnika. Nasz nieustraszony szef wyczuł, że chwilowo wiatr nie wieje nam w plecy. Przeminięły już dni, kiedy przemierzaliśmy Europę i Bliski Wschód, łamiąc prawo i własne kończyny, co przecież uważaliśmy za normalne. Drzwi tajnych więzień są teraz zamknięte i nie przekazujemy już wrogów w ręce ludzi, którzy wymyślają nowatorskie zastosowania gumowych pał i ościeni. Odłożyliśmy kastety i znów jesteśmy klubem godnym dżentelmenów z Princeton i Yale, ale tak właśnie powinno być...

- Lubimy zamykać dżentelmenów z Princeton i Yale na Bulwarze Króla Saula, gdzie nie mogą sobie narobić żadnych kłopotów.

Carter szedł przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w bruk.

- Od dawna się na coś takiego przygotowywaliśmy. Chłopaki z FBI całkowicie odpowiadają za próby odbicia zakładnika w takich właśnie sytuacjach, a my oczywiście zbieramy informacje i współpracujemy ze sprzymierzonymi służbami w Europie i na Bliskim Wschodzie. Ciebie i twoją ekipę uznalibyśmy za tajny element większego międzynarodowego przedsięwzięcia i w rezultacie byłbyś podwykonawcą CIA. Może to i niekonwencjonalne, ale biorąc pod uwagę nasze wcześniejsze stosunki, sądzą, że możemy się tego podjąć.

- Będę potrzebował zgody premiera. - Gabriel się zawahał. - I oczywiście będzie musiał się pod nią podpisać Szamron.

- Zorganizuję ci tajne połączenie z Jerozolimą z mojego biura. Obiecuję, że nikt was nie podsłucha.

- Zadzwoń z mojej ambasady, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Rób, jak chcesz. - Carter zatrzymał się i zgasił fajkę o pień drzewa. - Czy twój informator powiedział ci przypadkiem, kto według niego za tym stoi?

Gabriel odpowiedział mu na pytanie, na co Carter przytaknął i nabił fajkę większą ilością tytoniu.

- Wszystko wiemy o Sfinksie - rzekł. - Sądzymy, że to on zaplanował atak na turystów przy piramidach trzy lata temu, ten, w którym zginęło siedemnastu Amerykanów. Jest również odpowiedzialny za morderstwo dwóch naszych dyplomatów w Kairze. Tak na marginesie, jeden był z CIA, a na ścianie w głównym holu wisi jego odznaka. Obawiam się, że Sfinks słynie z tego, że zajmuje się tymi, którzy aresztują lub zabijają członków Miecza.

Możesz być pewien, że przez swoją akcję w Londynie wylądowałeś na pierwszym miejscu jego listy ludzi do odstrzału. Kiedy wrócisz w teren, będziesz musiał na siebie uważać na każdym kroku.

- Zakładam, że powiedzieliście Egipcjanom o taśmie i żądaniach?

- Uznaliśmy, że nie mamy wyboru - powiedział Carter. - Obiecaliśmy im pełne wsparcie, a oni dali nam jasno do zrozumienia, że ugięcie się pod żądaniami Miecza będzie bardzo złym posunięciem. Egipski minister spraw zagranicznych przylatuje dziś potajemnie do Waszyngtonu, by umocnić w tym przekonaniu sekretarza stanu i prezydenta. Wiezie ze sobą ekipę z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz przedstawicieli wszelkich egipskich służb bezpieczeństwa i służb wywiadowczych. Postanowiliśmy dorzucić egipski element do naszych tutejszych i londyńskich grup specjalnych.

- Tylko dopilnuj, żeby nikt przy nich nie wspominał o naszej małej t a j n e j operacji. Islamiści przeniknęli do każdej sfery egipskiego społeczeństwa, rządu i służb bezpieczeństwa. Możesz być pewien, że Sfinks ma kontakty w BŚBN.

- Twoja operacja nie istnieje i nikt o niej nie będzie wiedział oprócz mnie. - Carter spojrział na zegarek. - Ile czasu zajmie ci rozmieszczenie ekipy w Amsterdamie?

- Mam już tam człowieka, który natychmiast może zacząć inwigilację celu.

- Jednego? Mam nadzieję, że jest dobry.

- Jest.

- A reszta ekipy?

- W ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Wtedy do terminu zostanie tylko pięć dni - powiedział Carter. - Poleć do Tel Awiwu moim samolotem, to pozwoli ci zaoszczędzić kilka cennych godzin. Będziemy potrzebowali w twojej ekipie kogoś z CIA, by koordynował akcje z większym zaangażowaniem, w przeciwnym wypadku ryzykujemy, że w terenie będziemy się potykać o siebie nawzajem.

- Nie chcę w ekipie nikogo z CIA, będzie tylko wchodził nam w drogę. A poza tym, od razu zapowiadam, że nasze akcje będą naruszać amerykańskie prawo, a nie mogę pozwolić na to, by osoba ta co pięć minut je spowalniała poprzez konsultowanie się z waszyngtońskim prawnikiem.

- Obawiam się, że nie mogę ci ustąpić.

- Dobrze, Adrianie, zatem zapraszam ciebie.

- Nic by mnie bardziej nie uszczęśliwiło, ale nie mogę opuścić kwatery głównej, przynajmniej nie w tej chwili. Tak naprawdę mam na myśli pewną kandydatkę, kogoś, kto umie się poruszać w terenie, ma doświadczenie w akcjach zbrojnych. A najlepsze jest to, że ty sam ją uczyłeś. Gabriel się zatrzymał.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Mówię zupełnie poważnie.

- Gdzie teraz jest?

- W wydziale saudyjskim Centrum Zwalczania Terroryzmu.

- Kiedy będzie gotowa do wyjazdu?

- Wykonam tylko jeden telefon i już jest twoja.

W pobliżu Hawru, Francja, godzina 16:49, sobota

Z dziobu promu płynącego z Portsmouth do Hawru światła na francuskim wybrzeżu wyglądały w ciemności jak małe punkciki. Mężczyzna siedzący przy oknie w barze na piętrze popatrzył na zegarek - z pięciogodzinnej podróży pozostało jeszcze trzydzieści minut.

Skinął na kelnerkę i dyskretnym gestem zamówił kolejnego, czwartego już carlsberga.

Kelnerka przyniosła piwo chwilę później i wymownie postawiła na stoliku. Miała tlenione blond włosy i zdobiony kamieniami szlachetnymi kolczyk w dolnej wardze, a na jej identyfikatorze napisane było: CHRISTINE. Wpatrywał się w nią w taki sposób, w jaki zawsze robili to niewierni mężczyźni, i błędził spojrzeniem wokół jej piersi.

- Jak masz na imię? - zapytała.

- Thomas - powiedział.

To nie było jego prawdziwe imię - pożyczył je sobie, tak samo zresztą jak prawo jazdy i brytyjski paszport. Za to prawdziwy był jego akcent z hrabstwa Yorkshire, ponieważ stamtąd pochodził - tam się urodził i wychował.

- Thomas, może się mylę, ale chyba masz wielbicielekę.

- Och, naprawdę, a gdzie?

Kelnerka popatrzyła na drugą stronę baru. Przy stoliku pod przeciwległym oknem samotnie siedziała drobna kobieta w wieku około dwudziestu pięciu lat. Miała krótkie ciemne włosy i czarne oczy w odcieniu burzowego nieba; ubrana była w obcisłe dżinsy i dobrze dopasowany pulower z wyhaftowanym słowem „Oui”.

- Patrzy na ciebie, odkąd tylko wypłynęliśmy z Portsmouth - rzekła kelnerka. -

Właściwie nie może oderwać od ciebie oczu.

- Nie jest w moim typie.

- A kto jest w twoim typie?

Przypomniał sobie słowa, jakie wypowiedział na ostatniej odprawie jego szef:

„Cokolwiek robicie, nie siedźcie sami i nie wyglądajcie, jak byście byli terrorystami.

Zacznijcie rozmowę. Kupcie komuś drinka. Flirtujcie z dziewczyną, jeśli jest taka możliwość”.

- Lubię dziewczyny o imieniu Christine, które serwują drinki na pływających po Kanale promach.

- Nie gadaj...

Uśmiechnęła się do niego, a on poczuł, jak z wściekłości podszedł mu do gardła żołądek.

- Kiedy wracasz do Anglii? - zapytała.

- Jutro w południe.

- Cóż za zbieg okoliczności. Wracam tym samym promem i mam nadzieję, że się spotkamy.

- No to wypiję za to.

Kelnerka wróciła za kontuar, a mężczyzna z akcentem z Yorkshire podniósł piwo do ust i zanim upił łyk, poprosił Allaha o wybaczenie. Przez ostatnie kilka dni zrobił wiele rzeczy, za które go przepraszał. Po raz pierwszy, odkąd przestał być nastolatkiem, zgolił

brodę, a ciemne włosy ufarbował na platynowy blond, by bardziej przypominać rdzennego Europejczyka. W przydrożnej restauracji zjadł kiełbasę wieprzową i rozmawiał z wieloma kobietami, które mają nieosłonięte twarze. Jednak za swój udział w porwaniu Amerykanki nie szukał żadnego rozgrzeszenia. Jej ojciec współpracował z reżimem krzyżowców, który ciemnizył muzułmanów na całym świecie, wspierał Izrael, gdy Palestyńczycy cierpieli, i wzbogacającego się zbira apostatę, Hosniego Mubaraka, kiedy naród egipski popadał z każdym dniem w coraz większe ubóstwo i rozpacz. Amerykanka była niczym więcej jak tylko narzędziem służącym do uwolnienia szejka Abdullaha z więzienia krzyżowców, niewierną krową, którą można zabrać na rynek i - jeśli to konieczne - zarznąć bez litości, nie obawiając się gniewu Allaha.

Z trzeszczącego głośnika rozległ się głos kapitana, który poinformował pasażerów, że prom niebawem przybije do brzegu. Mężczyzna dopił w barze piwo i zszedł na pokład załadowany samochodami, gdzie w środkowej kolumnie, w odległości trzech rzędów od rufy, stała zaparkowana srebrna furgonetka LDV Maxus. Otworzył tylne drzwi i zajrzał do ciemnego bagażnika, w którym znajdowało się kilka tuzinów skrzyń oznakowanych przez producenta delikatnej porcelany z Yorkshire. Ten w pełni udokumentowany ładunek zmierzał

do ekskluzywnego sklepu w Strasburgu, który przypadkiem należał do Egipcjanina blisko powiązanego z Mieczem Allaha. Na terminalu promowym w Portsmouth podczas akcji związanej prawdopodobnie z poszukiwaniem porwanej Amerykanki, policja otworzyła kilka skrzyń, ale nie znalazła w nich nic oprócz porcelany.

Mężczyzna zamknął bagażnik, po czym podszedł do drzwi kierowcy i wsiadł do samochodu. Na miejscu pasażera siedziała ciemnowłosa dziewczyna z baru, a jej dobrze dopasowany pulower zakrywała ciężka skórzana kurtka.

- Wyglądałeś, jakby flirtowanie z tą niewierną krową całkiem ci się podobało -

powiedziała dziewczyna.

- Miałem ochotę uderzyć ją w twarz.

- Z pewnością cię zapamięta - rzekła dziewczyna. - A właściwie zapamięta nas oboje.

Uśmiechnął się. O to im właśnie chodziło.

Pięć minut później prom ostrożnie przybił do przystani w Hawrze. Mężczyzna z platynowymi blond włosami skierował furgonetkę na ziemię francuską i pojechali do Rennes.

Baza Lotnictwa Wojskowego Andrews, godzina 14:17, sobota

- A zatem kto wpadł na ten błyskotliwy pomysł? - zapytała Sara Bancroft. - Ty czy Adrian?

Gabriel spojrział na kobietę, która siedziała naprzeciwko niego w kabinie pasażerskiej należącego do CIA Gulfstreama V. Miała blond włosy do ramion, alabastrową cerę i oczy w kolorze bezchmurnego letniego nieba, a ubrana była w kaszmirowy pulower, schludne, choć przetarte dzinsy i zgrabne skórzane kozaczki - wyglądała wprost niebezpiecznie atrakcyjnie.

- Zdecydowanie Adrian.

- Ty oczywiście wzdrygnąłeś się na tę propozycję...

- Naturalnie.

- A dlaczego ustąpiłeś?

- Miałem do wyboru albo jakiegoś jaskiniowca z Tajnych Służb albo ciebie.

Oczywiście wybrałem ciebie.

- Dobrze wiedzieć, że jestem potrzebna.

- Nikogo nie „potrzebowałem”. Adrian nalegał, byśmy dorzucili kogoś z CIA a ty wydałaś się najmniej szkodliwą opcją. Ostatecznie to my cię wyszkoliliśmy. Znasz część naszego personelu i wiesz, jak działamy. Odróżniasz agenta *bodel* od agenta *newiot*. Znasz język. - Zmarszczył czoło. - No cóż, prawie znasz. Jak sądzę, to, że nie znasz biegle hebrajskiego, jest zaletą, bo dzięki temu wciąż możemy mówić o tobie za twoimi plecami.

- Mogę sobie tylko wyobrazić, co wszyscy o mnie mówiliście.

- Saro, zapewniam cię, że wyrażaliśmy się o tobie w samych superlatywach. Nikt z nas nigdy nie widział, by ktoś uczył się szybciej niż ty, ale też zawsze wiedzieliśmy, że tak właśnie będzie i dlatego wybraliśmy ciebie.

Właściwie to Adrian Carter ją wybrał. - „Ty znajdź obraz - powiedział - a ja załatwię ci dziewczynę”. - Gabriel znalazł obraz, zaginione arcydzieło van Gogha pod tytułem *Marguerite Gachet przy toaletce*, który po śmierci Vincenta zniknął w prywatnej kolekcji paryskiego prawnika. Natomiast Carterowi udało się znaleźć własne zaginione arcydzieło, wykształconą w Europie poliglotkę i historyczkę sztuki, która pracowała w waszyngtońskim muzeum Philips Collection jako kustosz. Na zlecenie Gabriela przeniknęła do otoczenia saudyjskiego miliardera, terrorysty i finansisty Ziziego al-Bakariego i od tej chwili jej życie już nigdy nie było takie samo jak przedtem.

- Wiesz co, Gabrieliu? Jeśli się nie mylę, to chyba mógł być pierwszy komplement, jaki mi

kiedykolwiek powiedziałeś. Podczas przygotowań do operacji Al-Bakari nie powiedziałeś do mnie ani słowa. Zostawiłeś mnie w rękach instruktorów i innych członków twojej ekipy. Dlaczego? - Zapadło milczenie, więc sama odpowiedziała na to pytanie. - Może musiałeś zachować dystans, bo inaczej nie byłbyś w stanie wysłać mnie do obozu Ziziego...

Kto wie, może za bardzo mnie lubiłeś?

- Saro, moje uczucia do ciebie nie wykraczały poza nasze relacje zawodowe.

- Niczego takiego nie sugerowałam. - Milczała przez chwilę. - Wiesz, kiedy tamta operacja dobiegła końca, straszliwie za tobą tęskniłam. Byłeś pierwszą prawdziwą rodziną, jaką kiedykolwiek miałam. - Zawahała się, po czym dodała: - Wiesz, Gabrielu, naprawdę za tobą tęskniłam.

- O mało co przeze mnie nie zginęłaś.

- No tak... - Spuściła wzrok i splotła nieozdobione pierścionkami palce. - To nie twoja wina, tylko moja. To była piękna operacja. Wtajemniczę cię w mały sekret: CIA nie jest tak dobra jak Agencja. Nasze operacje są jak cegły i mózdzierz, a wasze jak... - Przerwała, szukając właściwego słowa. - Jak sztuka - powiedziała. - Są jak pewien obraz twojego dziadka.

- Mój dziadek był niemieckim ekspresjonistą - rzekł. - Niektóre jego obrazy są raczej chaotyczne i przejmujące.

- I takie też są wasze operacje.

Odchyliła oparcie siedzenia i oparła nogę o poręcz jego fotela, a Gabrielowi mignął w pamięci następujący obraz: dom w Alpach szwajcarskich, a w nim Sara w czarnej woalce przykuta do stołu oprawcy.

- Znow patrzysz na mnie w ten sposób - powiedziała.

- Czyli jak?

- Tak jak zwykłeś patrzeć na tego van Gogha, którego sprzedaliśmy Ziziemu.

Zazwyczaj patrzyłeś na mnie i Marguerite Gachet w ten sam sposób. Oceniasz mnie, szukasz strat i otarć. Zastanawiasz się, czy da się jeszcze odratować płótno czy już za późno na renowację.

- I jaka jest odpowiedź?

- Gabrielu, płótno jest w porządku, w ogóle nie wymaga pracy. W obecnym stanie właściwie można by je zawiesić.

- Koniec koszmarów? Koniec wizyt u psychologów CIA?

- No, bez przesady. - Znow spuściła wzrok i wydawało się, jakby na chwilę pojawił

się w jej oczach cień. - Nikt w Langley lepiej ode mnie nie wie, przez co przechodzi teraz Elizabeth Halton. Może dlatego Adrian wybrał mnie do tej misji? Jest byłym oficerem śledczym i wie, za które sznurki ciągnąć.

- Zauważyłem.

Spojrzała na niego, kiedy Gulfstream pędził po pasie startowym.

- Więc dokąd lecimy?

- Najpierw do Tel Awiwu, tam krótki postój, by zebrać ekipę, po czym lecimy do Amsterdamu, by dyskretnie zamienić słowo z kimś, kto pomoże nam odnaleźć Elizabeth Halton.

- Znam go?

- Raczej nie.

- Opowiedz mi o nim - rzekła.

Gabriel odczekał, aż samolot znajdzie się w powietrzu, a następnie opowiedział jej wszystko.

*

Na drugi dzień rano tuż po wschodzie słońca dotarli do Tel Awiwu, na Bulwar Króla Saula. Gabriel zatrzymał się na chwilę w Wydziale Operacji, by odebrać pierwsze zdjęcia inwigilacyjne Eliego Lawona i przejrzeć raporty z Amsterdamu, po czym poprowadził Sarę podziemnym korytarzem do pokoju numer 456C. Przez wiele lat był on niczym innym jak składzikiem na przestarzałe komputery oraz zniszczone meble biurowe. Na nocnej zmianie personel często wykorzystywał pokój jako miejsce romantycznych schadzek. Teraz zastąpił

na całym Bulwarze Króla Saula jako Kryjówka Gabriela. Na drzwiach wisiała wyblakła papierowa wywieszka, na której eleganckim charakterem pisma napisał po hebrajsku: TYMCZASOWA

KOMISJA DO SPRAW BADAŃ NAD ZAGROŻENIAMI

TERRORYSTYCZNYMI W EUROPIE ZACHODNIEJ. Ta wywieszka dobrze mu służyła podczas dwóch burzliwych operacji, więc postanowił jej teraz nie ruszać.

Otworzył zamek szyfrowy, po czym zapalił fluorescencyjne światła i wszedł do środka. Pokój nie zmienił się, odkąd rok wcześniej z niego wyszedł. Na jednej ścianie wisiały zdjęcia inwigilacyjne, na drugiej wykres światowego imperium biznesu, a na trzeciej kolekcja impresjonistycznych grafik. W rogu smutno stała czysta tablica szkolna, na której zapisano tylko jedno imię i nazwisko: SARA BANCROFT. Niepewnie weszła za nim do środka, jakby wkraczała do zapomnianego pokoju z dzieciństwa, i zaczęła się wpatrywać w zdjęcia: Zizi Al-Bakari z rozpieszczoną córką Nadią; Abdul i Abdul, jego wykształceni w Ameryce prawnicy; Herr Wehrli, szwajcarski bankier; pan bin Talal, szef ochrony; Francuz Jean-Michel, jego osobisty trener i główny dręczyciel Sary. Odwróciła się i spojrzała na Gabriela.

- To tutaj wszystko zaplanowałeś?

Przytaknął z namysłem, a ona rozejrzała się po pokoju, mrużąc z niedowierzaniem oczy.

- Prawdę mówiąc, oczekiwałam czegoś więcej... - Głos jej zamarł, po czym dodała: -

Czegoś bardziej imponującego...

- Saro, to jest Agencja, nie Langley. Lubimy pracować w taki staroświecki sposób.

- Jasne. - Popatrzyła na tablicę. - Nie widziałam takiej od czasów szkoły podstawowej.

Gabriel uśmiechnął się, a kiedy członkowie nowej ekipy wchodzili do pokoju jeden po drugim, zaczął zdejmować ze ścian pozostałości po operacji Al-Bakari. Nikogo nie trzeba było przedstawiać, ponieważ Sara znała i podziwiała ich wszystkich. Pierwszy wszedł Jossi, wysoki łysiejący intelektualista z Wydziału Badań, który czytał w Oksfordzie klasyczne dzieła i wciąż mówił po hebrajsku z wyraźnym brytyjskim akcentem. Po nim przyszła Dina Sarid, istna encyklopedia terroryzmu z Wydziału Historii, która potrafiła wyrecytować czas, miejsce i liczbę ofiar każdego aktu przemocy skierowanego przeciwko Państwu Izrael.

Dziesięć minut później wszedł Jaakow, zaprawiony w boju oficer śledczy z Wydziału do spraw Świata Arabskiego w izraelskiej Służbie Bezpieczeństwa Wewnętrznego Szabak, z którym przybyła Rimona, major SOI, Sił Obronnych Izraela, i analityk Amanu. Oded, zamyślony wszechstronny, działający w terenie tajny agent, który specjalizował się w łapaniu celów, przyszedł o ósmej, niosąc śniadanie dla każdego, a Mordechaj, szczupły mężczyzna, spec od wszelkiej elektroniki, wszedł niepewnym krokiem piętnaście minut później, wyglądając, jakby w ogóle nie spał poprzedniej nocy. Ostatni przyszedł Michaił, szarooki strzelec pochodzący z Rosji, który zniszczył połowę terrorystycznej infrastruktury Hamasu i palestyńskiego Islamskiego Dżihadu. To dzięki niemu i jego wprawnej obsłudze pistoletu Sara nadal żyła. Pocałowała go w policzek, gdy Gabriel podszedł do tablicy informacyjnej, do której przypiął zdjęcia inwigilacyjne Lawona.

- Teraz, kiedy wszyscy ponownie się zebraliśmy - powiedział - czas zabrać się do pracy. To jest człowiek, który doprowadzi nas do Elizabeth Halton. Jest założycielem Miecza Allaha i obecnie mieszka w Amsterdamie. Spowodujemy, że zniknie bez śladu, po czym wyciągniemy z niego wszystkie informacje. Musimy działać błyskawicznie i pod żadnym pozorem nie wolno nam popełnić błędu.

*

Agencja szczyli się tym i była chwalona za to, że zawsze potrafi improwizować w sytuacjach kryzysowych, ale i tak pracowników irytowały żądania Gabriela. Jego największą troską były tajne mieszkania, dlatego Wydział Administracyjny, który zajmował się kupowaniem i utrzymywaniem nieruchomości, był najtrudniejszym przeciwnikiem Gabriela.

W przeciwieństwie do takich miast, jak Paryż, Londyn i Rzym, gdzie Agencja utrzymywała dziesiątki tajnych mieszkań, w Amsterdamie nie miała dostatecznej ich liczby, co oznaczało, że w razie

potrzeby mieszkania trzeba było szybko kupować na wolnym rynku, a tego znany z powolności Wydział Administracyjny nigdy nie lubił. Do godziny dziesiątej wynajęli na sześć miesięcy dwupokojowe mieszkanie położone nad kanałem Herengracht, a do jedenastej załatwili sobie luksusową łódź mieszkalną o nazwie „Heleen” na kanale Prinsengracht.

Należało jeszcze zorganizować miejsce do przesłuchań. Gabriel potrzebował dla całej ekipy czegoś dużego i położonego w sporej odległości, by ich obecność nie budziła podejrzeń.

Myślał o zrujnowanej wiejskiej rezydencji pod Oldenburgiem, z której korzystali podczas operacji Gniew Boży, i w końcu udało mu się nakłonić Wydział Administracyjny do jej zakupu.

Reszta poszła jak z płatka. Do dwunastej Podróże wynajęły pewną liczbę samochodów na fikcyjne nazwiska, a do trzynastej Tożsamość wysupłała tyle czystych paszportów, że każdy członek ekipy mógł podróżować jako Europejczyk. Wydział Finansowy początkowo wzbraniał się przed prośbą o teczkę z gotówką na bieżące wydatki, ale o trzynastej trzydzieści Gabriel dokonał czegoś, co można było zaklasyfikować jako napad z bronią w ręku, i dziesięć minut później niósł piękną aktówką wypełnioną pięćdziesięcioma tysiącami dolarów oraz używanymi pięćdziesięcioma tysiącami euro.

W połowie dnia pierwsi członkowie ekipy wymknęli się po cichu z gmachu przy Bulwarze Króla Saula i pojechali w stronę lotniska Ben Guriona. Oded, Mordechaj i Rimona wyszli o piętnastej trzydzieści i polecili do Brukseli. Godzinę później Jossi, Jaakow i Dina lecieli Lufthansą do Frankfurtu. Jako ostatni wyszli Gabriel i Sara i tuż po dwudziestej zajmowali miejsca w pierwszej klasie samolotu linii El Al lecącego do Paryża. Przed starem zadzwonił do Chiary, by jej powiedzieć, że jest w kraju, ale znów wyjeżdża. Nie zapytała, dokąd się wybiera - nie musiała tego wiedzieć.

Imbaba, Kair, godzina 8:23, niedziela

Kairskie slumsy, znane jako Imbaba, są jednym z najuboższych miejsc na ziemi. Położone naprzeciwko modnej dzielnicy na wyspie Az-Zamalik dokładnie po drugiej stronie Nilu, są tak przeludnione, że czasem chwiejące się kamienice zawałają się pod ciężarem lokatorów.

Pogrążone w wiecznym mroku niebrukowane ulice nie mają nazw, wypełniają je sterty śmieci, a rynsztokami płyną ścieki. Nocami rządzą tu sfory dzikich psów, dzieci w łachmanach piją skażoną wodę i żyją w ciągłym strachu, że zostaną żywcem zjedzone przez szczury. Prawie nikt nie ma bieżącej wody, mało kto elektryczność, wszyscy dawno stracili wszelką nadzieję.

Liczy się tylko islam. Radykalny islam. Na niszczących murach napisano zieloną farbą w sprayu: ISLAM JEST ODPOWIEDZIĄ... TYLKO MIECZ MOŻE NAS OCALIĆ...

Tego poranka atmosfera w Imbabie była bardziej nerwowa niż zazwyczaj. Policyjne oddziały prewencyjne przemierzały zaułki, a ubrani po cywilnemu ludzie z BŚBN

kontrolowali okolicę, klucząc pomiędzy budkami serwującymi falafele i kawę. Husajn Mandali, nauczyciel w szkole podstawowej, przeżył już kiedyś coś takiego: siły bezpieczeństwa przygotowywały się do przeczesywania terenu. Aresztują wszystkich brodatych mężczyzn w galabijach i kobiety w nikabach i wtrącają do Skorpiona, miejsca budzącego postrach w zarezerwowanym dla islamistów kairskim kompleksie więzienia Tora, gdzie każdy niezależnie od płci spędzi na torturach co najmniej kilka minut. Tajna policja nie bardzo przejmowała się prawem i zasadami, których należy przestrzegać, by wydobyć zeznania. Jej zadaniem było wzbudzać postrach, co robiła bezlitośnie i skutecznie.

Husajn Mandali nie miał brody, ale nosił galabiję, jedyne ubranie, na jakie mógł sobie pozwolić za nędzne pieniądze z pensji. Egipski system edukacji upadał, jak zresztą prawie wszystko w tym kraju - nauczyciele prawie nie zarabiali, a uczniowie niewiele się uczyli. Od wielu lat pod kontrolą islamistów było dwadzieścia pięć tysięcy szkół, które w rezultacie były niczym więcej jak tylko fabrykami, które rok w rok masowo produkowały tysiące młodych mężczyzn i kobiet gotowych obalić reżim i jego zachodnich zwolenników. Husajn Mandali znał to zjawisko aż nazbyt dobrze - codziennie prowadził dla uczniów wykłady na temat satysfakcji, jaką daje dżihad oraz męczeństwo, i mówił, że ich świętym obowiązkiem jest zabijanie Amerykanów oraz Żydów i obalenie ich marionetki - Hosniego Mubaraka. Dzieci Imbabie zawsze były chętnymi rekrutami, ponieważ wszystko dokoła świadczyło o obojętności faraona na ich ciężką dolę.

Kilku policjantów stało na straży u wylotu ulicy. Przyjrżeli się podejrzliwie Mandaliemu, kiedy przemknął bez słowa i ruszył hałaśliwym bulwarem zachodniego brzegu Nilu. Dwie minuty później skręcił w lewo na most i przeszedł na Az-Zamalik. Jakże tutaj jest inaczej, pomyślał. To była wyspa luksusu otoczona morzem nędzy; zdecydowana większość Egipcjan nie mogła sobie pozwolić na kupenie tu ciastka czy filiżanki kawy. Niebawem Az-Zamalik, tak jak cały świat, odczuje gniew tłumów, gniew poniewieranych egipskich muzułmanów, pomyślał Mandali.

Przeszedł przez wyspę ulicą 26 Lipca, a potem przez jakiś czas spacerował cichymi bocznymi uliczkami na północ od Klubu Sportowego Dżazira, by się upewnić, że nikt go nie śledzi. Trzydzieści minut po opuszczeniu Imbaby dotarł do luksusowej wielopiętrowej kamienicy zwanej Wieżami Ramzesa. Przed wejściem stał tam zawsze wysoki Sudańczyk, który należał do Miecza Allaha. Poprowadził Mandaliego do marmurowego holu, ale kazał

mu iść tylnymi schodami, by żaden z lokatorów kamienicy nie zobaczył w ich połączonej windzie tak ubożego mężczyzny. Mocno zdyszany stanął przed drzwiami mieszkania numer 2408. Zapukał w ustalony sposób: dwa puknięcia, krótka przerwa, a po niej trzy kolejne puknięcia.

Kilka sekund później mężczyzna ubrany w jasnoszarą galabiję otworzył drzwi i wpuścił Mandaliego do eleganckiego przedpokoju, po czym poprowadził go do wspaniałego, wychodzącego na Nil salonu. Na podłodze siedział po turecku starszy mężczyzna z długą siwą brodą, ubrany w białą galabiję i szydełkową białą mykę. Husajn Mandali ucałował go w szorstkie policzki i usiadł naprzeciwko niego.

- Masz jakieś wieści z ulicy? - zapytał szejk Tajjib Abdul-Razzak.

- Siły zbrojne Mubaraka otoczyły Imbabę i zaczęły penetrować dzielnicę. Wojsko i policja brutalnie nas atakują w innych częściach kraju. Fajum, Al-Minja, Asjut i Luksor, wszystkie doświadczyły ciężkich nalotów policji. Sytuacja jest napięta. Jedna iskra, a wszystko eksploduje.

Szejk dotknął różańca i spojrzał na drugiego mężczyznę.

- Przynieś mi magnetofon - powiedział - a dam ci tę iskrę.

Mężczyzna postawił u stóp szejka magnetofon i włączył go. Godzinę później Husajn Mandali znów szedł alejami, ostrożnie wybierając drogę, tym razem ze schowaną w skarpecie kaseta magnetofonową. Do zmroku kazanie będzie krążyło po cieszących się największą popularnością meczetach i w siatce tajnych komórek bojowników dżihadu. Potem wszystko będzie już w rękach Allaha. Był pewny jednego: niebawem rynsztoki Imbaby spłyną krwią żołnierzy faraona...

Amsterdam, godzina 9:30, poniedziałek

Przysadzista i kanciasta „Heleen” pomalowana była na czekoladowy brąz i wykończona w kolorze czerwonym. Wzdłuż górnej burty stały kwiaty w skrzynkach, a przy rufie kołysała się lekka łódź motorowa. Wnętrze „Heleen” było świeżo odnowione - w małej, ale finezyjnej kuchence błyszcząły urządzenia ze stali nierdzewnej, a wygodny salon zdobiły meble w stylu skandynawskim. Trzy nowoczesne obrazy w kiepskim guście zostały zdjęte ze ścian, zaś na ich miejscu zawisła mapa Amsterdamu w dużej skali i kilka tuzinów zdjęć inwigilacyjnych muzułmanina, który miał dobrze po pięćdziesiątce. Na szklanym stole stał laptop z oprogramowaniem do szyfrowanej łączności. Siedział przy nim drobny mężczyzna, który miał na sobie chyba wszystkie swoje ubrania. Gabriel ubłagał go, żeby zgasił papierosa -

nocna jazda z Paryża spowodowała, że pękała mu głowa.

- Jeśli Ibrahim Fawaz jest terrorystą, z pewnością się tak nie zachowuje - powiedział

Eli Lawon. - Nie zajmuje się niczym, co mogłoby zostać uznane za budzące podejrzenia, a jego posunięcia są przewidywalne i bezpośrednie.

Gabriel spojrział na zawieszoną na ścianie mapę Amsterdamu, na której grubą czerwoną linią zaznaczono trasę codziennej wędrówki Ibrahima. Biegła od jego mieszkania na August Allebeplein, dalej do Centrum Islamskiego w zachodniej części miasta, po czym na rynek Ten Kate i kończyła się na meczecie Al-Hidzra. Skrupulatnie zanotowano godziny i na dowód dołączono zdjęcia.

- Gdzie? - zapytał Gabriel. - Gdzie go zgarniemy?

Lawon wstał i podszedł do mapy.

- Według moich analiz jest tylko jedno miejsce, które się do tego nadaje. Tutaj -

dwukrotnie stuknął w mapę krótkim palcem wskazującym - na końcu Jan Hazenstraat. Idzie tędy do domu, wracając z wieczornych modlitw w meczecie. Jest tu dość cicho jak na Amsterdam i jeśli uda nam się zepsuć latarnie, na pewno nas nie zauważy. - Odwrócił się i popatrzył na Gabriela. - Kiedy chcesz to zrobić?

Odpowiedź padła z kuchni, gdzie Sara parzyła w dzbanku świeżą kawę.

- Dziś wieczorem - powiedziała. - Nie mamy wyboru. Musimy dopaść go jeszcze dziś i od razu rozpocząć przesłuchanie.

- Dziś wieczorem? - Lawon spojrział na Gabriela i uśmiechnął się do niego z niedowierzaniem. - Rok temu uczyłem to dziecko, jak ma profesjonalnie chodzić po ulicy, a teraz ono mi mówi, że mam przeprowadzić porwanie w zatłoczonym europejskim mieście po niespełna czterdziestoosmiodzinnej obserwacji.

- Eli, niestety to dziecko ma rację. Musimy to zrobić dziś wieczorem i zabrać się do roboty.

Lawon znów usiadł i skrzyżował ramiona.

- Pamiętasz, jak długo obserwowałem w Rzymie Zwaitera, zanim w ogóle zaczęliśmy rozmawiać o tym, jak go zabijemy? Trzy tygodnie. Ale planowaliśmy zabójstwo, a nie porwanie. Sam wiesz, co Szamron zawsze mówi o operacjach, które mają na celu porwanie...

- Że znacznie łatwiej zostawia się martwego człowieka na chodniku niż wsadza żywego do samochodu w bramie. - Gabriel się uśmiechnął. - On to potrafi dobierać słowa, nieprawdaż?

Sara postawiła na stole dzbanek kawy i usiadła obok Gabriela, a Lawon zapalił

papierosa i rozczarowany dmuchnął w sufit strużką dymu.

- W mieście postawiono policję w stan najwyższej gotowości z powodu powiązań amsterdamskiej komórki z atakiem w Londynie - powiedział. - Musimy obserwować Ibrahima co najmniej przez kolejny tydzień. Musimy zaplanować główną trasę ucieczki, awaryjną trasę ucieczki i awaryjną wersję awaryjnej trasy ucieczki. Musimy inwigilować strefę porwania dwadzieścia cztery godziny na dobę, by się upewnić, że w czasie nocnej operacji nie spotkają nas żadne niespodzianki. Czy o czymś zapomniałem?

- O próbach - powiedział Gabriel. - Powinniśmy przeprowadzić co najmniej trzy próby. I oczywiście w idealnym świecie zrobilibyśmy to wszystko, ale w świecie prawdziwym Elizabeth Halton pozostało niecałe pięć dni życia. Przygotujemy się tak dobrze, jak tylko potrafimy, ale zgarniemy go dzisiaj.

- I pomodlimy się do Boga, byśmy nie skończyli w więzieniu, co na pewno się stanie, jeśli popełnimy błąd. - Lawon był pełen wątpliwości. Wpatrywał się w zegarek. - Może przespacerujemy się do dzielnicy Oud West? Kto wie, być może to nasza ostatnia okazja...

*

Tętniący życiem rynek, który ciągnął się przez kilka przecznic Ten Kate Straat, odzwierciedlał zmiany demograficzne w amsterdamskiej dzielnicy Oud West. Były tu daktyle i soczewica, beczki pełne oliwek i ciecierzycy, stoiska serwujące shoarmę, sprzedawcy falafeli i trzy stoiska rzeźników dokonujących rytualnego uboju zwierząt zgodnie z prawem muzułmańskim. Gabriel zatrzymał się na moment przy straganie z obuwem i przetrząsnął

stertę podróbek amerykańskich butów do koszykówki, podstawowego wyznacznika statusu młodych nawet wśród ulicznych oprychów z zachodniej części miasta. Na straganie po drugiej stronie ulicy Sara przypatrywała się płóciennej torbie na książki ozdobionej wizerunkiem Che Guevary, podczas gdy Lawon udawał zainteresowanie bluzą sportową z kapturem, która nawoływała: NATYCHMIAST UWOLNIĆ PALESTYNĘ!

Lawon spojrzał na Gabriela i skinieniem dał mu prawie niedostrzegalny znak, że nie wykrył tu żadnych śladów inwigilacji. Chwilę później cała trójka szła obok siebie w kierunku odległego krańca

rynku. Stragan, gdzie Ibrahim Fawaz pracował popołudniami, zajmował

teraz stary Marokańczyk w białej dżelabie. Sara zatrzymała się, by dokładnie obejrzeć czajnik elektryczny, podczas gdy Gabriel i Lawon poszli na koniec rynku. Po drugiej stronie ulicy, w ponurym powojennym budynku mieścił się meczet Al-Hidzra, przed którym, pod czujnym okiem dwóch umundurowanych policjantów, rozmawiali dwaj stojący na chodniku brodaci mężczyźni. Dwadzieścia metrów dalej stała ciemna furgonetka z przydymionymi szybami.

- Nie ruszyła się od czterdziestu ośmiu godzin - rzekł Lawon.

- Holenderska służba bezpieczeństwa? - zapytał Gabriel, na co ten przytaknął. -

Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że w budynku po drugiej stronie ulicy mają stałą placówkę.

Gabriel znów spojrzał na stragan z artykułami gospodarstwa domowego i kiwnął na Sarę, by do nich dołączyła. Skręcili w lewo i poszli cichą Jan Hazenstraat, która usiana była przysadzistymi, niepasującymi do siebie kamienicami i niewielkimi witrynami sklepowymi.

Na odległym końcu ulicy, nad szerokim kanałem, znajdował się maleńki park z kilkoma ławkami, huśtawkami i parą zardzewiałych koników na stalowych sprężynach. Gabriel skręcił

w lewo i zatrzymał się za rogiem - tutaj było więcej bloków mieszkalnych, żadnych witryn sklepowych ani restauracji, nic, co byłoby otwarte po zmroku.

- Wieczorna modlitwa zaczyna się dzisiaj o osiemnastej trzydzieści siedem -

powiedział Lawon - co oznacza, że Ibrahim będzie przechodził tędy około dziewiętnastej.

Kiedy zniknie za rogiem, nikomu nie uda się go dojrzeć ani z furgonetki, ani z domu po drugiej stronie ulicy. Musimy się tylko upewnić, że dorwiemy go i nie narobimy zbędnego hałasu. Proponuję zaparkować samochód w bramie na tym rogu, gdzie nie dostrzegą go holenderscy agenci. I musimy jeszcze zrobić coś, co spowoduje, że on sam zwolni, a my wtedy dorwiemy go z pełną precyzją.

Gabriel pomyślał o nocy, kiedy szedł z nim wzdłuż Amsteli i mignął mu w pamięci następujący obraz: Ibrahim Fawaz z odrazą odwracający wzrok od dwóch spacerujących pod rękę mężczyzn.

- Nie lubi homoseksualistów.

- Niewielu islamistów ich lubi, ale o co chodzi?

Gabriel opowiedział mu tę historię, a Eli Lawon się uśmiechnął.

- Komu zamierzasz powierzyć to zadanie?

- Michaiłowi i Jaakowi - rzekł bez wahania.

- Doskonale. Ale ty im powiesz o swoim pomysle. Ci faceci działają mi na nerwy.

Biały Dom, godzina 12:45, poniedziałek

Nie sposób było nie rozpoznać sprawcy napaści na biuro Nicholasa Scanlona - dwa mocne uderzenia w drzwi czymś podobnym do tapicerskiego młotka. Minęło dziesięć trudnych sekund, zanim sekretarz prasowy Białego Domu podniósł wzrok znad biurka. Melissa Stewart, główna korespondentka NBC w Białym Domu, opierała się o futrynę z buntowniczo skrzyżowanymi rękoma, a jej fryzura była potargana po ostatniej relacji na żywo, przeprowadzonej z Północnego Trawnika.

- O co chodzi, Melisso?

- Musimy porozmawiać.

- Znowu zabrakło papieru w damskiej toalecie?

Stewart weszła do biura i zamknęła drzwi.

- Proszę, Melisso, wejdź - sarkastycznie powiedział Scanlon. - Usiądź.

- Z przyjemnością, Nick, ale nieco się spieszę.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Potwierdź tę pogłoskę.

Scanlon zagrał na czas i przerzucił na biurku papiery.

- Co masz?

- Wiem, kto przetrzymuje Elizabeth Halton jako zakładniczkę.

- Proszę, Melisso, powiedz. Wszyscy chcielibyśmy się tego dowiedzieć.

- Miecz Allaha. Kilka dni temu w jakiejś wiosce w południowej Anglii zostawiono płytę DVD z nagraniem Elizabeth. Chcą szejka Abdullaha i jeśli do piątkowego wieczoru nie wsadzimy go do lecącego do Egiptu samolotu, ją zabiją.

- Kto jest twoim źródłem?

- To nie brzmi jak zaprzeczenie...

- Proszę, odpowiedz na pytanie.

- Chyba nie oczekujesz, że ujawnię swoje źródło, co?

- Przynajmniej jego rodzaj.

- Ochrona porządku publicznego, tylko tyle mogę powiedzieć.

Scanlon odwrócił się na krześle i spojrzał przez kuloodporne okno na Północny Trawnik. Pieprzony przeciek... Ale to i tak cud, że udało im się tak długo utrzymać to w tajemnicy. Właśnie mijało sześć miesięcy, odkąd zostawił intratne stanowisko lobbysty i szefa public relations, by pracować dla prezydenta, ale przez ten czas miał już dość dowodów na skłonności Waszyngtonu do wszelkiego rodzaju przecieków. A im gorsza wiadomość, tym szybciej przeciekała. Zastanawiał się, co mogło skłonić federalnego urzędnika zajmującego się ochroną porządku publicznego do podsunięcia reporterowi takiej wiadomości. Odwrócił

się i popatrzył w duże niebieskie oczy Melissy Stewart. No tak, jasna sprawa, pomyślał.

- Nadal sypiasz z tym gościem z FBI?

- Nick, nie mieszaj do tego mojego życia osobistego.

- A teraz dam ci radę i mam nadzieję, że przyjmiesz ją w postaci, w jakiej ci jej udzielę. Wierz mi, to nie jest ten rodzaj historii, którą chciałabyś usłyszeć pierwsza.

- To również nie brzmi jak zaprzeczenie...

- Jak się zapewne domyślasz, w tej chwili jesteśmy w samym środku kilku delikatnych operacji, które przeprowadzamy w kilku miejscach. Narazimy je na niebezpieczeństwo, jeśli ta wiadomość zostanie ujawniona, przed ich ukończeniem.

- Przykro mi, Nick, ale to jest po prostu wiadomość zbyt istotna, by można ją przemilczeć. Jeżeli taka jest prawda, musimy stawić jej czoło. Naród amerykański zasługuje na to, by wiedzieć, kto przetrzymuje córkę ambasadora Haltona.

- Nawet jeśli przez to zginie?

- Nisko upadłeś, ale teraz osiągnąłeś dno.

- Melisso, mogę upaść jeszcze niżej. Zaprzeczę, że to prawda, po czym usunę cię z podium.

Odwróciła się i chwyciła gałkę u drzwi.

- Zaczekaj - nagle powiedział Scanlon pojednawczym tonem.

- Może uda nam się pójść na kompromis.

- Co masz na myśli?

- Ile czasu możesz mi dać?

- Dziesięć minut.

- Dwadzieścia - zripostował.

- Piętnaście.

Scanlon przytaknął na znak zgody, a Stewart spojrziała na zegarek.

- Jeśli w mojej kabinie w ciągu piętnastu pieprzonych minut nie zadzwoni telefon - powiedziała - wymaszeruję na trawnik i powiem całemu światu, kto przetrzymuje Elizabeth Halton.

*

Kiedy trzy minuty później do gabinetu owalnego wszedł Nicholas Scanlon w towarzystwie szefa personelu Białego Domu Williama Burnsa i doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego Cyrusa Mansfielda, prezydent siedział przy biurku.

- Panowie, skąd te smutne miny? - zapytał prezydent.

- Panie prezydencie, doszło do przecieku - powiedział Scanlon. - NBC wie, kto przetrzymuje Elizabeth Halton.

Prezydent zirytowany zamknął oczy. Od ponad tygodnia stąpał po cienkiej linie, usiłując publicznie okazać troskę o los córki przyjaciela i jednocześnie dać terrorystom jasno do zrozumienia, że nie udało im się złamać najbardziej wpływowego człowieka na świecie.

Tylko jego najbliżsi wiedzieli, ile nerwów i zdrowia kosztowało go to porwanie.

- Co proponujesz, Nick?

- Chwycić byka za rogi, sir. Sądzę, że lepiej będzie, jeśli kraj i reszta świata usłyszy tę wiadomość z pana ust, a nie od Melissy Stewart.

- Ile mamy czasu, zanim wejdzie z tym na antenę?

Scanlon spojrział na zegarek.

- Dziewięć minut, sir.

Prezydent przeniósł wzrok z sekretarza prasowego na doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Muszę wiedzieć, czy narażę na niebezpieczeństwo jakąkolwiek delikatną operację, jeśli to teraz ujawnię. Połącz mnie z szefem CIA i sekretarzem stanu.

- Tak jest, sir.

Prezydent znów popatrzył na Scanlona.

- Zakładając, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, gdzie chciałbyś to zrobić?
- Według mnie odpowiednia będzie sala konferencyjna.
- Zatem nie mam więcej pytań.
- Ale najpierw poinformuję o tym reporterów.
- A jak zamierzasz sobie poradzić z Melissą Stewart?
- Będziemy musieli jej coś obiecać - powiedział Scanlon. - I to coś ważnego.
- Nie możemy po prostu przemówić do jej poczucia przyzwoitości i patriotyzmu?
- Panie prezydencie, rozmawiamy o Melissie Stewart. Nie jestem pewien, czy ona w ogóle ma serce, więc co tu mówić o patriotyzmie.

Prezydent ciężko westchnął.

- Możesz jej powiedzieć, że kiedy będzie już po wszystkim, pierwszego wywiadu udzielę NBC News. To powinno ją uszczęśliwić.
- Proszę pana, to mi narobi problemów w sali prasowej.
- Nick, obawiam się, że to już jest t w o j e zmartwienie, a nie moje.
- Czy chciałby pan, bym napisał wstępną wersję oświadczenia?

Prezydent potrząsnął głową.

- To akurat potrafię zrobić sam.

*

Melissa Stewart włożyła płaszcz i przygotowała się do wyjścia na Północny Trawnik, kiedy w jej kabinie zadzwonił telefon.

- Co, nie wyrabiamy się z czasem?
- Przepraszam, Melisso. Przez chwilę zapomniałem, że jesteś teraz pępkiem świata.
- Nick, jestem już spóźniona na ważną relację na żywo.
- Odwołaj ją.
- A co dla mnie masz?
- Prezydent wchodzi do sali konferencyjnej w ciągu dwudziestu minut, by powiedzieć światu, że to

Miecz Allaha przetrzymuje Elizabeth Halton jako zakładniczkę i żąda uwolnienia szejka Abdullaha. Przed jego wystąpieniem możesz donieść, że NBC News dowiedział się, że Elizabeth Halton przetrzymują egipscy bojownicy i czekamy na prezydenta, który powie na temat sytuacji coś więcej. Jeśli będziesz się trzymała scenariusza, twoja sieć dostanie na wyłączność pierwszy wywiad z prezydentem, kiedy ta sprawa się zakończy. Jeśli nie, będę uprzykrzał ci życie przez resztę swojej pracy w Białym Domu.

Umowa stoi?

- Stoi.

- Za dziesięć minut widzimy się w sali konferencyjnej. I nie próbuj mnie wykiwać, Melisso. Będę cię uważnie słuchał.

*

Dokładnie o 13:30 czasu nowojorskiego prezydent Stanów Zjednoczonych wszedł na podium w sali konferencyjnej Białego Domu i poinformował świat, że jego chrześniaczkę uprowadziło egipskie ugrupowanie terrorystyczne znane jako Miecz Allaha. Powiedział, że terroryści zażądali uwolnienia szejka Abdullaha Abdul-Razzaka w zamian za wypuszczenie Elizabeth, ale również dał jasno do zrozumienia, że Ameryka nigdy nie spełni tego żądania.

Zapelował do terrorystów o natychmiastowe uwolnienie Elizabeth, ostrzegł ich i ich sponsorów, że zostaną oddani w ręce sprawiedliwości, i podziękował narodowi amerykańskiemu za modlitwy i wsparcie.

O 13:32 prezydent zszedł z podium i zostawił Nicholasa Scanlona, sekretarza prasowego, by ten sam stawiał czoło zaszokowanym dziennikarzom. Adrian Carter wcisnął w pilocie przycisk MUTE i spojrzał na drzwi swojego biura, w których stał bez marynarki Shepard Cantwell, wiceszef wywiadu.

- Co o tym sądzisz? - zapytał.

Carter zawahał się, zanim odpowiedział. Shepard Cantwell, kiedy miał zaryzykować wyrażenie własnej opinii, zadawał pytania innym. Nie potrafił nad tym zapanować, w końcu był z Wydziału Analiz.

- Sądzę, że postąpił jak należy, biorąc pod uwagę okoliczności - rzekł. - Dał Mieczowi jasno do zrozumienia, że nie zamierzamy zostać ich zakładnikami i nie będziemy z nimi negocjować.

- Zakładasz, że tego właśnie chce Miecz, negocjacji? A ja nie byłbym tego taki pewien. - Cantwell wszedł do biura Cartera i usiadł. - Nasi analitycy ślęczeli nad każdym słowem, jakie kiedykolwiek publicznie napisał i powiedział szejk Tajjib Abdul-Razzak: kazania, fatwy, stenogramy z wywiadów, wszystko, co tylko wpadło nam w ręce. Kilka lat temu gdzieś w Egipcie udzielił wywiadu londyńskiej gazecie arabskojęzycznej w niebywale tajemniczych warunkach. Poproszono go wtedy o wskazanie najbardziej prawdopodobnego scenariusza, według którego islamiści mogliby przejąć w Egipcie władzę: wybory, zamach stanu czy powszechne powstanie. Szejk powiedział bardzo jasno,

że j e d y n y sposób, jaki kiedykolwiek zastosują islamiści, by przejąć w Egipcie władzę, to podburzanie tłumów do buntu przeciwko ciemńycielom. Demonstracje, zamieszki, uliczne starcia z wojskiem.

Intifada wszelkiego typu, od Deltę Nilu aż po Górny Egipt.

- Do czego zmierzasz, Shep?

- Szejk Tajjib to religijny fanatyk i zbrodniarz winny ludobójstwa, który przypadkiem jest również bardzo sprytnym i pomysłowym typem. Dowodem jest to, że po tych wszystkich latach nadal żyje. Musiał wiedzieć, że nigdy nie ulegniemy żądaniom uwolnienia jego brata w zamian za Elizabeth Halton. Ale może tak naprawdę nie chce brata... Może to, czego tak naprawdę chce, to powstanie?

- I organizuje je, dążąc do konfrontacji?

- W tej chwili egipskie służby bezpieczeństwa rozszarpują kraj na strzępy, by pomóc niewiernym Amerykanom odnaleźć córkę ambasadora miliardera - powiedział Cantwell. -

Pomyśl, jak to musi wyglądać dla żyjącego w potwornym ubóstwie egipskiego islamisty, który stracił w izbie tortur Mubaraka brata lub ojca. Kiedy tak sobie tutaj rozmawiamy, te izby tortur bezustannie się zapełniają, ponieważ reżim szuka j e d n e j Amerykanki.

- Jak zła jest obecnie sytuacja w Egipcie?

- Według raportów, które otrzymujemy z bazy w Kairze, jest wyjątkowo źle, w istocie rzeczy jest gorzej niż kiedykolwiek... Jeśli potrwa to dłużej, szejk Tajjib będzie miał swoje powstanie, a naszego prezydenta historia zapamięta jako człowieka, który stracił Egipt.

Cantwell wstał i już miał wychodzić, kiedy nagle zatrzymał się i odwrócił.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Prezydent właśnie wysłał naszemu przyjacielowi, Sfinksowi, bardzo klarowną wiadomość i nie będę zaskoczony, jeśli ten w odpowiedzi przyśle swoją. Na twoim miejscu zadzwoniłbym do Służb Bezpieczeństwa Narodowego i natychmiast podniósł poziom zagrożenia w kraju.

- Jak wysoko?

- Czerwony - powiedział Cantwell, wymykając się z pokoju. - K r w i s t a czerwień...

Carter spojrział na zegarek. Była 13:37. W Amsterdamie właśnie zaczęło się wieczorne nabożeństwo w meczecie. Wpatrywał się w telefon i czekał, aż zadzwoni.

Oud West, Amsterdam, godzina 19:09, poniedziałek

Kiedy Ibrahim Fawaz otworzył drzwi meczetu Al-Hidżra, podmuch zimnego wiatru sprawił, że poczuł się jak sople lodu. To była jego dwudziesta piąta zima w Holandii, ale wciąż nie przywykł do tak niskich temperatur. Los i opatrzność przywiodły go tutaj, do tego ogrodu w północnej Europie z pustaków i betonu, ale w sercu nadal pozostawał *ibn balad* z Górnego Egiptu - synem ziemi i dzieckiem rzeki. Stał przez chwilę w westybulu, stawiając kołnierz płaszcza i mocniej opatulając się szalem, po czym wyszedł niepewnie na ulicę pod czujnym okiem dwóch policjantów z rumianymi od zimna policzkami. Wymienił z nimi uprzejmości w płynnym niderlandzkim, a następnie skręcił i ruszył Jan Hazenstraat.

Dwaj funkcjonariusze policji byli teraz stałym elementem zewnętrznej części meczetu.

Wskutek ataku w Londynie holenderscy śledczy dwukrotnie przeszukali Al-Hidżrę - zajęto akta i komputery, a imama i kilku jego współpracowników przesłuchano w sprawie Samira Al-Masriego i innych członków jego komórki. Dziś wieczorem imam oskarżył niewiernych o to, że traktują ataki w Londynie i morderstwo Solomona Rosnera jak uzasadnienia dla zdecydowanej akcji przeciwko islamowi w Holandii. Ibrahim Fawaz przeżył już kiedyś takie akcje przeciwko muzułmanom, przeprowadzane z bezwzględnością i brutalnością, jakiej Europejczycy nie mogliby sobie wyobrazić nawet w najgorszych koszmarach. Śledztwo policyjne posłużyło imamowi jako pretekst do podburzania. Ale przecież właśnie to wychodziło mu najlepiej i dlatego wysłano do Amsterdamu akurat jego.

Ibrahima wyprzedził samochód. Zobaczył, że jego cień wydłuża się przed nim na chodniku i po chwili znika wraz z przemykającym pojazdem. Nagle zorientował się, że otaczają go kompletne ciemności. Zdawało mu się, że na końcu ulicy przestały palić się trzy latarnie. W małym parku na nabrzeżu kanału na ławce siedział samotny człowiek o wynędzniałej twarzy, znękanych ciemnych oczach i tak chudy jak nadniłowa trawa trzciniowa.

Heroinista, pomyślał. W Amsterdamie było ich pełno. Przybyli z Europy i Ameryki, by korzystać z liberalnego holenderskiego prawa dotyczącego narkotyków i z wysokiego zasiłku z opieki społecznej, a kiedy już się uzależnili, niewielu znajdowało w sobie siłę lub ochotę, by wyjechać.

Ibrahim wbił wzrok w chodnik i skręcił za róg. Ten widok znacznie bardziej obrażał

jego islamskie uczucia niż siedzący samotnie w lodowatym parku heroinista. Z tym również spotykał się w tym mieście zdecydowanie za często: dwóch obmacujących się w ciemności mężczyzn w skórzanych kurtkach opierało się o furgonetkę Volkswagen. Oburzony bezwstydem czynu, którego właśnie był świadkiem, nagle zatrzymał się, nie wiedząc, czy minąć ich pospiesznie, odwracając wzrok, czy uciec w przeciwną stronę.

Zdecydował się na drugie rozwiązanie, ale zanim zdążył się ruszyć, boczne drzwi furgonetki rozsunęły się, a przypominająca trolla drobna postać wyciągnęła rękę i chwyciła go za gardło.

Dwóch obmacujących się mężczyzn nagle zupełnie straciło zainteresowanie sobą i skierowało je ku niemu. Czyjaś ręka zacisnęła mu usta, czyjaś ścisnęła go za szyję, tak że osunął się bezwładnie. Usłyszał trzaśnięcie drzwi i poczuł szarpnięcie furgonetki. Ktoś po arabsku nakazał mu bezruch i milczenie. Potem zapadła cisza. Ibrahim nie wiedział, kto go porwał i dokąd go wiozą, ale był pewny jednego: jeśli nie zrobi tego, czego chcą porywacze, już nigdy nie zobaczy żony i Amsterdamu.

Zamknął powieki i zaczął się modlić. Przed oczami mignął mu obraz z najgłębszych czeluści pamięci, obraz zakrwawionego dziecka przykutego do sufitu w izbie tortur. - Tylko nie to - modlił się.

- Drogi Allahu, proszę, nie pozwól, by to się znowu stało...

Część trzecia

Ofiara Izaaka

Północne Niemcy, godzina 22:18, poniedziałek

Kierownicy Wydziału Administracyjnego nazywali to miejsce miejscem numer 22XB, ale wśród starych dobrych robotników dom znany był po prostu jako *chateau* Szamrona. Stał w odległości stu metrów od samotnej wiejskiej drogi na końcu zrytego, otoczonego nagimi platanami podjazdu. Stromy dwuspadowy dach pokrywała tego wieczoru warstewka delikatnego śniegu. Brakowało kilku okiennic, a te, które się ostały, zwisały smętnie pod jakimś dziwnym kątem. W stolarce futryny drzwi głównych znajdowały się cztery maleńkie dziurki, co było dowodem na to, że dawno temu usunięto z niej mezuzę.

Ekipa, która przybyła wieczorem do tego domu, nie weszła przez drzwi główne, ale starym wejściem dla służby z tylnego podwórza. Przyjechali czterema samochodami: volkswagenem vanem, dwoma podobnymi renaultami sedanami i raczej szpanerskim audi A8. Gdyby ktokolwiek zapytał ich o cel pobytu, powiedzieliby o planowanym od dawna spotkaniu starych przyjaciół. Pobieżna kontrola domu potwierdziłaby ich wersję - kuchnię dobrze zaopatrzone w jedzenie i alkohole, a palenisko w salonie obłożono wokół

wysuszonym drewnem na opał. Jednak skrupulatniejsza inspekcja terenu wykazałaby, że jadalnię przygotowano do prowadzenia przesłuchań, a w kilku pokojach zainstalowano kilka wysokiej klasy urządzeń do łączności niedostępnych na wolnym rynku. Okazałoby się również, że małą komórkę w piwnicy przerobiono na celę, zajmowaną teraz przez skutego Egipcjanina. Był on dobrze po pięćdziesiątce, miał zawiązane oczy i był rozebrany do bielizny. Gabriel przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, po czym wszedł po schodach do spiżarni, gdzie obok Jaakowa stała Sara.

- Jak długo tam jest? - zapytał Gabriel.

- Nieco ponad godzinę - odpowiedział.

- Jakies problemy?

Jaakow potrząsnął głową.

- Wydostaliśmy się z Amsterdamu bez przeszkód, a podczas jazdy grzecznie się zachowywał.

- Musieliście użyć narkotyków?

- To nie było konieczne.

- A siły?

- Może kilka razy poklepałem go czule, ale niczego nie będzie pamiętał.

- Ktoś coś przy nim mówił?

- Tylko parę słów po arabsku, ale za to Ibrahim trochę pogadał. Jest przekonany, że trafił w ręce Amerykanów.

I dobrze, pomyślał Gabriel. Dokładnie tego chciał: by Ibrahim tak właśnie uważał.

Poprowadził Sarę do salonu, gdzie przy trzaskającym ogniu Dina i Rimona czytały akta Miecza Allaha, po czym przemknęli do jadalni przez dwuskrzydłowe drzwi. Stał w niej tylko prostokątny stół i dwa krzesła z wysokimi oparciami. Na jednym z nich niepewnie siedział

Mordechaj, który wmontowywał w zasnuty pajęczynami żyrandol miniaturowy nadajnik.

- To do zrobienia zapasowej kopii. - Zeskoczył z krzesła i wytarł w nogawki spodni zakurzone ręce.
- A główny mikrofon jest tutaj. - Stuknął w blat stołu. - Posadź Ibrahima na tym krześle, a mikrofon wyłapie wszystko, co powie.

- A co z szyfrowanym połączeniem? - zapytał Gabriel.

- Już działa - powiedział. - Przekażę sygnał na Bulwar Króla Saula, a oni wyślą go do Langley. Według tego, co odbieramy od Amerykanów, dziś jesteś ich największym ulubieńcem.

Mordechaj wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi, a Sara rozejrzała się po pustych ścianach.

- Z pewnością to miejsce ma ciekawą historię - rzekła.

- Przed wojną należało do znanej żydowskiej rodziny Rosenthalów - powiedział

Gabriel.

- A po wybuchu wojny?

- Skonfiskował je oficer SS, a rodzinę wysłano do Auschwitz. Córce udało się przeżyć i odzyskać posiadłość, ale w latach pięćdziesiątych nie chciała tu dłużej mieszkać i wyemigrowała do Izraela. Naród niemiecki nie był zbyt życzliwy dla swoich rodaków, którym udało się przeżyć Holocaust.

- A dom?

- Nigdy go nie sprzedała. Kiedy Szamron dowiedział się, że wciąż do niej należy, przekonał ją, by pozwoliła nam z niego korzystać. On zawsze potrafił coś odłożyć na czarną godzinę. Domy, paszporty, ludzi... Ten tajny dom służył nam jako punkt zborny podczas operacji Gniew Boży. Tutaj spędziliśmy z Elim wiele długich nocy, czasem dobrych, a czasem złych.

Sara usiadła na krzesło, które miał niebawem zająć Ibrahim Fawaz, i skrzyżowała ręce na stole.

- Co się tu dzisiaj wydarzy? - zapytała.

- To zależy wyłącznie od Ibrahima. Jeśli będzie współpracował i powie prawdę, to wszystko pójdzie jak po maśle. Jeśli nie... - Gabriel wzruszył ramionami. - Jaakow jest jednym z najzręczniejszych

śledczych Szabaku. Wie, jak rozmawiać z ludźmi, którzy nie boją się śmierci. Możliwe, że sprawy przyjmą nieprzyjemny obrót...

- To znaczy?

- Pytasz mnie, czy będziemy go torturować?

- Właśnie.

- Saro, dziś wieczorem moim celem będzie pozyskanie sojusznika, a nie zrobię tego przy użyciu pałek i pięści.

- A co będzie jeśli Ibrahim nie zechce nim zostać?

- To pewnie niebawem znajdzie się w miejscu, gdzie nikt nie obawia się korzystać z wyjątkowo brutalnych metod w celu zdobycia informacji, ale miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie, dla dobra nas wszystkich...

- Czyli nie pochwalasz tortur?

- Mówię raczej, że nie przynoszą efektów, ale nie o to tu chodzi. Jeśli odpowiednio wykorzystują je profesjonaliści, wywierając na schwytanych terrorystach presję cielesną i emocjonalną, to bardzo często dzięki nim zdobywa się informacje, które ratują życie. Niestety kosztem zaangażowanych w to społeczności i służb bezpieczeństwa, i to bardzo dużym. To sprawia, że jesteśmy w tej samej lidze, w której jest co druga brutalna arabska tajna policja, Egipcjanie, Jordańczycy i Saudyjczycy, torturujący swoich przeciwników. To również szkodzi naszej sprawie, ponieważ wierzący stają się fanatykami.

- Potępiasz tortury, ale nie masz żadnych skrupułów, by zabijać?

- Żadnych skrupułów? - Powoli pokręcił głową. - Zabijanie także jest tragiczne w skutkach, ale obawiam się, że to nasze jedyne wyjście. Musimy pozabijać potwory, zanim one zabiją nas. Ale nie w buciarach na ich terenie, jak to wy, Amerykanie, lubicie mówić, ponieważ terroryści odnoszą tylko kolejne moralne zwycięstwo, kiedy najeżdżamy ich terytorium. Zabójstwa muszą się odbywać w ciemnościach, bez świadków. To my musimy i c h bezlitośnie tropić, musimy ich terroryzować. - Znow na nią spojrzał. - Saro, witamy na wojnie, jesteś teraz prawdziwą obywatelką nocy.

- Wielkie dzięki, ale już od kilku miesięcy nią jestem.

Rozległo się pukanie do drzwi, po czym wszedł Jaakow.

- Sądzę, że jest już gotowy do rozmowy.

- Jesteś pewien?

Skinął głową.

- Daj mu jeszcze dziesięć minut - powiedział Gabriel - i przyprowdź go do mnie.

*

Przywiedli go ostrożnie na górę i posadzili na przeznaczonym dla niego krześle.

Wciąż miał zawiązane oczy i skute z tyłu ręce, ale nie protestował, niczego nie chciał i nie zdradzał żadnych oznak lęku. W istocie rzeczy przypominał Gabrielowi męczennika, który bohatercko czeka na cios topora kata. W piwnicy było ciemno, ale teraz w normalnym świetle zauważył na skórze Ibrahima czarne plamy. Po kilku minutach, przechylił się przez stół i zdjął więźniowi przepaskę z oczu. Oślepiiony nagłym światłem Egipcjanin zmrużył oczy, po czym powoli je otworzył i złowrogo wpatrywał się w Gabriela.

- Gdzie jestem?

- W dużych kłopotach.

- Dlaczego mnie porwałeś?

- Nikt cię nie porwał. Zostałeś aresztowany.

- Przez kogo? Z jakiego powodu?

- Przez Amerykanów, a powód obaj dobrze znamy.

- Jeżeli jestem w rękach Amerykanów, to co ty tu robisz?

- Oczywiście powiedziałem im o tobie.

- Tak wyglądają twoje zapewnienia o tym, że będziesz mnie ochraniał.

- Przestały obowiązywać, kiedy wyszło na jaw, że mnie okłamałeś.

- Niczego takiego nie zrobiłem.

- Naprawdę?

- Powiedziałem ci wszystko, co wiedziałem o spisku. Gdybyś ze swoimi brytyjskimi przyjaciółmi działał szybciej, być może udałoby ci się temu zapobiec. - Przez chwilę Egipcjanin przyglądał mu się w milczeniu. - Panie Allon, przyjemnie mi się czytało w gazetach o pana burzliwej przeszłości. Nie miałem pojęcia, że tamtej nocy w Amsterdamie rozmawiałem z kimś tak ważnym.

Gabriel położył na stole akta, a potem przesunął je w stronę Ibrahima. Egipcjanin patrzył na nie przez dłuższą chwilę, po czym znów spojrzał na Gabriela.

- Skąd to masz?

- A jak myślisz?

Zdobył się na wyniosły uśmiech.

- Amerykanie, Żydzi i egipska policja tajna: trójca nieświęta. I jeszcze się zastanawiacie, dlaczego Arabowie was nienawidzą.

- Ibrahimie, mamy ograniczony czas. Możesz go zmarnować na przeprowadzenie kolejnego wykładu lub mądrze spożytkować, mówiąc mi wszystko, co wiesz o porwaniu Amerykanki.

- Nic nie wiem.

- Kłamiesz, Ibrahimie.

- Mówię p r a w d ę!

- Jesteś członkiem Miecza Allaha.

- B y ł e m. Ale przestałem, kiedy wyjechałem z Egiptu.

- Tak, pamiętam. Przybyłeś do Europy w poszukiwaniu lepszego życia, czy nie to mi mówiłeś? Ale to chyba nieprawda? Twój przyjaciel, szejk Tajjib, wysłał cię do Europy, byś założył w Amsterdamie komórkę operacyjną. Meczet Al-Hidżra i Centrum Islamskie w zachodniej części Amsterdamu: oba są przykrywką dla Miecza Allaha, nieprawdaż, Ibrahimie?

- Jeśli jestem aktywnym członkiem Miecza Allaha, to dlaczego pracowałem dla twojego szpiega, Solomona Rosnera? Dlaczego powiedziałem mu o spisku mającym na celu zestrzelenie waszego samolotu pasażerskiego? I dlaczego ostrzegłem cię przed Samirem al-Masrim i jego przyjaciółmi z meczetu Al-Hidżra?

- Bardzo dobre pytania. Masz dokładnie trzydzieści minut, by na nie odpowiedzieć i odpowiedzi te mają mnie zadowolić. Trzydzieści minut, by powiedzieć mi wszystko, co wiesz o operacji przeprowadzonej w celu porwania Elizabeth Halton. W przeciwnym wypadku zostanę wyproszony i wkroczą tu Amerykanie. Ibrahimie, są teraz wściekli, a wiesz, co to znaczy... Uciekają się do czynów, których dopuszczanie się jest wbrew ich naturze...

- Wy, Izraelczycy, zachowujecie się jeszcze gorzej.

Gabriel bez entuzjazmu spojrział na zegarek.

- Marnujesz czas, ale może na tym polega twój plan? Myślisz, że wytrzymasz do terminu ultimatum? Ibrahimie, cztery dni to bardzo długo, nie dasz rady. Zacznij mówić, wypowiedz się.

- Nie mam z czego.

Powiedział to bez przekonania, więc Gabriel wykorzystał swoją przewagę.

- Ibrahimie, powiedz mi wszystko, co wiesz, w przeciwnym razie zaczną cię wypytywać Amerykanie. A jeśli swoimi sposobami nie wyciągną z ciebie potrzebnych informacji, wsadzą cię do samolotu lecącego do Egiptu i pozwolą, by do akcji wkroczył

BŚBN. - Popatrzył na ślady po oparzeniu na rękach Egipcjanina. - Ibrahimie, wiesz wszystko o ich sposobach, prawda?

- Papierosy to najmiłsza rzecz, jaka mi się z nimi kojarzy. Możesz być pewien, że nie przeraża mnie to, co mówisz. Nie wierzę, że są tu Amerykanie i że ktokolwiek wyśle mnie do Egiptu na przesłuchanie. Jestem obywatelem Holandii i mam swoje prawa.

Gabriel rozsiadł się na krześle i dwukrotnie walnął pięścią w dwuskrzydłowe drzwi.

Chwilę później u jego boku stała Sara i bez zażenowania wpatrywała się w Ibrahima, który zawstydzony odwrócił wzrok i zaniepokojony skulił się na krześle.

- Dobry wieczór, panie Fawaz. Nazywam się Catherine Blanchard i pracuję dla Centralnej Agencji Wywiadowczej. Nie dalej jak kilometr stąd czeka zatankowany samolot, by zabrać pana do Kairu. Jeśli będzie miał pan jakieś pytania, będę tuż za drzwiami.

Sara wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Ibrahim rzucił Gabrielowi gniewne spojrzenie.

- Jakim prawem pozwalasz tej kobiecie oglądać mnie w takim stanie?

- Następnym razem nie będziesz wątpił w moje słowa.

Egipcjanin spojrział na akta.

- Co w nich jest o mnie?

- Że byłeś jednym z założycieli pierwszej komórki Miecza Allaha w Al-Minji i bliskim współpracownikiem szejka Tajjiba Abdul-Razzaka i jego brata, szejka Abdullaha. Że założyłeś na tamtejszym uniwersytecie komórkę terrorystyczną i werbowałeś do radykalnego ugrupowania islamskiego wielu studentów oraz chciałeś obalić ustrój i wprowadzić państwo islamskie.

- Jestem winny wszystkich zarzucanych mi czynów - powiedział Ibrahim. - Przyznaję się do wszystkiego oprócz jednego, ale bardzo ważnego, czynu. Fakt, to była uniwersytecka komórka Miecza, ale nie miała nic wspólnego z terroryzmem. Miecz Allaha zwrócił się ku niemu dopiero po zamachu na Sadata, a nie przedtem. - Znów popatrzył na akta. - Co tam jeszcze jest?

- Że aresztowano cię tej nocy, kiedy go zamordowano.

- I?

- To ostatni zapis.

- Wcale mnie to nie dziwi. To, co się stało po moim aresztowaniu, nie chcieli uwiecznić na papierze.

- Ibrahim spojrzął znad akt. - Mam ci powiedzieć, co mi się przydarzyło tamtej nocy? Mam wypełnić brakujące strony tych akt, którymi tak przede mną wymachujesz, jakby były dowodem mojej winy?
- Ibrahimie, masz trzydzieści minut, by powiedzieć mi prawdę. Możesz je wykorzystać, jak tylko zechcesz.
- Mój przyjacielu, chcę ci opowiedzieć historię człowieka, który przez wiarę stracił wszystko.
- Słucham...
- Mogę się napić kawy?
- Nie.
- A zdejmiesz mi chociaż kajdanki?
- Nie.
- Straszliwie bolą mnie ręce.
- A to pech...

*

Był kiedyś profesorem i tak też teraz mówił. Zaczął swoje wyjaśnienia nie od historii człowieka, ale od walki pokolenia, które tak wychowano, by wierzyło w świeckie - izmy: naseryzm, baasizm, komunizm, panarabizm, socjalizm arabski... Niestety, w czerwcu 1967

roku jego przedstawiciele ostatecznie dowiedzieli się, że to wszystko było tylko maską dla arabskiej słabości i upadku.

- To wy rozpętaliście tę burzę - powiedział. - Palestyńczycy mieli swoją katastrofę w czterdziestym ósmym, a my w sześćdziesiątym siódmym, kiedy sześć czerwcowych dni wstrząsnęło światem arabskim. Naser i zwolennicy świeckiego państwa wmawiali nam, że jesteśmy potężni, po czym wy, Żydzi, zaledwie po kilku godzinach udowodniliście, że jesteśmy niczym. Postanowiliśmy zatem znaleźć odpowiedź, a poszukiwania te zaprowadziły nas z powrotem do domu, do islamu...

- Byłeś wtedy w wojsku?

Potrząsnął głową.

- Zdążyłem już odbyć służbę wojskową i studiowałem na Uniwersytecie Kairskim, gdzie w ciągu kilku tygodni od zakończenia wojny założyliśmy nielegalną komórkę islamską.

Do 1969 roku, kiedy zrobiłem doktorat z ekonomii, byłem jednym z jej przywódców. Po ukończeniu

studiów miałem dwie możliwości: pracować w urzędzie faraona lub nauczać w jego szkołach. Wybrałem to drugie i przyjąłem posadę na uniwersytecie w Al-Minji w środkowym Egipcie. Sześć miesięcy później Naser już nie żył...

- I wszystko się zmieniło - powiedział Gabriel.

- Prawie z dnia na dzień - zgodził się Ibrahim. - Sadat zachęcał nas: dał nam swobodę i pieniądze na zorganizowanie się. Zapusciliśmy brody, zakładaliśmy organizacje młodzieżowe, instytucje charytatywne, by pomagać ubogim, odbywaliśmy szkolenia paramilitarne na pustyni w obozach finansowanych przez rząd i bogatych patronów Sadata.

Wiedliśmy życie zgodne z prawem boskim i chcieliśmy, by zastąpiło ono prawo egipskie. Dał nam słowo, że wprowadzi szariat, ale złamał tę obietnicę, pomnożył jeszcze swoje grzechy, podpisując traktat pokojowy z szatanem, co zresztą przypłacił życiem.

- Poparłeś ten zamach?

- Padłem na kolana i dziękowałem Bogu za to, że go zabrał.

- A potem zaczęły się aresztowania.

- Praktycznie od razu - powiedział Ibrahim. - Władze bały się, że śmierć Sadata to pierwsza oznaka rewolucji islamskiej, która za chwilę ogarnie kraj. Oczywiście mylili się, ale to ich nie powstrzymało przed użyciem siły przeciwko każdemu, kto według nich zamieszany był w jakikolwiek spisek.

- Przyszli po ciebie na uniwersytet?

Potrząsnął głową.

- Opuściłem uniwersytet o zachodzie słońca i poszedłem do domu, ale kiedy dotarłem na miejsce, w mieszkaniu nie było nikogo. Pytałem sąsiadów, czy widzieli moją żonę i dzieci.

Powiedzieli mi, że ich aresztowano. Poszedłem na posterunek policji, ale tam również ich nie było. Okazało się, że nie ma żadnego protokołu z ich aresztowania. Udałem się zatem do kwatery głównej BŚBN w Al-Minji. - Głos mu zamarł; potem Ibrahim spojrzał jeszcze raz na leżące przed nim akta. - Mój przyjacielu, wiesz coś o moście nad Dżahannam? To most, przez który muszą przejść wszyscy muzułmanie, by dotrzeć do raju.

- Cieńszy od pajęczyny i ostrzejszy od miecza - rzekł Gabriel.

- Dobrzy przechodzą bez trudu i są wynagrodzeni, a nikczemni tracą równowagę i wpadają w płomień piekielne.

Ibrahim spojrzał znad akt - jego znajomość islamu wyraźnie zrobiła na nim wrażenie.

- Jestem jednym z niewielu nieszczęśników, którzy właściwie widzieli już most nad Dżahannam - powiedział. - Tamtej październikowej nocy w 1981 roku zmuszono mnie, bym przez niego przeszedł, i obawiam się, że straciłem równowagę.

Gabriel zdjął mu kajdanki i poprosił, by dalej mówił.

*

Wtrącono go do celi i bito bez litości przez dwanaście godzin. Potem zaprowadzono go do pokoju przesłuchań i postawiono przed wysokim rangą oficerem z BŚBN, który kazał

mu wyjawić wszystko, co wie o planowanych islamskich operacjach terrorystycznych w regionie Al-Minji. Odpowiedział na to pytanie zgodnie z prawdą - że nic nie wie o żadnych planowanych atakach. Znowu wtrącono go do celi i bito przez kilka dni z niewielkimi przerwami. Ponownie zaprowadzono go do starszego oficera. Znowu zaprzeczył, że wie cokolwiek o przyszłych atakach. Tym razem człowiek z BŚBN zaprowadził go do celi, w której do ściany przykuta była naga nieprzytomna nastolatka. Wcześniej wychłostano ją, pocięto brzytwą, twarz miała zdeformowaną od opuchlizny i krwotoku. Dopiero po chwili Ibrahim zdał sobie sprawę, że ta młoda dziewczyna to jego córka Dżihan.

- Przytomność przywrócono jej kilkoma wiadrami zimnej wody - powiedział. -

Spojrzała na mnie i przez moment również mnie nie poznawała. Oficer chłostał ją brutalnie, po czym rozkuli ją i przy mnie zgwałcili. Kiedy te bestie ją rozszarpywały, córka patrzyła na mnie i błagała, bym jej pomógł: „Tato, proszę - mówiła. - Powiedz im to, czego chcą się dowiedzieć. Powstrzymaj ich”. Ale ja ich nie mogłem powstrzymać, bo nie miałem im nic do powiedzenia.

Dostał ataku drgawek.

- Oddasz mi ubranie?

- Ibrahimie, mów.

Zamilkł na dłuższą chwilę i przez moment Gabriel przestraszył się, że go stracił, ale w końcu, po kolejnym ataku drgawek, znowu zaczął mówić.

- Wtrącono mnie do celi obok, bym przez całą długą noc mógł słyszeć krzyki córki.

Kiedy po raz trzeci zaprowadzono mnie do starszego oficera, opowiedziałem mu wszystko, cokolwiek przyszło mi do głowy, by ulżyć jej w cierpieniach. Dałem mu okruchy z mojego stołu i ostatecznie była to jedyna rzecz, którą mogłem mu dać. Podałem mu nazwiska członków Miecza, adresy mieszkań, gdzie się spotykaliśmy, nazwiska studentów z uniwersytetu, którzy według mnie mogli angażować się w radykalną działalność.

Powiedziałem wszystko, co chciał usłyszeć, chociaż wiedziałem, że skazuję tym samym niewinnych przyjaciół i znajomych na cierpienie takie samo, jak to, przez które przeszedłem.

Choć odniosłem wrażenie, że moje zeznania go zadowoliły, tamtej nocy pobito mnie jeszcze raz, a kiedy było już po wszystkim, wtrącono mnie do celi i zostawiono, żebym umarł. Ale po raz pierwszy nie byłem w celi sam, był tam jeszcze jakiś więzień...

- Rozpoznałeś go? - zapytał Gabriel.

- Z trudem.

- Kto to był?

- Szejk Abdullah. Cytował słowa Proroka: „Polegaj na Bogu. Nie bądź pokonany”.

Uśmierzył mój ból i przez następne dwa dni modlił się za mnie. To dzięki niemu żyję.

- A twoja córka?

Ibrahim spojrzał na zegarek.

- Ile zostało mi czasu, zanim przejdę w ręce Amerykanów?

Gabriel zdjął zegarek i wsunął go do kieszeni kurtki.

- Oddasz mi już moje ubranie?

Gabriel rozsiadł się na krześle i dwukrotnie walnął pięścią w dwuskrzydłowe drzwi.

Norfolk, Anglia, godzina 22:34, poniedziałek

Ten sam jasny księżyc, który spoglądał na równiny północnych Niemiec, tego wieczoru widać było nad wybrzeżem w Walcott, w hrabstwie Norfolk. Marcia Cromwell, niezamężna trzydziestosześcioletka, szła piaszczystą ścieżką w stronę plaży z biegnącym tuż przy jej nodze Gingerem, Springerem walijskim. Ani kwestia moralności tortur, ani los zaginionej Amerykanki nie zajmowały jej w tej chwili. Kochanek właśnie poinformował ją, że po długim namyśle postanowił ostatecznie nie zostawiać dla niej żony i dzieci. Marcia Cromwell, jak przystało na mieszkankę hrabstwa Norfolk, postanowiła zagłuszyć swoje cierpienie nocnym spacerem wzdłuż brzegu Morza Północnego.

Na końcu ścieżki ukazała się jej plaża. W ciemności wydawała się płaska i bezkresna, a wzburzone fale załamywały się wzdłuż linii twardego ciemnego piasku. Ginger dziwnie się zachowywał - zazwyczaj w tym miejscu szarpał już smycz, bo chciał biec czym prędzej na plażę męczyć mewy i biegusy. Teraz natomiast siedział nieufnie przy jej nogach i bacznie wpatrywał się w kępę sosen u podnóża wydm. Marcia Cromwell spuściła go ze smyczy i zachęcała, by pobiegł do wody, ale pies natychmiast popędził w stronę drzew.

Zawahała się, ale pobiegła za nim. Ostatnio policja odkryła tu obozowisko bezdomnych. Wokół drzew było pełno śmieci i pustych puszek po piwie. Zawołała Gingera kilka razy, ale bez rezultatu, więc wyjęła z kieszeni płaszcz latarkę i zaczęła szukać psa.

Zauważyła go chwilę później. Szarpał coś, co leżało na ziemi pod jednym z drzew.

Postanowiła sprawdzić co to. I nagle zaczęła krzyczeć.

*

Odkrycie zwłok na plaży w Walcott sprawiło, że na miejscu pojawiła się natychmiast główna ekipa śledcza policji z Norfolk. Utworzone we wrześniu 2004 roku ekipy tego typu miały zajmować się zabójstwami, przypadkami nieumyślnie spowodowanej śmierci i gwałtami. Każda ekipa składała się ze starszego oficera śledczego, jego zastępcy, oficera gromadzącego dowody rzeczowe i oficera śledczego, który przesłuchuje świadków i podejrzanych. W ciągu trzydziestu minut, które upłynęły od telefonu Marci Cromwell, na miejscu byli wszyscy czterej oficerowie. Tylko dwóch, w żółtych ochronnych osłonach na buty, starszy oficer śledczy i oficer zbierający dowody rzeczowe, weszło między drzewa u podnóża wydm. Mieli zabezpieczyć ślady i przy świetle latarki dokonać dokładnych oględzin zwłok.

- Jak długo tu leży? - zapytał starszy oficer śledczy.

- Powiedziałbym, że od czterdziestu ośmiu do siedemdziesięciu dwóch godzin.

- Wstępna hipoteza na temat przyczyny śmierci?

- Strzał w tył głowy, rodzaj egzekucji, sądząc po zewnętrznym wyglądzie rany. Ale mam tu coś ciekawego.

Oświetlił latarką dolną część prawej nogi trupa.

- Szyna?

- I to całkiem niezła. Ale spójrz na ranę. Ostatecznie opinia należy do koronera, ale założę się, że to rana postrzałowa.

- Kaliber?

- Wygląda mi na 9 milimetrów, ale to prawdziwa ciekawostka, że rana na nodze jest starsza od tej na głowie, a kobieta, która ją opatrzyła, doskonale wiedziała, co robi.

- K o b i e t a?

- Elizabeth Halton jest chirurgiem ze szpitala w Denver, w stanie Kolorado. Może się myłę, ale coś mi mówi, że ten trup może być jednym z terrorystów z Hyde Parku. Czy ci z COBRY i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie kazali nam zwracać uwagi na podejrzane rany postrzałowe?

- Kazali - rzekł starszy oficer śledczy.

- Rana i otaczająca ją tkanka świadczą o poważnym zakażeniu. Wydaje mi się, że mógł go zranić ten Izraelczyk podczas akcji w Hyde Parku. Prawdopodobnie towarzysze próbowali utrzymać go przy życiu, ale jak widać w końcu skrócili jego cierpienia eleganckim strzałem w tył głowy. Zapewne straszliwie cierpiał. Ostatecznie musi być jakaś sprawiedliwość na tym świecie...

Starszy oficer śledczy przykucnął przy zwłokach i dokładnie przyjrzał się dolnej części nogi, po czym zaczął przeszukiwać mężczyznę. Kieszenie płaszcza były puste tak jak przednie kieszenie spodni, ale z tylnej prawej kieszeni wyjął kartkę papieru złożoną na czworo i bardzo pogniecioną. Ostrożnie ją rozłożył i przeczytał przy świetle latarki.

- Sporządź mi listę rzeczy potrzebnych do opatrzenia rany postrzałowej w polowych warunkach, które można kupić bez recepty w przeciętnej aptece. To miejsce przestępstwa należy otoczyć bardzo szczelnym kordonem. Jeśli twoja teoria okaże się prawdziwa, niebawem zobaczymy na tej plaży kilkuset ludzi z Wydziału Antyterrorystycznego, MI5, FBI i CIA.

- Załatwione.

Starszy oficer śledczy odwrócił się i szybkim krokiem ruszył pomiędzy drzew. Dwie minuty później był w samochodzie i kontaktował się przez radio z oficerem dyżurnym w Operacyjnym Centrum Łączności.

- Wygląda na to, że znalezione zwłoki mogą mieć związek z zaginioną Amerykanką - powiedział. - Natychmiast zadzwoń do komisarza policji i naświetl mu sytuację.

- Coś jeszcze, proszę pana?

- Znalazłem w jego kieszeni pokwitowanie odbioru biletu na prom płynący z Portsmouth do Hawru. Jeśli ten facet naprawdę jest jednym z terrorystów, to może oznaczać, że Amerykanka jest teraz we Francji.

*

Zdarzenia, które następnie miały miejsce, rozegrano precyzyjnie i błyskawicznie.

Operacyjne Centrum Łączności natychmiast zlokalizowało komisarza policji Norfolk, który w Norwich akurat jadł kolację z przyjaciółmi i rodziną. Komisarz wstał od stołu i cicho przekazał wiadomość swoim przełożonym w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, którzy z kolei poinformowali komisję specjalną COBRA i francuską Police Nationale. Piętnaście minut po meldunku starszego oficera śledczego wiadomości na temat odkrycia dotarły do amerykańskiej ekipy na Grosvenor Square i ambasada przesłała zaszyfowaną depeszę do wszelkich federalnych agencji łącznie z CIA, zaangażowanych w poszukiwania Elizabeth Halton.

O 18:18 czasu nowojorskiego tekst dotarł do rąk Adriana Cartera, który w tej chwili w Międzynarodowym Centrum Operacji Specjalnych CIA nadzorował niezgodne z prawem tajne przesłuchanie, mające miejsce w opuszczonym wiejskim domu w północnych Niemczech. Szybko przeczytał notatkę i po raz pierwszy od ponad tygodnia poczuł, że jest może jakaś nadzieja. Odłożył depeszę i wpatrywał się w ekran. Od pięciu minut nie było połączenia - zapewne Gabriel zrobił sobie przerwę na kolację.

Północne Niemcy, godzina 00:36, wtorek

Dostał ubranie i jedzenie: ryż z fasolą, jajka na twardo z serem feta, chleb i herbatę z cukrem.

Ugryzł kęs i przesunął talerz o kilka centymetrów w stronę Gabriela. Ten najpierw odmówił, ale po kilku chwilach więzień i przesłuchujący dzielili się w milczeniu prostym posiłkiem.

- My, muzułmanie, mamy tradycję zwaną Eid - powiedział. - Owca, która ma zostać zarżnięta, dostaje ostatni posiłek. - Spojrzał na Gabriela znad jedzenia. - Mój przyjacielu, czy właśnie o to tu teraz chodzi? O danie barankowi ofiarnemu ostatniego kęsa?

- Ile cię przetrzymywali? - zapytał.

- Sześć miesięcy - powiedział. - A sposób, w jaki mnie zwolnili, był równie podły jak sposób, w jaki mnie aresztowali i więzili. Wyrzucili mnie na ulicę Al-Minji w łachmanach i kazali wracać do domu. Gdy wszedłem do mieszkania, moja żona zaczęła krzyczeć. Myślała, że jestem włóczęgą. Nie poznała mnie...

- Zakładam, że nie było twojej córki, kiedy tam przybyłeś.

Ibrahim ułamał kawałek chleba i przez chwilę zbierał nim ryż.

- Zmarła tamtej nocy w izbie tortur. Tajni policjanci Mubaraka gwałcili ją tak długo, aż umarła. Pochowano ją w grobie przestępców na skraju pustyni. Zabronili mi ją nawet odwiedzić, co było dla mnie kolejną torturą.

Zamyślony sączył herbatę.

- Żona obwiniła mnie za śmierć Dżihan i oczywiście miała rację. Gdybym nie dołączył do Miecza Allaha, nigdy by jej nie porwano. Przez wiele dni żona nawet nie chciała na mnie spojrzeć, a tydzień później władze uniwersytetu poinformowały, że nie potrzebują mnie dłużej. Byłem skompromitowany. Straciłem wszystko: pracę, córkę, godność...

- I postanowiłeś wyjechać z Egiptu?

- Nie miałem wyboru. Gdybym został, musiałbym się ukrywać. Postanowiłem zerwać kontakty z Mieczem. Nie chciałem mieć nic wspólnego z polityką dżihadu. Pragnąłem rozpocząć nowe życie tam, gdzie nie morduje się dziewcząt w izbach tortur.

- A dlaczego w Amsterdamie?

- Żona miała krewnych w Oud West. Powiedzieli nam, że w Holandii jest coraz liczniejsza społeczność muzułmańska, a Holendrzy są serdeczni i tolerancyjni. Złożyłem w ambasadzie holenderskiej podanie o wizę i natychmiast ją dostałem.

- Zakładam, że nie poinformowałeś ich o swoich powiązaniach z Mieczem Allaha.
- Zapewne wyleciało mi to z głowy.
- A pozostała część historii, ta, którą opowiedziałeś mi w Amsterdamie tamtej nocy?
- To była czysta prawda. Budowałem drogi, a później je zamiatałem. Pracowałem w fabryce mebli - podniósł okaleczoną rękę - nawet wtedy, kiedy straciłem palce.
- I nie miałeś kontaktu z członkami Miecza?
- Większość z tych, którzy uciekli z Egiptu, osiadła w Ameryce i Londynie, a czasem wiatr przywiał kogoś do Amsterdamu.
- I co się potem działo?
- Oczywiście próbowali mnie z powrotem zaciągnąć na pole bitwy, ale powiedziałem im, że nie jestem już zainteresowany islamską polityką, że chcę wieść islamskie życie po swojemu, a sprawy rządów i państwa zostawić innym.
- I Miecz uszanował twoje pragnienia?
- Ostatecznie tak - rzekł. - Jednak mój syn nie był już taki wyrozumiały.
- Czyli jesteśmy tu dzisiaj przez twojego syna...

Ibrahim kiwnął głową.

- Mojego syna, który jako pół Egipcjanin i pół Palestyńczyk jest iście wybuchową mieszanką. - Superwybuchową.
- Jak mu na imię?
- Ishaq - powiedział cicho Egipcjanin. - Mój syn ma na imię Ishaq.

*

- Wszystko zaczęło się od niewinnych pytań, które zadaje ojcu każdy ciekawy nastolatek. Dlaczego wyprawiliśmy się z domu w Egipcie i zamieszkaliśmy w Europie?

Dlaczego zamiatasz ulice, skoro byłeś kiedyś profesorem na uniwersytecie? Dlaczego żyjemy na obcej ziemi zamiast w domu islamu? Okłamywałem go przez wiele lat, ale gdy skończył

piętnaście lat, powiedziałem mu prawdę.

- Że byłeś członkiem Miecza Allaha?

- Tak.

- O swoim aresztowaniu i torturach? A o śmierci Dżihan?

Ibrahim przytaknął.

- Miałem nadzieję, że mówiąc mu prawdę, zgaszę wszelkie iskry dżihadu, które mogłyby się w nim tlić, ale moja opowieść odniosła przeciwny skutek. Ishaq tym b a r d z i e j zainteresował się islamską polityką. Zmienił się również w niezwykle gniewnego młodzieńca i zaczął nienawidzić. Znienawidził egipski reżim i popierających go Amerykanów.

- I zaczął szukać zemsty.

- Wy i Amerykanie chyba nigdy nie zrozumiecie tego, co w nas tkwi - powiedział. -

Kiedy ktoś wyrządzi nam krzywdę, m u s i m y się zemścić. To tkwi w naszej kulturze, mamy to we krwi. Za każdym razem, gdy zabijacie lub torturujecie kogoś z nas, powiększacie tylko tym wielopokoleniową rodzinę waszych wrogów, którzy czują się moralnie zobowiązani do wymierzenia kary.

Gabriel znał ten fenomen nad wyraz dobrze. Zgarnął chlebem trochę ryżu z fasolą i skinął na Ibrahima, by mówił dalej.

- Ishaq zaczął się wycofywać z holenderskiego społeczeństwa - powiedział. - Już nie przyjaźnił się z Holendrami, a Holenderki bezustannie nazywał kusicielkami i dziwkami.

Nosił *kufi* i galabiję, słuchał tylko arabskiej muzyki i przestał pić piwo. Kiedy miał

osiemnaście lat, aresztowano go za napaść na homoseksualistę pod barem na Leidseplein.

Gdy poszedłem do rannego mężczyzny i zaoferowałem rekompensatę, wycofał oskarżenie.

- Studiował na uniwersytecie?

Przytaknął.

- Kiedy miał dziewiętnaście lat, przyjęto go na wydział informatyki na Uniwersytecie Erazma w Rotterdamie. Miałem nadzieję, że jego zapał ostudzą wymogi studiów, ale kiedy przeprowadził się do Rotterdamu, zrobił się znacznie b a r d z i e j radykalny w swoich poglądach. Dołączył do grupy podobnie myślących młodych bojowników dżihadu, stale brał

udział w różnych marszach i spotkaniach, zapuścił brodę. Czuję, jakby ponownie rozgrywała się przede mną moja młodość. - Przez chwilę jadł w milczeniu. - Przybyłem do Europy, by uwolnić się od islamskiej polityki, chciałem rozpocząć nowe życie dla siebie i syna. Ale do połowy lat dziewięćdziesiątych radykalna polityka islamska dotarła na Zachód i pod wieloma względami była bardziej radykalna i toksyczna niż islam w krajach Orientu.

Jego dobre imię splamiły saudyjskie pieniądze i imami. Stał się wahabicki i salaficki, toksyczny i brutalny...

- Angażował się już wtedy w działalność terrorystyczną?

Ibrahim potrząsnął głową.

- Był zbyt zdezorientowany, by oddać się bez reszty jakiemuś ugrupowaniu i idei. Nie był pewien, czy jest Egipcjaninem, czy Palestyńczykiem. Jednego dnia przebywał z przyjaciółmi z Hamasu, a już następnego wychwalał afgańskich mudżahedinów.

- Więc co się stało?

- Osama bin Laden nakierował samoloty na budynki w Nowym Jorku i Waszyngtonie

- powiedział. - I wszystko się zmieniło.

*

Gabriel nie chciał jeszcze całkowicie wycofać się z historii o czekającym amerykańskim samolocie, więc wezwał Sarę dwoma głośnymi stuknięciami w drzwi jadalni i wymamrotał jej do ucha kilka ledwie zrozumiałych słów dotyczących przełożenia odlotu o kilka minut. Spojrzał na Ibrahima i powiedział:

- Opowiadałeś o jedenastym września. Proszę, mów dalej.

- To było trzęsienie ziemi, dziura w tkaninie historii nie tylko dla Zachodu, ale dla nas też.

- Muzułmanów?

- I s l a m i s t ó w - poprawił Gabriela. - Po jedenastym września Amerykanie dokonali całkowicie błędnej oceny sytuacji. Zobaczyli, że muzułmanie cieszą się na ulicach świata arabskiego i miast Europy, więc założyli, że wszyscy muzułmanie i islamiści popierają Osamę. Do jednego worka wrzucili nas wszystkich. I nas, i największych bojowników dżihadu, takich jak bin Laden i Zawahiri. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że dla takiego, jak na przykład ja, islamisty o umiarkowanych poglądach, ataki z jedenastego września były tak samo niewyobrażalne i barbarzyńskie jak dla całego cywilizowanego świata. My, umiarkowani islamiści, uznaliśmy, że Osama i Al-Kaida popełnili olbrzymi błąd taktyczny, atakując Stany Zjednoczone i rozpoczynając bitwę, której prawdopodobnie nigdy nie uda się wygrać. Stwierdziliśmy, że Osama to islamski szarlatan, który przyniósł islamskiej sprawie więcej szkody niż wszelkie świeckie odszczepieńcze reżimy razem wzięte. Co więcej, uznaliśmy, że rzeź tysięcy niewinnych ludzi była zdecydowanie nieislamskim aktem, który naruszył islamskie prawo i tradycję. Dziewiętnastu porwaczy było zaproszonymi do Ameryki g o ś c i i jako goście byli moralnie zobowiązani do stosownego zachowania. A oni wymordowali swoich gospodarzy. Niezależnie od tego, co myślicie o nas i naszej religii, my, muzułmanie, jesteśmy gościnnymi ludźmi.

Znów przesunął talerz w stronę Gabriela, który wziął połówkę jajka i kawałek fety.

- Zakładam, że Ishaq nie patrzył na to w ten sposób.

- Nie - powiedział Ibrahim. - Jedenasty września popchnął go ku przepaści.

- Czyli?

- Irak.

- Gdzie go werbowano?

- Żył wtedy w Amsterdamie z żoną, Egipcjanką o imieniu Hanifa, i synem Ahmedem.

W ciągu kilku dni od amerykańskiego najazdu udał się do Egiptu, gdzie nawiązał kontakt z Mieczem Allaha. Miecz zaoferował mu elementarne szkolenie w tajnych szkołach i obozach na pustyni, po czym pomógł mu przedostać się do Iraku, gdzie szkolił się w obozie Al-Kaidy.

Po sześciu miesiącach wyjechał z Iraku i wrócił do Amsterdamu, gdzie był w bliskim kontakcie z Samirem al-Masrim. Miesiąc później przeprowadził się z rodziną do Kopenhagi, gdzie podjął pracę w instytucji o nazwie Duńska Rada do spraw Islamizmu, ale obawiam się, że jest to po prostu przykrywka dla działalności dżihadu.

- Twój syn zorganizował w Kopenhadze drugą komórkę?

- Na to wygląda.

- A więc kiedy Samir zniknął z Amsterdamu ze swoją komórką, na kilka dni przed atakiem, postanowiłeś mnie zagadnąć. Dałeś mi pewne informacje i miałeś nadzieję, że to wystarczy, by zakłócić tę operację, dzięki czemu twój syn nie będzie mógł wziąć w niej udziału.

Ibrahim przytaknął ze stoickim spokojem.

- Okłamałeś mnie - powiedział Gabriel. - Oszukałeś, by uratować życie swojemu synowi.

- Każdy ojciec zrobiłby to samo.

- Nie, Ibrahimie, nie wtedy, kiedy w niebezpieczeństwie jest życie niewinnych ludzi.

Przez ciebie i twojego syna zginęło ponad trzysta osób. Gdybyś powiedział mi prawdę, całą prawdę, razem mogliśmy zapobiec atakowi, ale zamiast tego dałeś mi okruchy. Te same okruchy, które dałeś BŚBN dwadzieścia pięć lat temu, kiedy próbowałeś uratować życie swojej córce.

- A gdybym tamtej nocy powiedział ci więcej, gdzie bym skończył? Amerykanie uznaliby, że jestem terrorystą, wsadziliby mnie do samolotu i odesłali do Egiptu na kolejne tortury.

- Wiedziałaś, że Londyn ma być celem? Wiedziałaś, że planowali porwać Elizabeth Halton i uwolnić ją w zamian za twojego przyjaciela, szejka Abdullaha?

- Nic nie wiedziałem o ich planach. Ci chłopcy są znakomicie wyszkoleni, a za sznurki pociąga ktoś o bardzo wysokich kwalifikacjach.

- Ktoś - zawahał się Gabriel. - Ibrahimie, a może ten ktoś to ty? Może to ty zaplanowałeś całą operację i jesteś tym, którego zwą Sfinksem?

- Panie Allon, gotowość do wiary w dziwaczne rzeczy to choroba arabska, a nie syjonistyczna. Im więcej marnujesz czasu na zajmowanie się takimi durnymi pomysłami, tym mniej mamy czasu na odnalezienie córki ambasadora i zabranie jej żywej do domu.

Gabriel skwapliwie skorzystał z tej liczby mnogiej w wypowiedzi Ibrahima i zapytał:

- A jak m y zamierzamy to zrobić?

- Jak sądzę, Ishaq jest jednym z terrorystów, którzy przetrzymują Amerykankę jako zakładniczkę.

Gabriel się pochylił.

- Dlaczego tak uważasz?

- Dwa tygodnie temu wyjechał z Kopenhagi i powiedział Hanifie, że jedzie na Bliski Wschód przeprowadzić badania dla Rady do spraw Islamizmu. Chcąc urealnić tę bajkę, co wieczór telefonuje do domu, zanim mały Ahmed uśnie.

- Skąd wiesz?

- Hanifa mi powiedziała.

- Rozmawiałeś z nim osobiście?

- Zostawiłem mu kilka wiadomości, ale do mnie nigdy nie dzwoni.

Gabriel położył na stole notes i długopis i przesunął go w stronę Ibrahima.

- Potrzebny mi adres mieszkania w Kopenhadze... I numer telefonu...

- Hanifa i Ahmed nie mają z tym nic wspólnego.

- No to nie mają się też czego obawiać.

- Chcę, byś mi obiecał, że nie stanie im się żadna krzywda.

- Ibrahimie, nie masz prawa o nic prosić.

- Proszę mi obiecać, panie Allon. Proszę mi obiecać, że pan ich nie skrzywdzi.

Szybko przytaknął. Ibrahim zapisał adres i numer telefonu i przesunął notes w kierunku Gabriela. Wyrecytował dwie linijki z dwudziestego drugiego rozdziału Księgi Rodzaju:

- Nazajutrz rano Abraham osiodłał swego osła, zabrał z sobą dwóch swych ludzi i syna Izaaka, narąbał drzewa do spalenia ofiary i ruszył w drogę do miejscowości, o której mu Bóg powiedział.

- Widzę, że znasz Pismo Święte - rzekł Gabriel. - Ale Ibrahimie, on już nie jest twoim synem. Zaraził się wirusem dżihadu, a to zmieniło go w potwora.

- Być może zmieniło, ale moim synem będzie zawsze. - Patrzył na notes i było mu wstyd. - O ile dobrze pamiętam, Żydzi wierzą, że kiedy Abraham przeszedł sprawdzian Boga, udał się do Beer-Szeby. Ale co stanie się ze mną? Odeślcie mnie do Egiptu na dalsze przesłuchanie, a może jednak zostanę tutaj? - Rozejrzał się po pokoju. - Cokolwiek owo

„tutaj” znaczy. - To już zależy od Amerykanów.

Pogardliwym spojrzeniem Ibrahim dał jasno do zrozumienia, co o nich myśli.

- Proponuję ich pominąć - powiedział. - Dla nas obu będzie lepiej, jeśli sami przejdziemy przez most nad Dżahannam. Cokolwiek postanowisz, spiesz się. Córka ambasadora jest w rękach młodego człowieka, którego siostrę zamordował pachołek faraona, i nie zawaha się jej zabić, jeśli tylko otrzyma taki rozkaz.

Paryż, godzina 9:25, wtorek

Dziennikarz ze stacji telewizyjnej France 2, który przeprowadzał wywiad, przerzucił kartki, co oznaczało, że pozostało już niewiele czasu. Jusuf Ramadan, profesor historii Bliskiego Wschodu na Uniwersytecie Amerykańskim w Kairze, wizytujący badacz w Instytucie Islamistyki w Paryżu i mózg terrorystów z Miecza Allaha, wiedział, że ostatnią uwagę będzie musiał powiedzieć szybko.

- ...A więc uważam, że kryzys ten stwarza największe niebezpieczeństwo nie w Europie, ale w samym Egipcie - rzekł bezbłędną francuszczyzną. - Moim zdaniem, służby bezpieczeństwa egipskiego reżimu zareagowały raczej twardą ręką i jeśli to podejście się nie zmieni, prawdopodobnie wywoła to ostry sprzeciw, który może zagrozić stabilności samego reżimu.

Zaintrygowany uwagą Ramadana dziennikarz zignorował polecenia kierownika planu, by zakończyć już ten odcinek.

- Profesorze Ramadan, zarzuca pan egipskiemu rządowi, że stosuje tortury?

- Dobrze znamy metody egipskiej policji i egipskich służb bezpieczeństwa -

powiedział Ramadan. - Może być pan pewien, że stosują tortury i inne niedopuszczalne metody, by pomóc Amerykanom w odnalezieniu córki ambasadora.

- Profesorze Ramadan, pana uwagi jak zwykle skłaniają do refleksji. Mam nadzieję, że znów pan weźmie udział w naszym programie i pomoże nam przeanalizować ten trwający wciąż kryzys.

- Z przyjemnością - powiedział Ramadan, uśmiechając się serdecznie do kamery.

Dziennikarz poinformował widzów, że najświeższy raport dotyczący kryzysu France 2 poda tuż po przerwie na reklamy. Wyciągnął rękę do Ramadana i podziękował mu za to, że przyjął zaproszenie do programu. Ramadan wstał, a młoda asystentka producenta pomogła mu zejść z planu. Pięć minut później wsiadł do citroena czekającego w esplanadzie Henriego de France'a. Spojrzał na zegarek - była 9:25. Ludzie z France 2 jeszcze nie wiedzieli, że ich poranek niebawem stanie się znacznie bardziej nerwowy.

*

W tej samej chwili w Zurychu czarny sedan mercedes-benz S600 wjechał spokojnie na krawężnik obok hali przylotów lotniska Kloten. Mężczyzna, który wysiadł z tylnego siedzenia, sam miał gabaryty solidnego samochodu - szczupły, ale szeroki w pasie, co jakby dodawało mu stabilności. Miał na sobie włoski garnitur i płaszcz z kaszmiru, a w dłoni dużą i drogą skórzaną walizkę. Przy wejściu do terminalu stał policjant z bronią automatyczną.

Mężczyzna skinął mu uprzejmie, minął go szybko i wszedł do środka.

Zatrzymał się na moment i spojrzął na tablicę odlotów. W górnej kieszeni miał bilet na poranny lot liniami United Airlines do Waszyngtonu. Kupił go, chociaż nie miał ważnej wizy, ale ani nie zamierzał lecieć do Ameryki, ani wsiadać do samolotu. Był szahidem, czyli męczennikiem, i podróż, w którą miał się udać, nie miała nic wspólnego z podróżą lotniczą.

Shahid przyjrzał się stanowiskom odprawy i ruszył przez lśniący, nowoczesny terminal, ciągnąc za sobą walizkę. Wprowadzono w niej kilka zmian, by odpowiadała jego potrzebom: wzmocniono jej boki i kółka, by udźwignęła duży ładunek wybuchowy, a przycisk na składanym uchwycie był detonatorem. - Sześć kilogramów obciążenia -

powiedział saper. Delikatne przyciśnięcie: tylko tyle potrzeba, byś rozpoczął swoją podróż.

Ochroniarz w cywilu stał w odległości kilku metrów od miejsca odprawy dla linii United Airlines i przeprowadzał kontrolę biletów i paszportów, a za nim czekało w kolejce kilkudziesięciu pasażerów, głównie Amerykanów. *Shahid* nie miał ważnej wizy, dlatego z pewnością nie uda mu się podejść bliżej niż do ochroniarza, jednak stojących w kolejce nic nie uratuje. Oprócz pięćdziesięciu kilogramów materiału wybuchowego do walizki zapakowano tysiące kulek i gwoździ. Niebawem ze stojących w kolejce niewiernych zostaną jedynie krwawe strzępy. To będzie piękny widok, pomyślał. Miał tylko nadzieję, że po śmierci jego dusza będzie mogła zostać chwilę dłużej w terminalu, by mógł to zobaczyć.

Ochroniarz skończył przeprowadzać kontrolę dokumentów Amerykanki, która podróżowała z dwojgiem małych dzieci, i kiwnął na szahida, by podszedł. Ten zrobił, jak mu kazano, i wręczył ochroniarzowi bilet z paszportem.

- Egipcjanin? - zapytał z ledwie skrywaną podejrzliwością.

- Tak, zgadza się.

- Posiada pan ważną wizę amerykańską?

- Powiedziano mi, że nie potrzebuję wizy.

- A kto tak panu powiedział?

- Allah - rzekł.

Ochroniarz sięgnął po radio.

Shahid położył kciuk na przycisku detonatora. Sześć kilogramów obciążenia. Raj...

*

Chociaż *shahid* z lotniska Kloten o tym nie wiedział, nie działał sam. Tego poranka wysłano na europejskie lotniska jeszcze dwóch innych zamachowców samobójców - jednego na madryckie Barajas, a drugiego na wiedeńskie Schwechat - i wszystkich poinstruowano, by wcisnęli detonatory w tym samym momencie. Męczennik w Madrycie spóźnił się o minutę, a jego druh w Wiedniu odpalił

broń dopiero o 9:35 czasu środkowoeuropejskiego. Austriaccy śledczy ustalą później, że z powodów znanych tylko sobie zatrzymał się w restauracji na terenie lotniska na ostatnią kawę przed wysadzeniem się w powietrze i wyruszeniem w drogę do raju.

Jusuf Ramadan dowiedział się o zamachach bombowych o 9:38, kiedy późnym rankiem utknął w korku wzdłuż Sekwany. To nie Abu Musa przekazał mu tę wiadomość, tylko asystentka producenta z France 2, która kilka chwil wcześniej pomogła mu wyjść z budynku. Stacja planowała obszerny raport z ataków terrorystycznych i zastanawiała się, czy Ramadan zgodzi się spędzić dzień w roli opłaconego konsultanta i komentatora. Natychmiast przystał na tę propozycję, nie zaprzatając sobie głowy kwestią honorarium. Dziesięć minut później ponownie zajmował swoje miejsce.

- Witamy z powrotem w studiu, profesorze Ramadan. Jak pan sądzi, co oznaczają te ostatnie ataki?
- Oznacza to, że Stany Zjednoczone muszą dążyć do porozumienia z Mieczem Allaha
- powiedział Ramadan. - Obawiam się, że jeśli tego nie zrobią, w Europie znowu poleje się krew.

Kopenhaga, godzina 15:03, wtorek

Stwierdzili, że przyszedł czas na awaryjne spotkanie. Uznali, że odpowiednie do tego miejsce to hotel Hilton znajdujący się na kopenhaskim lotnisku. Adrian Carter, który przyleciał jako pierwszy, siedział w barze, a kiedy Gabriel i Sara weszli do holu energicznym krokiem, odprowadził ich znużonym spojrzeniem aż do wind. Chwilę później skupili się wokół

telewizora w apartamencie Cartera. Pokój został sprawdzony przez ludzi z CIA, ale jednak podkreślił głos - w sprawach szpiegowskich technik oraz technologii był tradycjonalistą, bo tak jak Gabriel uznawał elektroniczne gadżety za potrzebną, ale niefortunną deformację niegdyś szlachetnej sztuki.

- Zurych, Madryt, Wiedeń: trzy identyczne w zamyśle i doskonale skoordynowane ataki na lotniska. - Carter wpatrywał się w pokazywane na ekranie zdjęcia masakry i zniszczeń i z niedowierzaniem kręcił głową. - Według oficjalnych ustaleń zginęło sto dwadzieścia dziewięć osób, pięćset jest rannych, a europejski system transportu lotniczego legł w gruzach.

- A co na to europejscy politycy? - zapytał Gabriel.

- Publicznie wygłaszają wszelkie stosowne słowa: „godne ubolewania”,

„barbarzyńskie”, „skandaliczne”, a prywatnie błagają nas, byśmy dogadali się z szatanem.

Każą nam to zakończyć, zanim na i c h ziemi znów poleje się krew. Nawet nasz przyjaciel z Downing Street zaczyna się zastanawiać, czy nie powinniśmy jednak znaleźć sposobu na wynegocjowanie jakiegoś rozwiązania. Sfinks, kimkolwiek jest, to zbrodniarz winny ludobójstwa, to bezwzględna kanalia. Ale ma znakomite wyczucie czasu.

- Istnieje jakakolwiek szansa, że prezydent się ugnie?

- Nie po tym, co się stało. W istocie rzeczy bardziej niż kiedykolwiek jest przekonany, że ta sprawa nie zakończy się wynegocjowaniem porozumienia, a to oznacza, że nie mamy innego wyboru, jak odnaleźć Elizabeth Halton p r z e d terminem. - Carter przeniósł wzrok z ekranu na Gabriela. - W tej chwili twój żołnierz wydaje się naszą największą i jedyną nadzieją.

- Adrianie, to nie jest mój żołnierz.

- Teraz jest, przynajmniej oficjalnie dla Waszyngtonu. - Carter przyciszył o decybel, może dwa. - Gabrielu, ostatniej nocy wywołałeś tam niezłą burzę. Przesłuchanie Ibrahima Fawaza odtwarzają teraz w Langley, w gmachu Johna Edgara Hoovera i w Radzie do spraw Bezpieczeństwa Narodowego.

Gmach Johna Edgara Hoovera to siedziba główna FBI.

- I jakie są opinie?

- Różne - powiedział Carter. - Co do tego, czy Ibrahim mówił prawdę, czy też nabierał

cię po raz drugi, zdania ekspertów są podzielone. Uważają, że być może za szybko zacząłeś wymachiwać mu przed nosem odznaką, jak również obawiają się, że potraktowałeś go zdecydowanie zbyt delikatnie.

- I co zamierzają ci twoi eksperci?

- Przeprowadzić drugie przesłuchanie - powiedział Carter.

- Kto miałby to zrobić?

- Ludzie z CIA o stosownych imionach, a nie izraelski zabójca.

- Czyli zwalniasz mnie?

- Właśnie.

- Adrianie, nie musiałeś jechać aż do Kopenhagi, by mnie zwolnić. Wystarczyłaby rozmowa telefoniczna.

- Czuję, że jestem ci to winien. Ostatecznie ja cię do tego namówiłem.

- To szlachetne z twojej strony. Ale powiedz, Adrianie, co konkretnie wyciągną z Ibrahima twoi ludzie. Powiedz, czego mnie nie udało się wyciągnąć?

- Szczere i wyczerpujące odpowiedzi, to tak na początek. Eksperci uważają, że odpowiadał bardzo zwodniczo i wymijająco.

- Och, naprawdę? A wpadli na to sami, czy też zrobiły to za nich komputery?

- Właściwie jedno i drugie.

- Powiedz, o ile bardziej szczerzy powinien być Ibrahim? Zgodził się nam pomóc w odnalezieniu Elizabeth Halton i dał nam kopenhaski numer telefonu, na który co wieczór wydzwania jego syn.

- Nie. Dał nam numer, na który w e d ł u g n i e g o dzwoni jego syn.

- I dziś wieczorem dowiemy się, czy powiedział prawdę.

- Nasi zwierzchnicy nie chcą czekać tak długo. Chcą przykuć Ibrahima do ściany, i to natychmiast.

- A gdzie zamierzają przeprowadzić to przesłuchanie?

- Zastanawiali się, czy mogliby wypożyczyć sobie wasz dom w Niemczech.

- O, na pewno nie.

- Obawiałem się, że tak zareagujesz. Mamy wobec tego dwa inne wyjścia: możemy go zabrać do naszego obiektu we wschodniej Europie lub też wsadzić do samolotu odlatującego do Egiptu.

Gabriel pokręcił głową.

- Adrianie, Ibrahim nie pojedzie do wschodniej Europy ani nie wróci do Kairu. Nikt go już więcej nie przywiąże do rur ani nie przykuje do żadnej ściany.

- Zachowujesz się teraz niemądrze. - Carter spojrzął na Sarę, w nadziei, że chociaż ona potrafi mu nieco przemówić do rozsądku. - Gdzie konkretnie przebywa w tej chwili Ibrahim?

Nie odpowiedział, a kiedy Carter powtórzył pytanie, w jego głosie można było wyczuć zdenerwowanie, którego Gabriel nigdy wcześniej nie słyszał. - Wrócił do Amsterdamu - rzekł. - Do swojego mieszkania przy August Allebeplein.

- Dlaczego, u licha, go odesłaliście?

- Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy go zwolnić - powiedział. - Gdyby Ibrahim zniknął

z powierzchni ziemi, jego żona wezwałaby policję i obaj stalibyśmy się uczestnikami niebywałego skandalu.

- W tym momencie unikanie skandali nie należy do spraw najważniejszych - rzekł

Carter. - Chcemy go mieć i to natychmiast. Zakładam, że ktoś go pilnuje.

- Nie, Adrianie, zupełnie wyleciało nam to z głowy.

- Proszę, postaraj się przez tych kilka chwil zapanować nad swoim fatalistycznym izraelskim poczuciem humoru.

- Oczywiście, że jest pod strażą.

- Zatem zakładam, że oddanie go w nasze ręce nie będzie stanowiło dla ciebie problemu.

- Absolutnie żadnego - powiedział. - Ale nie dostaniecie go.

- Gabrielu, bądź rozsądny.

- Adrianie, jestem tu j e d y n ą rozsądną osobą. A jeśli zbliżą się do niego twoje zbiry, zrobią sobie przy tym krzywdę.

Carter westchnął ciężko.

- No to mamy problem.

- Tak.

- Jak sądzę, masz jakiś plan - rzekł Carter - i nie mam wyboru, muszę go wysłuchać.

- Adrianie, trochę cierpliwości.

- Elizabeth Halton umrze o szóstej w piątkowy wieczór. Nie mamy czasu na cierpliwość.

- Dałem wam adres i numer telefonu, na który regularnie wydzwania jeden z porywaczy. Macie w swoim arsenale NSA, Agencję Bezpieczeństwa Narodowego, największe i najwyższej klasy służby wywiadu elektronicznego, które w każdej sekundzie na całym świecie potrafią przechwycić każdy faks, każdą rozmowę telefoniczną i połączenie internetowe. Daj im kopenhaski numer Ishaqua i dziś wieczorem, kiedy zadzwoni, powiedz, by skoncentrowali wszelkie swoje godne największego uznania możliwości na znalezienie odpowiedzi na jedno pytanie: Gdzie on jest?

Carter wstał i wolnym krokiem podszedł do barku. Wziął napój bezalkoholowy, sprawdził jego cenę i po chwili zastanowienia zmienił zdanie.

- By dobrze wykonać tę pracę, musisz podłożyć pluskwę do telefonu w mieszkaniu Ishaqua i załatwić dla jego żony i syna pełnoetatową ekipę inwigilacyjną.

- Adrianie, a co według ciebie robiliśmy przez cały dzień? Oglądaliśmy filmy w pokoju hotelowym?

- Gabriel spojrział na Sarę.

- Saro, jesteś koordynatorką, więc proszę, przekaz swojemu przełożonemu najświeższe informacje na temat naszych dzisiejszych działań.

- Hanifa i Ahmed Fawaz mieszkają na kopenhaskim osiedlu zwanym Norrebro -

powiedziała. - Ich mieszkanie znajduje się w dużym, powstałym na przełomie wieków kwartale. To takie miasto w mieście. Do każdego domu można się dostać przez drzwi główne i tylne drzwi służbowe. Dzisiaj późnym rankiem, kiedy Hanifa zabrała Ahmeda na spacer i zakupy, wśliznęliśmy się przez tylne drzwi i włożyliśmy do telefonu specjalne urządzone.

- Ma zasięg na cały pokój i retransmituje wszelkie przeprowadzane przez telefon rozmowy - rzekł Gabriel.

- Chryste - powiedział cicho Carter. - Proszę, tylko mi nie mówcie, że zaangażowaliście mojego oficera w taką robotę w biały dzień w Kopenhadze.

- Adrianie, ona naprawdę jest dobrze wykształcona. Byłbyś z niej dumny.

- Włożyliśmy również przekaźnik do telefonu w Duńskiej Radzie do spraw Islamu -

rzekła Sara. - Puszka połączeniowa znajduje się w alei za biurami. To było proste.

- Zakładam, że zorganizowaliście też obserwację wzrokową.

Gabriel spojrział na niego i zmarszczył czoło, jakby uznał to pytanie za lekko obraźliwe, a Carter

wpatrywał się w pokazywanych na ekranie telewizora rannych.

- Prysłano mnie tu, bym cię zwolnił, a ostatecznie zgłaszam się na ochotnika do misji samobójczej. - Wyłączył telewizor i spojrzał na Gabriela. - No dobrze, wygrałeś. Właściwie daliśmy NSA numer telefonu już wczoraj wieczorem. Twierdzą, że ustalenie przybliżonej lokalizacji zajmie im z grubsza godzinę, zakładając, że Ishaq wydzwaniania z telefonu komórkowego. Zapowiadają też, że powiadomimy wtedy właściwe miejscowe władze i zaczniemy śledztwo.

- Tylko upewnij się, że te władze wiedzą, iż jeśli ktokolwiek będzie próbował ją ratować, oni ją zabiją.

- Daliśmy już jasno do zrozumienia naszym europejskim przyjaciołom, że jeżeli będzie planowana jakakolwiek próba odbicia, to my ją przeprowadzimy. Przemieściliśmy już nawet cztery oddziały Delta Force do różnych europejskich stolic, przygotowując się na taki właśnie scenariusz, i postawiliśmy je w stan najwyższej gotowości. Jeśli dotrzemy do wiarygodnych informacji na temat miejsca pobytu Elizabeth Halton, wkroczą i ją odbiją, a my później będziemy martwić się o ukojenie zranionych uczuć Europejczyków.

Delta Force to amerykańska jednostka specjalna komandosów.

- Adrianie, mamy całą dywizję, która zajmuje się tego typu sprawami, więc jeżeli będzie wam potrzebna rada, po prostu daj mi znać.

- Macie dość zmartwień. - Carter zmarszczył czoło i spojrzał na zegarek. - Ty i twoja ekipa odpowiadacie teraz w Kopenhadze za inwigilację żony i syna, a ja lecę do Londynu wytłumaczyć, dlaczego nie wypełniłem wyraźnego rozkazu i nie zakończyłem twojego udziału w tej operacji. Gabrielu, los Elizabeth Halton i mojej kariery jest w twoich rękach.

Proszę, zrób wszystko, co w twojej mocy, by nas nie zawieść.

Więzienie Tora, Egipt, godzina 16:19, wtorek

Skorpion: piekło na ziemi - pomyślał Wazir Al-Zaijat. Sto mrocznych cel, a w nich najniebezpieczniejsi w Egipcie islamscy radykałowie i bojownicy dżihadu; tuzin izb przesłuchań, gdzie nawet najbardziej zatwardziali i bogobojni wojownicy Allaha wyrzucali z siebie tajemnice po zaledwie kilku godzinach przesłuchań przeprowadzanych przez egipską tajną policję. Niewielu z tych, którzy przekroczyli mury Skorpiona, wychodziło stamtąd z nienaruszoną duszą i ciałem, a ci, którzy osobiście spotkali się z Wazirem Al-Zaijatem, rzadko uchodzili z życiem, więc nie za bardzo mogli o tym mówić.

Już od wielu lat Skorpion nie był tak przepełniony jak tego popołudnia, co Al-Zaijatowi nie wydawało się szczególnie niezwykle, ponieważ to on odpowiadał za tak gwałtowny wzrost liczby jego nowych lokatorów. Więzień, którego przesłuchiowano teraz w pomieszczeniu numer 4, był jednym z tych najbardziej obiecujących: Husajn Mandali, nauczyciel ze szkoły podstawowej, członek Miecza Allaha, bastionu Imbaby. Schwytano go dwanaście godzin wcześniej pod zarzutem rozpowszechniania nagranych kazania szejka Tajjiba Abdula Razzaka, co samo w sobie było mało oryginalnym przestępstwem - te płomienne kazania były hip hopem dla ciemniejszych mas Egipcjan - ale za to bardzo istotna była treść wystąpienia. Szejk wspominał w nim o uprowadzeniu w Londynie Amerykanki i wzywał do powszechnego powstania przeciwko reżimowi, co wskazywało na to, że nagranie powstało naprawdę niedawno. Al-Zaijat wiedział, że taśmy nie pojawiły się dzięki czarom czy boskiej woli Allaha, i był przekonany, że Husajn Mandali jest tą osobą, której szukał.

Al-Zaijat otworzył drzwi i wszedł do środka. Trzech opierających się o szare ściany przesłuchujących miało lśniące od potu twarze i podwinięte rękawy. Husajn Mandali siedział przy metalowym stole z zakrwawioną, obrzękniętą twarzą. Był opuchnięty i poparzony.

Niezły początek, pomyślał Al-Zaijat, ale to za mało, by złamać chłopca z Imbaby, dzielnicy nędzy.

Al-Zaijat usiadł naprzeciwko Mandaliego i wcisnął przycisk PLAY w stojącym na środku stołu magnetofonie. Chwilę później słaby, piskliwy głos szejka Tajjiba odbił się echem od ścian pokoju przesłuchań. Al-Zaijat słuchał kazania przez kilka minut, zanim wyciągnął rękę i dźgnął grubym palcem wskazującym przycisk STOP.

- Skąd wzięłeś tę taśmę? - zapytał spokojnie.

- Dostałem ją od mężczyzny w kawiarni w Imbabie.

Al-Zaijat westchnął ciężko i spojrzał na trzech przesłuchujących.

Cięgi, które wymierzili przesłuchiwanemu, trwały dwadzieścia minut i nawet jak na egipskie standardy były wyjątkowo brutalne. Kiedy Mandali wrócił na miejsce przy stole przesłuchań, był ledwie przytomny i płakał jak dziecko, a Al-Zaijat po raz drugi wcisnął

przycisk PLAY.

- Skąd wzięłaś tę taśmę?

- Od mężczyzny w...

Al-Zaijat szybko mu przerwał.

- Tak, pamiętam, Husajnie, dostałaś ją od mężczyzny w kawiarni w Imbabie, ale jak on się nazywa?

- Nie... powiedział mi...

- W której kawiarni?

- Nie... pamiętam...

- Husajnie, jesteś pewien?

- Jestem... pewien...

Al-Zaijat wstał i bez słowa skinął na przesłuchujących, a kiedy wyszedł na korytarz, słyszał, jak Mandali błaga o litość. - Nie obawiaj się pachołków faraona - mówił mu szejka. -

Pokładaj wiarę w Allahu, a ochroni cię.

Kopenhaga, godzina 17:34, wtorek

Wydział Administracyjny nie miał czasu na znalezienie w Kopenhadze odpowiedniej tajnej kwatery dla ekipy Gabriela, więc zameldowali się w hotelu d'Angleterre, ogromnym białym luksusowym budynku w kształcie statku pasażerskiego, przy Nowym Placu Królewskim.

Gabriel i Sara przybyli tuż po 17:30 i skierowali się do pokoju na trzecim piętrze. Mordechaj siedział przy biurku bez butów, ale za to ze słuchawkami na uszach i wpatrywał się w dwa odbiorniki niczym lekarz odczytujący tomogram mózgu w poszukiwaniu oznak życia. Gabriel założył wolny zestaw, po czym spojrzał na niego i skrzywił się.

- Huk jakby w pokoju był kafar.

- Bo jest - powiedział Mordechaj. - A nazywa się Ahmed i uderza jakąś zabawką w podłogę w odległości kilkunastu centymetrów od telefonu.

- Jak długo to trwa?

- Godzinę.

- Dlaczego Hanifa nie każe mu przestać?

- Może jest głucha? Bóg mi świadkiem, że niebawem sam ogłuchnę, jeśli nie przestanie.

- Czy do kogoś dzwoniła?

- Zarejestrowaliśmy tylko jedną rozmowę wychodzącą - powiedział Mordechaj. -

Zadzwoiła do Amsterdamu, by poskarżyć się Ibrahimowi na przedłużającą się nieobecność Ishaqua. Jeśli nie był to wyrafinowany podstęp, to istotnie o niczym nie wie.

Gabriel spojrział na zegarek. Była 17:37. Życie szpiega - pomyślał. - Otępiająca nuda z krótkimi okresami śmiertelnego przerażenia. - Założył słuchawki i czekał, aż u Hanify zadzwoni telefon.

*

Zapadła krępująca cisza, zupełnie jak na stypie, na którą przyszli obcy sobie ludzie, ale udało im się jakoś przetrwać przerażającą banalność tego wieczoru. Ahmed najpierw taranował zabawką podłogę w kuchni, później udawał, że jest odrzutowcem, a na koniec odbijał piłkę o ścianę w salonie. O 20:15 miał miejsce rozsadzający uszy łomot. Nie potrafili dokładnie zidentyfikować, jaki przedmiot się rozbił, ale musiał mieć chyba dużą wartość, bo Hanifa zaczęła histeryczną tyradę. Pełen skruchy Ahmed zareagował pytaniem, czy ojciec zatelefonuje wieczorem. Gabriel, który przemierzał pokój, jakby szukał rozbitych resztek, zastygł w bezruchu i czekał na odpowiedź. - Zadzwoi, jeśli będzie mógł - powiedziała Hanifa. - Zawsze może. - Czyli Ibrahim jednak mówił prawdę...

O 20:20 Hanifa kazała Ahmedowi wykąpać się, a sama posprzątała salon po katastrofie i włączyła telewizor. Niebawem okazało się, że ogląda Al-Manar, sieć telewizyjną Hezbollahu - wybór kanału wiele wyjaśniał. Przez następne dwadzieścia minut, kiedy Ahmed pluskał się w wannie, musieli wysłuchiwać kazania libańskiego duchownego, który chwalał waleczność Miecza Allaha i wzywał do kolejnych aktów terroru przeciwko niewiernym Amerykanom i ich syjonistycznym sojusznikom.

O 20:43 kazanie przerwał ostry dźwięk telefonu. Hanifa szybko podniosła słuchawkę i powiedziała po arabsku:

- Ishaq, to ty? - To nie był on, tylko bardzo speszony Duńczyk, który szukał jakiegoś Knuda. A kiedy usłyszał głos kobiety mówiącej po arabsku i zapewne tyradę duchownego w tle, przeprosił z całego serca i pospiesznie się rozłączył. Hanifa odłożyła słuchawkę i krzyknęła do Ahmeda, by wychodził z kąpeli. Kaznodzieja Hezbollahu odkrzyknął, że przyszedł czas, by muzułmanie z całego świata dokończyli dzieło, które rozpoczął Hitler.

Rozzłoszczony Mordechaj spojrział na Gabriela.

- Nie musimy razem słuchać tego gówna - powiedział. - Może masz ochotę się przewietrzyć?

- Nie chcę przegapić jego telefonu.

- Po to są urządzenia rejestrujące. - Podał mu płaszcz i lekko popchnął go w stronę drzwi. - Idź coś zjeść. I zabierz ze sobą Sarę, ładnie razem wyglądacie.

*

W holu na dole kwartet smyczkowy beznamiętnie rzępolił menueta Bacha. Gabriel i Sara przemknęli obok, nie patrząc w tamtym kierunku, i ruszyli przez plac w stronę restauracji w Nyhavn. Znacznie się ochłodziło, więc Sara włożyła beret i postawiła kołnierz płaszcza, a kiedy Gabriel zaczął się z niej naśmiewać, że za bardzo przypomina szpiega, chwyciła go figlarnie pod ramię i przyłgnęła ciałem do jego ramienia. Usiedli w ogródku i pod syczącym piecykiem gazowym popijali zmrożonego carlsberga. Gabriel rozdłubywał na talerzu smażonego dorsza i ziemniaki, a Sara wpatrywała się w kolorowe podświetlone fasady domów położonych nad kanałem na przeciwległym nabrzeżu.

- Tu jest ładniej niż w Langley.

- Wszędzie jest ładniej niż w Langley - powiedział.

Spojrzała na surowe, ponure niebo.

- Jak sądzę, twój los jest teraz w rękach NSA i jej satelitów.

- Twój też - rzekł. - Mądrze byś postąpiła, gdybyś poleciała z Adrianem do Londynu.

- I przegapiła to? - Patrzyła na położone nad kanałem domy.

- Jak uważasz, uda nam się ją odnaleźć, jeżeli Ishaq zadzwoni dziś wieczorem?

- To zależy od tego, z jaką dokładnością NSA da radę ustalić miejsce jego pobytu.

Nawet jeśli uda im się zlokalizować Elizabeth, Waszyngton stanie przed kolejnym problemem - jak odbić ją żywą. Ishaq i jego znajomi gotowi są z wielką chęcią umrzeć, co oznacza, że każda próba wzięcia kryjówki szturmem musi zakończyć się krwawo. Ale jestem pewien, że nasi eksperci wymyślą jakiś plan.

- Gabrielu, nie graj zranionego męczennika. To do ciebie nie pasuje.

- Nie ekscytowałem się tym, co dzisiaj mówiono o mnie w Waszyngtonie.

- To miasto nie zna litości.

- Jak Jerozolima.

- Dlatego kiedy zostaniesz szefem Agencji, będziesz musiał być bardziej gruboskórny.

- Rzuciła mu filuterne spojrzenie. - Adrian mówi, że to tylko plotka, ale sądząc po twojej reakcji, to prawda. - Podniosła kufel. - *Mazel tow.*

- Kondolencje byłyby tu bardziej na miejscu.

- Nie chcesz tej posady?

- Niektórzy ludzie są skazani na wielkość.

- Masz dziś dobry nastrój.

- Saro, wybacz, ale rozmowy o ludobójstwie i eksterminacji na ogół psują mi wieczór.

- Ach, no tak. - Sączyła piwo i próbowała opanować drzenie.

- Wiesz, ta restauracja ma chyba w środku jakąś salę.

- Tak, ale trudniej będzie tam dostrzec, czy jesteśmy inwigilowani.

- A jesteśmy?

- To ty się szkoliłaś w kontrinwigilacji, więc może ty mi powiesz.

- Kiedy wychodziliśmy z hotelu, pewien mężczyzna pił coś w barze - rzekła. - Teraz stoi po drugiej stronie kanału z kobietą, która jest od niego starsza co najmniej o piętnaście lat.

- Z duńskich służb bezpieczeństwa?

- W barze mówił po niemiecku.

- Więc?

Pokręciła głową.

- Nie, nie sędzę, a ty jak uważasz?

- Uważam, że to niemiecki żigolo, który zamierza wyłudzić od tej biednej kobiety pieniądze.

- Powinniśmy ją ostrzec?

- Obawiam się, że mamy dość zmartwień na dzisiejszy wieczór.

- Zawsze jesteś takim czarującym randkowiczem?

- Nie wiedziałem, że to randka.

- To najbardziej przypomina randkę, a na randce od dawna nie byłam.

Gabriel spojrzał na nią z niedowierzaniem i włożył do ust kawałek ryby.

- Naprawdę myślisz, że ci uwierzę, iż masz jakieś trudności w oczarowywaniu mężczyzn?

- Może nie pamiętasz, ale z powodu udziału w operacji Al-Bakari żyję teraz pod przybranym nazwiskiem. A to raczej utrudnia chodzenie na randki. Nawet moi współpracownicy z CTC nie wiedzą, jak się naprawdę nazywam i nie znają żadnego faktu z mojej przeszłości. To dla mojego dobra, jak sędzę. Każdy, z którym spotykałam się kiedyś i tak nie miałby teraz żadnych szans. Moje serce jest jednak czyjś zakładnikiem. - Popatrzyła na niego znad kufla. - A teraz nadszedł czas, kiedy powinienes mnie nieśmiało zapytać o imię mężczyzny, który je porwał.

- Saro, pewnych pytań lepiej nie zadawać.

- Masz w sobie tyle stoickiego spokoju... - Pociągnęła łyk piwa i znów zaczęła się przyglądać domom nad kanałem. - Ale twoje serce także jest zajęte, prawda?

- Saro, naprawdę zasługujesz na kogoś znacznie lepszego niż pięćdziesięciokilkuletni mizantrop z Doliny Jezreel.

- Zawsze pociągali mnie stroniący od ludzi mężczyźni, zwłaszcza ci uzdolnieni, ale obawiam się, że zawsze też miałam kiepskie wycucie czasu. To dlatego zamiast muzyki studiowałam sztukę. - Posłała mu zaprawiony kroplą goryczy uśmiech. - To Chiara, prawda?

Powoli przytaknął.

- Wiedziałaś - powiedziała Sara. - Jest wielką szczęściarą.

- To ja jestem szczęściarzem.

- Wiesz, jest dla ciebie zdecydowanie za młoda.

- Jest starsza od c i e b i e, ale dzięki za przypomnienie.

- Jeśli kiedykolwiek cię rzuci dla młodszego... - Jej głos zamarł.

- No cóż, wiesz, gdzie mnie szukać. Będę samotną byłą kustoszką muzeum, pracującą na nocnej zmianie w wydziale saudyjskim Ośrodka Antyterroryzmu.

Gabriel wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. Chłód dodał odrobinę szkarłatu jej alabastrowym policzkom.

- Przykro mi - rzekł.

- Dlaczego?

- Nie powinniśmy byli cię w to angażować. Należało znaleźć kogoś innego.

- Ale nie ma nikogo takiego jak ja - powiedziała. - I dobrze o tym wiesz...

*

Grupa chińskich turystów, najnowszych obładowanych pakunkami najeźdźców Europy, pozowała do zdjęć na środku Nowego Placu Królewskiego. Gabriel wziął Sarę pod ramię i prowadził ją długą okrężną drogą. W głębi duszy zastanawiał się nad niebywałą ironią losu, która sprawiała, że naród ten spędza wakacje w świątyniach upadającej cywilizacji.

Weszli do holu d'Angleterre'a i przy dźwiękach *Kanonu D-dur* Pachelbela skierowali się na górę, a personel od zleceń specjalnych odprowadził ich pełnymi zachwyty spojrzeniami.

Mordechaj chodził nerwowo, kiedy weszli cicho do pokoju, po czym wcisnął Gabrielowi słuchawki i poprowadził go do urządzeń rejestrujących.

- Zadzwoił - wyszeptał. - On naprawdę zadzwonił. Gabrielu, mamy go. Udało ci się.

Kair, godzina 22:19, wtorek

W Skorpionie, w pokoju przesłuchań numer 4, prawda wyszła na jaw, ale przecież nie było w tym nic dziwnego. Tak jak podejrzewał Wazir Al-Zaijat, Husajn Mandali nie był zwykłym nauczycielem szkoły podstawowej, ale wyższym rangą działaczem Miecza Allaha i dowódcą ważnej komórki, która miała siedzibę w Imbabwe. Przyznał się także, że był obecny przy rejestrowaniu kazania szejka Tajjiba, które wzywało do powstania przeciwko reżimowi. Był

na sesji nagraniowej w pewną niedzielę rano, w mieszkaniu numer 2408 w Wieżach Ramzesa, luksusowym apartamentowcu na północ od klubu sportowego Gezira, zawsze pełnego cudzoziemców, gwiazd filmowych i, od niedawna bogatych, przyjaciół reżimu. Po szybkim przestudiowaniu akt okazało się, że mieszkanie to należy do firmy o nazwie Spółka Holdingowa Nejad, a dzięki ich ponownemu przeczytaniu potwierdziło się, że kieruje nią książę Raszid bin Sultan Al-Saud.

Nie po raz pierwszy jego nazwisko przewinęło się w związku z islamskim terroryzmem w Egipcie - od lat wkładał miliony dolarów do kieszeni egipskich bojowników dżihadu, wspomagając także Miecz Allaha. Ale książę był Saudyjczykiem, a zubożały Egipt zawdzięczał Arabii Saudyjskiej wsparcie ekonomiczne, więc Al-Zaijat nie miał wyboru, musiał przemykać oczy na jego dobroczynne przedsięwzięcia. Ale teraz to co innego, pomyślał. Dawanie pieniędzy na sprawę islamską to jedno, a zapewnianie wsparcia i schronienia terrorystom zdecydowanym obalić reżim Mubarakę, to drugie. Jeśli BŚBN uda się odnaleźć szejka Tajjiba, który ukrywa się w należącym do Saudyjczyka domu, być może pozwoli to Al-Zaijatowi raz na zawsze skończyć z wtrącaniem się Arabii Saudyjskiej w wewnętrzne sprawy Egiptu.

Al-Zaijat dotarł do Wież Ramzesa tuż po 22:30 i zobaczył, że budynek otacza kilkuset młodych policjantów. Wiedział, że wielu młodych oficerów potajemnie popierało Miecz Allaha i gdyby mieli taką możliwość, chętnie powtórzyliby działania porucznika Khaleda Islambuliego i wpakowali faraonowi kulę w serce. Kazał kierowcy zaparkować po drugiej stronie ulicy i uchylił okno, a kiedy jego człowiek zauważył służbowego mercedesa, natychmiast podbiegł truchtem.

- Wkroczyliśmy jakieś dwie minuty temu - powiedział oficer.

- W środku było pusto, ale na pewno jeszcze niedawno ktoś tu przebywał i kimkolwiek jest, wyszedł w pośpiechu. Na stole zostawił jedzenie, a rondle w kuchni były jeszcze ciepłe.

Al-Zaijat zaklął cicho. Czy to tylko pech, czy może miał w szeregach BŚBN zdrajcę, który ostrzegł szejka, że Mandali zaczął sypać?

- Zamknijcie prowadzące na Az-Zamalik mosty - powiedział. - Nikomu nie wolno opuścić wyspy bez dokładnego przeszukania. Następnie zaczniecie sprawdzać mieszkania w Ramzesie i nie obchodzi mnie, czy będziecie działać na nerwy bogatym i sławnym. Chcę się upewnić, czy szejka nadal tu gdzieś się nie ukrywa.

Oficer odwrócił się i pobiegł w stronę wejścia do budynku, a Al-Zaijat wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer do Skorpiona.

- Trafiliśmy na wyschnięte źródło - powiedział człowiekowi, który podniósł słuchawkę. - Mamy jeszcze raz przesłuchać Mandaliego?

- Nie, on już niczego nie powie.

- Co mamy z nim zrobić?

- Nigdy go tu nie było - powiedział Al-Zaijat - i nigdy o nim nie słyszeliśmy. Jest zerem. Jest nikim...

Kopenhaga, godzina 22:24, wtorek

Gabriel usiadł przed urządzeniem rejestrującym, założył słuchawki i wcisnął przycisk PLAY.

- Już się bałam, że dzisiaj nie zadzwonisz. Wiesz, która jest godzina?

- Byłem zajęty. Oglądałaś wiadomości?

- Chodzi ci o te zamachy terrorystyczne? Tylko o tym teraz trąbią.

- Co mówią?

- Duńczycy są oczywiście zszokowani i zastanawiają się, kiedy coś takiego wydarzy się w Kopenhadze. W Norrebro mówi się, że Europa sobie na to zasłużyła, popierając Amerykanów. Chcą, by Amerykanie uwolnili szejka.

- Hanifo, uważaj na to, co mówisz przez telefon. Nigdy nie wiesz, czy ktoś cię nie podsłuchuje.

- Kto by tam sobie zawracał mną głowę? Przecież jestem nikim.

- Jesteś żoną człowieka, który pracuje w Duńskiej Radzie do spraw Islamu.

- I który uważa, że może zostawić żonę i dziecko i włączyć się po Bliskim Wschodzie, by prowadzić badania nad światem islamskim. A gdzie teraz jesteś?

- W Stambule. Co u Ahmeda?

Gabriel wcisnął STOP, REWIND I PLAY. - Gdzie teraz jesteś?

- W Stambule. Co u Ahmeda?

- Tęskni za ojcem.

- Chcę z nim porozmawiać.

- Jest za późno. Śpi już prawie od godziny.

- Obudź go.

- Nie.

- To ważne, muszę z nim dzisiaj porozmawiać.

- No to trzeba było zadzwonić wcześniej. Ishaqu, gdzie jesteś? Co to za hałas w tle?

- To tylko ruch uliczny za oknem hotelu.
- Jakbyś był na autostradzie.
- W Stambule jest głośno, nie tak jak w Kopenhadze. Rozmawiałaś dzisiaj z moim ojcem?
- Po południu.
- Wszystko u niego dobrze?
- Na to wygląda.
- Jaka pogoda w Kopenhadze?
- Jest zimno, a czego się spodziewałaś?
- Czy przy naszym mieszkaniu nie kręcą się jacyś obcy? Widujesz w okolicy jakieś nieznane twarze?
- Może trochę więcej policjantów niż zwykle, ale jest spokój.
- Jesteś pewna?
- Tak. Dlaczego jesteś taki podenerwowany?
- Bo w całej Europie kontrolują teraz muzułmanów, robią obławy i przesłuchują nas tylko dlatego, że mówimy po arabsku i modlimy się zwróceniem twarzy w stronę Mekki.
- W Kopenhadze nikt na nikogo nie robi obławy.
- Do czasu.
- Kiedy kończy się ten twój zjazd? Kiedy wracasz do domu?
- Prawdę mówiąc, to ty przylecisz do mnie, ale nie do Stambułu. Są lepsze miejsca.
- O czym mówisz?
- Podejdź do mojej komody. W dolnej szufladzie zostawiłem ci kopertę.
- Ishaqu, nie mam ochoty na żarty, jestem zmęczona.
- Hanifo, po prostu zrób, co mówię. Obiecuję, że się nie rozczarujesz.

Westchnęła poirytowana i z takim hukiem odłożyła słuchawkę przy telefonie, że Gabrielowi omal nie pękły bębenki. Następne dźwięki dochodziły już z oddali: tupot nóg, szarpnięcie szuflady, szelest papieru, a po kilku sekundach przerażony głos Hanify.

- Skąd wzięłaś te pieniądze?

- Nieważne skąd. Masz bilety?
- Do Bejrutu? Dlaczego tam lecimy?
- Na wakacje.
- Samolot odlatuje w piątek rano. Jak mam przygotować się tak szybko?
- Po prostu wrzuć do torby kilka rzeczy. Załatwię, by na lotnisko zawiózł was ktoś z Rady, a w Bejrucie wyjdzie po was mój znajomy i zabierze do mieszkania, z którego możemy skorzystać. W ciągu kilku dni przylecę ze Stambułu.
- Ishaqu, to jakieś szaleństwo. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?
- Po prostu zrób, co mówię. Muszę już kończyć.
- Kiedy cię znów usłyszę?
- Nie wiem.
- Nie wiesz?! Każesz mi lecieć do Bejrutu i to wszystko?
- Tak, to wszystko. Jesteś moją żoną i zrobisz, co ci każę.
- Nie, Ishaqu. Powiedz, kiedy cię znów usłyszę, bo nie wsiądę do żadnego samolotu.
- Zadzwoń jutro wieczorem.
- O której?
- O której będę miał czas.
- Nie, nie o której będziesz miał czas. Chcę wiedzieć, o której zadzwonisz.
- O dwudziestej pierwszej trzydzieści.
- Którego czasu, twojego czy mojego?
- Twojego.
- O dwudziestej pierwszej trzydzieści jeden przestanę odbierać telefon. Ishaqu, rozumiesz mnie?
- Hanifo, muszę już kończyć.
- Zaczekaj.
- Hanifo, kocham cię.

- Ishaqu...

Trzask.

- Ishaqu, coś ty narobił? Mój Boże, coś ty narobił?

STOP. COFNIJ. ODTWÓRZ.

- Chcę wiedzieć, o której zadzwonisz.

- O dwudziestej pierwszej trzydzieści.

- Którego czasu, twojego czy mojego?

- Twojego.

- O dwudziestej pierwszej trzydzieści jeden przestanę odbierać telefon. Ishaqu, rozumiesz mnie?

STOP.

Gabriel spojrział na Mordechaja.

- Muszę odsłuchać ten fragment, kiedy Ishaq prosi Hanifę, by poszła po bilety i pieniądze. Ściszej, żebym mógł słyszeć samego Ishaq.

Mordechaj kiwnął głową i zrobił to, o co poprosił go Gabriel. Ta przerwa trwała dwadzieścia trzy sekundy. Odsłuchał trzy razy, po czym zdjął słuchawki i popatrzył na Sarę.

- Powiedz Adrianowi, by nie czekał na NSA - rzekł. - Ishaq zadzwonił z parkingu przy autostradzie w północno-zachodnich Niemczech, sądząc po akcencie rozmawiających w tle ludzi. Powiedz mu również, że podróżuje z co najmniej jeszcze jedną osobą. Przewożą ją samochodem dostawczym lub furgonetką i nie zatrzymają się teraz przez kilka godzin, ponieważ właśnie do pełna zatankowali gaz.

Nad terytorium Kolorado, godzina 15:28, wtorek

Służbowy samolot odrzutowy Falcon 2000 właśnie zaczął kołysać, a po chwili skrył się w burzowych chmurach nad równinami wschodniej części Kolorado. Lawrence Strauss zdjął

okulary do czytania; chwycił grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym. Był jednym z najbardziej wpływowych waszyngtońskich prawników; w samolotach zawsze zachowywał się dość nerwowo, więc unikał ich, jak tylko mógł - zwłaszcza tych prywatnych, bo uważał je za skrzydlate śmiertelne pułapki. Ale w związku z bieżącą sprawą jego klient zarządził, by w całkowitej tajemnicy poleciał z Waszyngtonu do Kolorado wynajętym odrzutowcem.

Zazwyczaj nie pozwalał, by klient narzucał mu porządek dnia ani sposób podróżowania, ale tym razem zrobił wyjątek. Klientem był jego przyjaciel, który przypadkiem był również prezydentem Stanów Zjednoczonych, a zadanie, jakie mu zlecił, było tak delikatnej natury, że wiedzieli o tym tylko prezydent i prokurator generalny.

Falcon wynurzył się z chmur i zawisł w warstwie spokojniejszego powietrza. Strauss założył okulary i spojrzał na leżące przed nim na stoliczku otwarte akta: „Stany Zjednoczone kontra szejk Abdullah Abdul-Razzak”, które dostał w Białym Domu od samego prezydenta poprzedniego dnia późnym wieczorem. Dużo się z nich dowiedział o rządowym śledztwie prowadzonym przeciwko egipskiemu duchownemu, które niestety przypominało domek z kart - a ten, w rękach dobrego adwokata, runąłby za sprawą jednego precyzyjnego prztyczka.

Ale szejk nie miał dobrego prawnika. Korzystał z usług popisującego się przed wszystkimi wojownika z Manhattanu, działającego na rzecz przestrzegania praw obywatelskich, który zresztą od razu wpadł w pułapkę zastawioną przez prokuratora. Gdyby to Lawrence Strauss bronił szejka, sprawa nigdy nie weszłaby na wokandę i Abdullaha oskarżono by o znacznie lżejsze przestępstwa, a najprawdopodobniej wyszedłby z sali sądowej jako wolny człowiek.

Ale Lawrence Strauss nie brał takich spraw, w istocie rzeczy rzadko w ogóle brał

cokolwiek. W Waszyngtonie uchodził za prawnika, którego nikt nie zna, ale każdy chciałby korzystać z jego usług. Nigdy nie wypowiadał się dla prasy, nie bywał na przyjęciach, a na sali sądowej w ciągu ostatnich dwudziestu lat był tylko raz, by zeznawać przeciwko człowiekowi, który napadł go, kiedy biegał rano w Battery Kemble Park w północno-zachodniej części miasta. Nigdy nie wygrał ważnego procesu, jego nazwiskiem nie była sygnowana żadna przełomowa apelacja. Działał w waszyngtońskich ciemnościach, gdzie bardziej niż prawnicza błyskotliwość liczyły się polityczne powiązania oraz prywatne przyjaźnie, i w przeciwieństwie do większości swoich kolegów ze środowiska prawniczego posiadał umiejętność poruszania się w świecie polityki. Był pragmatykiem. Jego opinie ceniono tak bardzo, że zazwyczaj kilka weekendów w roku spędzał w Camp David, ośrodku wypoczynkowym rządu USA, bez względu na to, która partia była u władzy. Był dłutem do rzeźbienia porozumień i pluszakiem do kojenia nerwów, mediatorem i sztukmistrzem kompromisów, dzięki któremu problemy i prokuratorzy ulatniali się jak kamfora. Wierzył, że proces sądowy jest jak

gra w kości, a on nie lubił zdawać się na przypadek. Postanowił jednak zrobić wyjątek dla tej czwartkowej wieczornej gry w pokera, w którego grali również przewodniczący Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, dwóch byłych prokuratorów generalnych i przewodniczący senackiej komisji sądowniczej. W ostatnim tygodniu dużo wygrał, zresztą zazwyczaj dużo wygrywał.

W sieci interkomu rozległy się trzaski, a po chwili zabrzmiał głos pilota, który poinformował, że za dziesięć minut zaczną podchodzić do lądowania. Lawrence Strauss wsunął akta do teczki i spojrzał na pokryte śniegiem, przybliżające się powoli równiny; wyglądały jakby chciały go powitać. Obawiał się, że jego podróż niczemu nie służy - rozdano mu kiepskie karty, choć właściwie takie same jak jego przeciwnikowi. Będzie musiał

blefować, czego nie lubił - blefowanie jest dla przegranych, a przegrywać nienawdził

bardziej niż latania.

*

Alcatraz Gór Skalistych, specjalne więzienie o szczególnie ostrym rygorze, znane również jako Supermax, znajduje się w odległości trzech kilometrów na południe od Florence, ukryte przed ludzkimi spojrzami za brunatnymi wzgórzami wyżynnej pustyni Kolorado. Przebywa tu czterystu najniebezpieczniejszych więźniów w kraju, takich jak Teodor Kaczyński, Terry Nichols, Erie Rudolph, Matthew Hale, David Lane i Anthony Gaspipe Casso, wiceszef przestępczej rodziny Lucchese. W murach Supermaxa więzi się również muzułmańskich terrorystów, na przykład Zacariasa Moussaouiego, Richarda Reida i Ramziego Jusefa, który był mózgiem pierwszego ataku na World Trade Center w 1993 roku.

Choć osadzono tu wielu groźnych przestępców, ostatnio ujawniono, że więzienie to ma poważny niedobór personelu i nie jest wystarczająco dobrze strzeżone. Kalifornijscy prokuratorzy dowiedzieli się, że przywódca meksykańskiej mafii Ruben Castro kieruje z celi Supermaxa przestępczymi przedsięwzięciami w Los Angeles, a władze hiszpańskie odkryły, że powiązany z zamachem na World Trade Center Muhammad Salameh komunikował się pisemnie z komórkami terrorystycznymi odpowiedzialnymi za zamachy bombowe w madryckim metrze. Lawrence Strauss przejeżdżał właśnie przez zewnętrzną bramę, siedząc z tyłu należącego do FBI chevroleta suburba, i miał nadzieję, że nękanym kłopotami strażnikom uda się zapanować nad tym miejscem, dopóki on znów nie znajdzie się w powietrzu.

W recepcji czekał na niego naczelnik więzienia. Kiedy Strauss wszedł do środka, naczelnik z powagą wyciągnął do niego rękę i wymamrotał słowa powitania, po czym odwrócił się i bez słowa poprowadził go do lochów. Przeszli przez szereg zamykanych na zasuwę drzwi, które zatrzaśkiwały się za nimi z absolutną stanowczością. Kiedyś prezydent zabrał Straussa na rejs atomowym okrętem podwodnym. To było straszne przeżycie i prawnik przysiągł sobie wtedy, iż nigdy więcej tego nie powtórzy. Teraz miał to samo uczucie klaustrofobii i uwięzienia, był złany potem mimo przenikliwego zimna.

Naczelnik poprowadził go do pokoju widzeń podzielonego ścianką z pleksi na dwie części: jedna strona była dla gości, druga dla więźniów, ale obie łączyła linia telefoniczna.

Znak ostrzegął, że wszelkie rozmowy podlegają elektronicznemu podsłuchowi, więc Strauss spojrzął na naczelnika i powiedział:

- Obawiam się, że to się nie przyda.
- Urządzenia rejestrujące i kamery monitorujące będą włączone.
- W żadnym wypadku nie przeprowadzę tej rozmowy przy włączonym nasłuchu.
- Wystarczy, że dotrze tu CIA i FBI.
- Nie pracuję dla nich.
- Takie są przepisy.

Wyjął telefon komórkowy z kieszeni płaszcza.

- Wystarczy tylko jedna rozmowa telefoniczna. Jedna rozmowa i dostanę, czego chcę.

A więc nie traćmy cennego czasu i dojdźmy do jakiegoś sensownego kompromisu.

- Co ma pan na myśli?

Strauss powiedział, o co mu chodzi.

- Nie wychodzi z celi od tygodni.
- No to świeże powietrze dobrze mu zrobi.
- Wie pan, jak zimno jest na zewnątrz?
- Proszę dać mu płaszcz - rzekł Strauss.

*

Zdażyło się już nieco ściemnić, kiedy Straussa poprowadzono przez tajny korytarz na zachodni dziedziniec. Dokładnie na środku postawiono składany stół i dwa krzesła, zaś na górze wzdłuż ogrodzenia pod napięciem zapalono lampy łukowe. Na obrzeżach stali niczym posągi czterej strażnicy, dwaj kolejni siedzieli przy balustradzie na wieży strażniczej z bronią gotową do strzału. Skinął porozumiewawczo na naczelnika, po czym skierował się na dziedziniec i zajął swoje miejsce.

Pięć minut później z bloku więziennego wyszedł zakuty w kajdany szejk Abdullah Abdul-Razzak wciśnięty między dwóch klocowatych strażników. Był niższy niż się spodziewał Strauss - miał może 170 cm wzrostu, był chudy jak nędzarz. Na pomarańczowy jednoczęściowy więzienny kombinezon miał narzuconą jasnobrązową parkę zakrywającą kościste ramiona. Rozczochna broda okalała poszarzałą od choroby twarz. To twarz umierającego człowieka, pomyślał Strauss, twarz, która od wielu lat nie widziała słońca.

Jednak oczy wciąż promieniały wyniosłą inteligencją. Lawrence Strauss, by zarobić na życie, musiał natychmiast wyrabiać sobie opinię na temat innych ludzi. Jego pierwsze wrażenie na temat szejka Abdullaha było takie, że to odważny i pełny oddania człowiek, który niewiele miał z szaleńczego fanatyka, jak przedstawiały go podczas procesu media i prokurator. Godny przeciwnik - to za mało powiedziane, by go dokładnie określić.

Kiedy szejek usiadł na krześle, Strauss spojrział na jednego ze strażników i rzekł:

- Proszę, zdejmij mu kajdany.

Pokręcił głową.

- To wbrew przepisom.

- Biorę za to pełną odpowiedzialność.

- Przykro mi - rzekł - ale to przepis, którego w Maxie zawsze przestrzegamy. Nie rozkuwamy więźniów, kiedy przebywają poza celą, prawda, szejku Abdullahu?

Strażnicy klepnęli szejka w plecy i poszli do bloku. Egipcjanin utkwiał wzrok w Strausie.

- Kim pan jest? - zapytał po angielsku z silnym akcentem.

- Nazywam się Arthur Hamilton - powiedział Strauss.

- Panie Hamilton, pracuje pan dla rządu amerykańskiego?

Zaprzeczył.

- Już na samym wstępie chcę zaznaczyć, że jestem zwykłym obywatelem i nie mam żadnych powiązań z rządem Stanów Zjednoczonych.

- Ale z pewnością nie przybył pan tutaj z własnej woli. Zapewne ktoś tu pana przysłał.

- Zgadza się.

- A więc kto?

Strauss popatrzył na obserwujących ich z wieży strażników, po czym spojrział wprost na szejka Abdullaha.

- Jestem wysłannikiem prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Szejek przyjął tę informację z obojętnym wyrazem twarzy.

- Oczekiwałem pana - powiedział spokojnie. - Panie Hamilton, co mogę dla pana zrobić?

- Wiesz zapewne, że twoja organizacja porwała w Londynie córkę amerykańskiego ambasadora i

grozi, że ją zamorduje, jeśli Stany Zjednoczone cię nie uwolnią i nie umożliwią ci powrotu do Egiptu.

- Panie Hamilton, proszę ostrożniej dobierać słowa. W naszych oczach Elizabeth Halton to uzasadniony cel, a jej śmierć, jeżeli w ogóle nastąpi, nie będzie morderstwem, tylko śmiercią dającą się uzasadnić.

- A więc z d a j e s z sobie sprawę z tego, co zdarzyło się przez ciebie?

- W pełni, panie Hamilton.

- Czy jesteś w jakikolwiek sposób powiązany z tym atakiem?

- Pyta mnie pan, czy go zainicjowałem, czy pomogłem zaplanować?

- Właśnie o to pytam.

Pokręcił głową.

- Nie mam kontaktu z Mieczem Allaha od czasu, kiedy uwięziono mnie w tym zakładzie, więc temu, co się przeze mnie stało, nadano bieg bez mojej zgody i wiedzy.

- Za sprawą twojego brata?

- Nie wiem. - Szejek posłał mu przelotny uśmiech. - Panie Hamilton, zadaje pan bardzo dobre pytania, zatem zakładam, że jest pan prawnikiem...

- Jestem winny zarzucanego mi czynu, szejku Abdullahu.

- Doceniam pana szczerłość, a czy teraz ja mogę zadać p a n u pytanie?

Strauss przytaknął.

- Panie Hamilton, przejdzie pan na islam?

- Słucham?

- Jako pobożny muzułmanin jestem zobowiązany wiele robić, w tym również nieść niewiernym dar islamu.

- Szejku Abdullahu, obawiam się, że moja wiara jest już zarezerwowana.

- Jest pan człowiekiem Biblii?

- Szejku Abdullahu, wierzę w prawo.

- Ale liczy się tylko prawo boskie.

- A co powiedziałby Bóg na okrucieństwo, którego dopuszczono się przez ciebie w Europie? Co powiedziałby Bóg na mordowanie i porywanie niewinnych?

- Ta liczba zabitych błędnie w porównaniu z ilością ludzi torturowanych i zamordowanych przez pana przyjaciela Hosniego Mubaraka. To zaledwie kropla w morzu tak wielu niewinnych muzułmanów, którzy zginęli przez amerykańską i brytyjską przygodę w Iraku. - Szejek zamilkł na chwilę. - Wie pan, co się stało w moim kraju, kiedy samoloty Osamy uderzyły w Twin Towers? Wasz rząd dał reżimowi Mubaraka listę nazwisk, setek nazwisk, panie Hamilton. A wie pan, co zrobił Mubarak ze swoją tajną policją? Aresztowali i bezlitośnie torturowali tych wszystkich ludzi, choć nie mieli oni absolutnie nic wspólnego z jedenastym września.

- I to wystarczy, by porwać i zamordować niewinną kobietę?

- Bez wątpienia. - Szejek odwrócił twarz w stronę lamp łukowych, których jaskrawe światło zmyło z niej cały kolor. - Ale prezydent nie wysłał pana w tę długą drogę, by podjął

pan tutaj dyskusję, prawda, panie Hamilton?

- Nie, szejku Abdullahu, nie po to.

- To jaki jest cel pana wizyty?

- Prezydent przysłał mnie tutaj, bym poprosił cię o przysługę. Chciałby, byś wydał fatwę, która potępi działalność twojego ugrupowania i wezwie do natychmiastowego uwolnienia Elizabeth Halton. Sądzi, że twoje słowa będą miały przemożny wpływ na postępowanie porywaczy.

- Panie Hamilton, oni słuchają innych głosów, na tle których mój byłby zaledwie szeptem.

- Prezydent uważa inaczej. - Następne słowa Strauss wypowiedział bardzo ostrożnie. -

I byłby niezwykle wdzięczny za jakąkolwiek pomoc, którą mógłbyś nam w tej sprawie służyć.

- A w jaki sposób okazałby tę wdzięczność?

- Szejku Abdullahu, nie przybyłem tutaj po to, by negocjować.

- Oczywiście, że po to, panie Hamilton.

- Prezydent ufa, że jesteś rozsądnym człowiekiem, który nie chciałby, by Elizabeth Halton stała się jakąkolwiek krzywdą. Wierzy również, że pertraktowanie w tej chwili byłoby niestosowne i niezgodne z polityką obroną przez Stany Zjednoczone.

- Jeśli wierzy, że jestem takim rozsądnym człowiekiem, to dlaczego nazywał mnie krwiożerczym terrorystą?

- Czasami pewne rzeczy, jakie mówi się dla publiczności, niekoniecznie muszą być

odzwierciedleniem prawdziwych uczuć - powiedział Strauss. - Jestem pewien, że jako człowiek Bliskiego Wschodu potrafisz to zrozumieć.

- Lepiej niż pan sobie wyobraża - rzekł Egipcjanin. - Ale prezydent nie potrzebuje mojej współpracy przy fatwie, może przecież powiedzieć swoim zdolnym szpiegom z CIA, by ją sfabrykowali.

- Sądzi, że porywacze w nią nie uwierzą, dopóki ty jej nie wypowiesz, więc chciałby, byś przeczytał oświadczenie na wizji, ale oczywiście pod pewnymi warunkami.

- Oczywiście. - Szejek szarpnął brodę w zamyśleniu. - Mam przez to rozumieć, że prezydent Stanów Zjednoczonych prosi mnie, bym zakończył za niego ten kryzys i jeszcze nic mi w zamian nie oferuje?

Strauss wyjął z teczki akta i położył je na stole.

- Doszły mnie słuchy, że oskarżyciele z Biura Prokuratora Generalnego Stanów Zjednoczonych na Wschodni Dystrykt Wirginii nie przekazali twoim prawnikom pewnych uniewinniających dowodów, które zgodnie z przepisami powinni byli im dać. Wierzę, że dobrze sporządzony wniosek dotyczący paragrafu 2255 spotkałby się z przychylnym przyjęciem sądu.

- Jak bardzo przychylnym?

Strauss znów przemawiał bardzo ostrożnie.

- Przewiduję scenariusz, według którego twój wyrok zostanie unieważniony, a rząd będzie musiał postanowić, czy ponownie cię osądzi, czy po prostu uwolni. W tym czasie podejmiemy kroki, by zapewnić ci tu bardziej komfortowy pobyt.

- Mówi pan, jakbym był tu zaproszonym gościem.

- Ależ b y ł e ś nim, szejku Abdullahu. Pozwoliliśmy ci przekroczyć granicę naszego kraju, a ty odpłaciłeś za naszą gościnność zawiązaniem spisku w celu zaatakowania naszych najważniejszych, prawie symbolicznych obiektów.

- I mimo to chciałby pan wziąć moją sprawę?

- Nie zajmuję się tego rodzaju pracą - powiedział Strauss - ale wiem o kilku prawnikach, którzy mogliby wykonać naprawdę dobrą robotę.

- A ile potrwałby ten proces?

- Dwa lata - rzekł Strauss. - Góra trzy.

- Czy ja wyglądam na człowieka, któremu zostały trzy lata życia?

- Nie masz innego wyboru.

- Nie, panie Hamilton, to prezydent nie ma wyboru. W istocie rzeczy ma tak ograniczone pole

manewru, że przysłał pana z pokornym błaganiem o pomoc. W zamian oferuje mi pan fałszywą nadzieję i oczekuje, że będę wdzięczny, ale wy, Amerykanie, zawsze tak postępujecie, nieprawdaż, panie Hamilton? Niestety wydajecie się nie dostrzegać tego, że gra toczy się teraz o coś więcej niż tylko los jednej Amerykanki. Miecz Allaha podłożył ogień w Egipcie i dni reżimu Mubaraką są już policzone, a kiedy w końcu upadnie, cały Bliski Wschód zmieni się z dnia na dzień.

Strauss włożył akta do teczki.

- Nie jestem ekspertem od spraw Bliskiego Wschodu, ale coś mi mówi, że się mylisz.

Szejku Abdullahu, wydaj fatwę i ocal życie Elizabeth Halton. Okaż się przyzwoitym człowiekiem, a Bóg cię wynagrodzi. - Zawahał się, po czym dodał: - I prezydent też.

- Proszę mu przypomnieć, że Ameryka nie negocjuje z terrorystami, a my nie negocjujemy z tyranami. Proszę mu również powiedzieć, by spełnił żądania Miecza Allaha, w przeciwnym wypadku niebawem zobaczy, jak wynoszą trumnę z samolotu w Bazie Lotnictwa Wojskowego Andrews.

Strauss wstał raptownie i spojrzał na szejka.

- Popełniasz poważny błąd. Umrzesz w tym więzieniu.

- Być może - powiedział Egipcjanin - ale pan umrze pierwszy.

- Szejku Abdullahu, przykro mi, ale mam się znacznie lepiej niż ty.

- Tak, ale mieszka pan w Waszyngtonie, a niebawem nasi bracia zamienią go w popiół. - Szejk odwrócił twarz w stronę ciemniejącego nieba. - Panie Hamilton, życzę przyjemnego lotu do domu i proszę pozdrowić ode mnie prezydenta.

Kopenhaga, godzina 13:15, środa

- Miałeś rację, dzwonił z Niemiec - powiedział Adrian Carter. Szli żwirową ścieżką w ogrodach Tivoli. Carter miał na sobie wełniany płaszcz i futrzaną uszankę jeszcze z czasów swojego pobytu w Moskwie, a ubrany w dżinsy i skórzaną kurtkę Gabriel szedł posępnie u jego boku niczym niespokojne sumienie.

- NSA ustaliła, że Ishaq dzwonił spod Dortmundu, prawdopodobnie był gdzieś na autostradzie A1. Wychodzący z założenia, że porwaczom udało się wywieźć Elizabeth z Wielkiej Brytanii i przewożą ją na kontynencie z kryjówki do kryjówki.

- Powiedzieliście Niemcom?

- Prezydent rozmawiał przez telefon z niemieckim kanclerzem dwie minuty po zlokalizowaniu ich. W ciągu godziny każdy funkcjonariusz policji w północno-zachodnim rejonie Niemiec brał udział w poszukiwaniach, ale oczywiście nie odnaleźli ich. Nie ma Ishaq, nie ma Elizabeth.

- Może powinniśmy się cieszyć - powiedział Gabriel. - Gdyby akurat natknęli się na nich kiepscy policjanci, moglibyśmy mieć drugie Fürstenfeldbruck.

- Z czym ja kojarzę tę nazwę?

- To niemieckie lotnisko pod Monachium, na które zabrano naszych sportowców w siedemdziesiątym drugim. Terrorysty myśleli, że wsiądą do samolotu i wylecą z kraju.

Oczywiście to była pułapka i Niemcy postanowili, że spróbują ich odbić. My chcieliśmy to zrobić, ale odmówili, i delikatnie mówiąc, zrobili to niefachowo.

- Pamiętam - rzekł chłodno Carter. - W ciągu kilku sekund zginęli wszyscy wasi sportowcy.

- Szamron był w wieży kontroli lotów, kiedy to się stało - powiedział. - Wszystko widział.

Usiedli przy stoliku w ogródku restauracji. Gabriel zamówił kawę i jabłecznik. Obok powoli przeszła Sara. Końcówki szalika miała włożone do kieszeni płaszcza, co - jak się umówili - oznaczało, że nie wytropiła żadnych śladów duńskiej służby bezpieczeństwa.

- Monachium - powiedział chłodno Carter. - Wszystkie drogi prowadzą do Monachium, nieprawdaż? Monachium udowodniło, że terroryzm potrafi zmusić cywilizowany świat do uległości, że terroryzm działa. W Monachium Jaser Arafat wszędzie zostawił odciski palców, a już dwa lata później stał przed Zgromadzeniem Ogólnym Narodów Zjednoczonych. - Sącył kawę ze skwaszoną miną. - Ale Monachium udowodniło również, że bezwzględna, bezlitosna i stanowcza kampania przeciwko mordercom może być skuteczna.

Wprawdzie zajęło to chwilę, ale w końcu udało się wam wyłączyć z gry Czarny Wrzesień. -

Popatrzył na Gabriela.

- Widziałeś film?

Gabriel rzucił w stronę Cartera miażdżące spojrzenie.

- Adrianie, co noc widzę to w głowie, ale tę prawdziwą wersję, a nie napisaną przez kogoś, kto kwestionuje prawo mojego kraju do istnienia.

- Nie chciałem trafić cię w czułe miejsce. - Dźgnął swoje ciasto bez apetytu. - Ale w pewnym sensie wtedy było łatwiej, prawda? Wystarczyło zlikwidować przywódców i już było po sieci. Teraz walczymy z ideą, a idee tak szybko nie giną. To przypomina walkę z rakiem, w której musisz odmierzać odpowiednie dawki lekarstwa: przy zbyt małych choroba postępuje, zbyt duże zabijają pacjenta.

- Nigdy nie uda ci się zwalczyć tego raka, dopóki Egipt masowo produkuje terrorystów - powiedział Gabriel. - Ibrahim Fawaz to wyjątek. Kiedy reżim torturował go i upokorzył, postanowił odejść z ekstremistycznego ruchu islamskiego i kontynuować to, co mu zostało z życia. Niestety, większość torturowanych podąża w przeciwną stronę.

- Czy to nie byłoby cudowne, gdybyśmy mogli ot tak, pstryknąć palcami i w jednej chwili zaprowadzić wzdłuż brzegów Nilu pełną życia i zdolną przetrwać demokrację? Ale to się tak szybko nie stanie, zwłaszcza biorąc pod uwagę nasze osiągnięcia w Iraku. A to oznacza, że jeszcze przez jakiś czas będziemy skazani na reżim Mubaraka i jego oprychów.

To skurwiel, ale przynajmniej n a s z skurwiel jak również wasz, Gabrielu. Chcielibyście, by z waszym Zachodnim Brzegiem graniczyła Islamska Republika Egiptu?

- Pod wieloma względami Egipt już jest islamską republiką. Jego rząd nie potrafi zaspokoić nawet najbardziej podstawowych potrzeb narodu, więc pustkę tę wypełnili islamiści. Przeniknęli do szkół podstawowych i na uniwersytety, do urzędów i związków zawodowych, sztuki i prasy, a nawet do sądów i stowarzyszeń prawniczych. Nie można wydać książki ani wyprodukować żadnego filmu, które najpierw nie spotkają się z aprobatą duchownych z uczelni Al-Azhar. Powoli tłumią zachodnie wpływy i jest tylko kwestią czasu, kiedy stłumią i reżim.

- Miejmy nadzieję, że do tego czasu zdążymy wynaleźć jakieś inne paliwo dla samochodów.

- Zdążycie - powiedział Gabriel. - A my sami będziemy musieli stawić czoło bestii.

Wsunął pod filiżankę kilka banknotów i wstał. Szli odległym krańcem parku obok szeregu budek spożywczych. Sara siedziała przy drewnianym stoliku i jadła ciemne pieczywo z zimnymi krewetkami, ale kiedy Carter i Gabriel minęli ją powoli, wyrzuciła niedokończone jedzenie do kosza na śmieci i ruszyła za nimi.

- Skoro już mowa o Egipcie, w zeszłym tygodniu prawie ich tam dorwaliśmy -

powiedział Carter. - BŚBN aresztowało jednego z członków Miecza Allaha, Husajna Mandaliego.

Na jego nieszczęście złapali go z nagraniem na taśmie kazaniem szejka Tajjiba zarejestrowanym p o porwaniu. Okazuje się, że uczestniczył nawet w sesji nagraniowej, która odbyła się w Az-Zamalik, w apartamencie należącym do księcia Raszida bin Sultana, saudyjskiego dobroczyńcy Miecza. Już od jakiegoś czasu widzimy go na naszych radarach i wygląda na to, że wspieranie islamskich terrorystów jest dla niego czymś w rodzaju hobby, takim samym jak sokoły czy dziwki.

Carter wydobył fajkę z kieszeni płaszcza.

- BŚBN przeszukało apartament i stwierdziło, że dosłownie przed chwilą ktoś w nim przebywał. Poprosiliśmy o zezwolenie na przesłuchanie Mandaliego, ale dostaliśmy informację, że nie da rady się dla nas wypowiedzieć.

- To oznacza, że ma się nie najlepiej.

- O ile w ogóle jeszcze się ma.

- Wciąż chcesz wyekspediować mojego żołnierza do Egiptu na to przesłuchanie?

- Gabrieliu, w tej kwestii wygrałeś, ale pytanie brzmi: co teraz zrobimy?

- Może przyszedł czas, żebyśmy zamienili słowo z Ishaqiem?

Carter zatrzymał się i spojrzał na niego.

- Co masz na myśli?

Gabriel powiedział mu o swoim planie, kiedy wędrowali cichą wybrukowaną ulicą w centrum Kopenhagi.

- To ryzykowne - rzekł Carter. - Nie mamy też żadnej gwarancji, że wieczorem znów zadzwoni. Poprosiliśmy niemiecką policję, by prowadziła poszukiwania tak niepostrzeżenie, jak to tylko możliwe, ale odnotowały je niemieckie media i istnieje duża szansa, że Ishaq również się zorientował. Jeśli jest sprytny, a nie mamy dowodu na to, że nie jest, z pewnością się domyśla, że ma z tym coś wspólnego jego rozmowa telefoniczna.

- Adrianie, zadzwoni, ponieważ zależy mu na rodzinie. A co do ryzyka, obecnie żadne rozwiązanie nie jest od niego wolne.

Carter znów się zamyślił.

- We wszystko będziemy musieli wtajemniczyć Duńczyków - powiedział w końcu. -

A prezydent będzie musiał wyrazić na to zgodę.

- Więc zadzwoń do niego.

Wręczył Gabrielowi telefon.

- To twój przyjaciel - rzekł. - S a m do niego zadzwoń.

*

Po godzinie prezydent wreszcie udzielił błogosławieństwa akcji Gabriela. Dziesięć minut później odbył się pierwszy etap operacji - ale nie w Kopenhadze, tylko w Amsterdamie.

O 12:45 Ibrahim Fawaz wyszedł z południowego nabożeństwa w meczecie Al-Hidzra i skierował się na rynek przy Ten Kate Straat. Kiedy zbliżał się do swojego stojącego na skraju straganu, minął go mężczyzna i lekko trącił w ramię. Miał dziobate policzki i mówił po arabsku z palestyńskim akcentem, a już pięć minut później Ibrahim siedział z nim na tylnym siedzeniu mercedesa sedana.

- Widzę, że tym razem obejdzie się bez kajdanek i worka...

Mężczyzna przytaknął.

- Dziś wieczorem pojedziemy sobie na miłą, komfortową przejażdżkę - rzekł. -

Oczywiście pod warunkiem, że będziesz się dobrze zachowywał.

- A dokąd jedziemy?

Mężczyzna odpowiedział na pytanie zgodnie z prawdą.

- Do Kopenhagi? Po co?

- Twój przyjaciel ma zamiar przejść tam przez jakiś niebezpieczny most i potrzebny mu taki dobry człowiek jak ty, który będzie jego przewodnikiem.

- Jak sądzę, oznacza to, że dzwonił mój syn.

- Jestem tylko posłańcem, ale kiedy dotrzemy na miejsce, twój przyjaciel wszystko ci wytłumaczy.

- A co z moją synową i wnukiem?

Mężczyzna z dziobatymi policzkami nic nie powiedział, po czym spojrział w lusterko wsteczne i szybkim ruchem głowy dał kierowcy znać, by ruszył. Kiedy samochód zjeżdżał z krawężnika, Ibrahim zastanawiał się, czy naprawdę jadą do Kopenhagi, czy też prawdziwym celem ich podróży są egipskie izby tortur. Pomyślał o słowach, które w poprzednim wcieleniu wypowiedział do niego szejkh Abdullah. „Polegaj na Bogu - rzekł wtedy. - Nie daj się pokonać”.

*

Nie aż tak bardzo tajna policja duńska znana jest jako Wywiadowcze Służby Bezpieczeństwa. Jej personel mówił na nią po prostu „Służba”, a tacy profesjonaliści jak Carter nazywali ją PET, od inicjałów trudnej do wymówienia duńskiej nazwy. Pomimo że miejsce jej siedziby głównej pozostawało oficjalną tajemnicą państwową, większość mieszkańców Kopenhagi wiedziała, że

mieści się w nijakim biurowcu w cichej dzielnicy na północ od ogrodów Tivoli. Kiedy Carter wszedł do środka, Lars Mortensen, wyjątkowo proamerykański szef PET, czekał już w swoim biurze. Był wysokim mężczyzną - jak każdy przeciętny Duńczyk - i miał posturę wikinga. To sprawiało, że ten jasnowłosy przystojniak prezentował się jak gwiazda filmowa. Jego bystre niebieskie oczy nie zdradzały żadnych emocji oprócz umiarkowanej ciekawości, ponieważ rzadkością było, by amerykański szpieg formatu Adriana Cartera wpadał do Kopenhagi w odwiedzin, a jeszcze większą rzadkością to, że uprzedzał o tym pięć minut wcześniej.

- Szkoda, że nie powiedziałaś nam o swoim przylocie - rzekł Mortensen, głową wskazując Carterowi wygodny fotel w nowoczesnym duńskim stylu. - Zorganizowalibyśmy porządne przyjęcie. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Obawiam się, że mamy problem.

Duńczyk od razu zwrócił uwagę na jego ostrożny ton.

- Poszukiwania Elizabeth Halton przywiodły nas na duńską ziemię, a właściwie nie nas, tylko pracujące w naszym imieniu służby wywiadowcze - ciągnął Carter.

- Które?

Odpowiedział na to pytanie zgodnie z prawdą, a ciekawość w niebieskich oczach Mortensena zmieniła się z w złość.

- Od kiedy tu są?

- Doba, plus minus kilka godzin.

- Dlaczego nas nie poinformowano?

- Niestety dlatego, że akcja okazała się dzikim pościgiem.

- Podczas dzikich pościgów także działają telefony - rzekł Mortensen. - Faksy i komputery.

- To było nasze niedopatrzenie - powiedział Carter pojednawczym tonem. - To moja wina, nie Izraelczyków.

- A co k o n k r e t n i e tu robią? - Zmrużył niebieskie oczy. - I dlaczego teraz do nas przychodzisz? - Szef duńskich służb bezpieczeństwa pukał niecierpliwie srebrnym długopisem o kolano, słuchając tłumaczeń Cartera.

- Ilu dokładnie Izraelczyków jest teraz w Kopenhadze?

- Szczerze mówiąc, nie wiem.

- W ciągu godziny mają opuścić miasto.

- Obawiam się, że co najmniej jeden z nich będzie musiał zostać.

- Kto?

Carter odpowiedział mu na pytanie; długopis Mortensena zastygł w bezruchu.

- Muszę to przekazać premierowi - rzekł.

- Czy angażowanie polityków w tę sprawę jest naprawdę konieczne?

- Jeśli mam zachować posadę, tak - warknął. - Zakładam, że premier wyrazi zgodę, bo nie mam powodu, by myśleć inaczej, ale przez wzgląd na wcześniejszą współpracę z waszym rządem, chcę być obecny dziś wieczorem, kiedy zawita do nas Fawaz.

- Prawdopodobnie będzie nieprzyjemnie.

- Panie Carter, my, Duńczycy, jesteśmy twardzi. Myślę, że dam radę.

- Zatem zapraszamy.

- I powiedz swojemu przyjacielowi, by trzymał berettę w kaburze, ponieważ nie życzę sobie kolejnych trupów: jeśli ktokolwiek zginie dziś w moim kraju, Allon będzie głównym podejrzanym.

- Przekażę mu - powiedział.

Mortensen znów spojrział z zainteresowaniem na Cartera.

- Jaki jest?

- Allon?

Kiwnął głową.

- To raczej poważny facet o nieco starganych nerwach.

- Oni wszyscy tak mają - powiedział Mortensen.

- Tak - rzekł Carter. - Ale w końcu kto mógłby mieć do nich o to pretensję?

*

W centrum Kopenhagi jest niewiele brzydkich budynków, ale z pewnością należy do nich stalowo-szklana konstrukcja przy Dag Hammarskjölds Allé. Mieści się tam ambasada amerykańska, a w niej placówka CIA - nieduża i ciasna. Podczas zimnej wojny Kopenhaga była zaledwie wywiadowczym zaściankiem i takim pozostaje do dziś - ale placówka posiada w pełni nowoczesną elektronikę, a jej tajna sala konferencyjna spokojnie pomieści dwadzieścia osób. Carter uznał, że potrzebny im będzie kryptonim, na co Gabriel po krótkim zastanowieniu zaproponował „Moria” - od nazwy

jerozolimskiego wzgórza, na którym Bóg nakazał Abrahamowi złożyć w ofierze jego jedyne syna. Carter, syn pastora kościoła episkopalnego, uznał ten pomysł za błyskotliwy i od tej chwili cała łączność CIA nazywała ich po prostu Ekipą Moria.

O osiemnastej przyjechał z Amsterdamu Ibrahim Fawaz w towarzystwie Odeda i Jaakowa, a o 18:15 przybył Lars Mortensen. Wybaczył skruszonemu Gabrielowi, że nie poprosił Duńczyków o zezwolenie, zanim zjawił się na ich terytorium. Gabriel zwrócił się z prośbą, by reszta ekipy również mogła tu zostać i przeprowadzić tę operację do końca.

Mortensen najwyraźniej zafascynowany Allonem nie potrafił mu odmówić i natychmiast się zgodził. Mordechaj i Sara zwinęli obóz w hotelu d'Angleterre i szybko do nich dołączyli.

Wkrótce z zimnego Norrebro przybył, niezwykle mile tu widziany, Eli Lawon. Widać było, że ma za sobą ponadtygodniowy dyżur inwigilacyjny.

Akcję, która miała miejsce wczesnym wieczorem, przeprowadzili Duńczycy. O

dziewiętnastej zablokowali linię telefoniczną mieszkania w Norrebro i zaczęli przekazywać wszelkie rozmowy do placówki CIA. Piętnaście minut później dwie agentki złożyły państwu Fawaz dyskretną wizytę - Mortensen, chcąc uniknąć niezręczności, słusznie wybrał kobiety.

Miały zadać kilka „rutynowych” pytań w sprawie miejsca pobytu niejakiego Ishaqa Fawaza.

Wciąż działało owo niezwykle „specjalne urządzone” Mordechaja, z którego - ku przerażeniu Mortensena - przebieg wydarzeń kontrolowała Ekipa Moria. Spotkanie trwało piętnaście minut i zakończyło się zabraniem Hanify i Ahmeda do aresztu na dodatkowe przesłuchanie. Kobiętę natychmiast pozbawiono telefonu komórkowego, który szybko przewieziono do ambasady, gdzie Mordechaj z zagładającymi mu przez ramię Carterem i Mortensenem pospiesznie go rozmontował w poszukiwaniu jakichkolwiek cennych informacji.

O dwudziestej mieli okazję obserwować kogoś, kogo później Carter przyrówna do strażnika prowadzącego więźnia na egzekucję. Zgromadzili się w sali konferencyjnej wokół

prostokątnego stołu: po jednej stronie Amerykanie, po drugiej ekipa Gabriela. Sara przycupnęła niespokojnie między nimi, Mortensen usadowił się dokładnie naprzeciwko głośnika, a po prawej stronie usiadł Ibrahim, który przekładał nerwowo paciorki w swoim *tasbihu*. Tylko Gabriel był w ruchu - niczym aktor na premierze przemierzał pokój tam i z powrotem, trzymając się mocno za brodę i przeszywając wzrokiem telefon, jakby siłą woli chciał go zmusić do dzwonienia. Sara próbowała go przekonać, że niebawem się odezwie, ale wydawał się jej nie słyszeć - słuchał innych głosów: Ishaq obiecującego żonie, że zadzwoni o 21:30, i Hanify ostrzegającej, że jeśli spóźni się choć minutę, to nie odbierze telefonu. O

21:29 przestał chodzić i stanął nad aparatem, który już dziesięć sekund później zadzwonił tak ostro, jakby to był nocny alarm pożarowy. Gabriel chwycił za słuchawkę i powoli przyłożył ją do ucha.

Kopenhaga, godzina 21:30, środa

Gabriel nasłuchiwał kilka sekund bez słowa - hałas pędzących po mokrej nawierzchni samochodów, odległy ryk klaksonu niczym zapowiedź nadchodzących kłopotów.

- Dobry wieczór, Ishaqu - powiedział spokojnie po arabsku. - Słuchaj mnie bardzo uważnie, ponieważ nie zamierzam tego powtórzyć. Czy na pewno dobrze mnie słyszysz?

- Kto mówi?

- Potraktuję to jako odpowiedź twierdzącą. Ishaqu, mam twojego ojca, Hanifę i Ahmeda. Zawrzemy umowę: tylko ty i ja. Ty dasz mi Elizabeth Halton, a ja oddam ci rodzinę.

Jeśli mi nie oddasz Elizabeth Halton, twoja rodzina poleci do Egiptu prosto na przesłuchanie w BŚBN. A wiesz, Ishaqu, jak one wyglądają, prawda?

- Gdzie jest mój ojciec?

- Dam ci numer telefonu, którego nikt oprócz mnie nie zna. Zapisz go sobie, to ważne, żebyś go nie zapomniał. Ishaqu, jesteś gotowy?

Cisza, a po niej odpowiedź:

- Tak.

Gabriel podał mu numer i powiedział:

- Za dziesięć minut zadzwoń do mnie. Jest teraz dwudziesta pierwsza trzydzieści jeden, a o dwudziestej pierwszej czterdzieści dwa nie odbiorę już telefonu. Zrozumiałeś? Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę i dokonaj dobrego wyboru, Ishaqu.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na Ibrahima.

- To on?

Zamknął oczy, dotykając paciorków w swoim *tasbihu*.

- Tak - powiedział. - To mój syn.

Carter i Mortensen chwycili za telefony i szybko wybrali różne numery. Mortensen zadzwonił do jednego ze swoich ludzi z biura duńskiej firmy telekomunikacyjnej Tele Danmark. Carter wybrał numer koordynatora CIA w siedzibie głównej NSA w Fort Meade, w stanie Maryland. Pięć minut później jednocześnie odłożyli słuchawki i niczym pokerzyści zmierzli się spojrzeniami ponad dzielącym ich stołem. Pierwszy zaczął Mortensen:

- Według Tele Danmark rozmowę wykonano z telefonu komórkowego w Belgii -

rzekł. - Jeśli mamy się skontaktować z naszymi ludźmi w Brukseli, musimy ustalić, skąd konkretnie zadzwonił.

- Nie kłopotz się - powiedział Carter. - Był na wschód od Liege, prawdopodobnie na autostradzie A3. Skorzystał tym razem z innego telefonu niż wczoraj wieczorem, ale tamtego nie można już namierzyć.

*

Zadzwonił najpierw na telefon komórkowy Hanify, potem wybrał numer do mieszkania, ale Gabriel nie odbierał. Termin zbliżał się nieubłaganie, więc Ishaq ostatecznie zadzwonił pod podany przez niego numer. Technicy CIA zdążyli podłączyć linię do urządzeń rejestrujących, dzięki czemu połączenie na żywo przekierowano do Waszyngtonu. Pomimo irytacji wszystkich słuchających, Gabriel wstrzymał się z odebraniem telefonu aż do czwartego sygnału, a kiedy w końcu przyłożył słuchawkę do ucha i zaczął mówić, jego ton był rzeczowy i pełen werwy.

- Widzę, że się ledwo wyrobiłeś z czasem. Na twoim miejscu unikałbym takiego działania na ostatnią chwilę.

- Gdzie są moja żona i syn?

- W tym momencie siedzą w prywatnym samolocie na lotnisku pod Kopenhagą, ale to, co się z nimi teraz stanie, zależy wyłącznie od ciebie.

- A co z moim ojcem?

- Jest tu ze mną.

- A gdzie się znajduje „tu”?

- To, gdzie teraz przebywam, jest zupełnie nieistotne. Jedyne, co się w tej chwili liczy, to Elizabeth Halton. Ty ją masz, a ja chcę ją odzyskać. Dokonamy tego: tylko ty i ja. Nikt inny nie musi się w to angażować: ani twój nadzorca, ani mózg tej operacji. Tylko my.

- Dla kogo pracujesz?

- Mogę być, skąd tylko zechcesz: z CIA, FBI, DIA, z agencji tak zajebiście tajnej, że nigdy dotąd o niej nie słyszałeś. Ale jednego możesz być pewien: to nie jest bluff. To przeze mnie twój ojciec zniknął z amsterdamskiego meczetu Al-Hidżra, a twoja żona i syn z Norrebro. I jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co ci powiem, polecą do Egiptu, a zdajesz sobie sprawę z tego, co tam ich czeka, prawda? Wiem, co się stało z twoją siostrą. Miała na imię Dżihan, tak? Twój ojciec mi to opowiedział. Powiedział mi o wszystkim.

- Chcę z nim porozmawiać.

- Obawiam się, że w tej chwili jest to niemożliwe. Egipska policja wystarczająco skrzywdziła twojego ojca, więc nie każ mu więcej cierpieć. Widziałeś blizny na jego rękach?

Te szramy na plecach? Nie narażaj go na to znowu.

Ishaq milczał przez chwilę, a Gabriel uważnie nasłuchiwał odgłosów w tle - znowu jadąca ciężarówka.

- Skąd dzwonisz, Ishaqu?

- Z Afganistanu.

- Niezły wyczyn, biorąc pod uwagę fakt, że wczoraj wieczorem byłeś pod Dortmundem. Moja cierpliwość jest ograniczona. Powiedz, gdzie jesteś, bo odłożę słuchawkę i nigdy więcej mnie nie usłyszysz. Rozumiesz?

- A ja nacisnę odpowiedni guzik i Amerykanka umrze męczeńską śmiercią. Czy ty rozumiesz mnie?

- Mamy już dość bomb i rozlewu krwi. Powiedzieliście swoje i świat zwrócił uwagę na ciężki los Egipcjan, ale prezydent nie uwolni szejka, bez względu na to, ilu zabijecie ludzi.

Nie uwolni go. Masz dostateczną władzę, by przerwać tę operację. Ocal życie Elizabeth Halton. Oddaj mi ją, a ja oddam ci twoją rodzinę.

- A co się stanie ze mną?

- Ty mnie nie interesujesz. Tak naprawdę gówno mnie obchodzisz. Jedyne, czego chcę, to Elizabeth Halton. Zostaw ją w jakimś bezpiecznym miejscu, powiedz, gdzie jej szukać, po czym jedź sobie do Afganistanu, Pakistanu czy innego Srakistanu, w którym chcesz spędzić resztę życia. Tylko oddaj mi dziewczynę. Wy kochacie śmierć, my życie. Wy jesteście silni, a my słabi. Wygraliście już, więc tylko pozwól mi ją odzyskać.

- Ty bydlaku, pewnego dnia cię odnajdę. Odnajdę i zabiję.

- Jak rozumiem, nie interesuje cię moja propozycja. Miło się z tobą gadało, ale gdybyś przypadkiem zmienił zdanie, masz dziesięć minut, by do mnie oddzwonić. Dobrze to sobie przemyśl i nie podejmij złej decyzji, w przeciwnym razie twoja rodzina zginie. Za dziesięć minut samolot odleci do Kairu.

Gabriel odłożył słuchawkę, a Carter klepnął go w mokre od potu plecy.

*

Gabriel wymknął się bez słowa z sali konferencyjnej i poszedł do toalety. Stał przy umywalce, oparł ręce o krawędź zimnej porcelany i zaczął wpatrywać się we własne odbicie w lustrze. Zobaczył nie tego mężczyznę, którym był dzisiaj, ale dwudziestojednoletniego chłopca, uzdolnionego artystę naznaczonego piętnem Holocaustu. Za nim stał Szamron twardy jak stal i natarczywy jak odgłos bębna. - Napełnij terrorystów przerażeniem - mówił.

- Będziesz mściwym izraelskim aniołem śmierci.

Ale nie ostrzegł Gabriela, że pewnego dnia przyjdzie mu zapłacić za to, że znalazł się w tym samym miejscu, co terroryści i mordercy, że pochowa syna w grobie bohaterów na Górze Oliwnej, a żona zgubi się w gąszczu pamięci w zakładzie dla obłąkanych na Górze Herzla. Kiedy w walce z terrorystami stracił rodzinę, poprzysiął sobie, że nigdy nie wykorzysta niewinnych do osiągnięcia celu. Tego wieczoru złamał to przyrzeczenie, choć to był tylko podstęp. Nie poczuwał się do winy, ogarnęła go jednak desperacja. Wiedział, że poglądy wszystkich bojowników dżihadu graniczą z chorobą umysłową. Nie da się przekonać tych, którzy dokonali masakry niewinnych w przekonaniu, że spełniają na ziemi wolę Bożą -

trzeba ich zabić, zanim oni zabiją nas, a jeśli trzeba grozić rodzinie mordercy, by ocalić niewinne istnienie, to niech i tak będzie.

Przemył twarz lodowatą wodą i wyszedł na korytarz. Carter, oparty o ścianę, czekał na niego ze spokojną obojętnością, z jaką czeka się na opóźniony pociąg.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Poczuję się dobrze, kiedy już będzie po wszystkim - odpowiedział Gabriel. - Czy NSA zlokalizowała go?

- Okazało się, że był gdzieś w pobliżu rozjazdu autostrad A3 i A26.

- To oznacza, że może teraz pędzić w każdą stronę - rzekł.

- A co z telefonem?

- Jeszcze inny - powiedział Carter.

- Jak sądzę, nie można go już namierzyć?

Skinął głową.

- Coś jeszcze?

- Waszyngton niepokoi się, że za bardzo go naciskasz.

- A co według nich mam zrobić? Uprzejmie go poprosić, by ją uwolnił?

- Chcą tylko, byś dał mu małe pole manewru.

- A co, jeśli wykorzysta je, aby zabić Elizabeth Halton?

Carter poprowadził go do sali konferencyjnej, a kiedy weszli, Gabriel spojrzął na zegar ścienny - do drugiego terminu pozostały trzy minuty. Lars Mortensen niecierpliwie bębnił palcami po stole.

- Co zrobisz, jeśli nie zadzwoni?

- Zadzwoni - rzekł Gabriel.

- Skąd ta pewność?

Odpowiedział za niego Ibrahim:

- Przez pamięć Dżihan - wciąż przekładał w dłoniach paciorki różańca. - Zadzwoni, ponieważ nie chce, by jego żonę i syna spotkał ten sam los, co jego siostrę.

Zmieszany tą odpowiedzią Mortensen popatrzył na Cartera, jakby żądał wyjaśnienia, ale on podniósł rękę w geście mówiącym, że wytłumaczy mu tę kwestię w odpowiedniejszym czasie. Gabriel znów przemierzał pokój, a kiedy dwie minuty później ponownie zadzwonił

telefon, chwycił za słuchawkę i szybko przyłożył ją do ucha.

- Ishaqu - udał, że jest w dobrym humorze. - Cieszę się, że dzwonisz. Zakładam, że umowa stoi?

- Stoi, ale musisz przystać na jeden warunek.

- Nie masz prawa niczego żądać.

- Ty też nie.

- Zatem jaki to warunek?

- Przekażę go wyłącznie mojemu ojcu.

- To nie będzie konieczne. Po prostu zatrzymaj samochód przy drodze, wysadź

Elizabeth Halton całą i zdrową w jakimś bezpiecznym miejscu i odjedź. Wcale nie musimy tego bardziej komplikować.

- Chcę mieć dowód, że mój ojciec wciąż jest w Europie. - Przerwał. - Że wciąż żyje.

- Twój ojciec to założyciel Miecza Allaha, więc na pewno nie dam mu zbliżyć się do tej dziewczyny.

- Jest niewinny, a dopóki jest z tobą, ty nie dostaniesz dziewczyny.

Gabriel popatrzył na Cartera, a ten przytaknął.

- No dobrze, wygrałeś. Zrobimy to po twojemu. Powiedz tylko gdzie.

- Jesteś w Danii?

- Wspominałem ci, że to nieważne, gdzie jestem.

- Dla mnie ważne.

- Tak, jestem w Danii. Zatem zrobmy to tutaj, dobrze? To niewielki kraj, ale ma dużo otwartych przestrzeni, a kiedy uwolnisz Elizabeth, duńska policja chętnie pozwoli ci wyruszyć w drogę.

- Muszę mieć gwarancję, że uda mi się bez problemu przekroczyć granicę. Nie życzę sobie żadnych punktów kontrolnych ani blokad drogowych. Jeśli jakiś policjant spojrzy na mnie choćby dwa razy, kobieta zginie, rozumiesz?

- Rozumiem. Powiemy miejscowym władzom, by nikt cię nie niepokoił. Powiedz, jak chcesz to zrobić.

- Zadzwoń do ciebie jutro i powiem, co masz robić.

- Jutro? To niezbyt dobry termin.

- Jeśli jutro ci nie odpowiada, dziewczyna zginie dziś wieczorem.

Kolejne spojrzenie na Cartera, kolejne kiwnięcie głową.

- Dobrze. O której godzinie jutro do mnie zadzwonisz?

- W południe czasu środkowoeuropejskiego.

- To za późno. Chcę, żebyś zadzwonił wcześniej.

- W południe albo wcale. Twój wybór.

- Dobrze, niech będzie w południe, tylko mnie nie zawieź.

Koniec połączenia. Gabriel odłożył słuchawkę i ukrył w dłoniach twarz.

- Adrianie, dałem mu pole manewru, tak jak chciał Waszyngton, a on zapędził mnie w kozi róg.

- Poczekamy do jutra i wysłuchamy, co ma do powiedzenia.

- A co jeśli nam się to nie spodoba?

- To nie zaakceptujemy umowy.

- Nie, Adrianie, musimy zrobić dokładnie to, co powie, bo inaczej ją zabije.

Przedsięwzięli wyjątkowe środki ostrożności. Nigdy nie wchodzili do jej celi z odsłoniętymi twarzami, a od pierwszych sekund porwania nie wypowiedzieli do niej ani słowa. Nie pozwolili jej czytać, zwłaszcza gazet, a na jej prośbę o radio, dzięki któremu łatwiej byłoby jej znieść te puste godziny, Kain odpowiedział odmownie. Nie wiedziała już, od kiedy jest w niewoli, nie miała pojęcia, czy świat uważa ją za żywą czy zmarłą, nie знаła też miejsca swojego pobytu. Wciąż moge być we wschodniej Anglii, myślała. A może to jaskinie Tora Bora? - Jednego była pewna: porywacze regularnie przewozili ją z miejsca na miejsce.

Bez problemu znalazła na to dowód. Wszystkie pomieszczenia, w których ją przetrzymywano, były wersjami tego pierwszego - białe ściany, łóżko polowe, lampa i drzwi z wizjerem - ale wyraźnie się od siebie różniły. Udałoby jej się to dostrzec, nawet gdyby musiała nosić na oczach przepaskę, ponieważ zmysły węchu i słuchu wyostrzyły jej się teraz jak u zwierzęcia. Słyszała, że idą na długo przed tym, zanim wsuwali karteczki pod jej drzwi, potrafiła odróżnić Kaina od Abła tylko po zapachu. W ostatniej celi czuła tylko cuchnący środek dezynfekujący, a w tej, w której ją teraz przetrzymywano, unosił się przyjemny aromat kawy i bliskowschodnich przypraw. Jestem na jakimś rynku, pomyślała, a może w magazynie dystrybutora, który zaopatruje sklepikarzy w arabskich dzielnicach?

Dzięki wyostrzonym zmysłom zdobyła jeszcze jedną informację: przemieszczali się w wyraźnym rytmie. Nie mierzyła go w minutach ani godzinach, tylko w liczbie posiłków, które dostawała w każdym miejscu; czas pozostawał dla niej tajemnicą, pomimo że tak uparcie próbowała go określić. Zawsze było tak samo: cztery posiłki identycznej wielkości, potem zastrzyk ketaminy, po którym budziła się już w nowym pomieszczeniu o nowym zapachu.

Elizabeth jak na razie dostała tutaj trzy posiłki, niebawem przyniosą jej czwarty i już wiedziała, że najprawdopodobniej kilka godzin po nim wstrzykną jej ketaminę. Będzie walczyć, ale jej walka szybko zamieni się w posłuszeństwo, ponieważ wobec ich siły i liczby była bez szans.

Posłuszeństwo...

To był ich cel. Posłuszeństwo było głównym celem bojowników dżihadu, było też celem porywaczy Elizabeth. Bojownicy chcieli, by Zachód był posłuszny woli brutalnego islamu salafickiego, natomiast porywacze wymagali, by Elizabeth była posłuszna karteczkom, zastrzykom i otepiałemu rytmowi przemieszczania się. Chcieli, by była słaba i uległa - jak owieczka, która chętnie podczas rytuału nadstawia gardło pod nóż. Elizabeth postanowiła, że skończy z tym posłuszeństwem i urządzi bunt, który, jak miała nadzieję, dostarczy jej informacji na temat miejsca jej pobytu. Będzie walczyć tylko dwiema dostępnymi jej metodami - własnym życiem i znajomością medycyny. Zamknęła oczy, wdychała przyjemny aromat kawy i cynamonu i czekała, aż Kain otworzy drzwi i da jej czwarty posiłek.

Kopenhaga, godzina 14:52, czwartek

- A więc znów wypadło na nas obu - powiedział Ibrahim.

- Myślę, że tak jest dobrze.

Gabriel włączył wycieraczki, żeby oczyścić przednią szybę sedana audi A8. Dojechali do Nowego Placu Królewskiego spowitego śniegiem białym niczym ślubny welon. Na miejscu pasażera siedział w milczeniu Ibrahim wykapany i świeży, ubrany w pożyczony szary garnitur i płaszcz, jakby jechał na własny pogrzeb. Skromnie złożył na kolanach ręce -

zdrową na okaleczonej - a spojrzenie utkwiał w butach. Na konsoli leżał telefon Gabriela, którego sygnał śledziła kwatera główna NSA i znajdująca się w ambasadzie amerykańskiej placówka CIA.

- Ibrahimie, chyba nie zamierzasz robić mi kolejnego wykładu?

- W głębi duszy wciąż jestem profesorem - powiedział. - Nie potrafię się powstrzymać.

Gabriel postanowił mu ulec, ponieważ każdy wykład był lepszy od tej ciszy.

- Dlaczego myślisz, że tak jest dobrze?

- Obaj widzieliśmy już chyba najgorsze, co niesie życie. Nic nas więcej nie przerazi i to, co się dzisiaj zdarzy, również nas nie zaskoczy. - Na chwilę przeniósł wzrok z butów na Gabriela. - Czy prawdą są te wszystkie informacje, które napisano o tobie w gazetach po londyńskich atakach? To ty zabiłeś członków Czarnego Września?

Uznał milczenie Gabriela za potwierdzenie tego, że wszystkie relacje były prawdziwe.

- Pamiętam Monachium tak dobrze... - powiedział Ibrahim. - Spędziliśmy ten dzień przy telewizorach i odbiornikach radiowych. To zelektryzowało świat arabski. Pojmanie waszych sportowców przyjęliśmy wiwatami, a kiedy na lotnisku dokonano ich masakry, tańczyliśmy na ulicach. Z perspektywy czasu dostrzegam, że ta reakcja była obrzydliwa, ale całkowicie zrozumiała. My byliśmy słabi i upokorzeni, a wy silni i bogaci. Wielokrotnie nas pokonywaliście, a w końcu my pokonaliśmy was i to akurat w Niemczech, w miejscu waszej największej tragedii.

- Myślałem, że wy, islamiści, nie wierzycie w Holocaust. Sądziłem, że uważaliście to za wielkie kłamstwo, które pomysłowi Żydzi wcisnęli światu, by pozbawić Arabów ziemi.

- Nigdy nie bawiły mnie teorie spiskowe i okłamywanie samego siebie - powiedział

Ibrahim. - Wy, Żydzi, zasłużyliście na własne państwo i Bóg wie, że go pragniecie. Ale im wcześniej dacie Palestyńczykom własny kraj na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy, tym lepiej dla nas wszystkich.

- A to oznacza danie go waszej duchowej braci z Hamasu...

- Jeśli tak dalej pójdzie, to niebawem będą mieli umiarkowane poglądy - powiedział

Ibrahim. - A kiedy zniknie w końcu temat sprawy palestyńskiej, Arabowie nie będą mieli kogo winić za swój żalostny los, więc będziemy musieli się poważnie nad tym zastanowić i sami rozwiązać swoje problemy.

- To między innymi właśnie dlatego nigdy nie nastanie pokój. Jesteśmy kozłem ofiarnym arabskich słabości i zaworem bezpieczeństwa dla arabskiego niepokoju. Arabowie nas nienawidzą, ale nie mogą bez nas żyć.

Ibrahim skinął głową na znak zgody i znów przyjrzał się badawczo swoim butom.

- To prawda, że jesteś również słynnym konserwatorem dzieł sztuki?

Tym razem Gabriel powoli przytaknął, a na twarzy Ibrahima pojawiło się niedowierzenie.

- Skoro potrafisz ożywiać piękne obrazy, to dlaczego wykonujesz tę pracę?

- Z poczucia obowiązku - odpowiedział. - Czuję się zobowiązany do chronienia swojego narodu.

- To samo powiedzieliby terroryści.

- Być może, ale ja nie morduję niewinnych.

- Ale grozisz im wysłaniem do Egiptu na tortury. - Spojrzał na Gabriela. - Zrobiłbyś to?

Potrząsnął głową.

- Nie, Ibrahimie, nie odesłałbym cię tam.

Ibrahim wyrztał przez okno.

- Śnieg jest taki piękny - powiedział. - To dobry znak czy zły?

- Mój przyjaciel nazywa taką pogodę operacyjną.

- To dobrze?

- Tak.

- Robiłeś to już kiedyś?

- Tylko raz.

- I jak się skończyło?

W gruzach Gare de Lyon, pomyślał Gabriel.

- Odzyskałem zakładnika - powiedział.

- Znasz tę ulicę, którą kazał nam iść?

Zdjął rękę z kierownicy i wskazał drogę za placem.

- Nazywa się Strøget. To trzykilometrowy deptak ze sklepami i restauracjami, najdłuższy w Europie, jeśli wierzyć hotelowym broszurom. Dochodzi do Rådhuspladsen.

- Plan jest taki, że my idziemy, a oni obserwują?

- Tak ma to dokładnie wyglądać. A jeżeli spodoba im się to, co zobaczą, ktoś do mnie zadzwoni, kiedy dotrzemy do Rådhuspladsen, i powie, dokąd dalej iść.

- O której zaczynamy?

- O piętnastej.

- O piętnastej - powtórzył Ibrahim. - Godzina śmierci, przynajmniej dla chrześcijan.

Jak sądzisz, dlaczego wybrali piętnastą?

- Będą mieli kilka minut, by nam się przyjrzeć na Strøget, zanim się ściemni. To da im przewagę, ponieważ mnie trudno będzie ich zobaczyć.

- A co z twoimi pomocnikami? - zapytał. - Tymi, którzy dorwali mnie w Amsterdamie na rogu ulicy?

- Ishaq powiedział, że jeśli wykryje jakiegokolwiek ślady inwigilacji, umowa będzie nieważna i Elizabeth Halton zginie.

- Więc idziemy sami?

Gabriel kiwnął głową i spojrział na zegarek. Była 14:59.

- Wiesz, jeszcze nie jest za późno, by się wycofać. Nie musisz tego robić.

- Dwa dni temu w tym pierwszym pokoju przesłuchań złożyłem przyrzeczenie, że pomogę ci odzyskać Amerykankę, i zamierzam go dotrzymać. - Na jego twarzy malowała się zagadkowa mina. - Tak à propos, gdzie wtedy byliśmy?

- W Niemczech.

- No nie, Żyd w Niemczech groził Arabowi torturami - odpowiedział. - Jak romantycznie.

- Ibrahimie, chyba nie zamierzasz urządzić mi kolejnego wykładu?

- Mam ochotę, ale obawiam się, że nie ma na to czasu. - Wskazał zegarek na desce rozdzielczej. - Nadeszła godzina śmierci.

*

Atmosfera ulicy Strøget miała w sobie coś ze świątecznej gorączki. Gabrielowi przypominała atmosferę ostatniej nocy przed wybuchem wojny: trwoni się wtedy majątki i z bezmyślną pasją uprawia miłość. Ale wojna nie nadchodziła, a przynajmniej nie dla kupujących na najszynniejszej ulicy w Kopenhadze. Po prostu zbliżała się Gwiazdka. Gabriel, pochłonięty poszukiwaniami Elizabeth Halton, zapomniał, że już wkrótce święta Bożego Narodzenia.

Sunęli w milczeniu przez ten radosny miejski pejzaż jak obojętne dusze zmarłych.

Ręce mieli w kieszeniach płaszczy, szli łokieć w łokieć. Ishaq kazał im iść prosto, bez żadnych postojów, co oznaczało, że Gabriel nie był w stanie przeprowadzić nawet najbardziej podstawowych manewrów kontrinteligencyjnych. Minęło ponad trzydzieści lat, odkąd szedł

europijskimi ulicami bez sprawdzania, czy ktoś go nie śledzi, więc czuł się teraz jak uwięziony w jednym z tych niespokojnych snów, w których był nagi wśród ubranych ludzi.

Wszędzie widział wrogów - starych i nowych, potencjalnych terrorystów z Miecza Allaha i ludzi z duńskich służb bezpieczeństwa. Przysiągłby, że zobaczył również Elięgo Lawona, jak pod osłoną witryny sklepowej wygrywa na skrzypcach świąteczne kolędy. Ale to nie on, tylko jego sobowtór. Poza tym Gabriel przypomniał sobie nagle, że Lawon nie umie grać na skrzypcach. Miał, owszem, mnóstwo zdolności, ale słuchu nie posiadał za grosz.

Po raz pierwszy zatrzymali się dopiero na skrzyżowaniu, czekając na zielone światło.

Jakiś Bengalczyk wcisnął Gabrielowi ulotkę tak niecierpliwie, że ten omal nie wyjął beretty z kieszeni płaszcza. Ulotka reklamowała restaurację przy ogrodach Tivoli, ale uważnie ją przeczytał, by się upewnić, że nie zawiera żadnych ukrytych instrukcji, po czym zgniótł ją w kulkę i wyrzucił do kosza na śmieci. Zapaliło się zielone światło, więc złapał Ibrahima za łokieć i poszli dalej.

Zaczynało się już ściemniać - jaśniej paliły się latarnie, a ze światła wystaw sklepowych biło ciepło jak ze świątecznych kartek. Gabriel dał sobie spokój z wypatrywaniem obserwatorów i z zachwytem zaczął przyglądać się otoczeniu - dzieciom jedzącym lody pomimo padającego śniegu, ślicznej młodej kobiecie klęczącej nad rozsypanymi zakupami, przebranym za elfy kolędnikom śpiewającymi anielskimi głosami o narodzinach Boga... Przypomniał sobie słowa, które wypowiedział Uzi Nawot tej pierwszej nocy, kiedy jechali przez wzgórze pod Jerozolimą. „Europejczycy potępili nas za Liban, ale jeszcze nie zdążyli zrozumieć, że to zaledwie zapowiedź nadciągających atrakcji. Niebawem kina w całej Europie będą wyświetlały ten film”. Gabriel miał tylko nadzieję, że dziś wieczorem ominie to Kopenhagę.

Zatrzymali się przy następnym przejściu dla pieszych, by już po chwili wejść na ogromny Rådhuspladsen. Po lewej stronie był ratusz, a iglica jego wieży zegarowej cięła niskie chmury jak nóż. Na środku stała rześkie oświetlona choinka dwudziestometrowej wysokości, a obok niej

niewielka budka, w której można było kupić kiełbaski i jabłecznik na ciepło. Gabriel podszedł do niej i stanął w kolejce, ale zanim doszedł do okienka, cicho zadzwonił tkwiący w kieszeni jego płaszcza telefon. Przyłożył go do ucha i słuchał bez słowa, a kilka sekund później schował go i złapał Ibrahima za łokieć.

- Chcą, byśmy wrócili do samochodu - rzekł Gabriel, kiedy szli przez plac.

- I co potem?

- Nie powiedzieli.

- Co zrobimy?

- To, co nam każą.

- Wiedzą, co robią?

Gabriel przytaknął - doskonale wiedzieli, co robią.

*

Audi stało tam, gdzie je zaparkował, i teraz pokrywała je warstewka świeżego śniegu.

W pobliskiej restauracji przy oknie siedziała Sara, która miała na głowie beret nieco zsunięty w lewą stronę, co oznaczało, że nikt nie majstrował przy samochodzie podczas ich nieobecności. Mimo to Gabriel upuścił kluczyki na chodnik i szybko sprawdził podwozie, zanim otworzył drzwi i wsiadł do środka, a kiedy dołączył do niego Ibrahim, natychmiast zadzwonił telefon. Gabriel wysłuchał instrukcji, po czym przerwał połączenie i uruchomił

silnik. Spojrzał jeszcze raz w okno restauracji i zobaczył, jak Sara podnosi do góry rękę. Już się przestraszył, że macha mu na pożegnanie, oczywiście naruszając tym wszelkie znane techniki, kiedy kilka sekund później pojawił się kelner i położył przy jej łokciu rachunek.

Położyła kilka banknotów na stole i wstała, a Gabriel wrzucił bieg i ostrożnie zjechał z krawężnika. - Nie spiesz się - powiedział mu Ishaq. - Mamy przed sobą długą noc.

Pod drzwiami pojawiła się karteczka. Postawiła na podłodze zakute w kajdany stopy i powlokła się przez celę. Po drugiej stronie drzwi stał Kain i czekał na jej odpowiedź -

wyczuła go po zapachu. Na karteczce było pytanie: Czy chcesz jeść? - Tak - odpowiedziała zmienionym tonem, który był teraz cichy i spokojny, po czym jak na wzorową więźniarkę przystało, znów położyła się na łóżku połowym i czekała, aż wejdzie do środka.

Usłyszała dźwięk wkładanego do kłódki klucza, a po nim skrzypnięcie zawiasów - te drzwi były głośniejsze od tych w ostatniej celi i odgłos ich otwierania zawsze działał jej na nerwy. Kain postawił jedzenie w nogach łóżka i szybko wyszedł, a Elizabeth znów usiadła i przypatrywała się posiłkowi: bagietka długości kilku cali, kawałek sera nieokreślonego gatunku, butelka wody Evian i czekolada, ponieważ była grzeczna.

Pochłaniała jedzenie i łykała wodę; a kiedy upewniła się, że nikt jej nie obserwuje przez wizjer, włożyła palce do gardła i zwymiotowała na podłogę czwarty posiłek. Dwie minuty później do celi wpadł Kain i zaczął się w nią wpatrywać ze złością. Jej ramiona przykrywał teraz koc, a ona wyglądała, jakby nie mogła opanować dreszczy.

- To przez ketaminę - wyszeptała. - Zabijacie mnie tą ketaminą.

*

Abel przyniósł ścierkę z wiadrem wody i kazał jej wyczyścić wymiociny, a kiedy wymyła celę z nieczystych kobiecych wydaliny, znów pojawił się Kain. Stał od niej tak daleko, jak to tylko możliwe, jakby się bał, że się od niej zarazi, i szybkim ruchem ręki zachęcił ją do wytłumaczenia, na czym polega ta dolegliwość.

- Idiopatyczny częstoskurcz napadowy komorowy. - Przerwała na moment i zrobiła kilka krótkich, ciężkich wdechów.

- To szumna nazwa sporadycznych zaburzeń rytmu komór, czyli dolnych części serca.

Choroba nasiliła się przez zbyt dużą ilość ketaminy. Moje tętno jest teraz niebezpiecznie szybkie i niemiernowe, a ciśnienie krwi niezwykle niskie, co powoduje nudności i dreszcze.

Jeśli dacie mi kolejny zastrzyk ketaminy, równie dobrze możecie mnie od razu zabić.

Stał przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w nią przez otwory kominiarki, po czym wyszedł. Po jakimś czasie - według niej minęło jakieś dwadzieścia minut, ale tego nie mogła być pewna - wrócił i wręczył jej napisaną na maszynie karteczkę: **Z PEWNYCH POWODÓW, KTÓRYCH NIE MOŻEMY CI WYJAWIĆ, DZIŚ WIECZOREM MUSIMY CIĘ PRZEWIEŹĆ. JEŚLI BĘDZIESZ PRZYTOMNA, ODCZUJESZ BARDZO NIEKOMFORTOWE WARUNKI.**

CHCESZ KETAMINĘ CZY MAMY CIĘ PRZEWIEŹĆ PRZYTOMNĄ?

- Dość już ketaminy - powiedziała. - Wolę być przytomna. Kain spojrział na nią, jakby dokonała złego wyboru, i wręczył jej drugą karteczkę.

JEŚLI BĘDZIESZ KRZYCZEĆ ALBO W OGÓLE HAŁASOWAĆ,

ZABIJEMY CIĘ I ZOSTAWIMY PRZY DRODZE.

- Rozumiem - powiedziała.

Kain zabrał obie karteczki i wymknął się z celi, a Elizabeth wyciągnęła się na łóżku i wpatrywała się w oślepiające białe światło. Jej bunt trwał dopiero kilka minut, a już udało jej się zdobyć dwie szczątkowe informacje - przewiozą ją samochodem i stanie się to wieczorem.

*

Następnym razem przyszli do celi bez uprzedzenia. Szybko zawinęli ją w wełniany koc, który dodatkowo okleili grubą taśmą - czuła się teraz jak w kokonie. Włożyli jej do uszu zatyczki z gumy piankowej, zakneblowali usta i obcisłą opaską zasłonili oczy. Pozbawiona wszystkich zmysłów, oprócz dotyku i węchu, poczuła, że ją podnoszą, jeden za nogi, drugi pod ręce, i przez chwilę dokądś niosą. Włożyli ją do śmierdzącego sklejki, klejem i starymi rybami kontenera, który był tak wąski, że jego ścianki mocno uciskały jej biodra i ramiona.

Zakryli go pokrywą, która zatrzasnęła się tak blisko, że prawie dotykała czubka jej nosa, i pospiesznie przybili kilka gwoździ. Chciała krzyknąć, ale nie zrobiła tego. Chciała zawołać matkę, ale modliła się w milczeniu. Myślała o szczupłym mężczyźnie z siwymi skroniami, który próbował uratować jej życie w Hyde Parku. - Nie zamierzam być posłuszna -

pomyślała. - Nie zamierzam...

Wyspa Fionia, Dania, godzina 20:35, czwartek

Światła na moście nad Wielkim Bełtem, drugim pod względem długości mostem wiszącym na świecie, rozpościerały się jak podwójny sznur pereł nad cieśninami pomiędzy duńskimi wyspami - Zelandią i Fionią. Gabriel spojrzął na zegarek na desce rozdzielczej, kiedy skierował się ku długiemu łukowi wschodniego podjazdu - podróż z Kopenhagi powinna trwać poniżej dwóch godzin, ale coraz dotkliwsza burza wydłużyła ją do prawie czterech.

Ponownie popatrzył na drogę i stanowczo położył ręce na kierownicy. Most chwiał się podczas silnych wiatrów. Ibrahim znów zapytał, czy ta pogoda to aby na pewno dobry znak.

Gabriel odpowiedział, że ma nadzieję, iż Ibrahim umie pływać.

Pokonanie trzynastokilometrowego odcinka zajęło im dwadzieścia minut. Na moście przy brzegu Fionii kuliła się przed burzą niewielka nadmorska stacja kolejowa, a dwa kilometry za nią stała przydrożna stacja benzynowa z restauracją. Gabriel zatankował audi do pełna, po czym zaparkował i zaprowadził Ibrahima do środka. Wnętrze było rzęsiście oświetlone, elegancko udekorowane i nieskazitelnie czyste. W pierwszym pomieszczeniu był

dobrze zaopatrzony sklep i samoobsługowa knajpka, a w drugim siedziało mnóstwo zdanych na własne siły podróżnych. Miała miejsce bardzo ożywiona rozmowa i niezłe picie, sądząc po dużej liczbie pustych butelek carlsberga porozstawianych na jasnych drewnianych stolikach.

Kupili kanapki z jajkiem oraz gorącą herbatę i usiedli przy stoliku pod oknem. Ibrahim jadł w milczeniu, podczas gdy Gabriel sączył herbatę i wpatrywał się w samochód. Minęło trzydzieści minut, zanim komórka w końcu zadzwoniła. Gabriel przyłożył telefon do ucha i słuchał bez słowa.

- Poczekaj tu - powiedział Ibrahimowi.

Zatrzymał się na chwilę w męskiej toalecie, gdzie w koszu na śmieci ukrył berettę i telefon, po czym poszedł do sklepu kupić mapę Danii w dużej skali i angielskojęzyczny przewodnik turystyczny. Kiedy wrócił do sali restauracyjnej, Ibrahim odpakowywał drugą kanapkę, ale wsunął ją do kieszeni płaszcza i wyszedł za Gabrielem.

*

- Tu jest - powiedział Ibrahim. - Lindholm Høje.

Siedział pochylony nad przewodnikiem i czytał go przy świetle górnej lampki, a Gabriel nie spuszczał oczu z drogi.

- Co napisali?

- To stara wioska i stary cmentarz wikingów. Przez wieki zakopana była pod grubą warstwą piachu,

a odkryto ją dopiero w 1952 roku. Według przewodnika jest tam ponad siedemset grobów i pozostałości po kilku długich domach.

- Gdzie leży?

Ibrahim znów sprawdził w przewodniku i zaznaczył wioskę na mapie samochodowej.

- W północnej Jutlandii - powiedział. - A nawet bardzo północnej.

- Jak tam się jedzie?

- Drogą E20 przez Fionię, po czym na północ E45. Lindholm leży tuż za Aalborgiem.

Według przewodnika łatwo jest tam trafić. Po prostu jedź zgodnie ze znakami.

- Nie widzę drogi, nie wspominając o znakach.

- To tam zostawią kobietę?

Gabriel potrząsnął głową.

- Tam znajdziemy kolejne instrukcje, które tym razem będą w formie pisemnej.

Powiedzieli, że zostawią je w ruinach długiego domu w najdalszym zakątku od wejścia do muzeum. - Spojrzał przelotnie na Ibrahima. - Tym razem to był ktoś inny, nie Ishaq.

- Egipcjanin?

- Jak dla mnie Egipcjanin, ale ekspertem nie jestem.

- Proszę cię - powiedział lekceważąco. - Dlaczego kazali ci się pozbyć telefonu?

- Koniec z elektroniczną komunikacją.

Znów popatrzył na mapę.

- Do Lindholm długa droga...

- Dwie godziny w piękną pogodę, ale w taką... co najmniej cztery.

Ibrahim spojrział na zegarek.

- To oznacza, że dojedziemy tam w piątek rano, jeśli nam się poszczęści.

- Tak - powiedział. - Chce, żebyśmy dotrzyмали umówionego terminu.

- Kto? Ishaq?

Bardzo dobre pytanie, pomyślał Gabriel. Czy to był Ishaq? A może Sfinks?

*

Droga do Lindholmu zajęła im cztery i pół godziny i - jak się tego obawiał Gabriel -

zapewnienia w przewodniku o tym, że łatwo jest trafić na cmentarz, okazały się nieprawdziwe. Krążył przez dwadzieścia minut po okolicy podobnych domów z cegły, zanim w końcu zauważył znak wielkości pocztówki, który przeoczył wcześniej trzykrotnie.

Oczywiście zasypał go śnieg, więc musiał wysiąść z samochodu i przetrzeć go tylko po to, by się dowiedzieć, że jeśli chce dotrzeć na miejsce, musi się najpierw wspiąć na ogromne wzgórze. Audi poradziło sobie w tych warunkach, poza jednym poślizgiem, i dwie minuty później Gabriel ostrożnie wjechał na parking otoczony lasem strzelistych sosen. Zgasił silnik i siedział przez chwilę - w uszach dzwoniło mu od długiej jazdy - aż w końcu otworzył drzwi i postawił nogi na śniegu. Ibrahim nie ruszył się z miejsca.

- Nie idziesz?

- Poczekam tutaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie mów, że się boisz cmentarzy.

- Boję się cmentarzysk w i k i n g ó w.

- Wojownikami byli tylko wtedy, kiedy wypływali w morze - powiedział Gabriel. - W

domu najczęściej byli rolnikami, więc najbardziej przerażającą rzeczą, na którą się dzisiaj prawdopodobnie natkniemy, będzie duch farmera.

- Jeżeli tobie wszystko jedno, to ja sobie tutaj zostanę.

- Rób, jak uważasz - powiedział. - Jeśli chcesz tu siedzieć sam, to nie ma sprawy.

Ibrahim zastanowił się i wysiadł, a Gabriel otworzył bagażnik i wyjął latarkę oraz łyżkę do opon.

- Dlaczego to bierzesz? - zapytał.

- Na wypadek gdybyśmy napotkali jakichś wikingów. - Wsunął narzędzie za pasek spodni i cicho zamknął bagażnik. - Podczas ostatniej rozmowy kazali mi również zostawić broń, więc lepszy łom niż nic.

Gabriel zapalił latarkę i z Ibrahimem u boku przeszedł przez parking pokryty warstwą śniegu. Po kilku krokach przemokły mu oficerki i przemarzły nogi. Trzydzieści sekund po odejściu od samochodu nagle się zatrzymał - na śniegu znajdowały się ledwo widoczne ślady dwóch różnych wielkości, które prowadziły z parkingu na cmentarz. Zostawił Ibrahima i wrócił do miejsca, w którym się zaczynały. Sądząc po śladach na śniegu, kilka godzin wcześniej niewielka ciężarówka lub

furgonetka skręciła z drugiej drogi dojazdowej i wjechała tutaj. Ten z większymi stopami stanął na śniegu po stronie kierowcy, z mniejszymi po stronie pasażera. Gabriel przykucnął i przyjrzał się mniejszym śladom, jakby przyglądał się pociągnięciom pędzla na płótnie, po czym ustalił, że zostawiła je kobieta w sportowych butach, ale nie stwierdził żadnych oznak szarpaniny.

Dołączył do Ibrahima i poszli razem na wyznaczone miejsce. Cmentarz rozpościerał

się przed nimi na zboczu wzgórza i opadał w kierunku leżącej w oddali ogromnej śródlądowej zatoki. Chociaż wciąż padał śnieg, w świetle latarki można było dostrzec kontury grobów -

niektóre były usypanymi z kamieni kopcami, niektóre ogrodzonymi kawałkami ziemi w kształcie koła, a jeszcze inne przypominały łodzie wikingów. Trafienie do odległego zakątka w długim domu nie było trudne - Gabriel ograniczył się tylko do pójścia po bliźniaczych śladach, po czym przykucnął i odgarnął rękoma warstwę śniegu. Kilka sekund później znalazł

to, co dla niego zostawiono, czyli małą zapinaną na suwak torbę, a w niej fragment dokładnej mapy. Przyjrzał się jej dobrze przy świetle latarki, wstał i wrócił z Ibrahimelem do samochodu.

*

- Skagen - powiedział Gabriel, kiedy powoli zjeżdżał ze wzgórza. - Chcą, żebyśmy tam pojechali. A właściwie prawie do Skagen, bo zaznaczone na mapie miejsce położone jest nieco na południe.

- Znasz je?

- Nigdy tam nie byłem, ale znam. Pod koniec dziewiętnastego wieku działała tam grupa artystów znana jako Szkoła Skagen. Malarze przybyli tam z powodu światła, ponoć jedyne w swoim rodzaju. Ale nie sądzę, że będziemy mogli je docenić...

- Może to kolejny dobry znak - rzekł Ibrahim.

- Może - zgodził się.

- Będzie tam córka ambasadora?

- Nie wiadomo, mamy po prostu jechać wzdłuż wybrzeża Morza Północnego.

- Była dziś w nocy na cmentarzu?

- Chcą, bym tak myślał - powiedział Gabriel. - Ale nie wierzę w to.

- Dlaczego?

- Ponieważ kobieta wysiadła z samochodu i sama poszła na cmentarz - rzekł. -

Widziałem Elizabeth w chwili jej uprowadzenia. Nie poszłaby tam z własnej woli, tylko by z nimi walczyła.

- Chyba że powiedzieli jej, że ją uwolnią - rzekł Ibrahim.

Gabriel rzucił mu z ukosa pełne zachwytu spojrzenie.

- Niezły jesteś - powiedział.

- Kiedyś byłem profesorem - rzekł. - I uwielbiam kryminały.

Nie wiedziała, ile trwała ta podróż, ponieważ starała się myśleć o wszystkim, tylko nie o czasie. - To jedynie kilka minut - powiedziała do siebie. - Jak mrugnięcie okiem. -

Okłamywała samą siebie również w kilku innych sprawach. Że leży na wygodnym łóżku zamiast w śmierdzącej rybą drewnianej skrzyni i ma na sobie przetarte niebieskie dżinsy i ulubiony sweter zamiast brudnego dresu, w który ubrana była rano w dniu porwania. Patrzyła na ulubione góry, przez ulubione okno i słuchała pięknej muzyki, a reszta była tylko złym snem, z którego niebawem się obudzi i będzie już po wszystkim.

Nastawiła się na potworną niewygodę - karteczka Kaina aż nazbyt jasno dała jej do zrozumienia, co ją czeka - ale nie spodziewała się zatyczek do uszu. Pozbawili ją jednej z najpotężniejszych broni - słuchu - przez co nie słyszała, co się wokół dzieje i ograniczyli jej świat do monotonnego dudnienia. Zostawili jej tylko jeden zmysł - dotyk - dzięki któremu mogła odczuwać ruch, więc wiedziała, kiedy jadą z umiarkowaną, a kiedy z dużą prędkością, kiedy po dobrych, a kiedy po lichych drogach. Raz miała wrażenie, że jest w dużym mieście otoczona ludźmi, którzy nie zdawali sobie sprawy z tego, że znajduje się od nich w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów, z kolei teraz była pewna, że jadą leżącą gdzieś na końcu świata niebrukowaną drogą.

Nagle zatrzymali się tak gwałtownie, że uderzyła głową w ściankę przypominającego trumnę kontenera; w chwilę później ustało dudnienie silnika. Minęło kilka minut, zanim w końcu wyjęli ją z samochodu, i kilka kolejnych, nim ostatecznie usłyszała zgrzyt gwoździ wyjmowanych młotkiem. Kiedy zdjęli pokrywę, twarz owiało jej zimne słone powietrze, a gdy postawili ją na nogach, z jej oczu na materiał przepaski popłynęły gorące łzy. Nikt się nie odzywał, kiedy prowadzili ją do nowej kryjówki, i nikt nie zapytał o jej niedomagające serce, gdy położyli ją na łóżku polowym w nowej celi. Zamknęli drzwi, a ona zdjęła z oczu opaskę, wyjęła z uszu zatyczki i wpatrywała się w nowe białe ściany. Obok stał talerz z chlebem, serem i czekoladą za grzeczne zachowanie podczas jazdy oraz żółte wiadro na nieczystości.

Nie miała pojęcia, dokąd ją przywieźli, ale jednego była pewna: czuła zapach morza.

Kandestederne, Dania, godzina 2:15, piątek

Droga z bałtyckiego miasta portowego Frederikshavn do Skagen była zaniedbana i właściwie nieprzejezdna. Gabriel pokonywał kolejne kilometry, zostawiając za sobą ciche, zasypane śniegiem miasteczka. Ich nazwy składały się z dziwnych zbitek spółgłoskowych, które nawet Gabriel uznał za niemożliwe do wymówienia, chociaż jego językiem ojczystym był

niemiecki. Duński to nie jest język - myślał oburzony, pokonując ciemności. - To jakieś schorzenie gardła.

Gdy wyjechał z miasteczka Ålbæk, rozpostarły się przed nim wydmy w bezkresnym księżycowym krajobrazie. Skrót prowadzący do miejscowości letniskowej Kandestederne zaczynał się przy północnym krańcu pustkowia. Skręcił w tę drogę i zobaczył świeżo pozostawione na śniegu ślady opon - domyślał się, że zrobił je ten sam samochód, który był

na cmentarzu w Lindholm Høje.

Ślady prowadziły obok kilku niewielkich gospodarstw rolnych i wiodły w bezkresną przestrzeń wydm - tym razem ogromnych jak wzgórze. Raz na jakiś czas Gabriel spoglądał na zarysy chatek i małych domków. Nie paliły się światła, nie było samochodów ani innych oznak życia. Wydawało się, jakby czas się tu zatrzymał.

Ślady opon prowadziły w prawo w wąską drogę i znikaly za zasłoną padającego śniegu. Gabriel pojechał prosto i zaparkował pod zabitymi deskami restauracją przy wznoszącym się nad plażą niewielkim parkingu. Miał zamiar zgasić silnik, ale po chwili zastanowienia zmienił zdanie.

- Zaczekaj tu - powiedział. - Kiedy wysiądę, zablokuj drzwi i nikomu ich nie otwieraj.

Wziął latarkę i łyżkę do opon i podszedł do restauracji. Wszędzie dokoła były świeże ślady - co najmniej dwóch wielkości, może więcej. Ktoś, kto je zostawił, przyszedł tu z wydm. Jedne prowadziły na plażę i były takie same jak te, które widział w Lindholm - ślady kobiecych stóp.

Popatrzył przez ramię na audi, po czym odwrócił się i przeszedł przez plażę po śladach, które znikaly tuż nad wodą. Spojrzał w lewo i w prawo, ale postanowił wrócić do samochodu, ponieważ nic nie dostrzegł. Kiedy się do niego zbliżył, zobaczył, że Ibrahim pochyla się niezdarnie do przodu i trzyma ręce na desce rozdzielczej. Zauważył również świeże ślady prowadzące z wydm do tylnych drzwi. Nagle do połowy uchyliła się szyba i odziana w rękawiczkę ręka zaprosiła go do środka. Wahał się przez kilka chwil, ale posłusznie podszedł, nieco okrężną drogą, by się przyjrzeć śladom. Rozmiar sześć, ocenił, Adidas lub Nike, damski but.

*

Pomylił się co do marki butów - to były Pumpy, a nosząca je kobieta wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Miała na sobie granatową dwurzędową kurtkę marynarską z grubego płótna i

wębianą czapkę niemal nasuniętą na ciemne oczy. Siedziała za Ibrahimem i drżącą z zimna ręką celowała w jego plecy z pistoletu makarow.

- Może wymierzysz tę broń w podłogę, zanim komuś stanie się krzywda? - zapytał

Gabriel.

- Zamknij się i połóż ręce na kierownicy.

Mówiła bardzo spokojnie, a on zrobił, co mu kazała.

- Gdzie Ishaq?

- Jaki Ishaq? - zapytała.

- Skończmy już tę grę. To była długa, zimna noc. - Spojrzał na nią w lusterku wstecznym. - Powiedz nam, gdzie odnajdziemy Elizabeth Halton, i już nas tu nie ma.

- Jesteś tym Izraelczykiem, tak? Tą syjonistyczną policyjną świnią, która zabiła w Hyde Parku naszych towarzyszy?

- Nie, jestem amerykańską świnią policyjną.

- Bardzo dobrze mówisz po arabsku jak na amerykańską świnię.

- Mój ojciec był dyplomata, więc dorastałem w Bejrucie.

- Naprawdę? No to mów do mnie po angielsku, amerykańska Świnio.

Zawahał się, a dziewczyna wycelowała broń w tył głowy Ibrahima.

- Powiedzieliście swoje - rzekł Gabriel.

Wymierzyła broń w niego.

- Powinnam cię teraz zabić - powiedziała - ale masz szczęście. Nie umrzesz dziś wieczorem, ponieważ inni już roszczą sobie prawo do twojego życia.

- Ale ze mnie farciarz.

Uderzyła go bronią w tył głowy tak mocno, że Gabriel zobaczył wszystkie gwiazdy.

Kiedy odruchowo chciał dotknąć rany, uderzyła go jeszcze mocniej i kazała mu położyć ręce na kierownicy. Chwilę później poczuł, że coś ciepłego i lepkiego spływa mu z tyłu po prawym uchu.

- Lepiej ci? - zapytał.

- Tak - powiedziała szczerze.

- Skończmy to, dobrze?

- Zawróć samochód - rzekła kobieta. - Tylko powoli.

Ostrożnie wrzucił bieg, starannie wykonał manewr zawracania na trzy razy i skierował się w głąb łądu.

- Skręć w pierwszą w lewo na wydmy - powiedziała kobieta - i jedź po śladach.

Zrobił, co mu kazała. Droga, tak wąska, że nie mogłyby się na niej minąć dwa samochody, prowadziła do skupiska upchniętych między wydmami chatek. Były małe, drewniane i zostawione na pastwę zimy, niektóre pomalowano na żółto jak w Skagen, a na dachach innych z niewiadomych powodów rosła trawa. Gabriel, któremu krew spływała teraz obficie po szyi na kołnierz koszuli, widział drogę tylko dzięki żółtym światłom swojego samochodu.

Wspiął się po śladach na garbate wzgórze, zjechał po drugiej stronie i zobaczył na horyzoncie kolejny pagórek. Bał się, że zakopie się w śniegu, więc przytrzymał nogę na gazie, usłyszał głośny zgrzyt i samochód omal nie utknął na obniżonym przewieszeniu drogi.

Kiedy wspinał się na następne wzgórze, dodał więcej gazu i gwałtownie skręcił w lewo, po czym zsunął się po drugiej stronie na podjazd najdalszej chatki, pod którą stała zaparkowana srebrna furgonetka LDV Maxus ze zgaszonymi światłami. Zatrzymał się i w oczekiwaniu na instrukcje spojrzął w lusterko wsteczne. Kobieta dźgnęła Ibrahima w plecy lufą makarowa i kazała mu otworzyć drzwi, a kiedy Gabriel chwycił klamkę, po raz trzeci uderzyła go w tył głowy.

- Ty zostajesz tutaj! - warknęła. - Nie tobie przekazemy kobietę, tylko Ibrahimowi, syjonistyczna Świnio policyjna.

Ibrahim odpiął pas bezpieczeństwa i otworzył drzwi, zapaliła się górna lampka.

Gabriel położył mu rękę na przedramieniu i ścisnął je.

- Nie idź - powiedział. - Zostań w samochodzie.

Spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Mój przyjacielu, o czym mówisz? Przecież przejechaliśmy taką długą drogę.

- To tylko zagrywka, grają na czas. Jej tu nie ma. Twój syn zwabił cię, żeby cię zabić.

- Dlaczego miałby to zrobić?

- Ponieważ zdradziłeś go krzyżowcom i Żydom - powiedział Gabriel. - Bo jest muzułmaninem wierzącym w *takfiri* i w jego oczach jesteś teraz apostatą zasługującym tylko na śmierć. Jesteś gorszy

niż krzyżowiec, gorszy nawet od Żyda, ponieważ był kiedyś pobożnym islamistą, który zawrócił z drogi dżihadu. Ibrahimie, ta kobieta zabiera cię do środka, by cię zabić. Nie idź z nią.

- Mój syn nigdy by mnie nie skrzywdził.

- Nie jest już twoim synem.

Ibrahim uśmiechnął się i zdjął z ramienia jego dłoń.

- Mój przyjacielu, musisz uwierzyć. Pozwól mi iść. Przyprowadzę do ciebie dziewczynę, jak obiecałem.

Gabriel poczuł, że lufa makarowa wbija mu się w podstawę czaszki.

- Posłuchaj Ibrahima, syjonistyczna Świnio. Ma rację. My nie zabijamy swoich rodziców. To wy jesteście mordercami, a nie my. Pozwól mu przyprowadzić dziewczynę i znikaj stąd.

Zanim Gabriel zdołał go powstrzymać, wysiadł z samochodu i ruszył w stronę chatki.

Kobieta zaczęła, dopóki nie oddalił się na odległość kilku metrów, po czym opuściła wycelowaną w głowę Gabriela broń i ruszyła za Ibrahimem. Zbliżali się do wejścia, kiedy w drzwiach pojawił się człowiek. W śniegu i ciemności Gabriel nie bardzo mógł dostrzec, jak wygląda - zobaczył tylko ufarbowane na platynowy blond włosy. Oficjalnie powitał Ibrahima, kładąc z szacunkiem rękę na sercu i całując go w oba policzki, a potem poprowadził go do środka. Kobieta zamknęła drzwi, a przednia szyba wybuchła Gabrielowi prosto w twarz.

Część czwarta

Most nad Dżahannam

Winfield House, Londyn, godzina 7:05, piątek

Minie prawie godzina, zanim do Waszyngtonu dotrze wiadomość o katastrofie w północnej Danii, i kolejne trzydzieści minut, nim pierwsze informacje dotrą do Winfield House, rezydencji ambasadora amerykańskiego w Wielkiej Brytanii. Pomimo późnej pory - była 3:15

w Londynie i 22:15 w Waszyngtonie - Robert Halton siedział przy biurku w prywatnym gabinecie, gdzie przez tę długą noc czekał na wieści z Gabinetu Operacyjnego w Białym Domu. Od wielu godzin spodziewał się telefonu, a gdy w końcu zadzwonił, poczuł się tak, jakby usłyszał strzał. Chwycił słuchawkę i przez chwilę miał wrażenie, że słyszy płaczącą Elizabeth. To pewnie jakieś zakłócenia na linii... lub halucynacja, pomyśli później, ponieważ głos, który usłyszał, nie należał do jego córki, tylko do Cyrusa Mansfielda, doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Przywitał się powściągliwie, z czego Halton wywnioskował, że wiadomość z Danii nie okaże się tym, o co tak się modlił, pomimo że w ogóle nie był przygotowany na to, co miał za chwilę usłyszeć. Gabriela Allona i jego egipski skarb wyprowadzono z Kopenhagi na sam kraniec Danii, powiedział mu Mansfield. Przy samotnej chatce nad Morzem Północnym miał miejsce swego rodzaju incydent, którego szczegóły wciąż są niejasne. Nastąpił wybuch i wiadomo, że zginęły co najmniej trzy osoby, ale nie można ustalić, czy wśród zabitych jest Elizabeth, dopóki na miejsce nie przybędzie dodatkowa pomoc z duńskimi ekipami śledczymi.

Reszta nocy była dla Roberta Haltona piekłem. Cyrus Mansfield dzwonił z nieznośną regularnością nawet wtedy, kiedy nie miał nic nowego lub ważnego do powiedzenia. Jak zazwyczaj bywa w takich sytuacjach, wiele informacji było sprzecznych, a część okazała się nieprawdziwa. Halton dowiedział się, że w domu są trzy ciała, a trzydzieści minut później poinformował go, że jednak cztery.

- Mamy dowód na to, że Elizabeth była w Danii - rzekł. Istniało przypuszczenie, że wciąż może tam być. Miała miejsce strzelanina. Allon został poważnie ranny. Allon zginął.

W końcu o 7:05 czasu londyńskiego, kiedy nad Regent's Park wstawał szary świt, zadzwonił prezydent, mówiąc, że ludzie z duńskiej straży pożarnej i pogotowia ratunkowego właśnie znaleźli w zgliszczach domu trzy ciała. Według zeznań Gabriela Allona, który był

ranny, ale na szczęście żywy, zabici to terroryści - mężczyzna i kobieta - i egipski skarb, Ibrahim Fawaz. Rada do spraw Bezpieczeństwa Narodowego, FBI, CIA i Departament Stanu

- wszyscy działali zgodnie z założeniem, że Elizabeth wciąż żyje i gorączkowe próby jej odbicia będą trwały do wyznaczonego terminu, a nawet po nim. Po odłożeniu słuchawki Robert Halton padł na kolana i rozpaczliwie odmawiał dziękczynną modlitwę, po czym poszedł do łazienki niepewnym krokiem i gwałtownie zwymiotował.

Przez kilka minut leżał na zimnej marmurowej podłodze jakby sparaliżowany z bólu i smutku. Gdzie jesteś, Robercie Haltonie? - pomyślał. Gdzie był ten niezależny biznesmen, który zamienił niewielką

firmę poszukującą ropy w światowy konglomerat energetyczny?

Gdzie mężczyzna, który przez wzgląd na córkę ze stoickim spokojem znosił stratę ukochanej żony? Gdzie człowiek, któremu na przekór wszelkiemu prawdopodobieństwu udało się umieścić w Białym Domu najlepszego przyjaciela? Nie ma go - pomyślał. - Porwali go terroryści. Tak jak Elizabeth. Wstał, przepłukał wodą usta i wrócił do gabinetu. Był piątkowy poranek i zanim zapadnie zmrok, jego córka zginie. Robert Carlyle Halton, bardzo wpływowy miliarder, był teraz bezsilnym obserwatorem próżnych poszukiwań córki prowadzonych przez połączone siły amerykańskiego wywiadu, dyplomacji i organy ochrony porządku publicznego oraz ich odpowiedniki w całej Europie i na Bliskim Wschodzie. Z założonymi rękami słuchał

czczych zapewnień, że Elizabeth w końcu wróci do niego żywa. Ale nie potrafił już dłużej bezradnie czekać. Rozlokuje teraz jedyną dostępną mu broń, którą znają dobrze bojownicy dżihadu. Sposób, w jaki postanowił postąpić, zakrawał na zdradę, ponieważ - jeżeli jego pomysł się powiedzie - będzie dostarczał terrorystom broni, której będą mogli użyć przeciwko Stanom Zjednoczonym i ich sojusznikom. Ale jeśli musiał uciec się do zdrady, by uratować córkę, był gotów zostać zdrajcą, choćby na tych kilka godzin.

Spokojnie podszedł do biurka, usiadł przed komputerem i przez moment wyobraził

sobie, że nie jest już pogrążonym w żalu, bezradnym ojcem, ale solidnym, pewnym siebie prezesem zarządu i magnatem finansowym jak kiedyś. Kliknął myszką i na monitorze wyświetlił się list, który napisał w pierwszym tygodniu kryzysu i zachował na tę właśnie chwilę. Jego oczy przeglądały jałową prozę: „Ze względu na obecne okoliczności... nie jestem w stanie nadal pełnić funkcji Waszego ambasadora w Londynie... ta służba była dla mnie zaszczytem i przyjemnością... Robert Carlyle Halton”. Dopisał właściwą datę, kliknął ikonę DRUKUJ i patrzył, jak na biurku powoli pojawia się list. Podpisał się i wsunął do faksu - ale nie wysłał go teraz, ponieważ prezes zarządu ma jeszcze do sfinalizowania kilka innych spraw.

Podniósł słuchawkę i wybrał miejscowy numer do rezydencji brytyjskiego premiera na Downing Street 10, a jego telefon natychmiast odebrał szef sztabu. Robert Halton i Oliver Gibbons rozmawiali kilkakrotnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni, więc zbędne były wszelkie formalności. Halton powiedział, że musi pilnie porozmawiać z premierem. Gibbons poinformował go, że premier jest na śniadaniu służbowym i będzie zajęty jeszcze przez dwadzieścia minut. Spotkanie skończyło się chyba szybciej niż przewidywano, ponieważ premier oddzwonił już po dwunastu minutach.

- Zamierzam uciec się do ostateczności - rzekł Halton. - I chcę wiedzieć, czy mogę liczyć na pomoc twoją i waszych władz.

Nastąpiła krótka rozmowa (później, podczas oficjalnego śledztwa położony nacisk na to, że trwała tylko sześć minut), która zakończyła się obietnicą premiera, że brytyjska policja i służby wywiadowcze zrobią wszystko, co w ich mocy, by pomóc Haltonowi w tej akcji.

Podziękował premierowi i wybrał numer do swojej ambasady, a jego telefon odebrał Stephen Barnes, zastępca rzecznika prasowego. Jego szef, Jack Hammond, zginął w Hyde Parku rano w dniu wprowadzenia Elizabeth, więc automatycznie awansował na to stanowisko, dzięki czemu podczas

kryzysu mógł kompetentnie wypełniać obowiązki głównego rzecznika prasowego ambasady.

- Steve, muszę wydać oświadczenie dla mediów, ale chciałbym to zrobić w Winfield House, a nie w ambasadzie. To będzie ważna informacją, więc sieci telewizyjne powinny transmitować ją w całości na żywo, zwłaszcza sieci europejskie i arabskie kanały satelitarne.

- O której godzinie?

- W południe będzie dobrze. Możesz to zorganizować do tego czasu?

- Bez problemu - rzekł Barnes. - Czy mam coś napisać we wstępnej wersji?

- Nie, tym razem poradzę sobie bez tekstu, ale bardzo proszę, byś przygotował za mnie grunt.

- Jak to?

- Masz jakichkolwiek znajomych w Al-Dżazirze?

Barnes przytaknął - kilka razy zaprosił na lunch szefa londyńskiego oddziału Al-Dżaziry i nadaremnie przekonywał, by sieć przestała nadawać propagandowe wiadomości Al-Kaidy.

- Zadzwoń teraz do niego i zrób przeciek, że zamierzam złożyć porywaczom propozycję.

- Jaką?

- Nie do odrzucenia.

- Panie ambasadorze, czy powinienem wiedzieć o czymś jeszcze?

- Ustępuję ze stanowiska. Mów mi Bob.

- Tak jest, panie ambasadorze.

Robert Halton odłożył słuchawkę i poszedł wziąć prysznic, i się przebrać. Nie był już ambasadorem, zrozpaczonym i załamany amerykańskim dyplomata, który nie miał innego wyboru, jak patrzeć na śmierć córki. Znów był bardzo wpływowym multimiliarderem, który zamierzał odzyskać Elizabeth, nawet jeśli pochłonie to wszystkie jego pieniądze.

Aalborg, Dania, godzina 12:15, piątek

- Panie Allon, oto pana rydwan.

Lars Mortensen podniósł rękę i wskazał szare zachmurzone niebo. Gabriel spojrział w górę i patrzył, jak Gulfstream V schodzi powoli do lądowania na pas startowy lotniska Aalborg. Ruszył nieznacznie głową i poczuł, że zaczyna mu pękać - miał na niej osiemnaście szwów założonych przez sennego lekarza ze Skagen, dzięki któremu udało się zamknąć trzy rany. Na jego twarzy widniała siateczka maleńkich skaleczeń powstałych od eksplodującego szkła przedniej szyby, ale w chwili wybuchu udało mu się jakoś ochronić oczy, chociaż zupełnie sobie tego nie przypominał.

Doskonale jednak pamiętał dalsze wydarzenia tego wieczoru. Porywacze zmusili go, by pozbył się na Fionii telefonu, dlatego musiał teraz przejechać pięć kilometrów niesprawnym audi z roztrzaskaną przednią szybą, by znaleźć budkę telefoniczną. Z parkingu na małym ryneczku na peryferiach Skagen zadzwonił do Cartera i Mortensena i w sposób właściwy dla niezabezpieczonej linii opowiedział im, co się stało. Potem wrócił na wydmy i patrzył, jak płonie chatka. Minęło kolejnych dwadzieścia minut, zanim usłyszał odległe wycie syren i zobaczył, że pierwsi policjanci i strażacy przybywają na miejsce. Umundurowany funkcjonariusz zasypywał go pytaniami, natomiast sanitariusz pogotowia ratunkowego wycierał mu z twarzy krew. - Porozmawiaj z Larsem Mortensenem z PET - tylko tyle dowiedział się od Gabriela. - On to wszystko wytłumaczy.

- Jesteś pewny liczby śmiertelnych ofiar w chatce? - Gabriel zapytał Mortensena.

- Pytałeś mnie już o to dziesięć razy.

- Odpowiedz jeszcze raz.

- Są tylko trzy ciała, dwojga terrorystów i starszego mężczyzny. Nie ma Elizabeth Halton. - Zamilkł, bo samolot wylądował na pasie i przemknął obok nich jak błyskawica z ryczącymi silnikami.

- Nie do końca przypomina to biblijną historię Abrahama i Izaaka. Wciąż nie bardzo mogę uwierzyć, że postanowił zabić własnego ojca.

- To zasada Al-Kaidy - rzekł Gabriel. - Morduj każdego, kto będzie chciał ci się sprzeciwić, nawet jeśli to własne ciało i krew z krwi.

Samolot dotarł na skraj pasa i kołował teraz po płycie lotniska w ich stronę.

- Zrobisz wszystko, co w twojej mocy, by utrzymać w tajemnicy mój udział w tej sprawie? - zapytał Gabriel.

- Zawsze trzeba się liczyć z tym, że coś wyjdzie na jaw. Niestety, wczoraj wieczorem zetknąłeś się z wieloma osobami. Ale jeśli chodzi o moje służby, to dla nich nigdy nie było tutaj ani ciebie, ani twojej ekipy.

Gabriel zapiął skórzaną kurtkę i wyciągnął dłoń.

- Miło było cię nie poznać.

- I wzajemnie. - Mortensen ostrzegawczo uściśnął mu rękę. - Ale następnym razem, kiedy przybędziesz do Danii, bądź uprzejmy najpierw mnie o tym poinformować. Zjemy razem lunch, a może nawet porozmawiamy o czymś przyjemnym, kto wie?

- Wszystko jest możliwe. - Gabriel wysiadł z samochodu i przyjrzał mu się badawczo, zanim zamknął za sobą drzwi. - Byłbym o czymś zapomniał...

- O czym?

Powiedział mu o beretcie, którą musiał zostawić na wyspie Fionia w przydrożnej restauracji. Mortensen zmarszczył czoło i po duńsku wymamrotał coś pod nosem.

- Przepraszam - rzekł Gabriel. - Wyleciało mi to z głowy.

- Nie wyjąłeś naboju przed wyrzuceniem jej do kosza na śmieci?

- Niestety była naładowana.

- Gdybym był na twoim miejscu, wsiałbym do tego samolotu, zanim zmienię zdanie co do zatuszowania twojego udziału w tej sprawie.

Gabriel ruszył przez płytę lotniska w stronę Gulfstreama, z którego wysunęły się schodki. Sara stała oparta w otwartych drzwiach z rękami w kieszeniach dżinsów.

Pochłonięty rozmową telefoniczną Carter siedział w przedniej części kabiny i dał mu znak skinieniem głowy, by usiadł na przeciwległym miejscu, po czym odłożył słuchawkę i przyjrzał mu się badawczo, kiedy samolot wzniósł się ku niebieskoszaremu niebu.

- Gdzie moi ludzie? - zapytał Gabriel.

- Wcześniej rano wymknęli się po cichu z Kopenhagi. O celu podróży mówili ogólnikowo, co jest zrozumiałe, ale przypuszczam, że skierowano ich w stronę Amsterdamu.

- A nas?

- Mamy zgodę Brytyjczyków na wylądowanie na lotnisku London City. Ja jadę do ambasady, gdzie przeczekam do terminu, a ciebie odeskortujemy na Heathrow. Zapewniam dyskrecję. Zakładam, że sam trafisz stamtąd do domu?

Powoli kiwnął głową.

- Gabrielu, uznaj się za szczęśliwca, w końcu wracasz do domu. Ja lecę do Londynu, gdzie poniosę konsekwencje naszej akcji, która zakończyła się tu zeszłej nocy niepowodzeniem. W tej chwili nie

cieszysz się zbytnią popularnością w Waszyngtonie, a tak naprawdę wiele osób pragnie twojej krwi, włącznie z prezydentem. Ale ja tkwię teraz w tym gównie po same uszy, razem z tobą. - Adrianie, kariera wolna od skandali nie jest prawdziwą karierą.

- To z Szekspira?

- Z Szamrona.

Carter zdobył się na lekki uśmiech.

- Agencja działa według innych standardów niż CIA. Wy godzicie się na sporadyczne błędy, jeśli wystąpią podczas służby w szlachetnej sprawie. My nie tolerujemy niepowodzeń, one po prostu nie wchodzi w grę.

- Jeśli to prawda, już dawno temu powyłączano by w Langley wszystkie światła.

Carter zmrużył oczy, bo nagle wpadł przez okno ukośny snop promieni słonecznych.

Opuścił roletę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Gabriela w milczeniu.

- Adrianie, jej tam nie było. Nigdy jej tam nie było. Najprawdopodobniej wciąż jest w Wielkiej Brytanii. To wszystko było tylko wymyślnym podstępem Sfinksa. Podrzuciono numer rezerwacji promowej martwemu mężczyźnie, którego zraniłem w Hyde Parku, i zostawiono go na wydmach Norfolk, by znaleźli go Brytyjczycy. Sfinks kazał Ishaqowi dzwonić do mieszkającej w Kopenhadze żony, bo wiedział, że w końcu podsłucha go NSA albo ktoś inny i wiedział, że ten ktoś się z nim skontaktuje. A kiedy się z nim skontaktowaliśmy, Sfinks rozegrał to tak, by do terminu ultimatum zostało niewiele czasu.

Chce, byście się zdenerwowali, zniechęcili i za kulisami rozszarpali na strzępy. Chce, byście poczuli, że nie macie innego wyboru, jak tylko uwolnić szejka Abdullaha.

- Pieprzyć go - rzekł Carter z nietypowym dla siebie jadem, ale szybko odzyskał

panowanie nad sobą. - Jak sądzisz, Ibrahim to element tej wielkiej rozgrywki?

- Adrianie, on istniał naprawdę i był odpowiedzią na nasze modlitwy.

- A ty pozwoliłeś, by zginął.

- Adrianie, jesteś zmęczony, nie spałeś od długiego czasu. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zapomnieć, że kiedykolwiek to powiedziałeś.

- Masz rację, Gabrielu, dawno nie spałem. - Spojrzał na zegarek.

- Mamy tylko siedem godzin. Siedem godzin i uśmiercą niezwykłą młodą kobietę. I za co?

Carterowi przerwał dzwonek telefonu. Słuchał w milczeniu i rozłączył się.

- Robert Halton właśnie przefaksował do Gabinetu Operacyjnego w Białym Domu pisemną rezygnację ze stanowiska ambasadora - rzekł. - Presja, jak sądzę.

- Mylisz się, Adrianie.

- Znasz inne wytłumaczenie?

- Będzie próbował uratować życie swojej córki poprzez bezpośrednie negocjacje z porywaczami.

Carter znów chwycił za telefon i szybko wybrał numer, a Gabriel odchylił oparcie siedzenia i zamknął oczy. Głowa znów zaczęła mu pękać. Zapowiedź nadciągających atrakcji, pomyślał.

Paryż, godzina 14:17, piątek

Za rogiem przy Instytucie Islamistyki znajdowała się niewielka kafejka internetowa, w której serwowano całkiem niezłą kawę i ciastka, ale i tak najlepsze były jazzowe rytmy dobywające się z domowej wieży hi-fi. Jusuf Ramadan zamówił firmowy specjał - likier - i trzydziestominutowy dostęp do sieci, po czym usiadł przy wolnym komputerze pod wychodzącym na ulicę oknem. Wszedł na stronę BBC i przeczytał o rozwoju wydarzeń w Londynie, gdzie ambasador Robert Halton właśnie ustąpił ze stanowiska i zaoferował

dwadzieścia milionów dolarów w zamian za uwolnienie córki. Wiadomość ta zaszokowała BBC, natomiast nie była żadnym zaskoczeniem dla egipskiego terrorysty znanego jako Sfinks. Znacomie przeprowadzona w Danii operacja bez wątpienia złamała dotychczas chętnego do stawiania oporu ambasadora, który według wszelkich przewidywań Jusufa Ramadana postanowił teraz wziąć sprawy we własne ręce. Robert Halton był miliarderem z Kolorado, a miliarderzy z Kolorado nie godzą się na składanie swoich córek na ołtarzu amerykańskiej polityki zagranicznej.

Ramadan obejrzał krótki urywek z konferencji prasowej ambasadora z Winfield House, po czym wszedł na strony „Telegrapha”, „Timesa” i „Guardiana”, by przeczytać, co też mają do powiedzenia. Kiedy z półgodzinnego dostępu zostało mu dziesięć minut, wszedł

na zarejestrowaną w Karaczi stronę, która poświęcona była sprawom islamskim. Pomimo że jej administratorem był pracownik Miecza Allaha, jej treść była tak nieszkodliwa, że amerykańskie i europejskie służby bezpieczeństwa zawsze poddawały ją co najwyżej pobieżnej kontroli. Ramadan wszedł na chatroom jako DESMOND826, na którego już czekał

KINKYKEMEL324, i napisał: Sądzę, że Miecz Allaha powinien przyjąć ofertę, ale z pewnością powinien również poprosić o więcej pieniędzy - w końcu ambasador jest miliarderem.

KINKYKEMEL324: O ile więcej?

DESMOND826: Wystarczy trzydzieści milionów.

KINKYKEMEL324: Myślę, że syjonistyczny ciemiężca również powinien zapłacić.

DESMOND826: Zostajemy przy p i e r w o t n e j cenie, tak jak uzgodniliśmy podczas ostatniej rozmowy.

KINKYKEMEL324: Zatem tak zrobimy - w imię Allaha, wielkodusznego, miłosiernego.

DESMOND826: Pana sądu ostatecznego.

KINKYKEMEL324: Wskaż nam prostą drogę.

DESMOND826: Pokój z tobą, KK.

KINKYKEMEL324: Na razie, DEZ.

Ramadan wylogował się i wypił firmowy likier, a w tle słycać było *Ruby, My Dear* w wykonaniu Coltrane'a i Monka. Jaka szkoda, że nie wszyscy Amerykanie są tak cudowni -

pomyślał. - Świat byłby wtedy dużo lepszy.

Grosvenor Square, Londyn, godzina 14:10, piątek

Pierwsze telefony rozzwoniły się w centrali ambasady jeszcze zanim ambasador Halton zniknął za drzwiami Winfield House. John O'Donnell, negocjator FBI do spraw zakładników, którego uprzedzono o zbliżającym się oświadczeniu dopiero na pięć minut przedtem, pospiesznie podzielił personel centrum operacji specjalnych na dwie ekipy: jedna miała się pozbywać oczywistych szarlatanów i oszustów, druga przeprowadzać dodatkową kontrolę każdego telefonu, który wydawał się autentyczny. Osobiście przekierowywał je do odpowiedniej

ekipy,

co miało miejsce po krótkiej rozmowie - zazwyczaj trzydziestosekundowej, czasem krótszej. Instynkt podpowiadał mu, że nikt, z kim do tej pory rozmawiał, nie był prawdziwym porywaczem, nawet ci, których przełączał do drugiej ekipy na dodatkową weryfikację, jednak nie podzielił się tym przeświadczeniem z nikim, kto działał

z nim w suterenie ambasady.

Dwie godziny po pojawieniu się przed kamerami Roberta Haltona, O'Donnell podniósł słuchawkę linii specjalnej i wybrał numer do centrali.

- Ile masz osób?

- Trzydzieści osiem - rzekła telefonistka. - Albo nie, czekaj... czterdzieści dwie...

czterdzieści cztery... czterdzieści siedem. Sam widzisz...

- Przekieruj je.

Odłożył słuchawkę i szybko odebrał dziesięć kolejnych telefonów. Siedem przekierował do ekipy numer jeden, która zajmowała się oczywistymi szajbusami, a trzy do drugiej, pomimo że wiedział, iż żaden dzwoniący nie reprezentuje prawdziwych porywaczy Elizabeth Halton. Właśnie miał odebrać kolejny telefon, kiedy odezwała się jego osobista linia - podniósł słuchawkę i usłyszał głos telefonistki z centrali:

- Chyba mam kogoś, na kogo czekasz.

- Z elektronicznie zmienionym głosem?

- Tak.

- Przekieruj go na tę linię, gdy się rozłączymy.

- Załatwione.

Odłożył słuchawkę, a kiedy dziesięć sekund później zadzwonił telefon, czym prędzej go odebrał.

- John O'Donnell, Federalne Biuro Śledcze. W czym mogę pomóc?
- Próbuję się do was dodzwonić od pół godziny - rzekł elektronicznie zmieniony głos.
- Robimy, co w naszej mocy, ale gdy stawką jest dwadzieścia milionów dolarów, na ogół świry wyłażą ze wszystkich kątów.
- Nie jestem świrem, tylko kimś, z kim chcesz rozmawiać.
- Udowodnij i powiedz, gdzie zostawiliście płytę DVD z nagraniem Elizabeth Halton...
- Pod łodzią wiosłową na plaży na cyplu Beacon.

O'Donnell zakrył mikrofon w telefonie i poprosił o ciszę, po czym spojrzał na Kevina Barnetta z CIA i dał mu znak, by podniósł słuchawkę drugiego aparatu.

- Zakładam, że jesteście zainteresowani ofertą - rzekł O'Donnell do dzwoniącego.
- W przeciwnym wypadku bym nie dzwonił.
- Macie dziewczynę?
- Tak.
- Muszę mieć dowód.
- Nie ma na to czasu.
- Więc będziemy musieli go znaleźć. Odpowiedz tylko na jedno pytanie, to zajmie zaledwie minutę.

Zapadło milczenie, po którym głos rzekł:

- No to pytaj.
- Kiedy Elizabeth była małą dziewczynką, miała ulubioną pluszową maskotkę.

Dowiedz się, jakie to było zwierzątko i jak je nazwała. Dam ci numer specjalny, na który do mnie oddzwonisz, gdy zdobędziesz odpowiedź, po czym przedyskutujemy sposób, w jaki przeprowadzimy tę wymianę.

- Tylko odbierz telefon, w przeciwnym razie dziewczyna zginie.

Przerwał połączenie, a O'Donnell odłożył słuchawkę, spojrzał na Barnetta i rzekł:

- Jestem prawie pewien, że to nasz chłopiec.

- Dzięki Bogu - rzekł. - Miejmy tylko nadzieję, że ma Elizabeth.

*

Obudziło ją pukanie. Przestraszona i spocona wpatrywała się w wiszącą nad łóżkiem oślepiającą białą lampę. Miała sen - ten sam, który zawsze śniła, kiedy tylko udawało jej się zasnąć. Ludzie w czarnych kominiarkach, kamera wideo, nóż... Przyłożyła do gardła zakute w kajdanki ręce i stwierdziła, że skóra na szyi wciąż była nietknięta, po czym popatrzyła na cementową podłogę i zobaczyła karteczkę. Oko posyłało jej przez wizjer gniewne spojrzenie, jakby chciało ją przywołać - było ciemne i okrutne: oko Kaina.

Usiadła i postawiła na podłodze zakute w kajdany stopy, po czym wstała i powlokła się sztywno w stronę drzwi. Na leżącej wierzchem do góry karteczce napisano wiadomość na tyle dużą czcionką, że mogła ją przeczytać bez konieczności schylania się. To było pytanie -

jak cała ich komunikacja - jednak inne niż te wszystkie, które jej dotychczas zadano.

Odpowiedziała na nie zmienionym tonem, który teraz był cichy i spokojny, po czym wróciła na swoje łóżko i zaczęła spazmatycznie płakać. - Nie łudź się - rzekła do siebie. - Nie masz prawa się łudzić.

*

O 15:09 w centrum operacji specjalnych zadzwonił prywatny numer Johna O'Donnella, który tym razem nie zaprzął sobie głowy, by się przedstawić.

- Masz dla mnie informację?

- Zwierzę to pluszowy wieloryb.

- A jak je nazwała?

- Rybka - rzekł mężczyzna. - Po prostu Rybka.

O'Donnell zamknął oczy i potrząsnął pięścią.

- Poprawna odpowiedź - rzekł. - Dobjijmy targu, sprowadźmy dziewczynę do domu jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia.

Mężczyzna z elektronicznie zmienionym głosem wymienił żądania i rzekł:

- Oddzwonię o 17:59 czasu londyńskiego. Chcę w odpowiedzi jednego słowa: „tak”

lub „nie”. Nic więcej, tylko „tak” lub „nie”. Rozumiesz?

- Doskonale rozumiem.

Znów przerwał połączenie, a O'Donnell spojrzął na Barnetta.

- Mają ją - rzekł. - Ale jesteśmy całkowicie udupieni.

*

Na skraju płyty lotniska czekała limuzyna marki Jaguar, kiedy na London City pojawił

się Gulfstream V Adriana Cartera. Gabriel, Carter i Sara zeszli po schodkach samolotu, gdy nagle przez tylne okno samochodu wysunęła się długa koścista ręka i przywołała ich skinieniem.

- Grahamie Seymour - rzekł Gabriel teatralnym tonem. - Tylko nie mów, że przebyłeś tę całą drogę, by mnie podwieźć na Heathrow.

- Przysłano mnie, bym cię podwiózł - rzekł - ale nie jedziemy na lotnisko.

- A dokąd?

Chwilowo pozostawił to pytanie bez odpowiedzi i wyczekująco wpatrywał się w twarz Gabriela.

- Co też na Boga ci się stało?

- To długa opowieść.

- Jak zawsze - rzekł. - Wsiadaj, nie mamy zbyt wiele czasu.

Downing Street 10, godzina 16:15, piątek

Limuzyna skręciła w ulicę Whitehall i kilka sekund później zatrzymała się przy bramie Downing Street. Graham Seymour uchylił szybę i machnął dowodem tożsamości umundurowanemu funkcjonariuszowi policji, który stał na warcie. Policjant szybko sprawdził

dokument i dał kolegom znak, by otworzyli bramę. Jaguar przejechał ostrożnie i po pięćdziesięciu metrach znów się zatrzymał - tym razem przed najśłynniejszym wejściem na świecie.

Gabriel wysiadł z limuzyny jako ostatni i przeszedł za wszystkimi do holu. Po prawej stronie znajdował się niewielki kominek, a obok niego dziwaczne osłonięte pokrowcem skórzane krzesło w stylu chippendale, z którego kiedyś korzystali bagażowi i ochrona.

Natomiast po lewej stronie leżał drewniany kufer podróżny, który według legendy książę Wellington zabrał ze sobą na pole bitwy pod Waterloo w 1815 roku, oraz zegar szafkowy wykonany przez Bensaona z Whitehaven, który tak denerwował Churchilla, że ten kazał

uciszyć jego kuranty. Na środku holu stał przystojny mężczyzna z czarnymi włosami przyprószonymi na skroniach siwizną, odziany w nienagannie skrojony garnitur. Na widok Gabriela ruszył w jego kierunku i ostrożnie wyciągnął zimną w dotyku rękę.

- Witam na Downing Street - rzekł brytyjski premier. - Dziękuję panu za bezzwłoczne przybycie.

- Panie premierze, proszę mi wybaczyć mój wygląd. To z powodu tych kilku długich dni.

- Słyszeliśmy o pana nieszczęśliwym wypadku w Danii. Jak widać, oszukali pana, tak jak nas wszystkich.

- Tak, panie premierze.

- Po ataku w Hyde Parku nędznie pana traktowaliśmy, ale dzięki temu, że w gazetach pojawiły się pana dane i zdjęcie, mamy możliwość uratować życie Elizabeth Halton. Panie Allon, obawiam się, że oczekujemy od pana ogromnego poświęcenia. Jest pan gotów wysłuchać, co mamy do powiedzenia?

- Oczywiście, panie premierze.

Premier się uśmiechnął. To replika uśmiechu - pomyślał Gabriel - ciepłego jak grudniowe popołudnie.

*

Weszli po wielkich schodach, na ścianach wisały portrety poprzednich premierów brytyjskich.

- Panie Allon, w naszych księgach wejść nie odnotowano żadnej pana wizyty.

Rzeczywiście nie był pan nigdy na Downing Street, czy jednak udało się tu panu wcześniej wśliznąć?

- Jestem tu po raz pierwszy, panie premierze.

- Jak sędzę, jest tu inaczej niż w biurze premiera Izraela.

- To mało powiedziane, sir. Nasze sale recepcyjne urządzono w stylu wczesnego kibucu.

- Porozmawiamy w Białej Sali - rzekł premier - gdzie w 1908 roku zmarł Henry Campbell-Bannerman, ale o ile mi wiadomo, dzisiaj nie było tam żadnego zgonu.

Przeszli przez kilka wysokich dwuskrzydłowych drzwi wprost do sali, w której wisiały ciężkie purpurowe kotary, a nad głową blado świecił kryształowy żyrandol z Waterford. Na prążkowanej kanapie siedział Robert Halton, obok dame Eleanor McKenzie, dyrektor generalna MI5, a dyrektor generalny MI6 przemierzał pokój w tę i z powrotem. W

rogu na uboczu komendant londyńskiej policji cicho rozmawiał przez telefon komórkowy.

Kiedy już wszyscy pospiesznie przedstawili się sobie, Gabriela zaproszono na skraj drugiej kanapy, gdzie usiadł pod smutnym spojrzeniem statuetki Florence Nightingale. W kominku jasno płonęły polana, podano herbatę, której nikt nie pił.

Premier usiadł w fotelu naprzeciwko kominka i podsumował przebieg wydarzeń.

Mówił spokojnie, jakby tłumaczył nieco nudną, ale ważną sprawę z zakresu polityki gospodarczej:

- W południe czasu londyńskiego - rzekł - ambasador Halton złożył w Białym Domu rezygnację i zaoferował terrorystom dwadzieścia milionów dolarów okupu w zamian za uwolnienie córki. Tuż po czternastej nawiązali oni kontakt z negocjatorami FBI z ambasady amerykańskiej i po udowodnieniu, że naprawdę przetrzymują w niewoli Elizabeth, złożyli kontrofertę. Chcą trzydzieści milionów dolarów i jeśli dostarczymy pieniądze według instrukcji bez zastawiania pułapek i aresztowań, uwolnią ją po dwudziestu czterech godzinach.

- Więc dlaczego ja tutaj jestem? - zapytał Gabriel, pomimo że już znał odpowiedź.

- Panie Allon, jest pan inteligentnym człowiekiem. Niech pan mi to powie.

- Ponieważ chcą, bym to ja dostarczył pieniądze.

- Obawiam się, że to poprawna odpowiedź - rzekł premier. - O siedemnastej pięćdziesiąt dziewięć zadzwonią do negocjatora FBI z ambasady i będą chcieli w odpowiedzi usłyszeć tylko jedno słowo: „tak” lub „nie”. Jeśli padnie „nie”, Elizabeth Halton natychmiast zginie, jeżeli „tak”, będzie to oznaczało, że zgodził się pan na wszystkie ich żądania i uwolnią ją za dwie doby plus minus kilka godzin.

W pomieszczeniu zapadła grobowa cisza, którą przerwał Adrian Carter, sprzeciwiając się w imieniu Gabriela.

- Odpowiedź brzmi „nie” - rzekł. - To oczywista zasadzka, która może zakończyć się na trzy nieprzyjemne sposoby.

- Panie Carter, wszyscy znamy pułapki - rzekł dyrektor generalny MI6. - Nie ma potrzeby ich teraz analizować.

- Proszę mi ustąpić - rzekł - jestem tylko tępym Amerykaninem. Scenariusz numer jeden: zabiją Gabriela natychmiast po otrzymaniu pieniędzy. Scenariusz numer dwa: wezmą go do niewoli, przez jakiś czas brutalnie potorturują, po czym zabiją. Ale to chyba trzeci scenariusz jest najbardziej prawdopodobny.

- Jaki? - zapytał premier.

- Gabriel zajmie miejsce Elizabeth Halton jako zakładnik, po czym Miecz Allaha i Al-Kaida wystąpią z żądaniami, ale tym razem do izraelskiego rządu, i wszyscy znajdziemy się dokładnie w punkcie wyjścia.

- Z jedną znaczącą różnicą - dodał Graham Seymour. - Wiele osób będzie dopingowało Miecz do zabicia Gabriela. Jest Izraelczykiem i Żydem, okupantem i ciemieżcą i dlatego w oczach wielu ludzi w Europie i świecie muzułmańskim zasługuje na śmierć. Jego zabicie byłoby wielkim propagandowym zwycięstwem terrorystów.

- Ale jego współpraca da nam coś, czego mamy w tej chwili zdecydowanie za mało -

powiedziała Eleanor McKenzie. - Jeśli dziś wieczorem powiemy „tak”, zdobędziemy co najmniej dwadzieścia cztery dodatkowe godziny na poszukiwanie panny Halton.

- Szukamy jej od dwóch tygodni - przypomniał Carter. - Kolejna doba nie zrobi nam różnicy, chyba że ktoś dokona jakiejś poważnej inwazji, o której nie wiem.

Gabriel spojrział na Roberta Haltona. Minął ponad tydzień, odkąd go ostatnio widział i odniósł teraz wrażenie, że ambasador postarzał się o kilka lat. Premier postąpiłby mądrze, gdyby nie przeprowadził tej rozmowy w obecności Haltona, ponieważ w tej chwili powiedzenie „nie” byłoby przejawem niewyobrażalnego okrucieństwa. A może właśnie to było powodem, dla którego go tu zaprosił, by nie dać Gabrielowi żadnego wyboru...

- Wystąpią z dodatkowymi żądaniami - rzekł. - Zażądatają, bym przybył sam i uprzedzą, że jeśli będę z kimś, zerwą umowę i Elizabeth zginie. Zastosujemy się do tych zasad. -

Popatrzył na Seymoura i Cartera. - Żadnej inwigilacji, ani brytyjskiej, ani amerykańskiej.

- Nie możesz w to wejść bez osłony - stwierdził szef londyńskiej policji.

- I nie zamierzam - powiedział Gabriel. - MI5 i Wydział Antyterrorystyczny Scotland Yardu udziela nam wszelkich niezbędnych informacji i wsparcia, ale to będzie izraelska operacja od początku do końca i aby ją przeprowadzić, sprowadzę do tego kraju wszystko, co mi tylko będzie potrzebne. Potem nie będzie żadnego nadzoru i śledztw, a jeśli podczas odzyskania Elizabeth ktokolwiek zginie

lub zostanie ranny, nikt z mojej ekipy nie będzie przesłuchiwany ani ścigany sędownie.

- Zgoda - rzekła Eleanor McKenzie.

- Załatwione - potwierdził premier.

- Jak długo potrwa zebranie gotówki?

- Zaangażowaliśmy już wszelkie poważniejsze banki w City - poinformował premier.

- Powinniśmy się z tym uporać do jutrzejszego późnego popołudnia. Oczywiście to duży pakunek i dlatego będzie nieco nieporęczny, ale podobno zmieści się w dwóch dużych workach marynarskich na kółkach.

Gabriel spojrział każdemu w twarz.

- Nawet nie myślcie o zainstalowaniu w nich czegokolwiek.

- Naturalnie - rzekł premier. - Wygląda na to, że jutro mamy Wigilię Bożego Narodzenia i bez wątplenia nie jest to zbieg okoliczności.

- Nie, panie premierze. Podejrzewam, że od dawna się do tego przygotowywali. -

Gabriel popatrzył na zegarek. - Czy ktoś może mnie podwieźć do ambasady amerykańskiej?

Za kilka minut zadzwoni tam telefon, który chciałbym odebrać.

- Graham pana zawiezie - rzekł premier. - Zapewnimy panu policyjną eskortę, ponieważ o tej porze dnia ruch w centrum Londynu jest naprawdę straszny.

*

Na ścianie nad stanowiskiem pracy Johna O'Donnella wisiał duży zegar z czerwonymi cyframi na tle czarnej tarczy, ale Gabriel nie widział świata poza telefonem. Było to nowoczesne urządzenie z dwudziestoma liniami i numerem wewnętrznym 7512, który nie był

dostępny nigdzie indziej w budynku. Numer ten był prywatną rezerwą O'Donnella, która teraz wraz z jego ciepłym fotelem i pomiętym notesem formatu 8,5 na 14 cm należała do Gabriela.

Cyfry zegara zmierzały do 17:59, po czym metodyczny marsz rozpoczęły sekundy.

Gabriel patrzył na telefon - na zieloną lampkę pudełka oznaczonego numerem 7512 i niewielką rysę na słuchawce zrobioną w ślepej furii przez O'Donnella na początku kryzysu.

Minutę później, kiedy zegar wybił 18:00:00, wszyscy gwałtownie wstrzymali oddech, natomiast o 18:01:25 Gabriel usłyszał, jak ktoś z ekipy O'Donnella zaczyna płakać. Nie podzielał pesymizmu swojej publiczności, ponieważ wiedział, że terroryści to okrutne kanalie, które tylko korzystają z

zalet nieprzekraczalnego terminu, by zabawić się odrobinę kosztem amerykańskich i izraelskich przeciwników.

W końcu o 18:02:17 telefon zadzwonił. Gabriel nie chciał narażać swojej publiczności na jakikolwiek dodatkowy stres, więc podniósł słuchawkę tuż po pierwszym sygnale.

Postanowił mówić po angielsku z silnym hebrajskim akcentem, by od razu było wiadomo, kto jest przy telefonie:

- Odpowiedź brzmi „tak” - rzekł.

- Bądź gotowy jutro o dwudziestej drugiej. Damy ci wtedy dalsze instrukcje.

W normalnych okolicznościach profesjonalny negocjator, jak na przykład O'Donnell, zacząłby grę na zwłokę: a to, że jest problem z zebraniem pieniędzy, a to z uzyskaniem zezwolenia od władz miejscowych na wymianę - cokolwiek, byle tylko zakładnik przeżył, a porywacze mówili. Ale to nie była normalna sytuacja - terroryści chcieli Gabriela - i nie było sensu odwlekać tego, co nieuniknione, a im szybciej się to zacznie, tym szybciej będzie po wszystkim.

- Zadzwonisz na ten numer? - zapytał.

- Tak.

- Nie mogę się doczekać...

Trzask.

*

Gabriel wstał, włożył skórzaną kurtkę i ruszył w stronę schodów.

- A dokąd to się wybierasz? - zapytał Carter.

- Wychodzę.

- Nie możesz tak po prostu wyjść.

- Adrianie, nie mogę tu zostać. Mam do wykonania pracę.

- Pozwól, że cię podwieziemy. Nie możemy dopuścić do tego, byś się błąkał po Londynie bez ochrony.

- Adrianie, myślę, że dam sobie radę sam.

- Przynajmniej pozwól, że skołuję ci jakąś broń.

- A co noszą teraz twoi chłopcy?

- Browningi High-Power - rzekł. - Wprawdzie nie mają tego wdzięku i piękna, co wasze beretty, ale są wystarczająco śmiertelne. Życzysz sobie jeden magazynek czy dwa?

Gabriel zmarszczył czoło.

- Przyniosę ci dwa - rzekł Carter. - I dla hecy dodatkowe opakowanie amunicji.

*

Pięć minut później Gabriel przemknął obok strzegących północnej bramy żołnierzy piechoty morskiej i skręcił w ulicę Upper Brook. Chodnik wzdłuż ogrodzenia ambasady był

zamknięty dla ruchu pieszego i pełen funkcjonariuszy policji w żółtozielonych kurtkach.

Uzbrojony w naładowany browning od Cartera, przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował

się do Hyde Parku, a kiedy dwie minuty później skręcił za rogiem w ulicę Park Lane, zauważył długonogiego motocyklistę w kasku na solidnym BMW. Gabriel dostrzegł pod skórzaną kurtką wypukłość - po lewej stronie, ponieważ po prawej znajdowało się lusterko -

po czym dalej poszedł na północ od Marble Arch i zmierzał teraz na zachód ulicą Bayswater.

Gdy zbliżał się do bramy Albion, usłyszał za plecami ryk motoru, który przejechał obok niego i raptownie zahamował. Gabriel zarzucił nogę na siedzisko i objął motocyklistę w pasie, a następnie bmw wyrwało do przodu. Usłyszał śpiew kobiety - Chiara zawsze sobie nuciła, kiedy prowadziła motocykl.

Kensington, Londyn, godzina 18:28, piątek

Przez piętnaście minut jeździła ulicami dzielnic Belgravia i Brompton, by się upewnić, że nikt ich nie śledzi, po czym skierowała się do ambasady izraelskiej, znajdującej się przy Old Court Place dokładnie obok Kensington High Street. W biurze szefa placówki Agencji czekał na nich Szamron - w jednej ręce miał cuchnącego tureckiego papierosa, a w drugiej laskę z drewna oliwnego. Gabriel od lat nie widział go tak wściekłego jak teraz.

- Cześć, Ari.

- Co ty wyprawiasz?

- Jak się tu tak szybko znalazłeś?

- Dziś rano wyleciałem z Tel Awiwu, kiedy dowiedziałem się o twoich wyczynach w Danii. Miałem zamiar ułatwić ci podróż na Heathrow i przywieźć cię znów do domu, ale gdy zadzwoniłem do naszej placówki, by poinformować o moim przylocie, powiedziano mi, że właśnie wyszedłeś z Downing Street.

- Chciałem zwinąć dla ciebie jakieś zapalniczki, ale wiesz, ani przez chwilę nie byłem sam.

- Powinieneś był się z nami skonsultować, zanim się na to zgodziłeś!

- Nie miałem czasu.

- Miałeś wystarczająco dużo czasu. Widzisz, Gabrielu, to byłaby bardzo krótka konsultacja: poprosiłbyś o zezwolenie na podjęcie się tej misji, a ja bym odmówił i byłoby po wszystkim. - Zgniół papierosa i w milczeniu patrzył na niego złowrogo przez dłuższą chwilę.

- Ale teraz nie możemy wycofać się z tej umowy. Wyobrażasz sobie nagłówki w gazetach?

„Oślawione izraelskie służby wywiadowcze boją się ratować Amerykankę”. Nie pozostawiłeś nam żadnego wyboru. Musimy przystąpić do działania, ale dokładnie o to ci chodziło, prawda? Ty skurczybyku, niezły z ciebie manipulator.

- Uczę się od mistrza.

Szamron włożył do ust kolejnego papierosa, odchylił wieczko starej zapalniczki Zippo i zapalił.

- Trzymałem język za zębami, kiedy postanowiłeś wrócić do Amsterdamu, by porwać i przesłuchać tego Ibrahima Fawaza. Zrobiłem to po raz drugi, gdy udałeś się do Kopenhagi i próbowałeś negocjować z jego synem. Nie doszłoby do tego, gdybym za pierwszym razem kierował się instynktem i sprowadził cię do domu. Nie miałeś prawa zgadzać się na tę misję bez zezwolenia twojego szefa i premiera. Gdyby zrobił to ktokolwiek inny, przedstawiłbym mu oskarżenie i zesłał na

Pustynię Judzką, gdzie musiałyby odpokutować za grzechy.

- Możesz to zrobić, kiedy wrócę do domu.

- Pewnie przybędziesz w

t r u m i e n c e. Gabrielu, nie musisz popełniać

samobójstwa, by wymigać się od awansu. Jeśli nie chcesz tej posady, to po prostu mi o tym powiedz.

- Nie chcę tej posady.

- Wiem, że w głębi duszy tak nie myślisz.

- Boże, z każdym dniem coraz bardziej gadasz jak żydowska matka.

- A ty dajesz mi dostateczny dowód na to, że przekracza to twoje możliwości.

„Podstępem tocz wojnę” - oto nasze motto. Gabrielu, my nie jesteśmy *shahidami*. Misje samobójcze zostawiamy Hamasowi i wszelkim innym islamskim psychopatom, którzy chcą nas zniszczyć. Poruszamy się jak cienie, uderzamy jak błyskawica i ulatniamy się jak kamfora. Nie pracujemy dobrowolnie dla bogatych Amerykanów jako chłopcy na posyłki i z pewnością nie poświęcamy się, jeśli nie mamy dobrego powodu. Należysz do elity i jesteś księciem bardzo małej braci.

- A co zrobimy w kwestii Elizabeth Halton? Pozwolimy jej umrzeć?

- Jeżeli to jedyny sposób, by zakończyć ten obłęd, to odpowiedź brzmi „tak”.

- Ari, a gdyby to była twoja córka? Gdyby to była Ronit?

- Uścisnąłbym dłoń samemu diabłu, byle ją odzyskać, ale nie poprosiłbym Amerykanów, by zrobili to za mnie. Smutne to, ale uczciwe, Gabrielu, smutne, ale uczciwe...

Sami załatwiamy swoje sprawy i nie pomagamy innym, którzy zresztą sami są sobie winni.

Dawno temu Amerykanie związali swój los ze świeckimi dyktaturami Bliskiego Wschodu, a teraz ciemieni Arabowie buntują się i mszczą na symbolach amerykańskiej potęgi.

Jedenastego września było to World Trade Center i budynek Pentagonu, a teraz niewinna córka amerykańskiego ambasadora w Londynie.

- A potem przyjdzie kolej na n a s.

- I będziemy z nimi walczyć, ale s a m i. - Szamron zdobył się na lekki uśmiech na samo wspomnienie. - Pamiętam chłopca, który w 1975 roku wrócił z Europy do domu, chłopca, który wyglądał na starszego o dwadzieścia lat. Nie chciał niczego więcej, jak tylko rozprawić się z tym życiem w ciemnościach, niczego więcej, tylko walczyć i zabijać. Co się stało z tym chłopcem?

- Stał się mężczyzną, Ari. I ma tego główna serdecznie dość, ale też nie pozwoli, by zamordowano tę kobietę tylko dlatego, że Amerykanie odmówili uwolnienia z więzienia umierającego szejka.

- A czy ów mężczyzna gotów jest umrzeć dla tej sprawy?

- Spojrzał na Chiareę. - Czy gotów jest poświęcić życie z tą piękną kobietą, by uratować tę, której nie zna?

- Ari, zaufaj mi, nie jestem męczennikiem i jedynymi osobami, które zginą, są terroryści. Tracąc Ibrahima, straciliśmy naszą jedyną drogę do terrorystów, ale teraz dzięki żądaniu, bym dostarczył pieniądze, znów otworzono nam drzwi. I wszyscy przez nie przejdziemy. Razem...

- Czyli mam o tobie myśleć tylko jak o agencji infiltracji?

Gabriel przytaknął.

- Odebranie pieniędzy będzie głównym przedsięwzięciem operacyjnym, które zdemaskuje ich pracowników i środki przekazywania informacji. Jeśli uda im się mnie schwytać, zdemaskuje to również jakieś kryjówki i tajne nieruchomości, co dostarczy nam dodatkowych nazwisk i numerów telefonów. Brytyjczycy i Amerykanie zgodzili się trzymać od tego z daleka, wszystko zostawiając nam. Ari, będziemy z nimi walczyć tu, na brytyjskiej ziemi, dokładnie tak, jak to zawsze robiliśmy. Pozabijamy ich i oddamy ojcu tę dziewczynę żywą. - Gabriel przerwał, po czym dodał: - A wtedy może przestaną nas winić za wszystkie swoje problemy.

- Nie obchodzi mnie, co o nas mówią. Gabrielu, jesteś dla mnie jak syn, na którego stratę nie mogę sobie pozwolić. Nie teraz.

- Nie stracisz mnie.

Szamron wydał się znużony tą konfrontacją, ale Gabriel wykorzystał jego milczenie jako szansę na zakończenie dyskusji i parł do przodu:

- Gdzie reszta mojej ekipy?

- Wrócili do Amsterdamu po niepowodzeniu w Danii - rzekł. - Ale do rana wszyscy się tu zjawiają.

- Będę potrzebował Michaiła i jego broni.

Szamron się uśmiechnął.

- Gabriel i Michał: anioł śmierci i anioł unicestwienia. Jeśli wam nie uda się odbić tej kobiety żywej, to jak sądzę, nikt tego nie dokona.

- Więc udzielisz mi swojego błogosławieństwa?

- Będę modlił się za ciebie - rzekł. - Mój synu, prześpij się trochę, dobrze ci to zrobi.

Zbierzemy się tutaj o dziewiątej i zaczniemy planować, tylko miejmy nadzieję, że nie będzie to plan pogrzebu.

*

Mieszkanie przy ulicy Bayswater znajdowało się dokładnie w takim stanie, w jakim zostawił je rano w dniu ataku. Wypita do połowy filiżanka kawy stała na biurku przy oknie obok planu miasta *Londyn od A do Z*, który wciąż był otwarty na stronie numer 82. W

sypialni leżały porzucane ubrania, co było dowodem na to, że ubierał się w pośpiechu kilka chwil przed tragedią. Notes Samira al-Masriego ze szczytami, wydmami i pajęczyną przecinających się linii leżał na niepościelonym łóżku obok kobiety z burzą kasztanowych włosów. Z przodu zza paska jej przetartych niebieskich dżinsów wystawał pistolet beretta, ale Gabriel wyjął broń i delikatnie położył rękę na jej brzuchu.

- Dlaczego to robisz? - zapytała.

- Czuję nienasycone pragnienie dotykania czegoś pięknego.

- Gabrielu, wiesz, o co pytam. Dlaczego zgodziłeś się na żądania porywaczy?

Milczał, zręcznie odpinając dżinsy Chiary, ale odepchnęła jego rękę. Pogłaskała go po policzku. Odruchowo się cofnął, ponieważ wciąż nieznośnie bolała go skóra.

- To z powodu Daniego, prawda? Wiesz, jak to jest stracić dziecko przez terrorystów.

Wiesz, jak to napawa nienawiścią, jak niszczy życie. - Przeczesała palcami popielate włosy na jego skroniach. - Wszyscy zawsze myśleli, że to przez Leę się wkurzyłeś, ale jakby nie pamiętali, że straciłeś również syna. To Dani cię inspiruje i to on ci podpowiada, byś podjął

się tej szalonej misji.

- Nie ma w niej nic szalonego.

- Czy jestem jedyną osobą, która przynajmniej bierze pod uwagę możliwość, że terroryści nie mają zamiaru uwolnić Elizabeth Halton, tylko wezmą pieniądze ambasadora, p o c z y m ją zabiją?

- Nie - rzekł Gabriel. - Dokładnie tak zrobią.

- To dlaczego angażujemy się w szaleństwo, jakim jest zapłacenie okupu?

- Ponieważ jest to jedyny sposób, by ją uratować. Nie zabiją jej w jakiejś piwnicy, gdzie nikt nie będzie mógł tego zobaczyć. Porwali ją, robiąc z tego wielkie terrorystyczne widowisko, i takie też zrobią, zabijając ją. - Przerwał, po czym dodał: - A mnie razem z nią.

- Nie jesteśmy *shahidami* - powtórzyła słowa Szamrona jak papuga. - Misje samobójcze zostawiamy Hamasowi i wszelkim innym islamskim psychopatom, którzy chcą nas zniszczyć.

Pociągnął za suwak jej džinsów, ale znów odepchnęła jego rękę.

- Dobrze ci się pracowało z Sarą?

- Spisała się lepiej, niż się tego spodziewałem.

- Gabrielu, wyszkoliłeś ją, więc to oczywiste, że się dobrze spisała.

Zamilkła.

- Jest coś, o czym chciałabyś wiedzieć? - zapytał.

- Czyj to był pomysł, by pracowała z tobą podczas tej operacji?

- Cartera. I to nie był żaden pomysł, tylko wymóg. Chcieli dorzucić amerykański element do naszej ekipy.

- Mógł wybrać kogoś innego. - Przerwała. - Kogoś, kto akurat nie jest w tobie zakochany.

- Chiaro, o czym mówisz?

- Gabrielu, ona jest w tobie zakochana. Każdy to widział podczas operacji Al-Bakari, to znaczy każdy oprócz c i e b i e, bo ty jesteś raczej tępy, jeśli chodzi o sprawy sercowe. -

Spojrzała na niego w ciemności. - A może wcale nie jesteś taki tępy i również się w niej skrycie kochasz? Może chcesz, by to Sara ochraniała cię jutro, a nie ja?

Trzecia próba zsunienia z niej džinsów nie spotkała się ze sprzeciwem, ale za to współpracy wymagało zdjęcie kaszmirowego swetra. Chiara sama zajęła się biustonoszem i położyła ręce Gabriela na swoich piersiach.

- Pod żadnym pozorem personelowi nie wolno bratać się w tajnych domach Agencji -

przypomniała, kiedy ją całował.

- Tak, wiem.

- Będziesz beznadziejnym szefem. Właśnie miał się nie zgodzić z jej stwierdzeniem, gdy zabłysła niebieska lampka telefonu. Chwycił za słuchawkę, ale złapała go za rękę.

- Co jeśli to *Memuneh*? - zapytał.

Usiadła na nim.

- Teraz ja jestem *Memuneh*.

Wpiła się w jego usta, a niebieska lampka migiała w nieodebranym telefonie.

- Ożeń się ze mną - rzekła.

- Ożenię się.

- Ale teraz, Gabrielu, ożeń się ze mną teraz.

- Dobrze - rzekł.

- Nie umieraj mi jutro wieczorem.

- Nie umrę.

- Obiecuj.

- Obiecuję.

Ulica Bayswater, Londyn, godzina 7:15, sobota

Gabriel nagle się obudził i miał wrażenie, jakby spał całą wieczność. Spojrzał na zegarek i Chiare. Zaplątana w kołdrę leżała obok niego jak strącony z cokołu grecki posąg. Wymknął

się cicho z łóżka i zrobił kawę, słuchając w radiu wiadomości. Według BBC oferta okupu złożona przez ambasadora Haltona nie spotkała się z żadną reakcją i los jego zaginionej córki wciąż był nieznany. Uprzedzono londyńczyków, by spodziewali się nadzwyczajnych środków ostrożności na głównych ulicach handlowych miasta, w metrze i na stacjach kolejowych, po czym nastąpiła prognoza pogody, która pocieszyła Gabriela: zapowiadali drobny deszczyk z przejaśnieniami.

Wypił pierwszą filiżankę kawy, potem długo brał prysznic. Skaleczenia na twarzy uniemożliwiły mu golenie, a poza tym i tak lubił ten swój kilkudniowy zarost na policzkach.

Kiedy wszedł do sypialni, Chiara obudziła się, wciągnęła go do łóżka i sennie zalecała się do niego ten ostatni raz.

Wyszli z mieszkania za dziesięć dziewiąta i wsiedli na bmw. Jeszcze nie zaczął padać zapowiadany deszcz ani nie widać było żadnych oznak tak oczekiwanej przedświątecznej lawiny kupujących. Pędzili ulicą Bayswater do dzielnicy Notting Hill, po czym skierowali się ulicą Kensington Church do Old Court Place. Pod ambasadą zebrała się mała grupka protestujących, którzy wymachiwali ozdobionymi swastykami izraelskimi flagami i krzyczeli coś o Żydach i nazistach. Gabriel i Chiara przemknęli i zniknęli za otwartą bramą.

W ambasadzie była już reszta ludzi, którzy zbrali się w największym pomieszczeniu do porad i wyglądali jak grupa uchodźców po klęsce żywiołowej. Była tu cała ekipa Gabriela w pierwotnym składzie razem z całym personelem londyńskiej placówki. Byli też pracownicy kilku innych europejskich placówek i z pół tuzina działających w terenie tajnych agentów sprowadzonych tu w nocy przez Uziego Nawota prosto z Bulwaru Króla Saula. Gabriel stwierdził, że będzie to największa i najważniejsza operacja, jaką Agencja kiedykolwiek przeprowadziła w Europie, ale wciąż nie mieli pojęcia, jak ją rozegrać.

Zasiadł do stołu obrad obok Szamrona ubranego w krótką skórzaną kurtkę i spodnie w kolorze khaki. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, po czym Szamron podniósł się powoli i rozpoczął obrady.

- Dziś o dwudziestej drugiej Gabriel trafi do piekła - rzekł - a naszym zadaniem jest doprowadzenie do tego, by wyszedł z niego żywy po drugiej stronie. Czekam na pomysły.

Zastanowimy się nad każdym, nawet najbardziej *meszuganah*.

Usiadł i zaprosił wszystkich do dyskusji i po chwili każdy miał coś do powiedzenia.

Gabriel odrzucił do tyłu głowę i parsknął śmiechem - jak dobrze znów być w domu...

*

Pracowali cały poranek, zrobili sobie przerwę na lunch, po czym wrócili do zajęć na całe popołudnie. O 17:30 Gabriel zaciągnął Chiarę do pustego gabinetu i ten ostatni raz ją pocałował. Chciał uniknąć niezręcznej sytuacji pożegnania z Szamronem, wymknął się więc z ambasady i skierował przez ulicę Kensington w stronę ulicy Mayfair. Kiedy przechodził przez Hyde Park, na chwilę zatrzymał się w miejscu, gdzie rano w dniu ataku natknął się na ciało Chrisa Petty'ego, agenta amerykańskiej tajnej służby ochraniającej dyplomatów. Kilka metrów dalej leżała sterta przywędłych kwiatów złożonych tu na pamiątkę i prosty tekturowy transparent w hołdzie dla poległych Amerykanów. W miejscu, gdzie na rękach Gabriela umierał Samir al-Masri, był drugi pomnik - ku czci „Zabitych w Hyde Parku Męczenników”, jak zaczęli nazywać terrorystów ich miejscowi zwolennicy. - Oto zbliżający się konflikt cywilizacji - pomyślał - rozegrany na kilku metrach kwadratowych londyńskiego parku.

Szedł trawnikiem na wschodni kraniec parku, aż dotarł do ulicy Upper Brook. Adrian Carter czekał obok żołnierzy piechoty morskiej strzegących północnej bramy ambasady i nerwowo kurzył fajkę. Przywitał Gabriela jakby z lekka zaskoczony, że go widzi, po czym wziął go pod ramię i poprowadził do środka.

*

Na najwyższym piętrze w biurze ambasadora Haltona przygotowano wypchane pieniędzmi worki marynarskie i otoczono je oddziałem agentów z BD. Gabriel skontrolował

je i spojrzał na Cartera.

- Adrianie, nie ma tu żadnych urzędzeń, prawda?

- Żadnych, Gabrielu.

- Jaki mi załatwiłeś samochód?

- Nierzucający się w oczy, ciemnoszary vauxhall vectra.

- Gdzie jest?

- Na ulicy Upper Brook.

- Worki się zmieszczą?

- Tak, już to sprawdzaliśmy.

- No to je włóżcie.

Carter zmarszczył czoło.

- Nie wiem jak ty, Gabrielu, ale ja nigdy nie zostawiam w samochodzie portfela, a co dopiero trzydziestu milionów w gotówce.

- W tej chwili ambasadę otacza setka funkcjonariuszy policji - rzekł - więc nikt nie włamie się do samochodu.

Carter kiwnął na agentów BD i za moment worków już nie było.

- Adrianie, chciałbym bez świadków zamienić słowo z ambasadorem.

Otworzył usta, jakby miał się sprzeciwić, ale po chwili zastanowienia zmienił zdanie.

- Będę na dole w centrum operacyjnym - rzekł. - Gabrielu, nie spóźnij się, ponieważ bez ciebie ten show się nie zacznie.

*

Nigdy nie poznano szczegółów rozmowy Gabriela Allona i ambasadora Roberta Haltona ani nie zawarto ich w żadnym protokole sprawy - czy to jawnym, czy tajnym.

Spotkanie było krótkie, trwało nie dłużej niż minutę, a kiedy Gabriel wyszedł i skierował się w stronę centrum operacyjnego, strzegący biura ambasadora agent BD opisał go później jako zdecydowanego mężczyznę o wilgotnych oczach. Tym razem porywacze nie kazali mu czekać i telefon zadzwonił o 20:00:14 według cyfrowego zegara nad stanowiskiem pracy Johna O'Donnella. Gabriel natychmiast chwycił za słuchawkę i pomyślał, że byłby bardzo szczęśliwy, gdyby do końca swoich dni nie musiał już korzystać z telefonu. Przywitał się spokojnie i wydawał się nieco roztargniony, a kiedy słuchał instrukcji, przypominał

funkcjonariusza służby drogowej notującego szczegóły niegroźnego wypadku - nie zadawał pytań, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji oprócz przemożnej irytacji. O 20:00:57

wymamrotał: „Będę tam”, po czym wstał i włożył płaszcz, a gdy ruszył w kierunku schodów, Carter nawet nie próbował go zatrzymać.

Na moment przystanął na parterze i na dziedzińcu wewnętrznym założył miniaturową słuchawkę i laryngofon, a kiedy wychodził z ambasady przez północną bramę, skinął w milczeniu głową żołnierzom piechoty morskiej. Sedan vauxhall od Cartera zaparkowany był

obok znaku zakazu postoju na rogu ulicy North Audley, a kluczyki do niego oraz urządzenie do namierzania przez GPS wielkości pięciopensówki tkwiły w płaszczu Gabriela. Zanim przykleił ją przy tylnym świetle po stronie kierowcy, otworzył bagażnik i szybko skontrolował ładunek. Wsiadł za kierownicę, uruchomił silnik i chwilę później skręcał w Oxford Street zdumiony tłumem kupujących. Obserwatorzy Cartera śledzili go do ulicy Albany. Zrobili zdjęcie, jak skręca w lewo i kieruje się na północ. To będzie ich ostatni kontakt, jeśli chodzi o Amerykanów i Brytyjczyków. Zniknął im teraz z radaru.

W dzielnicy South Kensington, pod ambasadą izraelską miał miejsce bardzo dziwaczny zbieg okoliczności: grupa pełnych najlepszych intencji chrześcijan wybrała ten wieczór na przeprowadzenie w blasku świec milczącej manifestacji, podczas której domagali się pokoju w Ziemi Świętej. Natomiast w budynku Ari Szamron i Uzi Nawot manifestowali w milczeniu po swoim, a ich myśli nie zajmowały sprawy pokoju, świąt ani nawet domu, tylko krążyły wokół zadymionego stołu w prowizorycznym pomieszczeniu operacyjnym, gdzie obaj koncentrowali swoje siły i obserwowali zieloną migoczącą lampkę, która przemieszczała się wzdłuż wschodniego krańca Regent's Park w kierunku dzielnicy Hampstead.

Park Hampstead Heath, godzina 22:25, Wigilia Bożego Narodzenia Gabriel zaparkował tam, gdzie mu kazano, czyli na ulicy Constantine na południowym krańcu parku Hampstead Heath. Nie było ruchu, a gdy dojeżdżał na miejsce, nie wykrył żadnych śladów inwigilacji - czy to wroga, czy przyjaciela. Zgasił silnik i odblokował bagażnik, po czym otworzył środkowy schowek konsoli i wrzucił do środka kluczyki. Zaczął padać lekki deszczyk, więc kiedy wysiadł, był zły na siebie, że nie wziął czapki.

Podszedł do bagażnika i wyjął pierwszy worek, a gdy sięgał po drugi, usłyszał za sobą jakiś hałas, więc odwrócił się gwałtownie i zobaczył zbliżającą się do niego grupę młodych radosnych kolędników. Przez chwilę przysła mu do głowy szalona myśl, że mogą być obserwatorami Sfinksa, ale szybko ją odrzucił, kiedy życzyli mu wesołych Świąt i nieświadomi niczego pomaszerowali dalej. Położył na ulicy drugi worek i zamknął bagażnik.

Kolędnicy śpiewali teraz *O Come, All Ye Faithful* pod małym ceglany domkiem obwieszonym girlandami świątecznych lampek i z napisem w oknie: PRZEKAŻCIE NAM

ZNAK POKOJU W ODPOWIEDNIM DLA NAS CZASIE.

Gabriel, ciągnąc worki, przeszedł przez kładkę ponad płataniną torów kolejowych i dotarł do parku. Po prawej stronie znajdowała się zaciemniona bieżnia, a w cementowej esplanadzie pod zamkniętą na kłódkę bramą w złocistożółtym blasku lampy sodowej kopali piłkę czterej dwudziestokilkuletni imigranci. Wydawali się nie zważać na Gabriela, który minął ich i z mozołem ruszył zboczem Parliament Hill w kierunku ławki, gdzie kazano mu czekać na następny kontakt. Kiedy doszedł na miejsce, zobaczył, że zajmuje ją niski, ubrany w postrzępiony płaszcz mężczyzna ze zmierzwioną brodą, a z jego zamulonego od alkoholu akcentu Gabriel wywnioskował, że pochodzi ze wschodniej części Londynu.

- Wesołych Świąt, stary. Czym mogę służyć?

- Możesz zejść z ławki.

- Tej nocy jest moja.

- Już nie - rzekł Gabriel. - Rusz się.

- Spieprzaj.

Wyjął browninga High-Power od Adriana Cartera i wycelował w jego głowę.

- Wypierdalaj stąd i zapomnij, że kiedykolwiek mnie widziałeś. Rozumiesz?

- Jasno, kurwa, i wyraźnie.

Mężczyzna szybko się podniósł i zniknął w ciemnościach parku, a Gabriel sprawdził

opuszkami palców oparcie i spód ławki i znalazł telefon komórkowy przyklejony po lewej stronie pod siedzeniem. Szybko wyjął baterię i skontrolował aparat w poszukiwaniu ukrytych ładunków wybuchowych, po czym włożył ją z powrotem i wcisnął przycisk POWER. Kiedy telefon miał zasięg, rzekł cicho do laryngofonu:

- Nokia E50.

- Numer? - zapytał Uzi Nawot.

Gabriel przedyskutował go.

- Używany?

- Czysty.

- Zapisano w nim coś?

- Nie.

Gabriel wpatrywał się w światła Londynu i czekał, aż telefon zadzwoni; piętnaście minut później usłyszał cichy metaliczny dźwięk *Azanu*, muzułmańskiego wezwania do modlitwy. Wyłączył go, wciskając przycisk, i przyłożył słuchawkę do ucha. Przekazanie następnych instrukcji zajęło im tylko trzydzieści sekund. Wyrzucił telefon do kosza na śmieci stojącego obok ławki, chwycił worki i ruszył przed siebie.

*

W prowizorycznym centrum dowodzenia w ambasadzie izraelskiej Uzi Nawot odłożył

słuchawki tajnego radia i chwycił za telefon. Szybko wybrał numer do Thames House, kwatery głównej MI5, i dziesięć sekund później usłyszał głos Grahama Seymoura.

- Gdzie teraz jest? - zapytał Seymour.

- Kieruje się przez park Hampstead Heath w stronę dzielnicy Highgate. Właśnie mu powiedziano, że jeśli w następnym wyznaczonym miejscu będzie miał przy sobie radio lub broń, Elizabeth Halton natychmiast zginie, więc za kilka sekund nie będzie można go już namierzyć.

- Co możemy dla was zrobić?

- Sprawdźcie telefon.

- Dajcie mi wszelkie związane z nim informacje.

Nawot podał mu jego model i numer.

- Jak sądzę, nie byli na tyle głupi, by zostawić w rejestrze rozmów jakąkolwiek informację?

- Telefon był czysty.

- Zajmiemy się tym, może coś znajdziemy, ale nie robiłbym sobie zbyt dużej nadziei.

Niestety, w przemyśle telekomunikacyjnym nie brakuje bojowników dżihadu, którzy są cholernie pomysłowi, jeśli chodzi o zacieranie śladów po skorzystaniu z telefonu.

- Po prostu dajcie nam wszystko, na co się natkniecie.

Nawot rozłączył się i podniósł słuchawki od radia, po czym burknął kilka słów po hebrajsku. Spojrzał na Szamrona, który powoli przemierzał pokój, ciężko wspierając się na lasce.

- Uzi, marnujesz czas na uganianie się za tym telefonem. Powinieneś się skupić na obserwatorach.

- Wiem, szefie, ale gdzie oni są?

Szamron zatrzymał się przed monitorem komputera i przyjrzał się badawczo ziarnistemu obrazowi noktowizyjnemu, na którym czterej młodzieńcy grali w piłkę nożną pod zamkniętą na kłódkę bieżnią w parku Hampstead Heath.

- Co najmniej jednego masz dokładnie przed sobą.

- Mieliśmy ich na oku, jeszcze zanim Gabriel zdążył tam przybyć. Zero telefonów, zero komunikatów, tylko piłka...

- No to powinieneś założyć, że to im właśnie kazał robić Sfinks - rzekł Szamron. - Ja też bym tak postąpił. To fizyczny sygnał, stara szkoła. Jeśli Gabriel jest czysty, grajcie w piłkę, jeżeli jest z ochroną, posprzeczajcie się o coś, a jeśli ma radio, zróbcie przerwę na papierosa. - Dźgnął monitor.

- Jak na przykład ten oto chłopiec.

- Myślisz, że jeden z nich jest obserwatorem?

- Idę o zakład, że tak.

- To oznacza, że w parku jest ktoś jeszcze, ktoś, kto go widzi i ma telefon komórkowy lub nadawczo-odbiorczy pager.

- Właśnie - rzekł Szamron. - Ale nie znajdziesz go, bo już go tam nie ma, więc jedynym wyjściem jest śledzenie obserwatora.

Nawot spojrzał na monitor.

- Nie mam środków, by śledzić czterech ludzi.

- Nie musisz śledzić całej czwórki. Skoncentruj się tylko na jednej osobie, ale upewnij się, że to trafny wybór.

- Czyli?

- Eli ma do tego talent - rzekł Szamron. - Pozwól mu zadecydować. I cokolwiek zrobisz, pamiętaj o kolejnym urządzeniu lokacyjnym dla Gabriela, zanim opuści Highgate.

Jeśli go teraz stracimy, być może nigdy go już nie odnajdziemy.

Nawot sięgnął do radia, a Szamron znów zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem.

*

Gabriel wrzucił browninga i radio w kępę drzew na środku parku, po czym przeszedł

przez groblę pomiędzy stawami Highgate i skierował się na ulicę Millfield. Do najbliższej latarni przyklejono zdjęcie granatowego bmw kombi, a sam samochód stał pięćdziesiąt metrów dalej na ścieżce pod dużym wolno stojącym ceglanym domem ze stadkiem uśmiechniętych reniferów na trawniku. Otworzył tylne drzwi i badawczo przyjrzał się bagażnikowi, w którym na samym środku tuż przed nim leżały kluczyki. Wyjął je i włożył

worki, po czym poddał samochód dokładnej kontroli, zanim wsiadł za kierownicę i ostrożnie przekręcił kluczyk.

Silnik natychmiast zaskoczył, a Gabriel otworzył schowek i jego oczom ukazała się kartka, której dokładnie się przyjrzał w nastrojowym świetle deski rozdzielczej.

Zamieszczone na niej szczegółowe instrukcje dojazdu z dzielnicy Highgate na przylądek w odległym krańcu hrabstwa Essex, trafnie zwany cyplem Foulness. Na miejscu pasażera leżał

wydany przez Bartholomea atlas samochodowy z pozaginanymi rogami, który opatrzony był

datą 1995 i otwarty na mapie numer 25. Miejsce kryjówki oznaczono krzyżykiem, a okoliczne wody oznakowano na czerwono: STREFA ZAGROŻENIA.

Wrzucił bieg i ostrożnie zjechał z krawężnika pod czujnym okiem uśmiechniętych reniferów, a następnie skręcił w prawo w ulicę Merton - dokładnie tak, jak mu kazano - i zmierzał na wschód wzdłuż skraju cmentarza Highgate. Na ulicy Hornsey wyskoczył mu pod koła pieszy w tandetnym płaszczu przeciwdeszczowym, więc gwałtownie położył nogę na hamulcu, jednak było już za późno, by uniknąć tego niegroźnego zderzenia. Mężczyzna przewrócił się na drogę, ale szybko się podniósł i rozwścieczony walnął pięścią w maskę, po czym błyskawicznie dotknął podwozia przy kole od strony pasażera i oddalił się błyskawicznie. Gabriel patrzył, jak odchodzi, i skierował się na ulicę Archway. Skręcił w lewo, zmierzając na autostradę M25.

*

W tej samej chwili w parku Hampstead Heath włóczęga wrócił do swojego obozowiska na wzgórzu Parliament Hill i spędził kilka sekund na przetrząsaniu kosza na śmieci, jakby szukał tam, choć odrobiny czegoś zdatnego do jedzenia. Raz jeszcze usadowił

się na ławce z widokiem na londyński pejzaż. Jego myśli nie krążyły ani wokół jedzenia, ani nawet picia, ale wokół czterech mężczyzn, którzy szli teraz gęsiego przez kładkę na ulicę Constantine. - Naszym zdaniem jeden z nich jest obserwatorem - powiedział mu wcześniej Uzi Nawot. - *Memuneh* chce, byś zdecydował, który. - Ale on już to zrobił. To facet w dżinsowej kurtce, czarnych tenisówkach za kostkę firmy Converse i dzianinowej czapce à la Bob Marley. Był niezły jak na takiego młodzieńca, ale Lawon był lepszy - Lawon był

najlepszy ze wszystkich. Zaczekał, aż czterej mężczyźni zniknęli z pola widzenia, po czym zdjął sztuczną brodę i obszarpany płaszcz i ruszył za nimi.

*

Przez pierwsze dziewięćdziesiąt minut jazdy ciągle siąpił drobny deszczyk, ale kiedy Gabriel przejechał przez most zwodzony prowadzący na wyspę Foulness, Bóg w swej nieskończonej mądrości wywołał gwałtowną ulewę, przez którą droga zamieniła się teraz w rzekę. Nie widział żadnych świateł nadjeżdżających z przeciwnej strony ani w lusterku wstecznym. Gdy tak pędził wśród uspionych gospodarstw rolnych i przez porośniętą trawą rzeki z pływami, przez chwilę dumał nad tym, że być może ostatnią rzeczą, jaką przyjdzie mu ujrzeć na tej ziemi, będzie nie Dolina Jezreel, gdzie się urodził, nie Jerozolima czy wąskie uliczki ukochanej Wenecji, ale ten smagany wiatrem przylądek u wybrzeży Morza Północnego. Osiem kilometrów za mostem mignął mu w tym potopie znak ostrzegający, że jedzie drogą bez przejazdu, i z powodów znanych tylko sobie dokładnie odnotował godzinę -

była 00:35. Pół kilometra dalej skręcił na pusty parking na cyplu Foulness i tak jak mu kazano, zgasił silnik. - Zostaw kluczyki w stacyjce - rzekł mu głos w parku Hampstead Heath.

- Zabierz worki na cypel i połóż je na plaży. - Przez kilka chwil chciał je wyrzucić na parking i w desperacji wrócić do Londynu z prędkością światła, mimo to powoli wyjął pieniądze i ciągnął je przez polanę po wschodnim wale nadmorskim, a potem piaszczystą ścieżką do wąskiej plaży.

Kiedy zbliżał się do wody, usłyszał odgłos podobny do odgłosu wiatru wiejącego z traw na wydmach i kątem oka zobaczył, jak poruszył się cień, co w bezchmurną noc mógłby wziąć za sunący cień księżyca. Nie zauważył tego, kto młotem kowalskim zadał mu cios w głowę, nie dostrzegł też igły, którą wbito mu w szyję. Nagle jego oczom ukazała się Chiara -

ubrana w poplamioną jego krwią białą suknię błagała go, by nie umierał, a potem oddaliła się ku migającemu niebieskiemu światłu i znikła.

*

Szamron i Nawot stali obok siebie na stanowisku dowodzenia i bez słowa wpatrywali się w migającą zieloną lampkę. Od dziesięciu minut stała w tym samym miejscu i Szamron wiedział, że już się nie poruszy.

- Lepiej tam kogoś wyślij, by to sprawdził - rzekł. - Tak tylko dla upewnienia się.

Nawot natychmiast przyłożył do ust słuchawkę z mikrofonem.

*

Jossi śledził urządzenie GPS Gabriela do Southend-on-Sea i schronił się w całodobowej restauracji, która wznosiła się nad ujściem Tamizy. Nagle otrzymał pilny telefon od Nawota i już trzydzieści sekund później siedział za kierownicą renault sedana, jadąc z nader niebezpieczną prędkością w stronę cypla Foulness. Kiedy skręcił na parking, zobaczył

samotnie zaparkowane bmw kombi z otwartymi tylnymi drzwiami i kluczami w stacyjce, więc wyjął latarkę ze schowka i poszedł na plażę po świeżych śladach stóp. Tam było ich jeszcze więcej i miały różne rozmiary, ale znajdowały się tu także równoległe bruzdy, które prowadziły ze środka plaży nad wodę. - Zostawiły je nogi człowieka - pomyślał - kogoś nieprzytomnego, a nawet gorzej. - Przyłożył radio do ust i połączył się z Nawotem na stanowisku dowodzenia.

- Nie ma go - rzekł Jossi. - I wygląda na to, że zabrano go łodzią.

*

Nawot odłożył słuchawki i spojrzał na Szamrona.

- Uzi, wątpię, że ci faceci zabrali go w taką noc na Morze Północne.

- Zgadzam się, szefie, zatem d o k ą d?

Szamron podszedł do mapy.

- Tu - rzekł i dźgnął miejsce po drugiej stronie rzeki Crouch.

- To teren pełen przystani i lądowisk dla samolotów. A jedynym sposobem, by się tam o tej porze dostać jest popłynięcie łódką, co oznacza, że będziemy musieli wybrać dłuższą okrężną drogę.

Nawot wrócił do radia i kazał ekipom ruszyć w pościg, po czym podniósł słuchawkę i przekazał wiadomość Grahamowi Seymourowi w siedzibie głównej MI5.

Z gubił się w galerii pamięci, w której wisiały portrety zmarłych. Mówili do niego, kiedy powoli obok nich sunął: Zwaiter i Hamidi; bracia Al-Hourani; Sabri i Khaled Al-Khalifa, ojciec i syn terroru. Powitali go na ziemi męczenników i uczcili jego śmierć słodyczami i śpiewem. Na końcu galerii blady chłopiec o twarzy podziurawionej kulami poprowadził

Gabriela przez drzwi weneckiego kościoła. W nawie głównej wisiał cykl obrazów przedstawiających sceny z jego życia, a nad ołtarzem znajdowało się ukazujące jego śmierć nieukończone płótno pędzla Belliniego. Stojący w prezbiterium mistrz we własnej osobie wziął go pod ramię i poprowadził do ogrodu w Jerozolimie, gdzie w cieniu drzewa oliwnego siedziała oszpecona oparzeniami kobieta, która miała na kolanach wyglądającego jak aniołek chłopca. - Spójrz na śnieg - mówiła do dziecka. - Śnieg oczyszcza Wiedeń z grzechów. Śnieg pada w Wiedniu, a na Tel Awiw sypią się pociski. - Usłyszał, jak ktoś wywołuje jego imię, więc wszedł do kościoła, który okazał się pusty, a kiedy wrócił do ogrodu, nie było już w nim ani kobiety, ani chłopca.

*

W końcu się obudził; miał wrażenie, że wypił za dużo, było mu niedobrze, pękała mu głowa, wydawało mu się, że ma w ustach watę i bał się, że za chwilę zwymiotuje, chociaż ostatni raz jadł wiele godzin temu. Powoli otworzył oczy i ani drgnął, oceniając sytuację. Był

w małej izdebce z białymi jak porcelana ścianami, leżał na plecach na wąskim łóżku polowym, ręce miał skute i przywiązane do żelaznego uchwyty za głowę, więc ramiona były boleśnie wygięte do tyłu. Wcześniej zdjęto mu ubranie i zegarek, usta zaklejono taśmą, a jaskrawe białe światło wściekle świeciło mu prosto w oczy.

Zamknął powieki, powstrzymał falę mdłości i zatrząsł się z zimna. Niezła ta kryjówka

- z pewnością jej stworzenie wymagało nie lada organizacji i inicjatywy. Mimo niemal sterylnej czystości izby, w powietrzu unosił się obrzydliwy zapach kału i potu, a także zapach długo trzymanej w niewoli kobiety. Był pewien, że przed nim była tu Elizabeth Halton. Czy wciąż jest w pobliżu - zastanawiał się - czy może przenieśli ją gdzieś indziej, by zrobić miejsce dla nowego lokatora?

Za drzwiami dochodziły jakieś odgłosy, więc odwrócił głowę i zobaczył w wizjerze gniewnie patrzące na niego oko, po czym usłyszał dźwięk otwieranej kłódki, a po nim skrzypnięcie zimnych zawiasów. Do celi wszedł mężczyzna - miał niecałe trzydzieści lat, był

drobnej budowy i ubrany w koszulę z kołnierzykiem i bordowy pulower. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się zagadkowo w Gabriela przez okulary w rogowych oprawkach, jakby szukał biblioteki lub księgarni, a zamiast tego natknął się na to miejsce. Coś w jego rysach twarzy wydawało mu się znajome, ale dopiero kiedy zdarł mu z ust taśmę i życzył po arabsku miłego wieczoru, zrozumiał dlaczego. Głos należał do młodzieńca z amsterdamskiego Oud West, który był pół Egipcjaninem i pół Palestyńczykiem, mieszanką wybuchową.

Należał do Ishaq Fawaza.

*

Zniknął tak szybko, jak się pojawił, ale już kilka minut później do celi weszli czterej mężczyźni. Zanim go rozkuli, uderzyli go kilka razy w brzuch, a nim postawili go na podłodze, zadali mu jeszcze kilka ciosów. Izba była zbyt mała, by go porządnie pobić, więc po krótkiej naradzie rozebrali go i nagiego zaciągnęli po schodach do zaciemnionego magazynu. Pierwszy zaatakował Gabriel - to było posunięcie, które chyba ich zaskoczyło.

Udało mu się na chwilę obezwładnić jednego z nich, ale zaraz pozostali trzej skoczyli mu na plecy i sprowadzili go na zimną cementową podłogę. Przez kilka minut dusili go, kopali i bili, dopóki z głębi magazynu nie padł rozkaz, by natychmiast przestali. Zostawili go tam na jakiś czas, a on leżał i wymiotował własną krwią. Zaprowadzili go w końcu do celi i znów przykuli mu do ściany ręce. Robił wszystko, by nie utracić przytomności, ale na próżno. Drzwi weneckiego kościoła wciąż były uchylone, więc wśliznął się do środka i zobaczył, jak wysoko ponad ołtarzem głównym stoi na wysięgniku Bellini i ostatnimi pociągnięciami pędzla kończy płótno przedstawiające śmierć Gabriela. Wspiął się powoli i zaczął malować razem z nim.

Walthamstow, Londyn, godzina 2:15, pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia Obserwator był dobry. Kair dobry. Bagdad dobry.

Obrana przez niego trasa z parku Hampstead Heath była długa i niepotrzebnie skomplikowana: zdecydował się na cztery różne autobusy, dwie długie wędrówki i ostatecznie na przejażdżkę metrem linią Victoria ze stacji King's Cross na Walthamstow Central. Szedł teraz ulicą Lea Bridge z telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha, a sto metrów dalej podążał jego tropem Eli Lawon. Skręcił w ulicę Northumberland i trzydzieści sekund później wszedł do niewielkiego domu segmentowego pokrytego z zewnątrz tynkiem kamyczkowym. W oknach na pierwszym piętrze paliły się światła, co było dowodem na to, że w środku przebywają inni lokatorzy.

Lawon okrążył budynek i skierował się na ulicę Lea Bridge, gdzie po drugiej stronie na przystanku autobusowym stała pusta wiata z zadowalającym widokiem na cel. Usiadł ze znużeniem na ławce i usłyszał, jak Uzi Nawot przekazuje adres Grahamowi Seymourowi w siedzibie głównej MI5, więc poczekał, aż skończy, po czym wymamrotał do laryngofonu:

- Uzi, nie mogę tu długo zostać.
- Nie będziesz musiał, bo w drodze są już wojska pancerne.
- Tylko im powiedz, by przybyli tu po cichu - rzekł Lawon.
- I pospiesz się, bo zaraz zamarznię na śmierć.

*

W MI5 i Wydziale Antyterrorystycznym Scotland Yardu w dziesięć minut wyznaczono czterech ludzi, którzy przeprowadzali teraz na ulicy Northumberland 23 zgodną z prawem operację, po czym w dwadzieścia minut uzyskano spis wszelkich rozmów telefonicznych wykonanych z budynku w ciągu dwóch ostatnich lat. Rozmowy przeprowadzone z numerami, które pojawiły się na rządowych listach specjalnego nadzoru, lub z telefonami zlokalizowanymi na terenach znanych z ekstremizmu islamskiego, automatycznie typowano do dodatkowej kontroli, ale wydrukowano również spis rozmów przeprowadzonych z tychże numerów w trakcie dwóch ostatnich lat. W rezultacie w ciągu godziny od pierwszego kontaktu Lawona skonstruowano macierz kilku tysięcy numerów i ponad pięciuset odpowiadających im nazwisk.

Tuż po trzeciej kopia macierzy trafiła do oddziałów specjalnych MI5, które od zaginięcia Elizabeth Halton pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pięć minut później Graham Seymour osobiście dostarczył drugą kopię dokumentu do sali konferencyjnej na trzecim piętrze, którą zajmowały w tej chwili trzy młode kobiety. Jedna była atrakcyjną Amerykanką, mającą niewiele ponad trzydzieści lat, blond włosy do ramion i alabastrową cerę, a pozostałe dwie - Izraelkami: szorstka w obejściu rubensowska kobieta o posturze wojskowego oraz niska, lekko utykająca dziewczyna o ciemnych włosach. Wszystkie trzy przekroczyły granicę Zjednoczonego Królestwa na

falszywych paszportach, mimo to Seymour zgodził się je wpuścić do Thames House, pod warunkiem, że będą używać swoich prawdziwych nazwisk. Rubensowska Izraelka była to major Rimona Stern z AMAN-u, Agencji Wywiadu Wojskowego Izraela; niska dziewczyna nazywała się Dina Sarid i pracowała jako analityk służb wywiadu zagranicznego Izraela; natomiast według papierów potwierdzających tożsamość Amerykanki, była to Irene Moore, oficer wydziału CIA przydzielonego do Centrum Zwalczania Terroryzmu w Langley.

Z wdzięcznością przyjęły od Seymoura drugą kopię dokumentu i rozdzieliły ją między siebie - Amerykanka i Rimona wzięły numery telefonów, a Dina zajęła się nazwiskami. Była w tym dobra i Graham Seymour dobrze to wiedział. Ale było w niej coś jeszcze: wielka powaga, niezłomność, skaza wczesnego wdowieństwa widoczna w ciemnych oczach.

Doświadczyła terroru - pomyślał. Była odporną psychicznie ofiarą o umyśle niczym duży system komputerowy. Wiedział, że macierz nazwisk i numerów zawiera cenny trop, i nie miał

wątpliwości, która pierwsza na niego trafi.

Wymknął się z sali konferencyjnej i postanowił wrócić do centrum operacyjnego, a kiedy przybył na miejsce, na biurku leżała depesza z siedziby głównej policji Essex w Chelmsford. W pobliżu cypla Holliwell, wzdłuż północnych brzegów rzeki Crouch znaleziono porzucony na mieliźnie stateczek, a po analizie stanu silnika przyczepnego okazało się, że ktoś wieczorem z niego korzystał. Podniósł słuchawkę i wybrał numer do Uziego Nawota na izraelskim stanowisku dowodzenia w dzielnicy Kensington.

*

Trzydzieści sekund później Nawot odłożył słuchawkę i przekazał wiadomość Szamronowi.

- Wygląda na to, że miałeś rację co do tego, że nie przeprawili się z nim przez rzekę.

- Wątpiłeś we mnie, Uzi?

- Nie, szefie.

- On żyje - rzekł Szamron - ale zostało mu niewiele czasu. Potrzebujemy jakiegoś przełomu. Jednego nazwiska, jednego numeru telefonu, potrzebujemy czegokolwiek...

- Dziewczyny przez cały czas szukają.

- Miejmy nadzieję, że znajdą, Uzi, i to niebawem...

Następnym razem Gabriel ocknął się, kiedy go myli. Przez chwilę pomyślał z lękiem, że go zabili i że jest świadkiem rytualnego obmywania własnych zwłok. Ale po przejściu przez kolejną warstwę świadomości zorientował się, że porywacze próbują posprzątać po tym wszystkim, co z nim robili.

Po skończonej pracy na moment rozkuli mu ręce, by ubrać go w dres i wsuwane buty, po czym wyszli, nie używając już w stosunku do niego siły. Jakies pół godziny później wrócił

Ishaq i przez kilka chwil, zanim zadał mu pierwsze pytanie, patrzył na Gabriela z perwersyjnym spokojem.

- Gdzie są moja żona i syn?

- Dlaczego jeszcze tu jesteś? Myślałem, że już dawno zniknąłeś.

- Udałem się do Pakistanu, Afganistanu czy innego Srakistanu?

- Tak - rzekł Gabriel. - Znów do domu islamu, kryjówki morderców.

- Zamierzałem się tam wybrać - rzekł Ishaq z uśmiechem - ale poprosiłem o możliwość powrotu, by się z tobą rozprawić, i spełniono moją prośbę.

- Szczęściarz z ciebie.

- No? Powiedz mi, gdzie są moja żona i syn.

- A która jest godzina?

- Za pięć dwunasta - rzekł dumny ze swojego dowcipu i z przesadną gestykulacją spojrzął na zegarek. - Właściwie już za c z t e r y. Twój czas się kończy. To jak? Odpowiedz na pytanie.

- Podejrzewam, że są już na pustyni Negew. Mamy tam tajne więzienie dla najgorszych z najgorszych. To taki odpowiednik czarnej dziury w galaktyce. Po tych, którzy tam wejdą, na zawsze ginie wszelki ślad. Już się tam dobrze zatroszczą o Hanifę i Ahmeda.

- Kłamiesz.

- Prawdopodobnie masz rację, Ishaqu.

- Kiedy negocjowaliśmy przez telefon, powiedziałeś, że jesteś Amerykaninem i że moja rodzina poleci do Egiptu, z kolei teraz mówisz, że są w Izraelu. Rozumiesz, do czego zmierzam?

- A w ogóle do czegoś próbujesz zmierzać?

- Nie można ci ufać, oto do czego zmierzam. Ale przecież to żadne zaskoczenie, w końcu jesteś

Żydem.

- Proszę, ojciec prawi mi kazania na temat niemoralności oszustwa...

- Nie, Allon, to ty zamordowałeś mojego ojca, a ja go uratowałem.

- Wiem, mój umysł jest w tej chwili trochę mętny, Ishaqu, więc będziesz musiał mi to wytłumaczyć.

- Mój ojciec był kiedyś członkiem Miecza Allaha, ale odwrócił się od dżihadu i prowadził na obcej ziemi życie apostaty, po czym spotęgował jeszcze swoje grzechy, związując swój los z tobą, żydowskim mordercą palestyńskich mudżahedinów. Zgodnie z islamskim prawem skazany był za swoje czyny na piekło, ale dzięki mnie umarł męczeńską śmiercią, więc jest teraz szahidem i z pewnością trafi do raju.

Wyrzekł te słowa z tak wielką powagą, że Gabriel wiedział, iż dalsza dyskusja staje się bezsensowna. Przypominałoby to spór z kimś, kto uważa, że Ziemia jest płaska albo że amerykańscy astronauta nigdy nie wylądowali na Księżycu. Nagle poczuł się jak Winston Smith w Pokoju 101 Ministerstwa Miłości. Wolność to niewola. Dwa i dwa to pięć.

Morderstwo własnego ojca to święty obowiązek...

- Niezły byłeś w Danii - rzekł Gabriel. - Bardzo profesjonalny. Musiałeś planować to od dawna. Jak sądzę, zabicie własnego ojca pierwotnie nie było w planie, ale improwizowałeś nadzwyczaj dobrze.

- Dziękuję ci - rzekł poważnie.

- Dlaczego nie byłeś na finale? I dlaczego nie zabiliście mnie razem z nim?

Ishaq uśmiechnął się spokojnie, ale nie zareagował, więc Gabriel sam odpowiedział na to pytanie:

- Ty i Sfinks mieliście wobec mnie inne zamiary od chwili, kiedy po porwaniu zobaczyliście w londyńskich gazetach moje zdjęcie, nieprawdaż?

- Kim jest człowiek, którego nazywasz Sfinksem?

Gabriel zignorował go i kontynuował:

- Sfinks wiedział, że jeśli Amerykanie nie uratują Elizabeth, jej ojciec weźmie w końcu sprawę we własne ręce. Wiedział również, że Robert Halton zaoferuje tylko to, co ma: pieniądze, i że ktoś będzie musiał je dostarczyć. Zaczekał, aż ambasador złoży ofertę, i skorzystał z okazji, by się zemścić.

- Ale ty się zjawiłeś tak czy owak. - Ishaq nie potrafił ukryć zaskoczenia. - Z

pewnością wiedziałeś, że czeka cię taki los. Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego chciałeś wymienić swoje życie za cudze, za życie rozpieszczonej córki amerykańskiego miliardera?

- Gdzie ona jest?

- Naprawdę sądzisz, że powiedziałbym ci, nawet gdybym to wiedział?

- Ależ ty doskonale to wiesz. Ona jest niewinna. Nie masz prawa jej zabić, to jest niezgodne nawet z tym twoim wypaczonym pojęciem *takfir*.

- To córka ambasadora amerykańskiego i chrześniaczka prezydenta Stanów Zjednoczonych, która otwarcie popierała wojnę w Iraku, więc jest uzasadnionym celem, zgodnie z naszym i każdym innym prawem.

- Tylko terrorysta uznałby ją za uzasadniony cel. Zawarliśmy umowę: trzydzieści milionów dolarów za życie Elizabeth Halton, i oczekuję, że się z niej wywiążesz.

- Allon, nie masz prawa niczego żądać. Poza tym nasze prawo pozwala nam okłamywać niewiernych, jeśli zachodzi taka konieczność, i brać od nich pieniądze, jeżeli są nam potrzebne. Te trzydzieści milionów dolarów przemierzą długą drogę, by sfinansować dżihad na całym świecie. Kto wie, może nawet uda nam się za nie kupić broń jądrową, której będziemy mogli użyć do starcia z powierzchnią ziemi waszego kraju?

- Weź sobie te pieniądze i kup tę pieprzoną broń, ale wypuść dziewczynę.

Ishaq wykrzywił się i zmarszczył czoło, jakby znudzony tematem.

- Zatem powróćmy do początkowego pytania - rzekł. - Gdzie jest Hanifa i Ahmed?

- Byli w kopenhaskim areszcie, ale kiedy zażądałeś, bym to ja dostarczył pieniądze, udaliśmy się do Duńczyków i poprosiliśmy ich o wydanie twojej żony i syna, bo chcieliśmy mieć dodatkowe zabezpieczenie. Duńczycy oczywiście spełnili naszą prośbę bez wahania.

Jeśli nie wrócę stąd żywy i nie uwolnicie Elizabeth Halton, twoja rodzina zniknie z powierzchni ziemi.

Wydał się wstrząśnięty, ale nadrobił to bezczelną miną.

- Kłamiesz.

- Mów sobie, co chcesz, ale możesz mi wierzyć, że jeżeli cokolwiek mi się stanie, nigdy więcej ich nie zobaczysz.

- Nawet jeśli to prawda, że zabraliście ich do Izraela jako zabezpieczenie, to kiedy świat dowie się, że ich przetrzymujecie, wyrze na was wielką presję i zmusi was do ich uwolnienia. Wasz rząd nie będzie miał wyboru, będzie musiał się ugiąć. - Wstał raptownie i spojrział na zegarek. - Jest już za dwie dwunasta. Jest coś, czego potrzebujemy od ciebie przed egzekucją, zatem daj nam to bez zbędnych przepychanek, a twoja śmierć będzie stosunkowo bezbolesna. Jeżeli będziesz się upierał i znów z nami szarpał, już chłopcy będą wiedzieli, jak cię podejść, ale tym razem ich nie powstrzymam.

Otworzył drzwi i wyszedł, ale odwrócił się i raz jeszcze popatrzył na Gabriela.

- Jak widać, niebawem również zostaniesz *shahidem*. Jeśli przejdiesz przed śmiercią na islam, z pewnością pójdziesz do raju. W razie czego, służę ci pomocą. Procedura jest naprawdę prosta.

Ishaq nie doczekał się odpowiedzi, więc wyszedł, zamykając drzwi na kłódkę. Gabriel zamknął oczy. Dwa i dwa to pięć, pomyślał. - Dwa i dwa to cztery...

Thames House, godzina 4:15, pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia

- Chyba coś znalazłam.

Graham Seymour podniósł wzrok i spojrzał na Dinę Sarid, utykającą ciemnowłosą Izraelkę. Wskazał jej wolne krzesło przy biurku, jednak dziewczyna nie skorzystała.

- Według spisu British Telecom w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy z domu przy Northumberland wykonano dwadzieścia siedem telefonów na numer zlokalizowany przy ulicy Reginald 14 w Luton, a pięć z nich wykonano p o zaginięciu Elizabeth Halton.

Graham Seymour zmarszczył czoło. Luton, zamieszкана w dużej części przez muzułmanów podmiejska dzielnica Londynu, to jeden z największych problemów MI5.

- Proszę kontynuować - rzekł.

- Zgodnie z waszą macierzą telefon w Luton znajduje się w domu pana Nabila Elbadry'ego, który prowadzi zajmującą się importem i eksportem firmę oraz kilka innych przedsiębiorstw, ale nie figuruje na żadnej waszej liście znanych sympatyków terrorystów czy bojowników dżihadu.

- Więc w czym rzecz? - zapytał.

- Kiedy kilka minut temu zobaczyłam to nazwisko, od razu wiedziałam, że gdzieś już się z nim wcześniej spotkałam.

- Gdzie?

- W tajnych aktach Miecza Allaha, które otrzymaliśmy z egipskiego BŚBN.

Seymour poczuł, że coś zaczyna go palić w żołądku.

- Proszę kontynuować, miss Sarid.

- Pięć lat temu Egipcjanie aresztowali w Kairze Kemela Elbadry'ego, który podczas przesłuchania w kompleksie więzienia Tora przyznał się do udziału w kilku operacjach przeprowadzonych w Egipcie przez Miecz Allaha.

- A co ma wspólnego z Nabilem Elbadrym z Luton?

- Według akt Kernel miał brata Nabila, który wyemigrował do Londynu w 1987 roku, co się dokładnie zgadza ze szczegółami w jego aktach imigracyjnych.

- Czy Kernel wciąż jest w areszcie?

- Nie żyje.

- Stracono go?

- To nie jest zbyt jasne.

Graham Seymour wstał i poprosił w pomieszczeniu operacyjnym o ciszę.

- Nabil Elbadry - krzyknął. - Ulica Reginald 14 w Luton. Chcę wiedzieć o tym człowieku i jego interesach wszystko, co tylko możliwe, i to najpóźniej za pięć minut.

Spojrzał na dziewczynę, a ta kiwnęła głową i powoli pokuśtykała do sali konferencyjnej.

*

Ishaq wyszedł z celi, a dziesięć minut później po Gabriela przyszli chłopcy w czerni.

Prowadzili go po wąskich schodach, a on przygotowywał się na kolejne lanie, ale po wejściu do magazynu posadzili go na składanym aluminiowym krześle.

Popatrzył prosto przed siebie i zobaczył obiektyw kamery wideo. Ishaq odgrywał teraz rolę reżysera i operatora filmowego i kazał czterem mężczyznom stanąć za plecami Gabriela.

Trzech trzymało kompaktowe pistolety maszynowe firmy Heckler & Koch, a jeden złowieszczo dzierżył nóż. Gabriel spodziewał się, że jego czas jeszcze nie nadszedł, ponieważ skuli mu ręce z przodu, a niewiernym, których lada chwila mieli upokorzyć i ściąć, zawsze związywali je z tyłu.

Ishaq dokonał kilku drobnych zmian w ustawieniu rekwizytów, po czym wyszedł zza kamery i wręczył Gabrielowi scenariusz, ale on tylko spojrzał na niego i niczym niezadowolony ze swojej kwestii aktor próbował go oddać.

- Czytaj! - zażądał Ishaq.

- Nie - odrzekł spokojnie.

- Czytaj, bo zabiję cię natychmiast.

Gabriel wypuścił z rąk scenariusz.

*

Zgromadzenie szczegółowego wykazu wszystkich interesów i nieruchomości zarejestrowanych na Nabila Elbadry'ego z ulicy Reginald 14 w Luton zajęło oddziałom specjalnym Grahama Seymoura tylko dziesięć minut. Zatrzymał wzrok w połowie listy.

Firma, której Elbadry był mniejszym udziałowcem, miała hurtownię przy ulicy West Dock w Harwich niedaleko terminalu portowego. Seymour wstał i szybko podszedł do mapy. Miasto leżało w

odległości około sześćdziesięciu kilometrów od miejsca, gdzie policja z hrabstwa Essex znalazła porzuconą łódź. Wrócił do biurka i wybrał numer izraelskiego stanowiska dowodzenia w dzielnicy Kensington.

*

Ishaq pozbierał upuszczone kartki, a kiedy już się uspokoił, przeczytał oświadczenie w imieniu Gabriela. - Gabriel popełnił przeciwko Palestyńczykom i muzułmanom wiele zbrodni

- oznajmił - za co niebawem dosięgnie go miecz sprawiedliwości. Gabriel nie słuchał spisu swoich grzechów, ale wpatrywał się w podłogę magazynu i myślał, dlaczego Ishaq nie pofatygował się, aby zasłonić twarz, stając przed kamerą. Oczywiście znał odpowiedź: przecież to przyszły męczennik i przyjdzie umrzeć im obu. Gdy Ishaq skończył czytać wyrok śmierci, podszedł do kamery i sprawdził, czy wszystko nagrało się jak należy. Zadowolony dał chłopcom znak, by znów zaczęli bić Gabriela - wydawało się, że trwa to całą wieczność.

Uklucie igły było przejawem miłosierdzia, po którym Gabriel zamknął oczy, czując jak tonie w czarnej wodzie.

*

- Uzi, ile czasu zajmie wam sprowadzenie ekip na miejsce?

- Kiedy policja z Essex znalazła łódź, wysłaliśmy tam wszystkich, więc w Harwich najpóźniej za dwadzieścia minut będą się mogły zjawić trzy ekipy. Jest tylko jedno pytanie: co zrobimy, gdy już tam dotrzemy?

- Najpierw ustalmy, czy on tam naprawdę jest, a jeśli tak, to czy wciąż żyje, potem zaczekamy.

- Zaczekamy? Ale dlaczego, szefie?

- Uzi, przybyliśmy tu, by ratować Amerykankę i nigdzie się stąd bez niej nie ruszymy.

Harwich, Anglia, godzina 5:30, pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia Harwich, zamieszkane przez piętnaście tysięcy dusz, to zachmurzone i senne z powodu ciągłych opadów deszczu starożytne miasto portowe u zbiegu rzek Stour i Orwell. W zatoce Ramsey Creek nie było żadnych statków, a do terminalu portowego przyjechało tylko kilka samochodów, żeby pierwszą poranną przeprawą dostać się na kontynent. W zostawionym na pastwę mew średniowiecznym centrum miasteczka wszystkie okiennice były szczelnie pozamykane.

W tej scenerii, w świąteczny poranek dokładnie o 4:45, pojawiło się sześcioro działających w terenie tajnych agentów ze służb zagranicznego wywiadu Izraela. Do piątej potwierdzili, że w hurtowni przy ulicy West Dock istotnie ktoś przebywa, a do 5:15 udało im się zainstalować na tyłach małą radiokamerkę w rogu rozbitego okna. Rozproszyli się teraz ostrożnie po okolicznych ulicach: Jaakow zajął stanowisko przy Station Road w odległości stu metrów od hurtowni, Jossi na ulicy Refinery, Oded i Mordechaj pospiesznie ukryli furgonetkę inwigilacyjną pod wiaduktem na trasie A120, a Michaił i Chiara, którzy spędzili tę noc na motorze bmw, ukrywali się z tyłu samochodu i wpatrywali w ekran wideoodbiornika.

Pomimo że obraz był słaby i często występowały zakłócenia, wyraźnie widzieli, co się dzieje w hurtowni. Czterech ubranych na czarno mężczyzn ładowało na tył furgonetki vauxhall wielkie beczki ciecicy pod nadzorem szczupłego wyglądającego na Egipcjanina mężczyzny w bordowym swetrze w serek.

O 5:40 pięciu mężczyzn zniknęło z zasięgu kamery i dziesięć minut później wróciło z ostatnim elementem swojej broni masowego mordy - związanym i oklejonym taśmą mężczyzną w niebiesko-białym dresie z zakrwawioną i spuchniętą twarzą.

- Proszę, Michaile, powiedz, że Allon żyje.

- Żyje, Chiaro.

- Skąd wiesz?

- Nie podpinaliby go do bomby, gdyby nie żył.

Ale najlepszym dowodem na to, że żyje, pomyślał ponuro, jest głowa. Gdyby nie żył, już by jej nie miał. Nie podzielił się z nią tym spostrzeżeniem. Tej nocy i tak już wystarczająco dużo przeszła.

O 5:55 czterech mężczyzn przebrało się w codzienne stroje. Trzech wsiadło do ciężarówki mercedes i odjechało, czwarty usiadł za kierownicą furgonetki vauxhall, a wyglądający na Egipcjanina mężczyzna w bordowym swetrze dołączył na tył do Gabriela.

Dokładnie o szóstej furgonetka skręciła w ulicę West Dock i skierowała się w stronę wjazdu na trasę A120, a za nią ostrożnie jechały cztery pojazdy. Jaakow był teraz na pierwszej pozycji, a kolumnę zamykał motor BMW Chiary i Michaiła, który usiadł z tyłu na miejscu Strzelca.

*

Gabriel najpierw powoli otworzył jedno oko, po chwili drugie. Bezskutecznie próbował poruszyć kończynami. Uderzał głową o coś metalowego - udało mu się odwrócić na tyle, by zobaczyć, że tym czymś jest stalowa beczka, a obok inne beczki, w sumie pięć, wszystkie połączone siecią przewodów, które prowadziły do przycisku detonatora na konsoli przy kierowcy. Naprzeciwko Gabriela siedział Ishaq - miał skrzyżowane nogi, a na kolanach broń.

Uśmiechał się jakby dumny z tego sprytnego pomysłu, który uświadomił Gabrielowi sposób przeprowadzenia zbliżającej się egzekucji.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

- Do raj.

- Twój kierowca zna drogę, czy po prostu zdaje się na własne wyczucie?

- Zna - rzekł Ishaq. - Przygotowywał się do tej drogi od bardzo dawna.

Gabriel odwrócił głowę i spojrzał na kierowcę. Był kilka lat młodszy od Ishaqa, gładko ogolony. Obie ręce trzymał na kierownicy jak nowicjusz na pierwszej samotnej przejażdżce.

- Chcę usiąść - rzekł.

- Radzę ci - leż. Jeśli wstaniesz, będzie bolało.

- Nie dbam to - rzekł Gabriel.

- Wedle życzenia.

Ishaq chwycił Gabriela za ramiona i brutalnie oparł go o ściankę między miejscem pasażera a ładunkiem. Miał rację - zmiana pozycji na siedzącą była n a p r a w d ę bardzo bolesna, prawdę mówiąc, tak go to zabolalo, że prawie stracił przytomność. Jednak teraz widział przynajmniej skrawek przedniej szyby. Na zewnątrz wciąż było ciemno, ale po jednej stronie nieba stopniowo pojawiał się głęboki intensywny błękit. Pierwszy brzask świątecznego poranka - pomyślał Gabriel. Sądząc po małej prędkości, z jaką jechali, i braku jakiegokolwiek hałasu ulicznego, znajdowali się na bocznej drodze. Spojrzał na znak drogowy, który przemknął mu przed oczyma: SHRUB END 3. Shrub End? Gdzież na Boga leży Shrub End?

Z bólu zamknął oczy i usłyszał dźwięk zbliżającego się z dużą prędkością motocykla -

był wysoki i stłumiony jak odgłos silnika o wyśrubowanych parametrach. Otworzył oczy i zobaczył, jak błyskawicznie przemyka w tumanie kurzu, po czym znów popatrzył na Ishaqa i po raz drugi zapytał, dokąd jadą. Tym razem tylko się uśmiechnął, to był uśmiech męczennika. Gabriel znów zamknął oczy i pomyślał o motocyklu. - Jedź po zabójczy strzał. -

Ale przecież Michaił i tak nie znał innego...

*

Uzi Nawot odłożył słuchawki radia i spojrzał na Szamrona.

- Michaił mówi, że wciąż są w tej samej konfiguracji, w jakiej odjechali spod hurtowni: jeden prowadzi, drugi siedzi z tyłu z Gabrielem. Mówi, że da radę precyzyjnie trafić kierowcę, ale w życiu nie uda mu się trafić obu.

- Uzi, musisz ich zatrzymać, i to w takim miejscu, gdzie nie zginie od wybuchu żaden niewinny człowiek.

- A jeśli się nie zatrzymają?

- Miej w pogotowiu plan awaryjny.

*

Gabriel próbował o nich nie myśleć - starał się nie zastanawiać, jak go odnaleźli, jak długo obserwują go i śledzą ani jak zamierzają go stąd wydostać. Jeśli chodzi o Gabriela, nie było ich. Nie istnieli. Byli duchami. Kłamstwem. Myślał o wszystkim innym: o obolałych połamanych żebrach, mrowiących zdrętwiałych kończynach i o wspierającym się na lasce z drewna oliwnego Szamronie. „Poruszamy się jak cienie, uderzamy jak błyskawice i ulatniamy się jak kamfora”. Tylko zróbcie to szybko - pomyślał, ponieważ bał się, że dłużej nie utrzyma równowagi na moście nad Dżahannam.

Wyobraził sobie zegar i jego bezustannie krążący sekundnik. Nasłuchiwał innych pojazdów i czytał napisy na przemykających znakach drogowych: HECKFORDBRIDGE...

BIRCH... SMYTH'S GREEN... TIPTREE... GREAT BRAXTED... Nawet on, wyszkolony przez Agencję ekspert w geografii Europy, nie potrafił zlokalizować miejsca swojego obecnego pobytu. W końcu zobaczył znak z napisem CHELMSFORD i zorientował się, że jadą do Londynu od strony północno-wschodniej, drogą wybudowaną kiedyś przez starożytnych Rzymian. Kiedy zbliżali się do wioski o nazwie Langford, kierowca nagle zwolnił, więc Ishaq chwycił pistolet i przyłożył go do klatki piersiowej w obronnej pozycji.

Spojrzał na kierowcę.

- Co się dzieje? - wymamrotał po arabsku.

- Mamy na horyzoncie wypadek. Machają, bym się zatrzymał.

- Jest policja?

- Nie, tylko kierowcy.

- Nie zatrzymuj się.

- Zatarasowali drogę.

- To ich objeżdż - Ishaq tracił panowanie nad sobą.

Kierowca szarpnął w lewo kierownicą, furgonetka przechyliła się o kilka stopni, a kiedy zjechała na pobocze, wstrząsy przeszły obolałe ciało Gabriela niczym seria z karabinu maszynowego. Gdy przejeżdżali obok kraksy, Gabriel spostrzegł wysokiego łysiejącego mężczyznę po czterdziestce, który żałośnie machał i błagał, by się zatrzymali, a obok niego gościa z dziobatymi policzkami, wpatrującego się w roztrzaskany reflektor, tak jakby próbował obmyślić dla swojej żony jakąś prawdopodobną historyjkę. Kiedy samochód wjechał na drogę i popędził dalej w stronę Londynu, Gabriel spojrzął na Ishaq'a i rzekł:

- Są święta Bożego Narodzenia. Kto w świąteczny poranek zostawia na drodze dwóch kierowców potrzebujących pomocy?

W odpowiedzi został brutalnie zepchnięty na podłogę. Jego pole widzenia ograniczało się teraz do butów Ishaq'a, spodu sześciu beczek pełnych materiałów wybuchowych i płataniny przewodów prowadzących do przycisku detonatora na konsoli. Ishaq, który spieszył

się, by dotrzeć do Londynu według planu, niepostrzeżenie udaremnił pierwszą próbę odbicia.

Drugą - o czym Gabriel dobrze wiedział - przeprowadzą już bez żadnego podstępu, więc zamknął oczy i nasłuchiwał odgłosu motocykla.

*

Nawot kazał Jossiemu i Jaakowowi wsiąść do rozbitych samochodów i ostatni raz spojrzął na Szamrona w oczekiwaniu na wskazówki.

- Obawiam się, że to już trwa zbyt długo - rzekł Szamron. - Zatrzymaj ich w takim miejscu, gdzie nikt inny nie zostanie ranny, i wydobądź go stamtąd w jednym kawałku.

*

Ishaq czytał po cichu Koran, kiedy Gabriel usłyszał warkot zbliżającego się motoru.

Skupił wzrok na leżącej na kolanach Ishaq'a broni i przygotował się do zadania ciosu związanymi nogami. Przez kilka następnych sekund dźwięk silnika się nasilał, ale nagle zamilkł. Ishaq spojrzął znad Koranu przez okno, a kiedy nie zobaczył motoru, popatrzył

zaniepokojony na Gabriela, jakby przeczuwał, co się za moment wydarzy. Gdy chwycił za broń, nastąpił wybuch, który roztrzaskał przednią szybę, poleciało szkło i połała się krew.

Kierowca trafiony kilka razy w głowę osunął się w lewą stronę, a jego martwa ręka szarpnęła kierownicę. Ishaq wycelował broń w Gabriela, ale w tej chwili furgonetka stoczyła się z drogi. Gabriel podniósł związane nogi i jednym kopnięciem wytrącił Ishaqowi broń z ręki, on w desperacji próbował odzyskać pistolet, ale w tej chwili samochód zaczął dachować.

Leżał na wilgotnej ziemi i półprzytomny z bólu nie mógł złapać tchu. Krzycząca coś do niego kobieta zdierała oklejającą go taśmę. Jej głos tłumił kask, a twarz skrywała ciemna osłona.

- Gabrielu, jak się czujesz? - mówiła. - S ł y s z y s z mnie? Gabrielu, odpowiedz!

Słyszysz mnie? Niech cię diabli! Gabrielu, obiecałeś, że nie umrzesz, więc n i e u m i e r a j!

Runsell Green, Anglia, godzina 6:42, pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia Bez trudu przedarli się przez rosnący wzdłuż drogi piękny stary żywopłot i pomknęli w stronę najbliższych zabudowań. Furgonetka zatrzymała się na dachu, a jej zawartość leżała porozrzucana na błotnistej ziemi niczym zabawki na przedszkolnej podłodze. W odległości co najwyżej pięćdziesięciu metrów od tego miejsca stado tłustych bażantów dziobało ziemię, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. W kamiennym domu stojącym na skraju pola zapalały się światła. Mieszkańcy na długo zapamiętają ten świąteczny poranek.

- Gdzie Ishaq? - zapytał Gabriel, kiedy Chiara skończyła odcinać taśmę.

- W furgonetce.

- Żyje?

- Tak.

- Jest przytomny?

- Ledwie - rzekła. - Ciebie szybko wyrzuciło z samochodu, ale on nie miał tyle szczęścia.

- Pomóż mi wstać.

- Leż, Gabrielu, jesteś ciężko ranny.

- Chiaro, rób, co mówię, i pomóż mi wstać. Kiedy go podniosła, jęknął z bólu. Zrobił krok i zachwiał się, ale chwyciła go za rękę, więc nie upadł.

- Gabrielu, połóż się i zaczekaj na karetkę.

- Żadnych karetek. Pomóż mi tam podejść.

Michaił podbiegł truchtem, wciąż trzymając w ręce broń, i razem z Chiarą pomógł mu powoli podejść do furgonetki. Kierowca zwisał do góry nogami w pasie bezpieczeństwa, a z jego pękniętej czaszki lała się strumieniami krew, natomiast leżący na plecach Ishaq miał

zakrwawiony nos i usta, a jego lewa noga złamana była powyżej kolana jak zapałka. Gabriel spojrział na Michaiła i rzekł po hebrajsku:

- Wyciągnij go za nogę. Za tę z ł a m a n ą nogę.

- Nie rób tego - powiedziała Chiara.

- Odejdź stąd. - Popatrzył na Michaiła. - Rób, co ci każę, bo inaczej sam to zrobię.

Michał dał nura do furgonetki, chwycił roztrzaskaną nogę i chwilę później Ishaq kulił

się na ziemi przy stopach Gabriela. Chiara nie była w stanie znieść tego widoku, więc odeszła na bok, a Gabriel spojrział na niego i zapytał:

- Gdzie dziewczyna?

- Nie żyje - wypluł z siebie razem z krwią.

Gabriel wyciągnął rękę w stronę Michała.

- Daj broń.

Kiedy mu ją wręczył, Gabriel wycelował w złamaną nogę i strzelił. Krzyk Ishaq odbił się echem ponad polem, a jego palce wczepiły się w rozmokłą ziemię. Bażanty odleciały i krążyły teraz nad głową Gabriela.

- Gdzie dziewczyna? - powtórzył spokojnie.

- Nie żyje!

Kolejny strzał. Kolejny krzyk i męczarnia.

- Gdzie dziewczyna?

- Nie...

Strzał.

- Gdzie dziewczyna?

- *Allahu Akbar!*

Strzał.

- Gdzie Elizabeth?

- *Allahu Akbar!*

Strzał. Strzał.

- Mów, gdzie ona jest.

Gabriel wycelował broń i przygotował się do kolejnego strzału, ale gdy tym razem uniósł rękę, wyjący z bólu Ishaq jak kamieniami zaczął rzucać w niego: ulica Ambler 17, dwóch męczenników, opactwo westminsterskie, godzina dziesiąta, Bóg jest wielki.

Finsbury Park, Londyn, godzina 7:30, niedziela

Nigdy wcześniej nie widziała, by wpadli do celi w taki sposób. Kain przemówił do niej po raz pierwszy od ponad dwóch tygodni:

- Uwolnimy cię - zdradził. - Masz dwadzieścia minut, by się przygotować, a jeśli do tego czasu nie będziesz gotowa, zabijemy cię.

Natychmiast zniknął.

Po chwili pojawił się Abel - przyniósł plastikowe wiadro z ciepłą wodą, kostkę mydła, myjkę i ręcznik, czyste ubrania i blond perukę. Wiadro postawił na podłodze, a rzeczy zostawił na łóżku polowym i zdjął jej kajdanki z rąk i nóg.

- Umyj się dokładnie i ubierz starannie - wytłumaczył spokojnie. - Przynieśliśmy ci coś ładnego do ubrania. Nie chcemy, by świat myślał, że cię tu źle traktowaliśmy.

Wyszedł i zamknął drzwi. Miała ochotę krzyknąć z radości i ulgi, miała ochotę się rozpłakać, ale jak na wzorową więźniarkę przystało, zrobiła dokładnie to, co jej kazano.

Wykorzystała tylko piętnaście minut z wyznaczonego czasu, a kiedy znów weszli do celi, siedziała na brzegu łóżka ze złączonymi kolanami i cała się trzęsła.

- Gotowa? - zapytał Kain.

- Tak - odrzekła zmienionym tonem, który był teraz cichy i spokojny. - No to idziemy

- powiedział.

Wstała i powoli poszła za nimi po ciemnych schodach.

*

O 7:48 do ambasady izraelskiej przy Old Court Place dotarła informacja o udanej próbie odbicia Gabriela. Przez zwykły telefon komórkowy przekazała ją Chiara, która w tym momencie siedziała obok Gabriela na tylnym siedzeniu volkswagena passata z roztrzaskanym reflektorem i zgniecionym błotnikiem. Telefon odebrał Szamron, a gdy usłyszał wiadomość, zakrył twarz, a po policzkach popłynęły mu łzy. Jego wzruszenie było tak wielkie, że przez kilka sekund zebrani wokół niego ludzie nie byli pewni, czy Gabriel zginął czy nie. Kiedy się wreszcie wyjaśniło, że żyje i jest już w dobrych rękach, w pomieszczeniu rozległy się okrzyki. Brytyjczycy z GCHQ, podsłuchujący tej nocy wszelkie izraelskie połączenia, przechwycili i nagrali również te radosne odgłosy oraz prośby Szamrona o ciszę, gdy słuchał

drugiej części meldunku Chiary. Natychmiast wykonał dwa telefony: pierwszy do Adriana Cartera w

amerykańskim centrum operacyjnym na Grosvenor Square i drugi do Grahama Seymoura, który przebywał z premierem i komisją specjalną COBRA na Downing Street. Ten szybko załatwił policyjną eskortę, by bezpiecznie sprowadzić do Londynu Gabriela i resztę jego ekipy, i tak jak Szamron popędził do ambasady amerykańskiej. Obok Adriana Cartera stało dwóch mężczyzn, kiedy przy północnej bramie z piskiem opon zatrzymał się zdezelowany passat z eskortą.

Samochód natychmiast otoczyły dwa tuziny umundurowanych funkcjonariuszy policji pełniących pod ambasadą straż, przez co chwilowo Szamron miał ograniczone pole widzenia.

Nagle żółtozielone morze rozstało się i po raz pierwszy mignął mu przed oczami Gabriel -

jedną ręką wspierał się na ramieniu Jossiego, drugą na ramieniu Odeda. Miał wykrzywioną bólem spuchniętą twarz i poplamiony krwią i błotem niebiesko-biały dres. Przeprowadzili go przez bramę i na moment przystanęli przed trzema starszymi szefami siatek szpiegowskich.

Szamron delikatnie pocałował Gabriela w policzek i wyszeptał po hebrajsku coś, czego nikt nie rozumiał. Gabriel uniósł głowę i spojrzał na Grahama Seymoura.

- Jeśli mi powiesz, żebym się zbytnio nie uskarżał nawet na poważnego guza, chyba stracę nad sobą panowanie.

- Jesteś cholernym głupcem, cholernie odważnym głupcem.

- Seymour spojrzał na Adriana Cartera. - Zabierzmy go do środka, dobrze?

*

W ambasadzie na parterze, na dziedzińcu wewnętrznym czekali Robert Halton, negocjator FBI do spraw zakładników John O'Donnell, i kilku innych członków amerykańskiej ekipy. Kiedy Gabriel wszedł do środka, wciąż wspierając się na Jossim i Odedzie, powitali go umiarkowanymi brawami, jakby się bali, że zbyt duży hałas mógłby mu wyrządzić kolejną krzywdę. Ambasador podszedł do niego i ostrożnie położył mu ręce na ramionach.

- Mój Boże, co oni panu zrobili? - Spojrzał na Adriana Cartera. - Zabierzmy pana Allona do mojego biura, tam zaopiekują się nim lekarze.

Poprowadzili go do czekającej windy i szybko wjechali na ósme piętro. Jossi i Oded posadzili Gabriela na kanapie, ale kiedy do pokoju mieli wejść lekarze, Graham Seymour zatrzymał ich i szybko zamknął drzwi.

- Dwadzieścia minut temu ekipa specjalna tajnych agentów policji przeprowadziła nalot na dom przy ulicy Ambler, gdzie według Ishaq przetrzymywano Elizabeth. Nie było jej tam, ale jest mnóstwo dowodów na to, że jeszcze przed chwilą tam przebywała. Sfinks prowadził nas fałszywym tropem po zachodniej Europie, a ona przez cały czas była w Anglii, tuż pod naszym nosem. Tylko pytanie, gdzie jest teraz?

- Informacja, którą Ishaq przekazał Gabrielowi, na temat miejsca pobytu Elizabeth okazała się

prawdziwa - rzekł Adrian Carter.

- Więc można uznać, że prawdą jest informacja, co zamierzają z nią zrobić.

- Tak - rzekł Gabriel. - Dwaj zamachowcy samobójcy zabiją ją pod opactwem westminsterskim przed świątecznym nabożeństwem, zabierając ze sobą wiele niewinnych istnień. Ja miałem zginąć w drugim ataku, czyli potężnym wybuchu samochodu pułapki, który najpierw zniszczyłby setki waszych radiolokacyjnych urządzeń odpowiadających.

- Rzeź przed naszym najważniejszym symbolem narodowym w święto narodzin Zbawiciela - rzekł Graham Seymour. - Ma wywołać w Egipcie powstanie zbrojne i zmusić ten kraj do uległości. - Zawahał się, po czym rzekł: - Rzeź, której musimy zapobiec. W tej chwili przy północnym wejściu do opactwa zgromadziło się kilkaset osób, które czekają na planowane na dziesiątą trzydzieści nabożeństwo, kolędy i czytanie Pisma Świętego. Nasze jedyne wyjście to zamknięcie dostępu do Westminsteru i szybka ewakuacja z tego terenu wszystkich ludzi.

- To posunięcie automatycznie skazuje Elizabeth na śmierć - rzekł Gabriel. - Jeśli szahidzi dotrą do Westminsteru i zobaczą opustoszałe i oblężone opactwo, uciekną się do planu awaryjnego, czyli natychmiast ją zabiją bez względu na to, gdzie się akurat będą znajdowali.

- Wybacz mi szczerść - rzekł Seymour - ale to lepsze niż ich pierwotny plan, lepsze bez porównania.

- Nie po to przeszedłem piekło, by teraz się wycofać - powiedział Gabriel. - Naprawdę istnieje jeszcze jedno wyjście.

- Jakie?

- Ishaq mówił, że Elizabeth będą towarzyszyli dwaj mężczyźni - rzekł. - Mówił również...

Graham Seymour podniósł rękę.

- Gabrielu, nawet nie kończ. To szaleństwo.

- Grahamie, zaczekamy, aż przybędą szahidzi, po czym ich zabijemy, zanim oni zdążą zabić Elizabeth.

- My?

- A co, przepraszam, zamierzacie zrobić? Zastrzelić ich z oddali jak snajperzy, czy może jak dżentelmeni z odległości dwudziestu kroków? Musicie pozwolić im się zbliżyć i zabić ich, zanim zdążą wcisnąć przyciski detonatorów. A to oznacza strzały w głowę z całkiem bliska, co nie jest przyjemne, Grahamie. Jeżeli strzelcy zawahają się choć przez sekundę, stanie się nieszczęście.

- Mamy w policji jednostkę zwaną SO19: Niebieskie Berety. To świetnie wyszkoleni oficerowie, wyspecjalizowani w takich właśnie akcjach. Jeśli mnie pamięć nie myli, na szkolenia wysłaliśmy ich

do Izraela.

- To prawda - rzekł Szamron. - I są świetni, ale nigdy nie brali udziału w prawdziwej operacji tego typu. Potrzebujecie strzelców, którzy robili już kiedyś coś takiego i którzy się nie zawahają pod wpływem stresu. - Przerwał i dodał: - Potrzebujecie takich strzelców jak Gabriel i Michał.

- Gabriel ledwo stoi na nogach - rzekł Seymour.

- Da radę - odrzekł, nie zwracając sobie głowy tym, żeby się z nim skonsultować. -

Dokończmy to, co zaczęliśmy.

- Skąd będziesz wiedział, że to naprawdę ona?

Gabriel spojrział na Roberta Haltona.

- Jeśli ktokolwiek może to stwierdzić, to najpewniej jej ojciec. Ustawcie go z miniaturowym radiem na dziedzińcu przy północnej części opactwa, skąd będzie w stanie dojrzeć każdego, kto się zbliża od ulicy Whitehall czy Victoria. Gdy zobaczy Elizabeth, dajcie nam sygnał, a my z Michałem już się zajmujemy resztą.

- Ale jednego nie rozumiem - rzekł Seymour. - Jak zmuszą Elizabeth do pójścia na własną egzekucję?

Gabriel pomyślał o wypowiedzianych przez Ibrahima słowach w tę noc, kiedy zginął

w Danii.

- Powiedzą jej, że ją uwolnią - rzekł. - Tym sposobem pójdzie z własnej woli i zrobi dokładnie to, co jej każą.

- A to bydlaki - rzekł cicho Seymour i popatrzył na zegarek.

- Zakładam, że macie odpowiednią broń i amunicję?

Gabriel przytaknął.

- Co z łącznością?

- Mogę pożyczyć radia od ochrony z naszej ambasady - rzekł Carter. - Nasi agenci z BD stale pracują z londyńską policją nad zapewnieniem bezpieczeństwa, więc wszyscy będziemy mogli się łączyć na jednej zaszyfrowanej częstotliwości.

Seymour spojrział na Gabriela.

- A co robimy z n i m? Nie może pojechać do Westminsteru w takim stanie.

- Jestem pewien, że uda nam się tu znaleźć dla niego jakiś strój - rzekł Carter. - Na dole w piwnicy

jest dwieście osób, które przyleciały z Waszyngtonu z walizkami pełnymi ubrań.

- A co z twarzą? Wygląda fatalnie.

- Obawiam się, że musiałby się zdarzyć świąteczny cud, by ją doprowadzić teraz do porządku.

Graham Seymour zmarszczył czoło, podszedł do biurka ambasadora i wybrał numer.

- Muszę pomówić z premierem - rzekł. - I to natychmiast.

Opactwo westminsterskie, godzina 9:45, pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia Gotyckie wieże opactwa westminsterskiego - angielskiego narodowego miejsca modlitwy, scenerii królewskich koronacji od czasów Wilhelma Zdobywcy i cmentarza brytyjskich monarchów, mężów stanu i poetów - lśniły w rześkich zimowych promieniach słonecznych.

Przejaśnienia, które poprzedniego dnia rano obiecywali meteorolodzy, w końcu nadeszły.

Gabriel nie zastanawiał się, czy to dobry znak, czy zły - po prostu cieszył się tą odrobiną słonecznego ciepła na opuchniętej twarzy. Siedział na ławce na Parliament Square w pożyczonym ubraniu i wielkich okularach przeciwsłonecznych zakrywających posiniaczone oczy. Lekarze dali mu w ambasadzie dużą dawkę kodeiny, która uśmierzyła ból, ale i tak musiał wspierać się nieznacznie na Michaille, którego skórzana kurtka wciąż była wilgotna po nocnym pościgu za Gabrielem, kiedy to pędził na motocyklu przez hrabstwo Essex. Nerwowo wystukiwał prawą ręką rytm na przetartych niebieskich dzinsach.

- Przestań - rzekł Gabriel. - Przyprawiasz mnie o pieprzony ból głowy.

Michaił przestał na moment i znów zaczął. Gabriel wpatrywał się w trójkątny trawnik w północnej części opactwa. Na Victoria Street pod drzewem z nagimi konarami stał Adrian Carter ubrany w uszankę, którą miał na sobie tego popołudnia, kiedy spacerowali razem po kopenhaskich ogrodach Tivoli. Obok niego był ambasador Robert Halton w fedorze na głowie, z ciemnymi okularami na nosie i przewodem w uchu. Przy nim stała Sara Bancroft, niegdyś z waszyngtońskiego muzeum Philips Collection, ostatnio z Centralnej Agencji Wywiadowczej, a teraz w pełni zindoktrynowana obywatelka nocy. Z wszystkich tu obecnych tylko ona naprawdę zdawała sobie sprawę z okrucieństwa, które miało się wydarzyć. - Czy będzie w stanie na to patrzeć? - zastanawiał się Gabriel. - Czy i tym razem skorzysta z okazji, by spojrzeć w przeciwnym kierunku?

Rozejrzał się po nasłonecznionych ulicach Westminsteru - Eli Lawon i Dina Sarid kręcili się po Great George Street, Jaakow i Jossi flirtowali z major Rimoną Stern pod budynkiem parlamentu, Mordechaj stał w cieniu Big Bena z otwartym przewodnikiem turystycznym, a po drugiej stronie Victoria Street pod Storey's Gate w nieoznakowanym pojeździe dowodzenia siedział Graham Seymour, komendant londyńskiej policji i szef SO19, oddziału do zadań specjalnych. Bezzwłocznie zebrano jego dwudziestu najlepszych strzelców, którzy rozproszyli się teraz wokół opactwa i po okolicznych ulicach Westminsteru.

Gabriel słyszał urywki ich meldunków przez umieszczoną w uchu słuchawkę, ale jak dotąd udało mu się wypatrzeć tylko pół tuzina z nich. To, czy znał ich tożsamość, nie miało zresztą znaczenia, ponieważ najważniejsze było, że oni znali jego.

- Bardzo źle było? - zapytał Michaił. - Chodzi mi o bicie.

- Zrobili sobie z tego taką niewielką zabawę - rzekł lekceważąco, zupełnie nie miał

ochoty skarżyć się na przeżycia ubiegłej nocy. - To było nic w porównaniu z tym, co wycierpiał Ibrahim w rękach egipskiej policji.

- Dobrze ci było tak do niego strzelać?

- Do Ishaq'a?

Młodszy mężczyzna przytaknął.

- Nie, Michaile. Musiałem to zrobić. - Gabriel podniósł rękę i wskazał północne wejście do opactwa. - Spójrz na tych wszystkich ludzi. Wielu z nich niebawem by zginęło, gdybym tak nie postąpił.

- Nadal możemy zginąć, jeśli chybimy. - Michał spojrzał na niego. - Mówisz, jakbyś próbował przekonać samego siebie, że torturowanie go było moralnie uzasadnione.

- Chyba tak. Przekroczyłem granicę, ale w końcu wszyscy ją przekroczyliśmy.

Amerykanie przekroczyli ją po jedenastym wrześniu, a teraz próbują znaleźć drogę odwrotu.

Niestety, cele terrorystów się nie zmieniły i pokolenie, które niebawem wyłoni się z irackich pól śmierci, będzie znacznie bardziej agresywne i nieprzewidywalne niż to, które zrodził

Afganistan.

- My mamy odwagę się bronić, a to nas terroryści oskarżają o prawdziwy terror.

- Michaile, musisz się do tego przyzwyczaić. To ich tajna broń, taka sama jak te supertajne kryjówki gdzieś na końcu świata.

Gabriel usłyszał w słuchawce trzeszczenie, więc spojrzał na północne wejście do opactwa i zobaczył, że ogromne drzwi otwierają się powoli. Graham Seymour załatwił, by personel opactwa wpuścił świątecznych wiernych wcześniej niż zazwyczaj - prosty manewr, który powinien znacznie zmniejszyć liczbę potencjalnych ofiar. Gabriel miał tylko nadzieję, że szahidzi nie zorientują się, że zastawiono na nich pułapkę.

- Więc? - zapytał Gabriel.

- Co więc? Mówiłeś coś o tajnej broni.

- Mówiłem o kryjówkach. Gdzie jest ta, w której byłem wczoraj w nocy?

- W Harwich.

- Zawsze chciałem zwiedzić to miasto - rzekł. - Ile z tego widziała Chiara?

- Tylko końcówkę, kiedy pakowali cię do furgonetki. - Położył mu rękę na ramieniu. -

Żałuję, że nie pozwoliłeś mi zastrzelić tej kanalii.

- Spokojnie, Michaile, są święta Bożego Narodzenia.
- Nie dla nas - rzekł. - Mam tylko nadzieję, że Ishaq nie kłamał.
- Nie kłamał - rzekł Gabriel.
- A co będzie jeśli zabiorą ją gdzieś indziej?
- Nie zabiorą. Masz papierosy?

Michaił poklepał lewą kieszeń kurtki.

- A zapalniczkę? - zapytał Gabriel.
- Mam wszystko. Brakuje nam tylko Elizabeth.
- Już nadchodzi - rzekł. - Niebawem będzie po wszystkim.

*

Jechali wysłużonym jasnoszarym fordem fiestą - zielonooki Abel prowadził, a Kain siedział obok niej na tylnym siedzeniu. Ich twarze nie skrywały kominiarki, więc widziała je po raz pierwszy - ich młody wiek naprawdę ją zaszokował. Mieli na sobie grube płaszcze, byli starannie ogoleni, a wokół nich unosiła się woń wody kolońskiej o zapachu drzewa sandałowego. Kain ścisnął jej rękę lewą dłonią, a w prawej trzymał broń. Elizabeth próbowała na nią nie patrzeć, nawet nie chciała o niej myśleć, tylko spoglądała w milczeniu przez okno.

Minęły ponad dwa tygodnie, odkąd była ostatnio na świeżym powietrzu, odkąd widziała kogoś innego niż Kaina, Abla i ich zamaskowanych współników, odkąd spojrzała na słońce i miała choćby najmniejsze pojęcie, która jest godzina. To okno było jej bramą do rzeczywistości. - Kain i Abel pochodzą ze świata potępieńców - pomyślała. - A po drugiej stronie lustra jest ziemia żywych.

Przez kilka minut nie wiedziała, gdzie się znajdują. Nagle przed oczami mignęła jej stacja metra w Camden Town i zorientowała się, że jadą na południe Londynu. Była ładna pogoda, ale ulice były dziwnie ciche. Na ulicy Tottenham Court zobaczyła bożonarodzeniowe wieńce i zdała sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie jest to świąteczny poranek.

Przejechali przez Oxford Street i z Charing Cross zmięrzali teraz na Trafalgar Square, po czym skierowali się ulicą Whitehall do Westminsteru. Kiedy skręcili w Victoria Street, Elizabeth zobaczyła tłum kłębiący się pod północną wieżą opactwa. Pod bezlistnym drzewem obok zmęczonego człowieka w uszance stał wytwornie wyglądający wysoki mężczyzna w fedorze, który był bardzo podobny do jej taty. Oczywiście to nie był on, ponieważ jej urodzony w Kolorado ojciec za nic w świecie nie dopuściłby do tego, by widziano go w takim kapeluszu.

Chwilę później skręcili w ulicę Abbey Orchard. Abel zaparkował w miejscu, gdzie był

zakaz i zgasił silnik, a Kain wsunął pistolet do kieszeni płaszcza i mocno ścisnął Elizabeth za rękę.

- Pójdziemy na bardzo krótki spacer - rzekł - a potem cię uwolnimy. Wsiądź powoli z samochodu i włóż ręce do kieszeni płaszcza. Zaprowadzimy cię w wyznaczone przez nas miejsce. Patrz w dół i nie odzywaj się ani słowem. Jeśli nie zrobisz dokładnie tego, co ci każemy, strzelę ci w serce. Rozumiesz?

- Tak - rzekła spokojnie.

Kain nachylił się nad kolanami Elizabeth i otworzył jej drzwi, a ona powoli postawiła nogi na ulicy i wysiadła z samochodu. To był jej pierwszy krok ku wolności...

*

Wskazówki Big Bena pokazywały 9:57, kiedy coś zatrzeszczało w słuchawce Gabriela. Głos, który po chwili usłyszał, należał do Adriana Cartera.

- Victoria Street - rzekł spokojnie. - Lada moment wejdzie do świątyni od strony Storey's Gate. Ma na sobie blond perukę i jasnobrązowy płaszcz przeciwdeszczowy.

- A szahidzi?

- Obaj trzymają ją pod ramię.

- Adrianie, Halton skazał właśnie na śmierć dwóch mężczyzn. Jest pewien, że to ona?

- Tak.

- Zabierz go stamtąd i to natychmiast.

Carter chwycił Roberta Haltona za łokieć i poprowadził go w stronę Great George Street, a dwa kroki za nimi szła Sara, która patrzyła, jak Gabriel i Michaił wstają jednocześnie i ruszają przed siebie. Odwróć się - pomyślał. - Odwróć się i odejź.

*

Na kilka sekund zatrzymali się na rogu Parliament Square i zczekali, aż przejedzie autobus, szybko przeszli przez ulicę i weszli na teren opactwa. Idący przy lewym ramieniu Gabriela Michaił miał płytki i szybki oddech, a odgłosy jego stąpania były gwałtowne i krótkie jak echo kroków Gabriela. Beretta Gabriela tkwiła na jego lewym biodrze, a kolba wbijała się boleśnie w złamane żebro. Będzie miał tylko ułamek sekundy - ułamek sekundy, by wyjąć i wycelować broń. Kiedy był takim chłopcem jak Michaił, potrafił to zrobić w czasie, w jakim większość ludzi mogłaby ledwie klasnąć. A teraz? Szedł naprzód...

Mijali drzewa, przechodząc przez szereg wąskich cieni, gdzie jeszcze kilka sekund temu stali Carter z Haltonem, a gdy znów wyszli na słońce, po raz pierwszy zobaczyli Elizabeth i jej towarzyszy. Szli niespiesznie chodnikiem przy północnej fasadzie opactwa - jej oczy skrywały okulary à la gwiazda

filmowa, ręce miała w kieszeniach płaszcza. Obaj szahidzi trzymali ją pod ramię, a wolne ręce mieli w przednich kieszeniach grubych płaszczy.

- Michaile, trzymają palce na przyciskach detonatorów. Widzisz to?

- Widzę.

- A widzisz za nimi ludzi? Nie spuszczać, kiedy zaczniemy strzelać.

- Nie spuszczać.

- Masz papierosy?

- Jestem gotowy.

- Nie zatrzymuj się.

Dwustu wiernych wciąż cierpliwie stało pod północną wieżą. Gabriel położył rękę na łokciu Michała i pokierował go na skraj tłumy w stronę niewielkiego skrzyżowania.

Elizabeth i terroryści byli teraz dokładnie naprzeciwko w odległości czterdziestu metrów i szybko się zbliżali. Jedna sekunda, pomyślał Gabriel. - Tylko jedna.

*

Kain wbił palce w jej ramię, ze strachu trzęsła mu się ręka. Elizabeth zastanawiała się, dlaczego postanowili uwolnić ją w tak zatłoczonym miejscu jak opactwo westminsterskie.

Kain wymamrotał coś do Abla po arabsku, a ona nagle poczuła, że zamiera jej serce. Zdała sobie sprawę, że jest tu prowadzona nie po to, by ją uwolnić, ale po to, by ją zabić.

Spojrzała na jednego, potem na drugiego terrorystę. Grube płaszcze, śmierć w oczach i trzęsące się ręce. Oni również tu zginą - pomyślała. - To szahidzi owinięci samobójczymi pasami. Za kilka sekund ja także będę szahidem.

Spojrzała na tłum ludzi zebranych pod północną wieżą opactwa - oto ich prawdziwy cel. Porwali Elizabeth, dokonując rzezi, i wyglądało na to, że tak też planowali ją zabić. Nie mogła pozwolić, by przez nią przelało się tyle niewinnej krwi. Musiała coś zrobić, by ocalić tyle istnień, ile tylko będzie mogła.

- Patrz w dół - Kain stracił nad sobą panowanie.

Nie, pomyślała Elizabeth. - Nie będę patrzeć w dół i nie zamierzam być posłuszna.

A potem go zobaczyła...

Chudy mężczyzna średniego wzrostu z popielatymi skrońmi i w wielkich przeciwsłonecznych

okularach szedł na skraju tłumu z młodszym bardzo bladym u boku. To on próbował ją ratować w Hyde Parku - była tego pewna - i teraz znów miał to zrobić.

Ale jak zamierza tego dokonać?

Kain i Abel trzymali ręce w kieszeniach. Wciśnięcie detonatorów zajmie im zaledwie ułamek sekundy. Elizabeth musiała zabrać tę chwilę terrorystom i dać ją dwóm zbliżającym się w jej stronę mężczyznom, którzy właśnie zatrzymali się na papierosa. Nie zamierzam być posłuszna, pomyślała, zahaczyła palcem lewej stopy o prawą piętę i poczuła, jak upada na chodnik.

*

Kain chwycił ją - ten odruchowy przejaw dobroci będzie go kosztował życie. Wstała i zobaczyła, jak dwaj mężczyźni niczym bliźniacze błyskawice wyjmują broń i zaczynają strzelać. Twarz Kaina zniknęła za zasłoną rozbryzgującej się krwi i tkanki mózgowej, a zielone oczy Abła jednocześnie wybuchły w oczodołach. Jak przez mgłę widziała strzelców z bronią w wyciągniętych dłoniach. Przemknęli obok niej, jakby gonili wystrzelone naboje.

Kain upadł na ziemię pierwszy, a mężczyzna z siwymi skrońmi wskoczył mu na klatkę piersiową, strzelił kilka razy w głowę, jakby próbował wbić go kulami w ziemię, i wyrwał

jego rękę z kieszeni płaszcza. Krzyknął do Elizabeth, by uciekała, więc jak na wzorową więźniarkę przystało, pomknęła przez trawnik opactwa w stronę Victoria Street, gdzie z otwartymi ramionami czekał na nią wytwornie wyglądający mężczyzna w fedorze. Rzuciła się w jego ramiona i zaczęła spazmatycznie łkać, a on ją mocno przytulił.

- Już dobrze, Elizabeth - rzekł Robert Halton. - Jestem przy tobie, kochanie. Jesteś już bezpieczna.

Część piąta

Ślub nad jeziorem

Jerozolima

Dzień po świętach Bożego Narodzenia do swych domów wróciły dwie ważne osoby.

Pierwsza przybyła do bazy lotnictwa wojskowego Andrews pod Waszyngtonem, skąd wydarzenie to transmitowały stacje telewizyjne na cały świat. Na miejsce przybył prezydent, ekipa z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i większość członków Kongresu. Grała orkiestra piechoty morskiej, a gwiazda muzyki country śpiewała patriotyczny utwór.

Wygłaszano przemówienia na temat amerykańskiej determinacji i wytrwałości, a ludzi z amerykańskiego i brytyjskiego wywiadu, dzięki którym ten dzień mógł wyglądać w taki właśnie sposób, obsypywano pochwałami. Nie wspomniano o okupie czy negocjacjach ani nie wypowiedziano słowa „Izrael”. Elizabeth Halton, która wciąż nie mogła otrząsnąć się z szoku po niewoli i uwolnieniu, próbowała przemówić do tłumu, ale powiedziała tylko kilka słów i załża się łzami. Natychmiast odprowadzono ją do czekającego śmigłowca i wywieziono w nieznane nikomu miejsce, gdzie ma spokojnie powracać do zdrowia.

To był zbieg okoliczności, że druga ważna osoba przybyła na lotnisko im. Ben Guriona dokładnie w tej samej chwili. Nie było polityków, nie było kamer telewizyjnych, które relacjonowałyby to wydarzenie dla potomności. Nie grano patriotycznych pieśni i nie wygłaszano przemówień - nie było żadnego oficjalnego powitania. Jeśli chodzi o Państwo Izrael, to dwadzieścia sześć osób na pokładzie przylatującego z Londynu samolotu czarterowego nie istniało. Byli duchami. Kłamstwem. Wysiedli w ciemności i pomimo późnej pory natychmiast przewieziono ich do nijakiego biurowca przy Bulwarze Króla Saula w Tel Awiwie, gdzie cierpliwie zdawali raporty. W kwestii tych spotkań nie stwarzano żadnych pozorów - wiedzieli, że kiedy świętowanie dobiegnie końca, przyjdzie czas na pytania.

Nadchodziła burza. Czym prędzej należało znaleźć schronienie, odłożyć na bok postanowienia i obmyślić przykrywkę.

W ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin od dramatycznego odbicia Elizabeth nie zakwestionowano oficjalnej brytyjskiej wersji wydarzeń, według której uwolnienie to wynik niestrudzonych wysiłków wywiadu i służb policyjnych Zjednoczonego Królestwa, które współpracowały z amerykańskimi przyjaciółmi. Wprawdzie ambasador Halton zaoferował w desperacji okup, ale ostatecznie go nie zapłacono. Dwóch strzelców, którzy zabili niedoszłych zamachowców samobójców w opactwie westminsterskim, to członkowie wydziału SO19

londyńskiej policji. Oczywiście, ze względów bezpieczeństwa nie można było ich publicznie przedstawić i pozwolić im na udzielanie wywiadów - ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości, powiedział dobitnie komendant londyńskiej policji.

Cztery dni po świętach Bożego Narodzenia pojawiły się w tej historii pierwsze pęknięcia, ale nie w

Zjednoczonym Królestwie, tylko w Danii, gdzie miejscowa gazeta opublikowała intrygujący materiał o tajemniczym wybuchu w domku letniskowym na wybrzeżu Morza Północnego. Początkowo duńska policja utrzymywała, że chatka była niezamieszkała, ale wypowiadający się anonimowo miejscowy sanitariusz zakwestionował to zapewnienie, mówiąc, że widział, jak ze zgliszczy i gruzu wynoszono trzy ciała. Stwierdził

również, że udzielił pomocy medycznej niemieckojęzycznemu mężczyźnie, który miał na twarzy powierzchowne rany. Lars Mortensen, szef duńskich wywiadowczych służb bezpieczeństwa czym prędzej pojawił się na zwołanej w Kopenhadze konferencji prasowej i potwierdził, że faktycznie zginęły tam trzy osoby i miało to związek z poszukiwaniami Elizabeth Halton. Oświadczył także, że nic więcej nie będzie miał na ten temat do powiedzenia, dopóki nie zakończy się oficjalne śledztwo.

Dwa dni później w oficjalnej wersji wydarzeń miało miejsce następne pęknięcie - tym razem w Amsterdamie, gdzie Egipcjanka, która była już dobrze po pięćdziesiątce, pojawiła się na konferencji prasowej i potwierdziła, że jednym z zabitych w północnej Danii jest jej mąż Ibrahim Fawaz. Korzystająca z pomocy tłumacza kobieta powiedziała, że amerykańscy funkcjonariusze poinformowali ją, że jej mąż współpracował z nimi i zginął podczas nieudanej próby odbicia pani Halton. Stwierdziła, że nie może skontaktować się z mieszkającymi w Kopenhadze synem, synową i wnukiem. Jej lewicowi prawnicy domyślali się, że amerykańscy agenci porwali Ibrahima Fawaza i wymusili na nim współpracę z CIA, więc zaapelowali do duńskiego ministra sprawiedliwości o wszczęcie śledztwa, co ten niezwłocznie uczynił, i obiecał, że będzie ono dokładne i bezkompromisowe.

Następnego dnia rano w Londynie rzecznik prasowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych potwierdził, że syn Ibrahima Fawaza to jeden z zabitych terrorystów znalezionych w załadowanym bombami samochodzie dostawczym, który rozbił się na polu w hrabstwie Essex w świąteczny poranek. Potwierdził również, że Fawazowi juniorowi strzelono kilka razy w nogę, a dotychczas niezidentyfikowanego kierowcę furgonetki śmiertelnie postrzelono w głowę. Jeszcze nie było wiadomo, kto zadał te rany i co konkretnie się tam wydarzyło, pomimo że brytyjscy śledczy wyszli z założenia, że drugi atak planowano w świąteczny poranek, ale z jakichś względów się nie powiódł.

W Nowy Rok „Telegraph” podał w wątpliwość rządową wersję wydarzeń w opactwie westminsterskim. Według gazet kilku wiarygodnych świadków potwierdziło, że mężczyzna, który krzychał do Elizabeth Halton, by uciekała, miał obcy akcent. Inny świadek, który na kilka sekund przed strzelaniną przechodził obok strzelców, usłyszał, jak rozmawiają w obcym języku, a po odsłuchaniu dwudziestu próbek różnych języków stwierdził, że był to hebrajski.

Tama pękła następnego dnia, kiedy „Times” w demaskatorskim artykule zatytułowanym JEROZOLIMA ZAANGAŻOWANA przedstawił argumenty trudne do obalenia, które świadczyły o udziale Izraelczyków w odbiciu Elizabeth Halton. Relacja zawierała również fotografię zrobioną przez człowieka czekającego na wejście do opactwa.

Przedstawiała dwóch uciekających z opactwa strzelców kilka sekund po uwolnieniu Elizabeth Halton. Na zlecenie gazety zdjęcie to przeanalizowali eksperci od rozpoznawania twarzy i stwierdzili, że jeden z nich to ponad wszelką wątpliwość Gabriel Allon, legendarny agent izraelskiego wywiadu, który rano w dniu uprowadzenia Elizabeth zabił w Hyde Parku trzech

terrorystów.

Do wieczora w parlamencie aż huczało od głosów domagających się, by rząd Jej Królewskiej Mości i tajne służby wyznały całą prawdę na temat wydarzeń, które doprowadziły do odbicia miss Halton. Żądania te odbiły się echem w zachodnioeuropejskich stolicach i w Waszyngtonie, gdzie reporterzy i kongresmeni zaapelowali do Białego Domu o wyjaśnienie tego, co prezydent wie o udziale Allona w tej operacji. - To się staje coraz bardziej pewne - twierdzili krytycy prezydenta - że amerykańscy oficerowie wywiadu i ich izraelscy sojusznicy krążyli po Europie, gorączkowo poszukując miss Halton i chcąc doprowadzić do jej uwolnienia. Ale co konkretnie się wydarzyło? Czy ktoś naginał lub łamał

prawo? A jeśli tak, to kto?

Następnego dnia rano rząd izraelski zasypywany pytaniami prasy w kraju i zagranicą przerwał milczenie. Rzeczniczka prasowa premiera przyznała, że izraelskie tajne służby wywiadowcze istotnie udzieliły pomocy amerykańskim śledczym, ale jasno dała do zrozumienia, że szczegóły te nigdy nie zostaną ujawnione. Na sugestię, że Gabriel Allon poleciał do Londynu i Waszyngtonu, by pomóc w oficjalnym śledztwie, odpowiedziała, delikatnie mówiąc, dość ogólnikowo. - Gabriel Allon jest na przedłużonym urlopie z przyczyn osobistych - wytłumaczyła - i izraelski rząd nie wie, gdzie w tej chwili przebywa.

*

Gdyby podjęto jakąkolwiek próbę zlokalizowania Gabriela, czego najpewniej nie zrobiono, znalazłoby go w schludnym małym mieszkanku przy ulicy Narkissa, gdzie spokojnie odpoczywał. Nieraz udawało mu się przetrwać najgorsze i wiedział, że najlepszym rozwiązaniem jest zabicie deskami drzwi i okien oraz milczenie.

Odnosił zresztą poważne obrażenia i musiał się leczyć. Pobity przez porywaczy i ranny w wypadku, jaki miał miejsce podczas jego odbicia, cierpiał z powodu licznych pękniętych i złamanych żeber, ran twarzy i tułowia oraz siniaków, które miał dosłownie wszędzie. Był obolały tak bardzo, że nie mógł jeść, a dwa dni po powrocie do Jerozolimy stwierdził, że nie może także ruszać głową. Odwiedził go i zbadał pracujący dla Agencji lekarz, który odkrył niezdiagnozowany dotychczas uraz szyi i na kilka tygodni założył mu kołnierz ortopedyczny.

Przez dwa tygodnie Gabriel nie wstawał z łóżka. Wiedział, że powrót do zdrowia wymaga czasu, ale jego niespokojny charakter sprawiał, że był bardzo nieszczęśliwy. By wypełnić długie puste godziny, pilnie śledził w gazetach i telewizji wiadomości, które go dotyczyły. Dowody na udział Izraelczyków w całej akcji sprawiły, że narastało oburzenie wśród niespokojnych europejskich społeczności islamskich i sprzyjających im zwolenników z lewicy. Okrutne zamachy w Londynie i uprowadzenie Elizabeth Halton szybko ustąpiły miejsca oburzeniu taktyką, którą posłużono się, by Elizabeth Halton odnaleźć i uratować.

Starannie

wynegocjowane

przez

Szamrona

umowy

z

europejskimi

ministrami

sprawiedliwości i służbami bezpieczeństwa niebawem okazały się nieważne. Znow poszukiwano Gabriela - tym razem w sprawie przesłuchań w Holandii i Danii dotyczących śmierci Ibrahima Fawaza oraz w Zjednoczonym Królestwie w sprawie udziału w odbiciu Elizabeth Halton.

Szalała również burza, w dużej mierze niezauważona przez media i środowisko obrońców praw człowieka, którzy podobno mieli obsesję na punkcie domniemanych występów Gabriela i jego ekipy. Po drugiej stronie zachodniej granicy Izraela, w Egipcie, reżim Hosniego Mubaraka zareagował na wywołane przez Miecz Allaha powstanie tak jak zawsze reagował na inne islamskie problemy: z oszałamiającą siłą i bezwzględny okrucieństwem. Agencja zdobyła raporty na temat walk ulicznych między wojskiem a islamistami od Deltę Nilu aż po Górny Egipt. Miała również sprawozdania z rzezi, przeprowadzanych bez sądu egzekucji, raporty dotyczące powszechnego stosowania tortur i obozu koncentracyjnego na Pustyni Zachodniej, gdzie przetrzymywano bez sądu tysiące radykałów. Według pospiesznie przygotowanego przez Agencję raportu Mubarak prawdopodobnie i tym razem przetrwa kryzys, dzięki czemu Izrael, przynajmniej jeszcze przez chwilę, nie stanie przed faktem powstania republiki islamskiej przy jego zachodniej granicy. Ale jakim kosztem? Represje rodzą radykałów - napisano w sprawozdaniu - a ci z kolei szerzą terror.

W połowie stycznia Gabriel był na tyle silny, że wstał z łóżka. Lekarz znow go odwiedził, popukał i postukał, po czym zawyrokował, iż szyja na tyle się zagoiła, że można zdjąć kołnierz. Gabriel pragnął zepchnąć w niepamięć wydarzenia ostatnich tygodni, więc skupił się wyłącznie na swoich planach małżeńskich. Godzinami przesiadywał z Chiara w salonie, kartkował luksusowe czasopisma o tematyce ślubnej i podejmował wnikliwe i konstruktywne rozmowy na takie tematy, jak menu i kwiaty. Wyznaczyli datę ślubu na połowę maja i przygotowali wstępną listę gości, która zawierała siedemset nazwisk. Po dwóch godzinach twardych negocjacji udało im się wykreślić zaledwie dwadzieścia osób.

Tydzień później jego obita twarz trochę się zagoiła, odważyli się wyjść do miasta, by obejrzeć hotelowe sale bankietowe i poszukać odpowiedniego miejsca na uroczystość i przyjęcie ślubne. Organizator imprez specjalnych w hotelu Króla Dawida poinformowany o liczbie gości żartem dał im do zrozumienia, by rozważyli wyprawienie wesela na stadionie Teddy Kollek, ale Chiara wcale nie uznała tej sugestii za zabawną i kilka chwil dąsała się w drodze powrotnej do domu.

- Może to jest błąd - powiedział ostrożnie Gabriel.

- Znowu to samo - odrzekła.

- Nie chodzi mi o ślub, tylko o w i e l k o ś ć wesela. Może powinniśmy zorganizować coś małego i spokojnego dla rodziny i przyjaciół, ale tylko tych p r a w d z i w y c h.

Ciężko westchnęła.

- Nic by mnie bardziej nie uszczęśliwiło.

Na początku lutego nabrał przemożnej ochoty, żeby popracować. Pewnego dnia pojechał o dziesiątej do Muzeum Izraela, by zorientować się, czy mają tam dla niego coś, czym mógłby wypełnić czas. Po krótkim spotkaniu z szefem działu malarstwa europejskiego wyszedł z uroczym obrazkiem Rembrandta pod adekwatnym do sytuacji tytułem *Święty Piotr w więzieniu*. Był w całkiem przyzwoitym stanie i wymagał tylko położenia równej warstwy werniksu i domalowania w niektórych miejscach. Zorganizował sobie warsztat w pustym pokoju, ale Chiara skarżyła się na smród rozpuszczalników i poprosiła, by przeniósł się ze swoim zleceniem do prawdziwej pracowni. Znalazł atelier w dzielnicy artystów, która wznosiła się nad Doliną Hinnoma, i w następnym tygodniu rozpoczął pracę.

Wraz ze zleceniem na renowację obrazu Rembrandta jego dni w końcu zaczęły mijać według ustalonego porządku. Do atelier przyjeżdżał wcześniej rano, pracował do południa, potem przerwa na spokojny lunch z Chiarą, później znów poświęcał się pracy, dopóki miał

dobre światło. Raz, może dwa razy w tygodniu skracał popołudniową sesję i jechał przez Jerozolimę do szpitala psychiatrycznego na Górze Herzla, by spędzić czas z Leą. Minęło wiele miesięcy, odkąd ją ostatnio odwiedził, więc podczas trzech pierwszych spotkań nie poznała go. Przy czwartej wizycie przywitała się, zwracając się do niego po imieniu, i nadstawiła policzek do pocałunku. Poprowadził ją do ogrodu i usiedli pod drzewem oliwnym

- tym samym, które widział w snach, kiedy był w rękach Miecza Allaha. Położyła dłoń na jego policzku - miała zimną w dotyku, oszpeconą oparzeniami skórę.

- Znow walczyłeś - powiedziała.

Powoli skinął głową.

- Z Czarnym Wrześniem? - zapytała.

- To było dawno temu, Leo, oni już nie istnieją.

Popatrzyła na jego poplamione barwnikiem ręce.

- Wróciłeś do malowania?

- Do renowacji.

- Popracujesz nade mną, kiedy skończysz?

Po jego policzku spłynęła łza. Otarła ją i znów spojrzała na jego ręce.

- Dlaczego nie nosisz obrączki?

- Jeszcze się nie pobraliśmy.

- Masz wątpliwości?

- Nie, Leo, nie mam.

- No to na co czekasz? - Nagle odwróciła się i z jej oczu zniknęło światło. - Gabrielu, spójrz na śnieg. Czyż nie jest piękny?

Wstał i poprowadził ją z powrotem do szpitala.

Jerozolima

Wracał do domu na ulicę Narkissa w ulewnym deszczu, a kiedy wszedł do mieszkania, zobaczył stół nakryty dla czterech osób i poczuł zapach pieczonego kurczaka i słynnego bakłażana w marokańskiej przyprawie Dżili Szamron. Na kanapie siedziała niska, szczupła kobieta o smutnych oczach i niesfornych siwych włosach i oglądała z Chiarą zdjęcia ślubnych sukien. Gabriel pocałował ją w policzek, który był gładki jak jedwab i pachniał bzem.

- Gdzie Ari? - zapytał.

Wskazała balkon.

- Gabrielu, powiedz mu, by tak dużo nie palił. Jesteś jedyną osobą, której słucha.

- Musiałaś mnie z kimś pomylić. Twój mąż posiada pewną doprowadzoną do perfekcji umiejętność, a mianowicie słyszy tylko to, co chce, a ja akurat jestem ostatnią osobą, której słucha.

- Ari twierdzi coś innego. Powiedział mi o waszym okropnym sporze w Londynie oraz o tym, że nawet nie próbował cię odwieść od dostarczenia pieniędzy, ponieważ wiedział, że podjąłeś już decyzję w tej sprawie.

- Trzeba mi było usłuchać jego rady.

- Ale wtedy zabiliby Amerykankę. - Potrząsnęła głową. - Nie, Gabrielu, dobrze zrobiłeś, bez względu na to, co mówią o tobie w Londynie i Amsterdamie. Kiedy minie ta burza, opamiętają się i podziękują ci.

- Jestem pewien, że masz rację.

- Idź, posiedź z nim. Jest chyba trochę przygnębiony. Niełatwo jest się starzeć.

- O czym ty mówisz...

Nalał sobie lampkę czerwonego wina i wyszedł na balkon. Szamron siedział pod markizą w pasy na krześle z kutego żelaza i patrzył, jak z liści eukaliptusa skapują krople deszczu. Gabriel wyrwał mu z ręki papierosa i wyrzucił go przez balustradę na mokry chodnik.

- W tym kraju nie wolno śmiecić - powiedział Szamron.

- Gdzie byłeś?

- Może ty mi powiesz.

- Sugerujesz, że cię śledzę?

- Niczego nie sugeruję, wiem, że to robisz, więc tylko stwierdzam fakt.

- To, że wróciłeś do domu, jeszcze nie oznacza, że jesteś bezpieczny. Masz zdecydowanie zbyt wielu wrogów, by przechadzać się bez ochrony i pracować na oczach wszystkich w artystycznym atelier, które wychodzi na mury Starego Miasta.

- Chiara nie pozwala mi pracować w domu. - Gabriel usiadł obok niego na krześle. -

Jesteś zły, bo pracuję w atelier przy Starym Mieście, czy dlatego, że pracuję, ale nie dla ciebie?

Szamron ostentacyjnie zapalił kolejnego papierosa i nic nie odpowiedział.

- Ari, renowacja pomaga. Zawsze. To dzięki niej zapominam.

- O czym?

- O zabiciu trzech osób w Hyde Parku, o zabiciu mężczyzny na trawniku Westminsteru, o strzelaniu do Ishaq w Essex... Mam dalej wymieniać?

- Niekoniecznie - rzekł. - A jak już skończysz tego Rembrandta, to co wtedy?

- Ari, cieszę się, że żyję. Wszystko mnie boli. Pozwól mi się wyleczyć i przez kilka dni cieszyć życiem, zanim znów zaczniesz mnie nękać, bym wrócił do Agencji.

Szamron palił papierosa i patrzył w milczeniu na deszcz. Ten nabożnie świecki mężczyzna odmierzał czas nie żydowskimi świętami, ale rytmem ziemi - dniami, kiedy padał

deszcz i kiedy w Galilei zakwitały polne kwiaty, dniami wczesnej jesieni, kiedy powracał

zimny wiatr... Gabrielowi wydawało się, że Ari liczy, ile takich cykli jeszcze doświadczy.

- Dziś rano nasz ambasador w Londynie otrzymał z brytyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wyjątkowo dowcipny list - powiedział.

- Niech no zgadnę - rzekł Gabriel. - Chcą, bym zeznawał przed komisją śledczą w sprawie porwania i odbicia Elizabeth Halton.

Szamron kiwnął głową.

- Bardzo jasno daliśmy do zrozumienia Brytyjczykom, że będą musieli przeprowadzić oficjalne śledztwo bez naszej współpracy. Nie będzie powtórki z twoich zeznań przed Kongresem po akcji w Watykanie. Jedyne powód, dla którego mógłbyś ewentualnie przybyć do Anglii, to otrzymanie tytułu szlacheckiego. - Uśmiechnął się do siebie. - Wyobrażasz to sobie?

- Spłonnie cała wschodnia część Londynu - powiedział Gabriel.

- Ale co z MI5 i MI6? Czy nasze stosunki nie ulegną znacznemu ochłodzeniu, jeśli odmówię współpracy w śledztwie?

- Raczej odwrotnie. Ostatnio kontaktowaliśmy się z szefami tych służb, którzy dali nam jasno do zrozumienia, że bardzo nie chcą, byś zeznawał. Tak à propos, masz pozdrowienia od Grahama Seymoura.

- Jest jeszcze inny dobry powód, bym nie leciał do Londynu - rzekł. - Jeśli zgodzę się zeznawać, śledztwo oczywiście skupi się na nas i grzechach Izraelczyków. Natomiast jeżeli nie polecę, może po prostu zmusi ich to do stawienia czoła prawdziwemu problemowi.

- Czyli?

- Londynistanowi - powiedział Gabriel. - Pozwolili, by ich stolica stała się wylęgarnią, duchową mekką i bezpieczną przystanią islamskich terrorystów wszelkiego autoramentu. A to stanowi zagrożenie dla nas wszystkich...

Szamron przytaknął i spojrzał na niego.

- Więc co jeszcze porabiałeś oprócz pucowania tego Rembrandta i odwiedzenia Lei na Górze Herzla?

- Widzę, że chłopcy od inwigilacji zdają ci szczegółowe raporty.

- Tak im kazałem - rzekł. - Jak ona się czuje?

- Czasami miewa przebłyśki świadomości - powiedział Gabriel. - Jest wtedy b a r d z o przytomna i postrzega rzeczywistość wyraźniej niż ja. Zresztą zawsze tak było.

- Proszę, tylko mi nie mów, że znów stchórzyłeś.

- Raczej odwrotnie. Twoi chłopcy nie poinformowali cię, że szukałem miejsca na uroczystość ślubną?

- Poinformowali. Pozwoliłem sobie poprosić Szabak o sporządzenie tajnego planu uwzględniającego wszystko, co mogłoby się zdarzyć na tak ogromnej ceremonii, ale obawiam się, iż wymogi będą takie, że wcale nie będzie to przypominało ślubu. - Powoli zgniół

papierosa. - Usłuchasz rady starszego człowieka?

- Z wielką chęcią.

- Być może powinniście z Chiarą rozważyć coś mniejszego i bardziej intymnego?

- Już to zrobiliśmy.

- Ustaliliście datę?

Gabriel podał mu szczegóły.

- Maj? A dlaczego czekacie do maja? Ta operacja niczego cię nie nauczyła? Gabrielu, życie jest cenne i strasznie krótkie, a ja mogę nawet nie dożyć maja.

- Ari, obawiam się, że będziesz musiał się jeszcze chwilę wstrzymać. Chiara potrzebuje czasu, by zaplanować przyjęcie i nie da rady zrobić tego wcześniej.

- Zaplanować? Ale co zaplanować? Ty i ja moglibyśmy to zrobić w jedno popołudnie.

- Ari, śluby to nie operacje Agencji.

- A kto tak powiedział?

- Chiara.

- Oczywiście, że śluby to operacje. - Uderzył pięścią w oparcie krzesła. - Chiara musiała znosić twoje wahania i wygłupy już tyle razy. Gdybym był na twoim miejscu, zaskoczyłbym ją i sam zaplanował ślub.

- Ari, ona jest włoską Żydówką, więc ma nieco wybuchowe usposobienie i nie lubi niespodzianek.

- Wszystkie kobiety je lubią, ty głupku.

Gabriel przyznał, że bardzo mu się ten pomysł podoba.

- Będę potrzebował pomocy - rzekł.

- Więc ci ją zapewnimy.

- Jak?

Szamron się uśmiechnął.

- Co za dureń.

*

Byli ciemną stroną ciemnych służb - byli tymi, którzy robili to, czego nikt inny nie chciał bądź też nie miał odwagi się podjąć. Ale nigdy wcześniej w całej legendarnej historii Wydziału Operacji Specjalnych nie organizowali ślubu, a przynajmniej prawdziwego ślubu.

Następnego dnia rano zebrali się w pokoju numer 456C, podziemnej kryjówce Gabriela przy Bulwarze Króla Saula: Jaakow i Jossi, Dina i Rimona, Mordechaj i Oded, Michał i Eli Lawon. Gabriel podszedł do tablicy informacyjnej, do której przypiął zdjęcie Chiary.

- Za dziesięć dni mam poślubić tę kobietę - powiedział. - Ślub musi spełnić wszystkie jej

oczekiwania, a ona nie może się o niczym dowiedzieć ani czegokolwiek podejrzewać.

Musimy działać błyskawicznie i nie wolno nam popełnić żadnego błędu.

Jak podczas wszystkich dobrych operacji, zaczęli od zebrania informacji.

Przewertowali czasopisma o tematyce ślubnej w poszukiwaniu wszystkiego, co mogło okazać się istotne, i dokładnie przesłuchali Gabriela, pytając o to, co mu kiedykolwiek powiedziała Chiara. Dina i Rimona zatrwożone kiepską znajomością tematu, umówiły się z nią nazajutrz po południu na awaryjny lunch w modnej telawiwskiej restauracji. Wprawdzie wróciły na Bulwar Króla Saula nieco wstawione, ale za to posiadały wszystkie potrzebne im do działania informacje.

Następnego dnia rano Gabriela i Chiare obudził urzędnik z biura kadr i przypomniał

jej, że już dawno temu powinna była przejść kompleksowe badania lekarskie. - Dziś rano ma pani okazję - powiedział. - Czy może pani natychmiast przybyć na Bulwar Króla Saula? - Nie miała nic lepszego do roboty, więc zgodziła się i do dziesiątej poddali ją dokładnej obserwacji dwaj pracujący dla Agencji lekarze, z których jeden tak naprawdę był krawcem z Tożsamości.

Mniej go obchodziły takie sprawy jak ciśnienie krwi i tętno, za to bardziej interesowała go długość rąk i nóg oraz obwód w talii i biuście. Później po południu wśliznął się do pokoju numer 456C, by zapytać Gabriela, czy ma zostawić w sukni trochę luzu na broń, ale ten odpowiedział, że to nie będzie konieczne.

Na trzy dni przed terminem wszystko było gotowe z jednym wyjątkiem: samą Chiara.

Gabriel wyznaczył do tego etapu operacji samą Dziłę Szamron, która wieczorem zatelefonowała do niej i zapytała, czy mogą przyjechać w najbliższą sobotę nad Jezioro Tyberiadzkie na organizowane dla Szamrona urodzinowe przyjęcie niespodziankę. Przyjęła zaproszenie, nawet nie zaprzatając sobie głowy, by skonsultować się z Gabrielem, tylko poinformowała go o weekendowych planach przy obiedzie.

- Ile skończy lat? - zapytała.

- To ściśle strzeżona tajemnica państwowa, ale krąży plotka, jakoby walczył w powstaniu przeciwko rzymskim rządóm.

- Wiedziałaś, że w marcu ma urodziny?

- Och tak, oczywiście - powiedział pospiesznie.

Właściwie urodziny miał pod koniec sierpnia, a ostatnia osoba, która próbowała zorganizować dla Szamrona przyjęcie niespodziankę, wciąż utykała. Ale Chiara o tym nie wiedziała, ona nie wiedziała o niczym.

*

Przez cały tydzień bez przerwy padało i na tę ewentualność się nie przygotowali, ale w późny sobotni poranek słońce świeciło już jasno, a w dopiero co oczyszczonym powietrzu unosił się zapach pinii, jaśminu i eukaliptusa. Spali do późna i spokojnie zjedli na balkonie śniadanie, po czym spakowali do niewielkiej torby podróźnej kilka rzeczy i ruszyli do Galilei.

Gabriel prowadził przez Bab Al-Wad w stronę Równiny Nadbrzeżnej, po czym na północ od Doliny Jezreel, gdzie zatrzymali się na kilka minut, by zabrać Elięgo Lawona z wykopaliska na wzgórzu Megiddo, i pojechali dalej nad Jezioro Tyberiadzkie. Willa Szamrona w kolorze miodu znajdowała się w odległości zaledwie kilku kilometrów na północ od miasta na wznoszącej się nad Jeziorem Galilejskim półce skalnej. Na stromym podjeździe stały dwa tuziny samochodów, a na dziedzińcu zaparkowany był duży amerykański Chevrolet suburban na tablicach dyplomatycznych. Adrian Carter i Sara Bancroft stali na tarasie przy balustradzie i gawędzili z Uzim Nawotem i Bellą.

- Dżila mi nie powiedziała, że będzie Carter - rzekła Chiara.

- Najwyraźniej o tym zapomniała.

- Zapomniała o tym, że wicedyrektor CIA pokona całą tę drogę z Waszyngtonu, żeby być tutaj? I co tutaj robi Sara?

- Dżila jest już stara, więc odpuść jej.

Zanim mogła zadać kolejne pytanie, Gabriel wysiadł z samochodu, wyjął z bagażnika torbę i wniósł ją po schodach, a kiedy weszli do środka, w holu powitała ich Dżila. W

wielkich pokojach nie było żadnych mebli, a na ich miejscu stało kilka okrągłych stołów.

Chiara wpatrywała się w nakrycia i kompozycje kwiatowe, po czym minęła gospodynię i poszła na taras, gdzie wokół obwieszanej kwiatami chupy stało w równych rzędach sto białych krzeseł. Szybko się odwróciła i spojrzała ze zdumieniem na Gabriela.

- Co tu się dzieje?

Podniósł torbę i powiedział:

- Zniosę ją do naszego pokoju.

- Gabrielu Allonie, natychmiast wracaj.

Ruszyła za nim i popędziła korytarzem do ich pokoju, a kiedy weszła do środka, zobaczyła rozłożoną na łóżku suknię.

- Mój Boże, coś ty narobił, Gabrielu?

- Naprawiam wszystkie swoje błędy... Przynajmniej mam taką nadzieję...

Zarzuciła mu ręce na szyję, pocałowała go i przeczesła mu palcami włosy.

- Mam szopę na głowie. Co ja teraz zrobię?

- Sprowadziliśmy z Tel Awiwu bardzo dobrego fryzjera.

- A co z moją rodziną?

Spojrzał na zegarek.

- Wyleciała z Wenecji czarterowym lotem, dwadzieścia minut temu wylądowała na lotnisku Ben Guriona i za chwilę doleci tu helikopterem.

- A obrączki?

Wyjął z kieszeni płaszcz niewielkie pudełeczko i otworzył je.

- Są piękne - powiedziała. - Pomyślałeś o wszystkim.

- Śluby to operacje.

- Wcale nie, głuptasie. - Klepnęła go figlarnie w ramię. - O której godzinie zaczyna się uroczystość?

- O której tylko chcesz.

- A o której jest zachód słońca?

- O siedemnastej osiem.

- Zatem zaczniemy o siedemnastej osiem. - Znów go pocałowała. - Tylko się nie spóźnij.

Jerozolima

- Przeprowadziłeś ze swoją ekipą bardzo ładną operację - powiedział Adrian Carter.

- Którą?

- Oczywiście mam na myśli ślub. Szkoda, że w Londynie nie poszło tak gładko.

- Wtedy nie odzyskalibyśmy Elizabeth.

- To prawda.

Do ich stolika podszedł kelner i dolał Carterowi świeżej kawy. Gabriel odwrócił się i spojrzał na mury Starego Miasta, które blado połyskiwały w łagodnych promieniach słonecznych. Był poniedziałkowy poranek. Carter zadzwonił do Gabriela o siódmej na wypadek, gdyby nie miał z kim zjeść śniadania. Spotkali się w ogródku restauracji hotelu Króla Dawida, ale Gabriel doskonale wiedział, że Adrian Carter nigdy nie robił niczego na wszelki wypadek.

- Adrianie, dlaczego jesteś jeszcze w Jerozolimie?

- Oficjalnie przeprowadzam tu spotkania z profesjonalnie rekrutowanym personelem do placówki CIA. A tak nieoficjalnie, to chciałem z tobą porozmawiać.

- Czy Sara wciąż tu jest?

- Wczoraj wyleciała. Biedactwo, musiała wracać samolotem rejsowym. - Carter podniósł do ust filiżankę kawy, ale zanim upił łyk, wpatrywał się przez chwilę w Gabriela. -

Czy kiedykolwiek doszło między wami do czegoś, o czym powinienem wiedzieć?

- Nie, Adrianie, między nami do niczego nie doszło ani podczas tej operacji, ani przedostatniej. - Gabriel finezyjnie wymieszał jogurt. - Zostałeś tu, by zapytać mnie, czy spałem z jednym z twoich oficerów?

- Oczywiście, że nie.

- Zatem dlaczego, Adrianie?

Sięgnął do górnej kieszeni marynarki firmy Brooks Brothers, wyjął kopertę i wręczył

ją Gabrielowi. Nie podpisano wierzchniej strony, ale kiedy ją odwrócił, zobaczył na skrzydełku nadrukowany zwykłą czcionką napis: BIAŁY DOM.

- Co to? Zaproszenie na grilla do Białego Domu?
- To krótki list - rzekł Carter i dodał nieco drobiazgowo: - od prezydenta Stanów Zjednoczonych.
- Tak, Adrianie, widzę, ale czego dotyczy?
- Nie mam zwyczaju czytać cudzej korespondencji.
- A powinieneś.
- Przypuszczam, że prezydent chce ci podziękować za to, co zrobiłeś w Londynie.
- Szkoda, że nie powiedział nic publicznie miesiąc temu, kiedy wieszano na mnie psy.
- Wierz mi, Gabrieliu, gdyby wtedy wypowiedział się otwarcie na twój temat, byłbyś teraz w większych tarapatach. Zazwyczaj tego typu sprawy same przysychają i czasami najlepszym działaniem jest po prostu brak działania.

Chmura przesłoniła na chwilę słońce i wydawało się, że jest o kilka stopni zimniej.

Gabriel otworzył list, szybko go przeczytał i wsunął do kieszeni płaszcza.

- No i czego dotyczy?
- Jest poufny, Adrianie, i taki też pozostanie.
- I bardzo dobrze - rzekł Carter.
- Też dostałeś?
- Co? List od prezydenta? - Zaprzeczył. - Obawiam się, że moja pozycja jest w tym momencie nieco zagrożona. Czyż to nie zdumiewające? Odzyskaliśmy Elizabeth, a teraz jesteśmy obiektem ataków.
- Adrianie, to też się kiedyś skończy.
- Wiem - powiedział - ale sytuacja wcale nie staje się dzięki temu przyjemniejsza. W Langley jest grupa młodych radykałów, którzy uważają, że za długo kierowałem Zarządem Operacji. Mówią, że się nie popisałem i że nigdy nie powinienem był się zgodzić na przekazanie ci tej sprawy.
- Zamierzasz ustąpić ze stanowiska?
- Wykluczone - rzekł stanowczo Carter. - Świat to zbyt niebezpieczne miejsce, by zostawić go w rękach młodych radykałów. Zamierzam zostać, dopóki nie wygramy wojny przeciwko terroryzmowi.
- Mam nadzieję, że posiadasz gen długowieczności.
- Mój dziadek dożył stu czterech lat.

- A co z Sarą? Czy w jakikolwiek sposób na tym ucierpiała?

- Absolutnie nie - odpowiedział. - Tylko garstka ludzi wiedziała, że bierze w tym udział.

Zza chmur znów wyszło słońce, więc Gabriel założył wielkie okulary, a Carter wyjął z kieszeni marynarki drugą kopertę.

- To od Roberta Haltona - rzekł. - Niestety tym razem wiem, co jest w środku.

Gabriel wyjął krótki, odręcznie napisany list i czek na jego nazwisko na kwotę dziesięciu milionów dolarów. Zatrzymał list, ale czek oddał.

- Jesteś pewien, że nie chcesz tego przez minutę przemyśleć? - zapytał.

- Adrianie, nie chcę jego pieniędzy.

- Należą ci się, ponieważ narażałeś życie, by uratować jego córkę i to nie raz, ale d w a razy.

- Ale tym się właśnie zajmujemy - rzekł. - Powiedz mu, że dziękuję, ale nie skorzystam.

Carter zostawił czek na stoliku.

- Adrianie, masz coś jeszcze w zanadrzu?

Carter odwrócił wzrok w stronę murów Starego Miasta.

- Mam nazwisko - rzekł.

- Sfinksa?

Skinął głową. Sfinksa...

*

Jego głos, i tak niezbyt silny, był ledwie słyszalny. Wyglądało na to, że Carter przed przylotem do Izraela na ślub Gabriela, zrobił sobie na południu Francji krótkie międzylądowanie, ale nie z myślą o wypoczynku (choć nie był na porządnym urlopie od jedenastego września), tylko w sprawie operacji. Jej celem był sam książę Raszid bin Sultan, który przybył na Riwierę Francuską, by zażyć w monakijskich kasynach trochę hazardu.

Kiepsko mu szło, przegrywał wręcz sromotnie, co według purytańskiego Cartera samo w sobie było obrażą. Następnego dnia wcześniej rano książę przybył na nicejskie lotnisko w stanie znacznego upojenia alkoholowego i zobaczył, że na pokładzie jego prywatnego luksusowego Boeinga 747 relaksuje się Carter i oddział paramilitarny CIA. Carter przedstawił

rozsierdzonemu księciu akta, które wyszczególniały wiele jego grzechów, takich jak na przykład udzielanie wsparcia finansowego Al-Kaidzie, zagranicznym bojownikom, sunnickim buntownikom z

Iraku i egipskim wojownikom zwanym Mieczem Allaha, którzy właśnie uprowadzili chrześniaczkę prezydenta Stanów Zjednoczonych. Na koniec dał mu do wyboru dwa cele podróży: Rijad lub zatokę Guantanamo na Kubie.

- No proszę, zrobilibyśmy dokładnie to samo - powiedział Gabriel.

- Wiem, to postępowanie bardzo charakterystyczne dla Agencji...

- Zakładam, że księżę wybrał pierwszy cel podróży.

- Tej nocy był to jego jedyny rozsądny wybór, na który postawił.

- Ile kosztował go powrót do domu? - Jedno nazwisko - rzekł Carter. - Ale pytanie brzmi: co z nim robimy? Możliwość numer jeden: działamy z egipskimi towarzyszami i stawiamy tego gościa przed amerykańskim sądem. Wprawdzie sprawiedliwości stanie się zadość, jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z naturalną kolejną rzeczy, ale będzie nas to dużo kosztowało. Proces ujawni ciemną stronę naszych relacji z egipskimi służbami bezpieczeństwa, a na nasze barki dodatkowo spadnie kolejny więzień z Miecza Allaha, którego niemal na pewno będą próbowali odzyskać, narażając tym życie Amerykanów.

- Do tego nie możemy dopuścić.

- Nie możemy - zgodził się. - Więc to prowadzi nas do możliwości numer dwa: zajęcie się sprawą po cichu.

- To preferowana przez nas metoda.

- Istotnie.

Carter znów sięgnął do kieszeni i wyjął świstek papieru. Gabriel przeczytał jego treść i uśmiechnął się.

- Możesz sprawić, by zniknął? - zapytał Carter.

- To nie powinno stanowić większego problemu - powiedział Gabriel. - Ale obawiam się, że w tym celu będziemy musieli rozprowadzić w Kairze trochę kasy.

Carter podniósł czek od Roberta Haltona.

- Czy to wystarczy, by wykonać robotę?

- O, spokojnie, ale co mam zrobić z resztą?

- Zatrzymaj.

- Mogę zabić również księcia?

- Może następnym razem - rzekł. - Napijesz się jeszcze kawy?

Cypr

Trzy dni później wyleciał z Jerozolimy. Chiara błagała go, by zabrał ją ze sobą na Cypr, ale odmówił. Stracił już jedną żonę w walce z wrogiem i nie miał zamiaru stracić drugiej.

Przekroczył granicę na izraelskim paszporcie, w którym figurowały dane Gideona Argowa, i powiedział cypryjskim celnikom, że cel jego pobytu to urlop. Po odebraniu wynajętego samochodu, mercedesa klasy C, którego poddał dokładnej kontroli, ruszył wzdłuż południowego wybrzeża w stronę białej nadmorskiej rezydencji. Wazir al-Zaijat ogólnikowo mówił o tym, kiedy się zjawi, więc Gabriel zatrzymał się na chwilę w małej wiosce i kupił na rynku tyle jedzenia, by wystarczyło mu na trzy dni.

Pogoda była niespotykane przyjemna jak na marzec, więc pierwszego dnia relaksował

się na tarasie, wychodzącym na Morze Śródziemne. Nękały go wyrzuty sumienia, że zostawił

Chiare w Jerozolimie. Nazajutrz, kiedy był już tą nudą zniecierpliwiony, znalazł w Internecie przyzwoity sklep z artykułami malarskimi, który znajdował się w odległości tylko kilku kilometrów w głąb wybrzeża, i przez resztę popołudnia szkicował rezydencję. Trzeciego dnia wczesnym wieczorem malował już akwarelami naprawdę niezłą marinę, gdy nagle zauważył, jak drogą z Larnaki jedzie samochód Al-Zaijata.

Odbyli spotkanie na tarasie bez pośpiechu, w zimnych promieniach słonecznych. Al-Zaijat męczył butelkę whisky single malt, a Gabriel sączył wodę mineralną, w której pływały trójkątne kawałki cytryny i limonki. Przez długi czas mówili ogólnikami o sytuacji w Egipcie, ale gdy słońce tonęło już powoli w morzu, Gabriel skierował rozmowę na temat prawdziwego powodu, dla którego poprosił go o przybycie na Cypr. Oczywiście chodziło o nazwisko, które w Jerozolimie podał mu Adrian Carter. Kiedy Al-Zaijat je usłyszał, uśmiechnął się i pociągnął

łyk whisky.

- Już od jakiegoś czasu mamy podejrzenia co do profesora - powiedział.

- Przez ostatni rok przebywał w Paryżu i pracował nad książką w jakimś Instytucie Islamistyki. To słynna przykrywka bojowników dżihadu w części finansowana przez księcia Raszida. Dzień po świętach Bożego Narodzenia wyleciał z Paryża i wrócił do Kairu, gdzie znów zaczął wyklądać na Uniwersytecie Amerykańskim.

- Zakładam, że chciałbyś wysłać zanego profesora na urlop naukowy.

- I to na czas nieokreślony.

- Będzie cię to kosztowało.

- Wazirze, zaufaj mi, pieniądze nie grają roli.

- Kiedy chciałbyś to zrobić?

- Późną wiosną - powiedział. - Zanim zrobi się za gorąco.

- Tylko to ma być czysta robota. Nie chcę, byś narobił w moim mieście bałaganu.

Godzinę później Al-Zaijat wyszedł z rezydencji z teczką wypełnioną pół milionem dolarów, a następnego dnia rano Gabriel spalił szkice oraz akwarelę i wrócił do Chiary.

Kair

Nazwisko figurujące na liście rezerwacji w kairskim hotelu InterContinental przyprawiło o dreszcze pana Katubiego, szefa personelu od zleceń specjalnych. - Na pewno jest jakaś usterka w systemie komputerowym - pomyślał, kiedy z niedowierzaniem się w nie wpatrywał.

- To na pewno musi być jakiś inny Herr Johannes Klemp. Na pewno nie wrócił po to, żeby znowu się z nimi o coś spierać. To na pewno jakieś straszne nieporozumienie. - Podniósł

słuchawkę telefonu wewnętrznego i wybrał numer do działu rezerwacji, by sprawdzić, czy gość ma jakieś specjalne prośby. Owszem, była tak długa i szczegółowa, że dziewczyna recytowała ją ze trzy minuty.

- Jak długo planuje u nas zostać?

- Tydzień.

- Rozumiem.

Odłożył słuchawkę i przez resztę poranka poważnie się zastanawiał, czy wziąć tydzień wolnego, ale w końcu stwierdził, że takie postępowanie byłoby tchórzostwem i sprawiłoby kolegom same trudności.

I tak oto o 15:30 stanął buńczucznie na środku błyszczącego holu z założonymi do tyłu rękoma i uniesioną brodą niczym arogancki żołnierz przed plutonem egzekucyjnym, kiedy Herr Klemp wpadł przez drzwi obrotowe, ubrany na czarno od stóp do głów z umieszczonymi w srebrzystych włosach okularami przeciwsłonecznymi.

- Katubi! - krzyknął pogodnie, zbliżając się do niskiego oddanego pracownika hotelu z wymierzoną w niego jak bagnet ręką. - Miałem nadzieję, że wciąż tu będziesz.

- Herr Klemp, w Kairze pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- I za to właśnie uwielbiam to miejsce, choć dobrze wiem, że działa ci to na nerwy...

- Nie bardziej niż kurz - powiedział. - Jeśli mogę zrobić cokolwiek, by umilić panu pobyt, proszę się nie wahać i tego żądać.

- Ani mi to w głowie.

- Z pewnością.

Pan Katubi przygotował personel na burzę piaskową skarg, tyrad i kazań na temat niekompetencji

Egipcjan, ale w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od przybycia Herr Klempa stało się dla nich oczywiste, że Niemiec był teraz zupełnie innym człowiekiem. Oświadczył, że jego zwyczajny jednoosobowy pokój na wysokim piętrze w północnej części budynku, który wznosił się nad placem Tahrir i kampusem Uniwersytetu Amerykańskiego, to raj na ziemi. Oznajmił, że jedzenie to ambrozja i zachwycał się obsługą, która nie miała sobie równych. Codziennie rano, kiedy było jeszcze zimno, szedł pozwiedzać, po południu relaksował się przy basenie, a o zmroku spokojnie odpoczywał w pokoju. Pan Katubi stwierdził, że nawet trochę tęskni za starym Herr Klempem, który gromił pokojówki za niewłaściwe sianie łóżka i naskakiwał na pokojowych za niszczenie jego ubrań. Teraz ten zadowolony ze wszystkiego klient milczał...

W przedostatni dzień planowanego pobytu Herr Klemp pojawił się w holu o 18:30

wystrojony na obiad i poprosił o zarezerwowanie na dwudziestą stolika we francuskim barze na Az-Zamaliku, po czym wypadł przez drzwi i zniknął w kairskim zmroku. Pan Katubi patrzył, jak odchodzi, a następnie sięgnął po telefon nieświadomy tego, że już nigdy nie zobaczy tego człowieka.

*

Srebrny mercedes sedan zaparkowany był na ulicy Muhammada tuż obok parkingu dla personelu przy Uniwersytecie Amerykańskim. Za kierownicą spokojnie siedział Mordechaj, a siedzący na przednim siedzeniu pasażer nerwowo bębnił palcami po udzie. Gabriel wszedł do tyłu i cicho zamknął drzwi. Michaił wciąż bębnił, nawet kiedy kazali mu przestać.

Pięć minut później Michaił powiedział:

- Idzie twój chłopiec.

Gabriel patrzył, jak wysoki, szczupły i ubrany w zachodni strój Egipcjanin wręcza nubijskiemu parkingowemu kilka piastrów i wsiada za kierownicę fiata sedana. Po trzydziestu sekundach przeszedł obok ich stanowiska i skierował się w stronę placu Tahrir. Światło sygnalizatora zmieniło się właśnie na czerwone. Fiat zatrzymał się - Sfinks był bardzo ostrożny.

- Teraz - rzekł Gabriel.

Michaił zaproponował mu przycisk detonatora.

- Jesteś pewien, że nie chcesz sam go dorwać?

- Michaile, po prostu zrób to, zanim zapali się zielone.

Wcisnął przycisk i chwilę później ukryty w zagłówku niewielki ładunek wybuchowy precyzyjnie eksplodował jaskrawym białym błyskiem. Michaił znów zaczął bębnić palcami, a Mordechaj wrzucił bieg i skierował się w stronę Synaju.